Krzysztof Varga

Księga dla starych urwisów

Wszystko, czego jeszcze nie wiecie
o Edmundzie Niziurskim

Dzięki książkom Niziurskiego
z nierozgarniętych młodocianych
kretynów, doprowadzających
do rozpaczy swym nieuctwem
i odpornością na wiedzę rodzinę
i znakomitych gogów, powoli
zamienialiśmy się w dojrzałych
ludzi. Jeśli nie zmieniliśmy
świata, to jednak dzięki tym
książkom zmieniliśmy siebie.
A to już bardzo dużo. Edmund
Niziurski przygotował nas
do życia jak nikt inny

Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Krótka introdukcja, czyli słów kilka, dlaczego Edmund Niziurski wielkim pisarzem był

Wielka podróż z Kielc do Warszawy

Wieloletnia wyprawa do Wilczkowa, Niekłaja, Gnypowic Wielkich, Odrzywołów

Złoty okres lat sześćdziesiątych

Świat Odrzywołów jako najwspanialsze miejsce na świecie

Walka z sanacją, podchody pod Alcybiadesa, szkielet straszący pijaków

Ostatnie dobre powieści oraz powolny, acz straszliwy spadek formy

Szpiedzy, mordercy i polski Szwejk.Rozterki dorosłych bohaterów

Pożegnanie z książką, ale nie z powieściami Niziurskiego, bo z nimi nie sposób się pożegnać na zawsze

Rozwiązania quizów

Rozwiązanie zadania matematycznego

Okładka

Krzysztof Varga

Księga dla starych urwisów

Copyright Krzysztof Varga, Czerwone i Czarne

Projekt graficzny
Frycz i Wicha

Fotografie
Archiwum rodzinne

Redakcja
Karolina Małecka

Korekta
Agnieszka Gzylewska

Wydawca
Czerwone i Czarne Sp. k.
ul. Walecznych 39/5
03-916 Warszawa

Wyłączny dystrybutor
Firma Księgarska Olesiejuk Sp. z o.o. sp. j.
ul. Poznańska 91
05-850 Ożarów Mazowiecki
www.olesiejuk.pl

ISBN 978-83-66219-04-5
Warszawa 2019

Skład wersji elektronicznej
pan@drewnianyrower.com

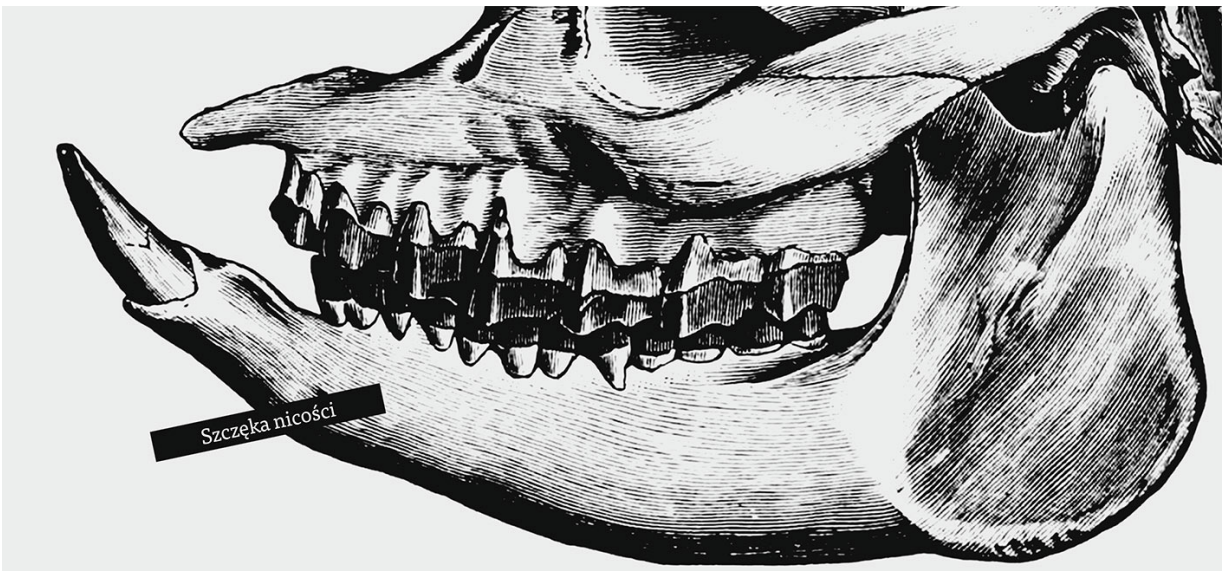

BIJEMY PIĘŚCIĄ POEZJI W SZCZĘKĘ NICOŚCI!

Zasępa

Krótka introdukcja, czyli słów kilka,
dlaczego Edmund Niziurski wielkim pisarzem był.
Ale nade wszystko, dlaczego nawet ci, którzy
mówią, że wiedzą wszystko o książkach autora
Sposobu na Alcybiadesa i *Niewiarygodnych przygód Marka Piegusa*, po prawdzie wiedzą mało i dlatego
właśnie powinni sięgnąć po tę opowieść.

Dokument chroniony elektronicznym znakiem wodnym

Zakupione w nexto: 2900516

Jeśli PRL miał jakieś radosne strony, to jedną z nich, a może jedyną, była literatura dla dzieci i młodzieży. A na tle całej literatury młodzieżowej najjaśniej błyszczała gwiazda Edmunda Niziurskiego. To dzięki jego powieściom życie w szarym, smutnym kraju nabierało niezwykłych barw i atrakcyjności, jakiej dostarczyć nie mogły nawet filmowe westerny i przygody Jamesa Bonda. Co było takiego w pisarstwie autora *Sposobu na Alcybiadesa*, że jego historie, rozgrywające się przecież nie na tropikalnych wyspach, nie w Afrykach, Amerykach ani Australiach, nie w czasach piratów, muszkieterów ani kowbojów, lecz w zgrzebnej Polsce, tak bardzo przemówiły nam do serca, ale i do rozumu?

Jak to się stało, że ja, chłopiec z Warszawy, najbardziej w życiu pragnąłem zamieszkać w fikcyjnych Odrzywołach? Bez wahania zamieniłbym moją mokotowską podstawówkę na szkołę imienia Rejtana w Odrzywołach, tak samo jak zamieniłbym blok na warszawskim osiedlu na ruderę przy ulicy Boleść, gdzie mieszkał Zyzio Gnacki. Czemu nie pociągały mnie tak wizje odkrywania tajemniczych wysp, przedzierania się przez dżunglę, pływania po Amazonce, wypraw w niedostępne góry i przez bezkresne stepy jak podróż wartburgiem do Pułtuska? Dlaczego bardziej podniecała mnie historia broni ukrytej w starym browarze w Odrzywołach czy skrzynie Szwajsa w Niekłaju niż skarby piratów zakopane na Karaibach? Dlaczego wreszcie świat szkoły, czy to w Warszawie,

czy w Gnypowicach Wielkich, zdawał mi się bogatszy i budzący większy dreszcz podniecenia niż nawet podróż w osiemdziesiąt dni dookoła świata czy okrętem podwodnym kapitana Nemo? O perypetiach Indian i kowbojów nie wspominając.

Mam na to odpowiedź: świat bohaterów Edmunda Niziurskiego był naszym światem i bezpośrednio nas dotyczył. Jeśli ktoś miał kontakt z rzeczywistością, to wiedział przecież, że opowieści o skarbach piratów, podwodnym rejsie Nautilusem, podróży do wnętrza Ziemi czy lataniu balonem nad Afryką to piękne, ale bajki, historie, które nigdy się nie zrealizują i pozostaną jedynie powieściową fantazją. A to, co przydarzało się bohaterom Niziurskiego, mogło się także nam przydarzyć, zwykłym chłopakom z szarej polskiej szkoły.

Oczywiście Niziurski nie był jedynym pisarzem, jakiego czytaliśmy w graniczącym z egzaltacją zachwycie. Ale był najprawdziwszy. Na tym polegał jego geniusz, że sięgnął po nasze życie, zwykłych uczniów, zmagających się ze wszystkimi szkolnymi udrękami. Ubarwił je, nadał temu życiu nimb niezwykłości, pokazał, że może być życiem pełnym niesamowitych przygód, nawet jeśli rozgrywa się w zapyziałym polskim mieście.

Tak, to prawda, Niziurski, mając już za sobą najsłynniejsze swe powieści, napisał kilka takich, gdzie bohaterowie podróżują na obce planety, wpadają w łapy groźnych kosmitów planujących zagładę ludzkości i niebezpiecznie oddalają się od naszej ziemskiej rzeczywistości. *Nieziemskie przypadki Bubla i spółki* czy *Gwiazda Barnarda* to Niziurski w wersji science fiction. Trylogia o Bąblu i Syfonie to Niziurski schyłkowy i niestety już niekoniecznie brawurowo dowcipny. Będzie tu o tych książkach, podobnie jak będzie o wszystkich innych – na przykład o *Nowych przygodach Marka Piegusa (również*

niewiarygodnych), które powstały czterdzieści lat po tych pierwszych, znanych nam na pamięć i na wyrywki. Ale to nie schyłkowe powieści Niziurskiego o kosmicznych jaszczurach stworzyły legendę tego pisarza, ale jego realistyczne książki o Polsce, w której sami dorastaliśmy.

Naturalnie czytaliśmy też powieści Alfreda Szklarskiego o przygodach Tomka Wilmowskiego we wszystkich zakątkach świata, od Syberii po Amerykę Południową i od Australii, przez Afrykę po Meksyk. Czytaliśmy serię przygód Pana Samochodzika, dzielnego ormowca ścigającego wraz z grupką harcerzy groźnych złodziei sztuki, zazwyczaj przybyłych z imperialistycznego Zachodu bądź reprezentowanych przez przebiegłego Waldemara Baturę, rodzimego dandysa, cwaniaka i złoczyńcę. Czytaliśmy powieści Adama Bahdaja i rozdzierająco smutne historie Janusza Domagalika, czytaliśmy skrupulatnie wszystkie westerny Wiesława Wernica, a dziewczęta czytały Małgorzatę Musierowicz i Krystynę Siesicką. Lecz dla wielu pokoleń, dla dzisiejszych czterdziesto-, pięćdziesięciolatków, a nawet jeszcze starszych, Niziurski stał się wielkim budowniczym wyobraźni. Uszczęśliwiał nas, rozśmieszał, ale i uczył. Dzięki niemu udało nam się przejść przez trudny czas dojrzewania, zrozumieć własne dzieciństwo i skonfrontować się z nadchodzącą dorosłością.

Został zapamiętany przede wszystkim jako autor powieści o perypetiach nastoletnich uczniów: *Księgi urwisów*, *Sposobu na Alcybiadesa*, *Niewiarygodnych przygód Marka Piegusa*, *Awantury w Niekłaju*, *Klubu włóczykijów* czy trylogii o miasteczku Odrzywoły: *Naprzód, Wspaniali!*, *Kosmiczne awantury, Adelo, zrozum mnie!*. To już jest wielki dorobek i nieusuwalne dziedzictwo polskiej kultury, nie tylko młodzieżowej, bo przecież te powieści ukształtowały dorosłych dziś ludzi, którzy – nawet może często nieświadomie –

kierowali się w swym dojrzałym życiu drogowskazami, które im pokazał Niziurski. Wciąż pamiętamy szczegółowo fabułę tych książek, tak jak nie pamiętamy większości innych powieści, które przeczytaliśmy.

Trudno napisać intrygującą biografię Niziurskiego, bo jego życie było pisaniem, a pisanie dla młodzieży było życiem. Nie zdarzały się w tym długim życiu niezwykłe wydarzenia, skandale, sensacje, polityczne zwroty i mocne zaangażowania w bieżące sprawy narodu. Pozostało jednak ogromne dzieło i całe pokolenia Polaków, dla których był nauczycielem i wychowawcą, w najlepszym sensie tych słów. Wszyscy, którzy zetknęli się z Niziurskim osobiście – nie tylko rodzina – zapamiętali go jako człowieka uczynnego, sympatycznego, dobrze wychowanego, nieuczestniczącego zarazem w życiu społecznym czy towarzyskim, a przynajmniej nie w tym sensie, w jakim rozumiemy życie towarzyskie w czasach Peerelu. Nie było przesiadywania w kawiarniach, nie było romansów ani strasznych pijaństw, nie było działalności opozycyjnej, a zarazem nie było uwikłania we władzę komunistyczną. Nie było w nim ekstrawagancji, zaledwie rozliczne dziwactwa. Z jednej strony benedyktyńska pracowitość, z drugiej zaś niebywałe roztargnienie, które przeszło do rodzinnej legendy. Były za to książki, które nie tylko bawiły, uczyły i umilały czas, ale i formowały intelektualnie kolejne generacje.

Napisał tych młodzieżowych powieści bardzo wiele – wcześniej wymieniony kanon stanowi zaledwie część tego, co po sobie pozostawił. Żył długo, niemal dziewięćdziesiąt lat, i jeśli akurat nie pisał kolejnej książki, to wyprawiał się z żoną i dziećmi na górskie wycieczki lub w samochodowo-kempingowe podróże po Europie. Bo jeśli było coś, co Edmunda Niziurskiego mogło wyrwać z korzeniami zza biurka, przy którym pisał kolejną książkę, to jedynie rodzinne wycieczki,

wyprawy, podróże, najchętniej w góry. Właśnie górskie eskapady zapisały się w pamięci jego dzieci, a nawet wnuków. A kiedy już wracał z tych wypraw, natychmiast brał się do pisania następnej książki.

Nie zaprzestał pisania kolejnych powieści, gdy pokolenie jego wyznawców wyrosło z literatury młodzieżowej i naturalną drogą podążyło ku prozie dla dorosłych. Niziurski wciąż pisał dla nastoletnich czytelników, pisał i wydawał do końca dwudziestego wieku, a wznowienia jego najsłynniejszych tytułów wciąż zapełniają księgarnie.

Nie był autorem wyłącznie książek dla młodzieży. W jego dorobku znajdziemy poważne, gorzkie powieści dla dorosłych o losach ambitnych inżynierów i lekarzy, ale i zabawne opowiadania o żołnierzach Wojsk Ochrony Pogranicza. Smutne opowiadania o przedwojennych strajkach chłopskich oraz powojenne reportaże z biednych podrzeszowskich wsi. Krótką powiastkę o czasach okupacji hitlerowskiej i dwie powieści kryminalne z lat pięćdziesiątych, których jednak nie nazwiemy „powieściami milicyjnymi", bo poziomem artystycznym, żelazną logiką i umiejętnością konstruowania intrygi wyrastały tak bardzo ponad milicyjno-socrealistyczną produkcję, prezentowały tak finezyjny i dowcipny styl, że gdyby napisano je i wydano w Anglii, toby sama Agatha Christie umarła z zazdrości.

I gdyby Niziurski nie napisał tylko dwóch kryminałów, ale na przykład dwadzieścia albo dwieście, byłby z pewnością największym polskim pisarzem kryminalnym. Ale ma też na koncie jak najbardziej socrealistyczną powieść *Gorące dni* o dobrych chłopach i złych kułakach, a co więcej, był to jego prawdziwy debiut książkowy. Ale że nie został największym pisarzem kryminalnym ani nawet największym pisarzem

socrealistycznym, to został największym pisarzem młodzieżowym i to jest w tym wszystkim najlepsze.

Bo jego odbiorcami byli przede wszystkim młodzi czytelnicy, dla nich pisał z prawdziwą pasją i zaangażowaniem, a oni odpłacili mu uwielbieniem, jakiego zaznało naprawdę niewielu autorów. A pisał jak nikt inny, szarą, nudną rzeczywistość Peerelu przemieniając w najbardziej zwariowany świat przygód, dzięki czemu zrozumieliśmy, że nie miejsce, w którym się znajdujemy, decyduje o tym, co przeżywamy, lecz wyłącznie siła naszej wyobraźni.

GALERIA RABUSIÓW

Przedstawiamy galerię rabusiów, złoczyńców, oszustów i włamywaczy, których lubimy, cenimy a nawet kochamy, a często wręcz jest nam ich żal… A także zacne grono gogów, bez których żadna szkolna przygoda nie mogłaby się obejść, bo czymże byłyby perypetie naszych bohaterów, gdyby nie Alcybiades, Oberon, Okulla i kilkoro innych?

Chryzostom Cherlawy Zabiedzony opryszek z *Niewiarygodnych przygód Marka Piegusa*, powracający także w kontynuacji tej powieści. Jest drobny, chudy, ma ptasią główkę i zapadłe policzki, piskliwy głos i bezzębne usta oraz wielki haczykowaty nos. Na dodatek kuleje i jest jednym wielkim chodzącym nieszczęściem. Nieustannie używa, zwracając się do rozmówców, formy „Świerszczyku mój". Ma wrzody, nadkwasotę, nieżyt oraz łaskotki – nie trzeba go torturować, wystarczy łaskotać, by wszystko wypaplał. Jednocześnie uważa się za „geniusza nieocenionego" oraz „orła spętanego", któremu nie dano rozwinąć skrzydeł. Utrzymuje, że posiada siedem talentów: „talent mimiczny, pedagogiczny, choreograficzny, geologiczny, osmotyczny, astrofizyczny i kieszonkowy".

W *Nowych przygodach Marka Piegusa* Cherlawy jest bezrobotnym przestępcą relegowanym brutalnie z bandy Alberta Flasza, próbującym szczęścia (oczywiście bez sukcesów) jako ochroniarz osobisty i konsultant finansowy. Jest jeszcze bardziej zabiedzony i wychudzony niż w pierwszych przygodach Piegusa. Nic mu się nie udaje. Nawet Antoś Turpis – szef wywiadu bandy Flasza w pierwszej części przygód Piegusa, wówczas w katakumbach pobity do krwi przez Bosmanna potrafił się urządzić w nowej rzeczywistości i prowadzi butik z czerwonymi szelkami dla maklerów giełdowych. A Cherlawemu wciąż wiatr w oczy wieje. W gruncie rzeczy ma dobre serce, nawet jak chce wykorzystać Piegusa do swych niecnych celów, to finalnie go ratuje z opresji.

Wypowiada do swojego syna, wysyłając go do szkoły, słowa, które stały się drogowskazem dla pokoleń mężczyzn: „Będziesz się uczył, jak nic innego nie umiesz". W serialu

Niewiarygodne przygody Marka Piegusa zagrał go Krzysztof Litwin.

Albert Flasz Przestępca-alkoholik nieustannie pijący śliwowicę, przy tym wybitny organizator i wyjątkowy sadysta. Osobnik pozbawiony zasad moralnych, szef największej bandy złodziejskiej w Warszawie. W powieści *Niewiarygodne przygody Marka Piegusa* główna baza jego przestępczego syndykatu znajduje się w ogromnych podziemiach kościoła pod figurą Świętego Jacka. W *Nowych przygodach Marka Piegusa* biuro jego bandyckiej firmy jest na piątym piętrze odrapanej kamienicy na rogu Złotej i Cynkowej (w Warszawie nie ma Cynkowej, ale jest róg Złotej i Żelaznej – niewątpliwie siedziba Flasza znajduje się na bliskiej Woli). Obok stoi szkielet dwudziestopięciopiętrowego biurowca, który Flasz buduje dla swojej firmy „Albert Flash Enterprises". Jednocześnie do ciemnej, wilgotnej piwnicy, gdzie kisi się kapustę, zsyła za karę pracowników, którzy nawalili. Na skutek alkoholizmu choruje na wątrobę, co nie przeszkadza mu pić ulubionej dalmatyńskiej śliwowicy w porcjach trzykrotnie większych niż te, które wchłaniał w czasach pierwszych przygód Piegusa.

„Po opuszczeniu katakumb przedsiębiorstwo rozrastało się szybko jak hydra. Kredyty uzyskać można było łatwo, zbyt łatwo. Firma wpadła w pułapkę kredytową i to właśnie było jedną z przyczyn jej obecnych trudności. Nadszedł czas spłaty pożyczek i narosłych procentów. Flasz planował, że będzie je spłacać z bieżących zysków, lecz zawiodły źródła dochodów, na które liczył. Dławiła go konkurencja, obcy kapitał wypierał go z rynku, a najgorsze, że przed rokiem przegrał walkę z Phoenixem o pranie brudnych pieniędzy. Pamiętano mu jego przeszłość, klienci nie mieli zaufania, woleli prać forsę w prężnych, świetnie zorganizowanych i dobrze krytych

przedsięwzięciach doktora Kadrylla i Wieńczysława Nieszczególnego” – dowiadujemy się z *Nowych przygód Marka Piegusa*.

W serialu *Niewiarygodne przygody Marka Piegusa* zagrał go Lech Ordon.

Teofil Bosmann Jak przystało na prawdziwego opryszka, musi mieć cechę, która go demaskuje, i najlepiej, aby był to charakterystyczny zapach, jaki wokół siebie rozwiewa. W przypadku Bosmanna jest to benzyna, albowiem ten ponury przestępca nieustannie myje ręce w benzynie. Ściślej, poddaje kompulsywnemu czyszczeniu za pomocą benzyny czarne rękawiczki zawsze oblekające jego potężne dłonie. „Zbrodniarz-atleta, ohydny szantażysta, zwany także Teosiem-Dusicielem albo Czarnopalcym”. Jest brutalny i chętnie używa przemocy, także w stosunku do kamratów z tej samej bandy, a robi to, ponieważ ma zasady: „Nie znoszę partackiej roboty i kłamstwa. Brzydzę się kłamstwem”. Ewidentnie cierpi na natręctwo higieniczne, wciąż wydaje mu się, że rękawiczki są brudne. „Trudno dziś kogoś uderzyć, żeby się nie pobrudzić. Ten brak czystości cielesnej przygnębia mnie. I brak uczciwości w branży. Co do mnie, jestem uczciwy”. Posiadacz słynnego chwytu, którym obezwładnia przeciwników, zaciskając im palce na szczęce. Waży dwieście kilo. Abstynent, propaguje „powściągliwość i trzeźwość wśród załogi” gangu. Przez dziesięć lat siedział w podziemiach i katakumbach, na skutek czego podupadł na zdrowiu.

W serialu *Niewiarygodne przygody Marka Piegusa* Bosmanna zagrał Mieczysław Czechowicz.

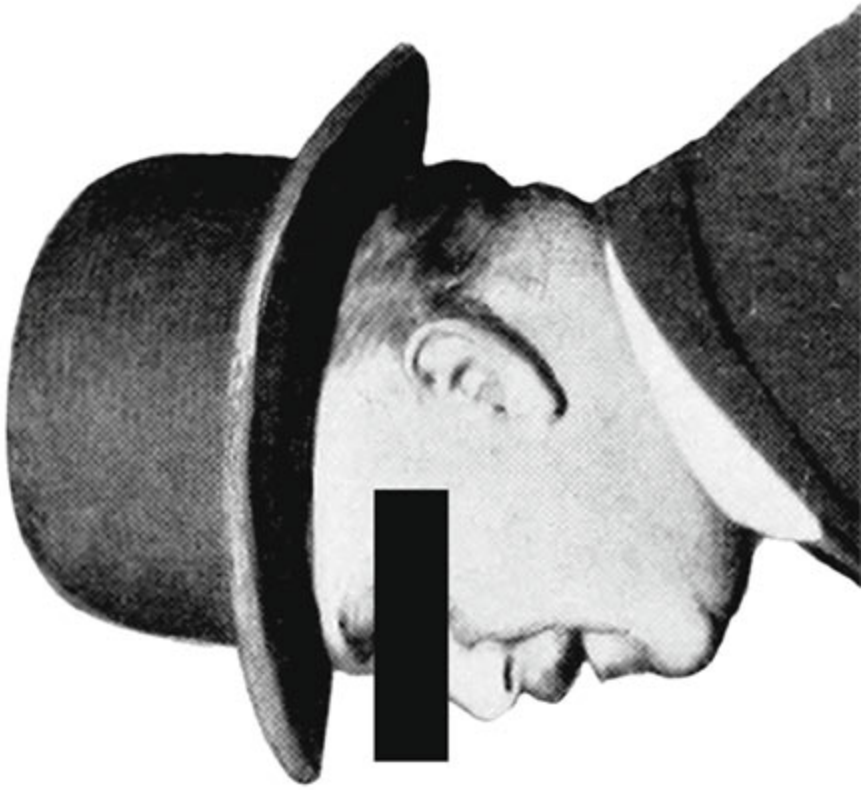

Dr Bogumił Kadryll Lekarz z zawodu, choć nieznanej nam specjalizacji. Przestępca średniego wzrostu, w średnim wieku, średniej tuszy, „w ogóle taki jakiś średni” – jak charakteryzuje go stryj Dionizy w *Klubie włóczykijów*. Kadryll, jak przystało na każdego przestępcę stworzonego przez Niziurskiego, ma słabość, której oprzeć się nie umie, mianowicie nadmiernie pachnie jaśminową wodą toaletową. Zawsze pracuje w stroju wizytowym, wygląda w nim, jakby właśnie wracał z eleganckiego przyjęcia. Jako że zapach jaśminu może być demaskujący, w chwili zagrożenia milicyjną interwencją oblewa się wodą kwiatową spółdzielni „Przodownik”. To słynna woda, za pomocą której w *Niewiarygodnych przygodach Marka Piegusa* muzyk Cezary Cedur, zamknięty w klatce z lwami przez Wieńczysława Nieszczególnego, przepłoszył dzikie zwierzęta. Po tamtym incydencie, który rozsławił ów produkt, spółdzielnia

„Przodownik” udoskonaliła wodę i nadała jej nazwę „Big-beat”. Spryskany nią Kadryll jest nie do rozpoznania, gdyż „Big-beat” zabija zapach jaśminu. W *Nowych przygodach Marka Piegusa* wyzwala się z nałogu używania wody jaśminowej.

W *Klubie włóczykijów* posługuje się fałszywym dowodem osobistym na nazwisko Kamil Bogumilski, zaś w *Nowych przygodach Marka Piegusa* porwanej ciotce Dorze przedstawia się anagramem swego nazwiska jako doktor Llyrdak. Prowadzi wówczas Ośrodek Badawczy Medycyny Doświadczalnej Towarzystwa Naukowego Phoenix.

W serialu *Niewiarygodne przygody Marka Piegusa* Kadrylla zagrał Aleksander Dzwonkowski, zaś w filmie *Klub włóczykijów i tajemnica dziadka Hieronima* – Tomasz Karolak.

Wieńczysław Nieszczególny „Najbardziej przebiegły, najzręczniejszy, najniebezpieczniejszy opryszek świata podziemnego stolicy”. Przestępca mający „twarz końską, a w zasadzie mulą”. „Człowiek o wybitnych zainteresowaniach filozoficznych, estetycznych, historycznych, archeologicznych i numizmatycznych”. Poznajemy go w *Niewiarygodnych przygodach Marka Piegusa*, a ściślej w *Przygodzie trzeciej i największej, czyli niewiarygodnych skutkach wagarów pospolitych, czyli zniknięciu Marka Piegusa*. Ma ciemne okulary, bryczesy, myśliwskie buty, lornetkę i bardzo interesuje się Markiem, jako że ten przez pomyłkę wziął tornister pewnego wypłosza, jak się później okaże dziecięcego kuriera przenoszącego do kryjówki skradzione przez bandę Alberta Flasza kosztowności. Nieszczególny poluje na takich małoletnich kurierów, by obłowić się kosztem innych złodziei. Ma bardzo długie nogi, zatem stawia bardzo długie kroki, a więc trudno mu uciec.

W *Klubie włóczykijów* przedstawia się stryjowi Dionizemu jako doktor Nieszczególski z Wałbrzycha, udając inwalidę na wózku. Zauważmy, że ukrywając się, jednocześnie się ujawnia, jedynie lekko deformując nazwisko, zamiast przedstawić się dowolnym innym, które nie naprowadziłoby natychmiast na jego trop. Kieruje się swoistą etyką i zasadami. Jest bogaty, zatem nie łasi się na mało wartościowe zdobycze, a wręcz potrafi obdarować swoją ofiarę drobnym prezentem. Przynależy do złodziejskiej arystokracji i wstrętne mu są przyziemne, podłe przestępstwa. To typ, do którego czuje się natychmiastową sympatię, sprzyja mu się w jego złodziejskich zamierzeniach, a nawet chciałoby się zostać przez niego fachowo i elegancko okradzionym, ponieważ Nieszczególny nie okrada byle kogo i z byle czego.

Jego słabością jest waleriana. Przed każdą złodziejską akcją zażywa trzydzieści kropel waleriany, chyba że akcja jest nadzwyczaj poważna, wtedy zdarza mu się przyjąć większą dawkę tego ziołowego leku uspokajającego. Posiada specjalną „koszulkę gangsterską", bardzo wytrzymałą, odporną na podarcie i śliską, tak że nawet pochwycony może się w niej wydostać z uścisku. Koszulka ma również specjalne kieszenie – po naciśnięciu guzika wydostaje się z tych kieszeni gaz, który obezwładnia przeciwnika. Posługuje się też fałszywym dowodem osobistym na nazwisko Nikodem Wieńczysławski.

Jedyne graficzne portrety pamięciowe Nieszczególnego i Kadrylla znaleźć można w pierwszym wydaniu *Klubu włóczykijów* na stronie 65 (Wydawnictwo Śląsk, Katowice 1970) na rysunkach Andrzeja Czeczota.

W serialu *Niewiarygodne przygody Marka Piegusa* Nieszczególnego zagrał Janusz Kłosiński. W filmie *Klub włóczykijów i tajemnica dziadka Hieronima* w rolę Nieszczególnego wcielił się Wojciech Mecwaldowski.

Dariusz Jasnobrzeski Znakomity kieszonkowiec, mistrz fachu zwanego doliniarstwem. Osobnik o nadzwyczaj realistycznym nazwisku, jakby zupełnie nie z książek Niziurskiego, ale także o niemal arystokratycznych manierach, co już dla wykreowanych przez Niziurskiego przestępców bardziej typowe. Pojawia się w opowiadaniu *Jutro klasówka*, ale natrafiamy na jego ślady także w Odrzywołach, wiemy również, że przez wiele lat „pracował" w Warszawie. Poznajemy go w kolejce do niekłajskiego znachora Karolusa w *Jutro klasówka*, gdzie zgłasza się po pomoc z ręką zranioną w trakcie penetrowania cudzej kieszeni. Wiemy, że jest szczupły i ostrzyżony na jeża. Bohaterów opowiadania, Strzębskiego i Majtę, którzy przybyli do domostwa Karolusa, aby odbić swojego kolegę Cykuckiego, pan Dariusz bierze za młodych doliniarzy, trenujących kradzieże kieszonkowe w tłumie schorowanych pacjentów. „A zatem zarobkowo. Na małej doliniarskiej praktyce. Słusznie, pochwalam ten zamysł. Praktyka wśród pacjentów znachora bywa na ogół owocna. Ludzie zajęci swoimi chorobami stanowią wdzięczny materiał do ćwiczeń palcowych młodzieży" – chwali nastolatków Jasnobrzeski. Niestety, sam Jasnobrzeski nie jest w pracy doliniarskiej, ponieważ stał się ofiarą niehigienicznego trybu życia mieszkańców Niekłaja. „Uległem wypadkowi przy pracy.

Trafiłem na niechlujnego klienta, który obok wypchanego portfela miał także żyletkę w kieszeni. Podejrzewam, że brudną i w brudnej kieszeni na domiar złego. Zastraszający jest ten brak higieny nawet u najbardziej nadzianych osobników w Niekłaju. W rezultacie zostałem zakażony jakąś przykrą chorobą. Rana się jadzi i nie chce się goić. Pożałowania godzien wypadek, moi drodzy, i świadczący niezbyt pochlebnie o gościnności niekłajczyków, gdyż musicie wiedzieć, iż jestem tu wyłącznie na gościnnych występach". Mimo że Jasnobrzeski jest u znachora w charakterze pacjenta, w trakcie badania przez Karolusa wyjmuje mu sprytnie portfel. Jasnobrzeski jest przestępcą oświeconym i nie wierzy w zdolności znachorów, ale woli nie pojawiać się w prawdziwym szpitalu: „Oczywiście, jako człowiek światowy, obyty i pochlebiam sobie, kulturalny tudzież wykształcony, z największym wstrętem i obawą zdecydowałem się skorzystać z pomocy znachora, ale nie miałem innego wyjścia. Obawiam się, że prawdziwi, dyplomowani lekarze w Niekłaju nie byliby dla mnie zbyt uprzejmi, gdyż zdarzyło mi się niestety zaglądać do ich kieszeni…".

Fastryga Zbir z bandy Alberta Flasza, a w zasadzie jego wspólnik, drugoplanowy opryszek pojawiający się w *Nowych przygodach Marka Piegusa*. Jego cechą charakterystyczną jest odstręczająco pokiereszowana, pełna szram i blizn twarz z wyraźnie zarysowaną kwadratową szczęką. Twarz ta była „wielokroć zszywana, łatana i cerowana". Jest fałszywym strażakiem, fałszywym ratownikiem medycznym, ale za to prawdziwym gangsterem, stojącym na czele „ochroniarskiej" firmy „Ruatonim". Porusza się wraz ze swymi ludźmi wielkim wozem, raz udającym wóz strażacki, a raz pogotowie ratunkowe, w czym w zasadzie nie ma nic nadzwyczajnego:

w niektórych krajach funkcję pogotowia pełnią strażacy, tak jak *pompiers* we Francji czy w Belgii. Tutaj Niziurski pokazywał i wykpiwał nową kapitalistyczną modę prywatyzowania wszystkiego, łącznie z ratownictwem medycznym i gaszeniem pożarów.

Palemon Szef gangu złodziei sklepowych z cyklu powieści o Bąblu i Syfonie. Zanim został zawodowym złodziejem, studiował w szkole cyrkowej oraz wyższej szkole teatralnej i świetnie się zapowiadał, lecz został wyrzucony za nałogowe okradanie profesorów. W swych złodziejskich występach „wykorzystuje element draki", czyli performance'u. Robi zamieszanie w sklepie, stwarza chaos, przewraca półki z produktami, kierując podejrzenia na niewinnych klientów, najchętniej na małolatów, których nazywa „kucykami ofiarnymi". Mistrz przebieranek, potrafi znakomicie udawać zarówno niewidomego starszego mężczyznę, przystojnego młodzieńca, jak i kobietę. Pseudonim Palemon został nadany przez młodych detektywów, jako że zauważono u złoczyńcy tatuaż piracki z trupią czaszką i piszczelami. Co z kolei skojarzyło się chłopcom z *Baśnią o korsarzu Palemonie* Jana Brzechwy, choć nazwisko tego pisarza ani tytuł jego utworu nie pada.

Palemon ma „wzrost metr siedemdziesiąt pięć, bardzo długie ręce, włosy ciemnoblond, ale z łysinką na czubku głowy. Cera jasna, delikatna, można by powiedzieć dziewczęca". Lewe oko ma nieruchome, najpewniej sztuczne. Kocha teatr, to jego prawdziwa pasja, stąd w trzeciej części cyklu, nie mogąc oprzeć się pokusie odegrania Hamleta na scenie amatorskiego teatru, uśpiwszy wcześniej prawdziwego aktora i przebrawszy się za niego, zostaje zdemaskowany i aresztowany. Nie dowiadujemy się, jak naprawdę się nazywał ani w jakim był dokładnie wieku.

ARKUSZ EGZAMINACYJNY NR 1
NIZIURSKOLOGIA. POZIOM PODSTAWOWY

Uważnie przeczytaj pytania i zaznacz właściwą odpowiedź.

Pytanie 1
Uczniowie Kurta i Pędzelkiewicz ukradli

A) Wypchanego kota z promieniotwórczymi klejnotami w oczodołach.
B) Uszkodzony szkielet ludzki, aby straszyć nim pijaków.
C) Torbę z bronią ukrytą w starym browarze w Odrzywołach.

Pytanie 2
Narrator Sposobu na Alcybiadesa nazywa się

A) Ciamciara.
B) Dziarmaga.
C) Ejdziatowicz.

Pytanie 3
Ojciec Matyldy Opat prowadzi zakład pogrzebowy

A) „Charon”.
B) „Trumna”.
C) „Wiekuistość”.

GALERIA NAUCZYCIELI

Galeria nauczycieli, czyli
gogów, odwiecznych
naszych przeciwników,
sprawców nieszczęść,
z którymi musimy toczyć
nieustanną wojnę, ale do
których czasami czujemy
zaskakującą nas samych
słabość...

Jak wiadomo, najważniejszym dziełem naukowym zajmującym się środowiskiem gogicznym oraz wzajemnymi relacjami między uczniami i gogami jest *Pedagogologi*a dr. Aleksandra Babińskiego. Babiński był wybitnym naukowcem, a swego czasu członkiem sławnej paczki czwororęcznych ze szkoły im. Lindego w Warszawie. Poznaliśmy go w *Sposobie na Alcybiadesa* jako Alibabę, już wówczas znakomitego teoretyka, analityka i badacza fauny gogicznej. Tak *Pedagogologię* opisuje Niziurski w *Naprzód, Wspaniali!*: „*Pedagogologia* jest to jedyne dzieło ujmujące całość wiedzy o gogach i uczniach w ich wzajemnych stosunkach. Zawiera ono wszechstronną analizę życia szkolnego, a nadto specjalne studia porównawcze, socjologiczne i psychologiczne, a zwłaszcza charakterologiczne oparte na wynikach długoletnich badań i własnych doświadczeniach autora. Epokowa doniosłość tego dzieła Alibaby polega na tym, że po raz pierwszy przedstawia ono naukowo zagadnienia szkolne z pozycji uczniów, a nie gogów. Szczególnie cenną dla młodzieży jest druga część rozprawy, a mianowicie *Pedagogologia stosowana*. Zawiera ona praktyczne przepisy postępowania względem gogów i woźnych, różne skuteczne sposoby i tricki gwarantujące bezpieczne poruszanie się w labiryncie budy”.

Niestety ta szczególnie cenna pozycja od dawna jest niedostępna. Jej cały nakład został wykupiony przez nauczycieli i w większości zniszczony, a pojedyncze egzemplarze są starannie ukrywane „jako wysoce szkodliwe i niebezpieczne dla młodzieży”. Jako że autor tej książki niestety także nie ma dostępu do tego białego kruka, daje w zamian jedynie skromną namiastkę *Pedagogologii* w postaci małego leksykonu najważniejszych, najbardziej charakterystycznych bądź

najgroźniejszych gogów występujących w książkach Edmunda Niziurskiego.

Alcybiades Tymoteusz Misiak, urodzony 18.08.1899, bohater *Sposobu na Alcybiadesa*. Nauczyciel historii, kawaler. Wzrost 181 centymetrów, oczy czarne, włosy – zero, zasięg wzroku pięć pulpitów (dopiero w szóstej ławce jesteśmy bezpieczni). Cechą charakterystyczną ubioru są nigdy nieprasowane spodnie. Drętwość gogiczna – poniżej średniej. Współczynnik nudzenia – dość niski, lekcje raczej ciekawe. Krzykliwość – 0,1 decybela, czyli żadna. Sprawiedliwość – 0,9 salomona, a zatem wysoka. Surowość – 0,5 drakona, a zatem niewysoka. Usposobienie – łagodne. Stopień poczucia humoru – 0,7 leca. Stan zdrowia – niezadowalający, choruje na serce. Poza tym ma następujące pasje, namiętności i fetysze: historia, historia oraz historia. W zasadzie prócz historii, osobliwie starożytnej, niewiele go w życiu pociąga.

Wśród masy nauczycielskiej to „typ rzadki, podlega ścisłej ochronie przez cały rok". Gogowie mają swoje okresy ochronne, gdy młodzieży zabrania się ich nękać, dręczyć i prześladować, ale są one co najwyżej miesięczne, ewenementem jest ochrona całoroczna. I tak profesor Żwaczek ma swój okres ochronny w maju, ponieważ wtedy zdaje egzaminy na orientalistyce. Dziadzia Ejdziatowicz ma okres ochronny w listopadzie, bo bierze wtedy kąpiele lecznicze i naświetlania. Pani Kalino podlega ochronie w marcu, ponieważ w tym miesiącu ma zawsze załamanie nerwowe, a wuefista Nierucha w kwietniu rozgrywa turnieje brydżowe, które go bardzo wyczerpują, a zatem tego wiosennego miesiąca jest pod ochroną. Profesor Misiak musi być jednak chroniony przez cały rok, albowiem należy do ginącego gatunku nauczycieli starej daty, urodzonych jeszcze w XIX wieku i hołdujących etosowi inteligenckiemu.

Koń Magister Jacek Szykoń, lat 24, zaraz po studiach, polonista z powieści *Osobliwie przygody Cymeona Maksymalnego*. Wygląd ma bardzo młody, dlatego mylony bywa z uczniami. Wzrost ledwo 162 cm, ciemne włosy, szczupły, silny, prowadzi zdrowy tryb życia, należy do klubu sportowego „Sparta", gdzie trenuje biegi średniodystansowe. Na czterysta metrów schodzi poniżej czterdziestu siedmiu sekund. Niezwykle inteligentny, przebiegły i mający niestandardowe podejście do nauczania języka polskiego – promuje oryginalność i samodzielność myślową, tępi oportunizm. Niezwykle rzeczowy, trudny do oswojenia, nie działają na niego sprawdzone sposoby uczniowskie. „Nie będzie pływania w mętnej wodzie ani lotów w dętych balonach. Będę nakłuwał takie balony!" – odgraża się, jednocześnie zachowując zawsze olimpijski spokój. Niszczy „słowa-pustaki", nie pozwala wykręcać się za pomocą zdań w rodzaju „wielka wartość wiersza polega na jego cennych zaletach". Ten sposób pisania – do czasu pojawienia się w szkole Konia skutecznie stosowany przez młodzież – zwie się „dętologią" oraz „dmuchaniem w bambus".

Partacz Pan Anielak, nauczyciel zajęć praktyczno-technicznych w szkole w Gnypowicach Wielkich, miejscu akcji powieści *Siódme wtajemniczenie*. Cierpi na chroniczny nieżyt dróg oddechowych, boi się przeciągów. Uczniowie nieustannie chowają mu kalosze i nieszczęsny pedagog nie może nijak ich znaleźć, a jak już znajduje, to jest przekonany, że sam je tam postawił. Jego techniczna, a nawet praktyczno-techniczna wyobraźnia nie dopuszcza, że kalosze mogą chować uczniowie, od pewnego czasu zatem po zdjęciu ich nosi je ze sobą. Daje się łatwo zagadywać uczniom, nie panuje nad klasą.

Pelman Wysoki i chudy, zawsze w rozwianym fartuchu, nadzwyczaj roztargniony, acz genialny chemik w szkole im. Rejtana w Odrzywołach. Nieustannie na tropie genialnego wynalazku chemicznego, przy okazji zupełnie niechcący dokonujący niepożądanych odkryć chemicznych i przypadkowo produkujący bardzo ciekawe medykamenty. Zajmuje się prywatnym i nielegalnym leczeniem nauczycieli, tworząc dla nich lekarstwa narkotycznej proweniencji, po których zasypiają, ale są z owego leczenia bardzo zadowoleni, co z kolei tępi dyrektor szkoły Oberonowicz. Pelman w swoim roztargnieniu potrafi ogolić sobie tylko połowę twarzy albo założyć przez pomyłkę czerwony kapelusz ze wstążką jednej z nauczycielek, pani Czupurskiej.

Pewnego dnia, będąc w twórczym roztargnieniu, nie zauważa, że wpada w błoto powstałe na dziedzińcu szkoły na skutek wiosennych roztopów. Ponieważ akurat pod masą błotną znajduje się niechlujnie zasypany dół po wapnie, Pelman zapada się w nim jak w prawdziwym bagnie, lecz wciąż tego nie zauważa. Dopiero pani Tromboniowa od geografii, wyglądając przez okno swej pracowni, zauważa, że Pelman dziwnie się zmniejszył i zmniejsza coraz bardziej. Największym sukcesem Pelmana okazuje się wyprodukowanie substancji o działaniu rozśmieszająco-ogłupiającym, dzięki której udaje się obezwładnić złoczyńców buszujących po szkole. Niestety efektem ubocznym zastosowania preparatu jest znarkotyzowanie się nauczycieli i rodziców przybyłych na wywiadówkę.

Oberon Stanisław Oberonowicz, dyrektor szkoły im. Rejtana w Odrzywołach. Zasadniczy, kostyczny i surowy, ale mający ludzkie odruchy. Gracz i stary lis. Raczej ponurak, niechętnie się śmieje. „Im coś bardziej nim wstrząsa, tym większy spokój

maluje się na jego twarzy. Umie wkładać kamienną maskę”. Oberon „złości się tylko wtedy, kiedy chce”. Jest wytrawnym aktorem. Czasami wydaje się, że skomplikowana rzeczywistość go przerasta, ale ogarnia się i ze zdwojoną energią przystępuje do działania. Ceni sobie dyrektorską otoczkę – dobre meble w gabinecie i swoją pozycję w mieście. Groźny, ale umie być wyrozumiały. Kiedy jednak przechodzi z rozmówcą z „pan” na „wy”, oznacza to, że będzie nieprzyjemnie i bezlitośnie.

Bambosz Prawdziwe nazwisko Macoch. Co prawda tylko woźny, a nie nauczyciel, ale kluczowa i najbardziej tajemnicza postać w szkole im. Rejtana w Odrzywołach. Srogi strażnik czystości, słynący z obsesyjnej dbałości o porządek i lśniące posadzki, praktykujący tzw. wielki froter, czyli taneczne froterowanie podłóg za pomocą specjalnych ślizgów na ścierkach. Pojawienie się Bambosza burzy spokój uczniów, tym bardziej że jest to postać o niejasnej i z pewnością ponurej przeszłości. Wokół owej przeszłości Bambosza i jego konszachtów z podejrzanym elementem kręci się intryga *Awantur kosmicznych*. Uczniowie obawiają się nawet, że może być: piromanem, narkomanem, nekrofagiem, porywaczem, wampirem bądź przestępcą gospodarczym. To najbardziej mroczna postać w prozie Niziurskiego, naznaczona prawdziwym tragicznym piętnem, wcale nie zabawna, jak Nieszczególny czy Kadryll, i budząca nie tyle sympatię, co współczucie. Jak się okazuje, Bambosz był kucharzem na statku ratowniczym, po jego wypadku stał się ofiarą, przeniesiono go do służby na lądzie. Pracował w Instytucie Morskim, potem na emeryturze nie miał co ze sobą zrobić i wylądował w „Łazarzu”, przytułku w Lipkach niedaleko Odrzywołów. Nie mógł jednak tam wytrzymać i zatrudnił się jako woźny

w Instytucie Leków, gdzie poznał chemika Pelmana, a następnie dostał pracę znów woźnego w odrzywolskiej szkole.

Pieśń buntu przeciwko Grubemu Cypkowi
(wykonanie Tomek Okist)

Cypałło obleśny,
bój się naszej pieśni!
Dzień nadejdzie gniewu,
kiedy zamiast śpiewu
będzie cię szczypałło
twoje tłuste ciałło,
ohydny Cypałło!

WIERSZE KTÓRE RWĄ NAM SERCE

Bobulina Woźna w szkole im. Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego w Odrzywołach. W przeciwieństwie do srogiego Bambosza ze szkoły im. Rejtana osoba nie tylko wielkiej tuszy, ale równie wielkiego serca, poczciwa i wesoła. Bardziej niż o posadzki dba o swoją hodowaną w przyszkolnym ogródku kozę, a że bardzo lubi być fotografowana, Defonsiacy nieustannie w swojej gazetce ściennej prezentują jej bardzo korzystne zdjęcia. Dzięki temu nie doświadczają żadnych prześladowań, w przeciwieństwie do udręczonych przez Bambosza Rejtaniaków.

Okulla Renata Okulczycka, wicedyrektorka w szkole im. Narcyzy Żmichowskiej z powieści *Szkolny lud, Okulla i ja*. „Podobna do kobry i równie jadowita", ma „workowatą szyję". Chuda, kostyczna, chodzi żołnierskim krokiem, jeździ czerwonym maluchem, uwielbia wzniosłe przemowy w pokoju nauczycielskim, z lubością używając słów w rodzaju „aktywizacja" i „reorganizacja". Uczniów oskarża o „izolacjonizm" i „pasywizm". Okulla nie tyle jest aktywna, ile reaktywna: „potrzebuje do swojego działania wyraźnych bodźców, odchyleń od normy, potrzebuje być pobudzana". Jeśli pojawia się coś, co drażni Okullę, wtedy „przeciwstawia mu swoje działanie idące w kierunku przeciwnym". Leczy się na chorobę wieńcową.

Zarówno postać Okulli, jak i jej aktywność, a także język, jakim się posługuje, składają się na obraz będący aluzją do typowej przedstawicielki lokalnych struktur partyjnych, działaczki politycznej i społecznej czasów peerelowskich. Niekoniecznie wyczuwalna dla młodzieżowych czytelników była atmosfera drugiego planu powieści, czytelna już jednak dla ich rodziców. Na przykład pani Cudek od historii musi być przy

okazji aktywną działaczką partyjną, skoro odwołuje lekcje z klasą z powodu ważnego zebrania w „Białym Domu”, a tak akurat nazywano nieoficjalnie siedziby komitetów wojewódzkich PZPR, a przede wszystkim warszawską siedzibę Komitetu Centralnego.

Okulla mająca wyraźne ciągoty dyktatorskie i od dyżurnych klasowych domagająca się działań w zasadzie milicyjnych, najchętniej by wprowadziła w szkole swoisty stan wojenny. Jednocześnie potrafi być wspaniałomyślna i wybaczająca, dająca uczniom kolejną „ostatnią szansę”. Tak jak Konstantemu Kocembie, uczniowi stygmatyzowanemu, jako że zajmował się kiedyś praktyką kieszonkowca i spędził trzy miesiące w poprawczaku. Okulla potrafi mu zaufać i uwierzyć, że nie on jest sprawcą pewnego przestępstwa. Co zresztą nie kłóci się wcale z ideą dyktatorstwa, satrapowie bardzo lubią bywać wspaniałomyślni.

Trąba Prawdziwe nazwisko Trąbaczewski. Nauczyciel chemii w szkole im. Narcyzy Żmichowskiej z powieści *Szkolny lud, Okulla i ja*. „Groźny z powodu sinusoidy psychicznej. Ma niebezpieczne zafalowania, przypływy i odpływy energii. Raz jest roztargniony, półprzytomny, to znów popada w niezdrową nadczynność gogiczną”. Jednocześnie wybitny pedagog, który największego tłuka nauczy chemii. Cierpi na zaburzenia układu pokarmowego, pije w czasie lekcji wodę „Zuber” z pamiątkowego dzbanuszka z napisem „Krynica 1935”. Kocha się beznadziejnie w pani Rosińskiej od przyrody zwanej „Szuflą”. Ma „posturę nosorożca”. Jego alternatywne przezwisko „Fetyszysta” wzięło się z incydentu, gdy wypadł mu z teczki zaginiony klips „Szufli”. Skradziona tandetna biżuteria została tam podrzucona przez klasowego dowcipnisia, ale pan Trąbaczewski został przez Okullę oskarżony o fetyszyzm i na

zawsze już został „Fetyszystą”. Jest poczciwy, ale gdy uczniowie na lekcji przekroczą wszelkie granice nieuctwa, potrafi wpaść w prawdziwą furię gogiczną. Rozsierdza się bezgranicznie, a wszyscy w szkole wiedzą, że rozsierdzony „Fetyszysta” jest groźniejszy nawet niż rozsierdzony słoń.

Pedagog starej daty, u którego zachowały się jeszcze resztki wiary w naturalne dążenie młodzieży do pozyskania wiedzy, ale wiara ta ulatnia się coraz szybciej, powodując wyłącznie zgorzknienie znakomitego nauczyciela.

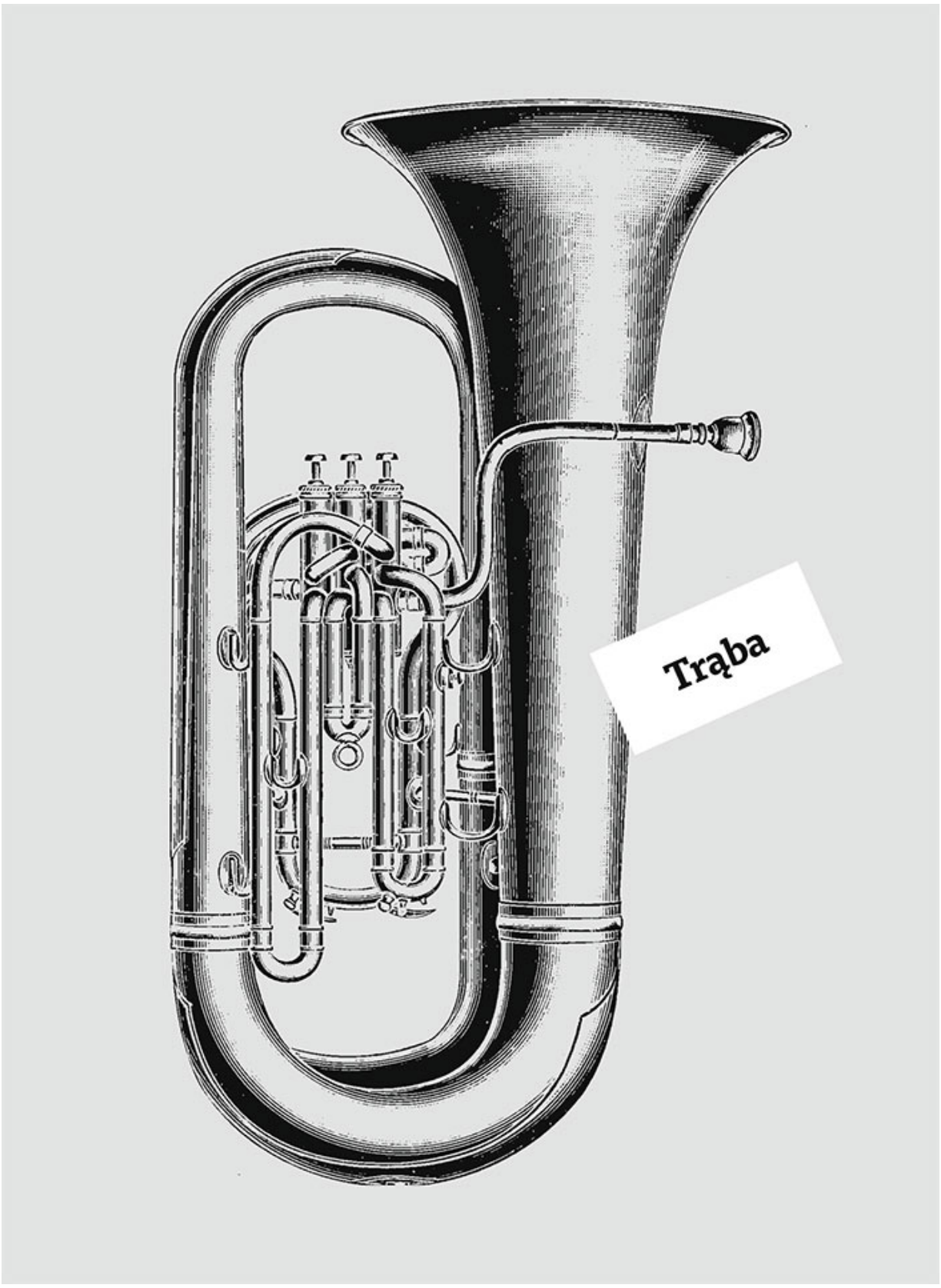
Trąba

Zaczyna się prawdziwa historia. Najpierw wielka podróż z Kielc do Warszawy...

Jak się stanie plecami do ulicy Krakowskiej w Kielcach i spojrzy przed siebie, to naprzeciwko, na skalistym zboczu Kadzielni, widać dwie wielkie tablice Mojżeszowe. Mają sześć metrów wysokości, dwa metry szerokości, ważą po kilka ton, a zbudowane są z betonu i żelaza.

Kadzielnia, stare wyrobisko kamieniołomów, gdzie kiedyś znajdowało się piękne Jeziorko Szmaragdowe, to dziś rezerwat przyrodniczy, miejsce rekreacyjne, którego atrakcją są strome skały i marne resztki owego jeziorka, z którego uciekła woda (ponoć na skutek wierceń głębinowych w innych częściach Kielc). To, że akurat tutaj znajduje się skwer Edmunda Niziurskiego, ma niejaki sens – wszak może ów były kamieniołom kojarzyć się z topografią *Księgi urwisów* czy *Siódmego wtajemniczenia*.

Tablice z dziesięciorgiem przykazań zostały ustawione na ścianie Kadzielni 30 grudnia 2005 roku, a pomysłodawcą tego był prezydent Kielc Wojciech Lubawski. Prezydent w ogóle miał niezwykle wzniosłe i duchowe pomysły, wcześniej wszak zamówił u Piotra Rubika oratorium dedykowane Janowi Pawłowi II. To w trakcie wykonania oratorium *Tu es Petrus* Rubika z tekstem Zbigniewa Książka prezydent doznał iluminacji, że na zboczu Kadzielni należy postawić tablice z Dekalogiem.

W roku 2005 Edmund Niziurski wciąż żył i miał wówczas osiemdziesiąt lat. Zmarł 9 października 2013 roku w Warszawie. Dziś ma w Kielcach swój skwer, który tak naprawdę jest tylko polaną i parkingiem obok Kadzielni, a obok niego znajdują się malutki skatepark oraz coś na kształt placu

zabaw. Być może nadszedł czas, żeby Kielce postawiły Niziurskiemu prawdziwy pomnik. Niekoniecznie na Kadzielni, ale na przykład gdzieś na reprezentacyjnym deptaku, czyli ulicy Sienkiewicza. Może tam, gdzie znajduje się plac Artystów, niedaleko Teatru im. Stefana Żeromskiego?

Marcin Niziurski, syn pisarza, mówi: „Do końca życia ojciec mieszkał w Kielcach – na szczycie najwyższej wymarzonej góry. Tak bym to określił. Kochał Kielce, kochał góry i nie lubił Warszawy. Czuł się w stolicy zawsze trochę na zesłaniu. Wszystkie wakacje spędzaliśmy w Kielcach. Z Kielc jechaliśmy pociągiem 40–45 minut do Skarżyska-Kamiennej. Tam był zalew, w którym pływaliśmy. Ojciec był gawędziarzem na zawołanie. Zawsze chętnie opowiadał o Górach Świętokrzyskich, o Żeromskim, Sienkiewiczu, a wiedział mnóstwo. Góry Świętokrzyskie to dla niego była przestrzeń, kultura i natura, zarazem początki naszego przemysłu, prawdziwa ziemia obiecana.”

Edmund Niziurski połowa lat 20-tych

Edmund Stanisław Niziurski urodził się 10 lipca 1925 roku w Kielcach jako syn Stanisława Izydora Niziurskiego, urzędnika państwowego, i Leokadii z Grethów. Był ich najstarszym dzieckiem, siedem lat później na świat przyszedł brat Edmunda, Mirosław (1932–2015), a następnie Zofia Niziurska, później Strzębska (1934–2005). Nauczanie podstawowe ukończył, co ciekawe, w formie „szkoły ćwiczeń przy Seminarium Nauczycielskim Żeńskim”, następnie uczył się w kieleckim gimnazjum matematyczno-przyrodniczym im. Jana Śniadeckiego. Po wybuchu wojny rodzina ewakuowała się z Polski 3 października 1939 roku, wyruszając na Węgry. Tam

mały Edmund, a raczej Eduś – jak będą go nazywać wszyscy w rodzinie, nawet gdy już będzie starszym panem, i jak nadal nazywają go we wspomnieniach jego dzieci i wnuczki – pobierał nauki w słynnej szkole dla polskich dzieci w Balatonboglár. Boglarczycy – bo tak nazwano uczniów i absolwentów polskiej szkoły nad Balatonem w liczbie ponad pół tysiąca – mogli kontynuować naukę przerwaną przez niemiecką inwazję. Działo się to dzięki przychylności rządu węgierskiego, formalnie będącego sojusznikiem Hitlera, ale sprzyjającego Polsce i pomagającego polskim uchodźcom. Być może nie mogłoby się to jednak stać, gdyby nie poświęcenie pełnomocnika węgierskiego rządu do spraw uchodźców Józsefa Antalla, który z pełną energią i determinacją rozpostarł nad uciekającymi Polakami opiekę, przyczyniając się do stworzenia (wraz z legendarnym księdzem Bélą Vargą, proboszczem w Balatonboglár) polskiej szkoły. Wielu Boglarczyków zdało w tej szkole maturę, część z nich została na Węgrzech, część przedarła się na Zachód, by dołączyć do polskiej armii, rodzina Niziurskich jednak wybrała inne wyjście. Edmund spędził nad „węgierskim morzem" jedynie jeden rok szkolny i jesienią 1940 roku rodzina Niziurskich wróciła do okupowanej Polski, a ledwo piętnastoletni przyszły pisarz musiał, aby ratować finansowo biedującą rodzinę, zatrudnić się w Hucie „Ludwików". Jako nadający się już do wywiezienia na roboty do Rzeszy zaczął ukrywać się w leśnym majątku Janowiec pod Ostrowcem Świętokrzyskim, zarazem pracując tam jako pomocnik przy pracach rolniczych i uczęszczając na tajne komplety. Maturę, oczywiście tajną, zdał w 1943 roku, i zaczął studiować prawo.

Marcin Niziurski: „Dziadek Greth był Holendrem, który osiedlił się na ziemiach polskich. Ojciec mojego ojca był zaś

rządcą na rzece Szreniawie, dopływie Wisły, miał pod sobą całą tę rzekę i parę innych. Pilnował wałów przeciwpowodziowych, ganiał tych, co nie chcieli pilnować. Natomiast babcia, czyli matka ojca, Leokadia Greth, była córką właściciela młynów na Szreniawie, który miał się wielce z pańska. Przekazy rodzinne mówią, że to był szlachcic, który uciekł z Holandii po jakiejś kolejnej burdzie na tle religijnym, ponieważ był chyba katolikiem w kraju protestanckim, zatem uciekł do katolików. Babcia codziennie chodziła do kościoła, do spowiedzi, i niestety moje dzieciństwo, moje wakacje to był dzień w dzień dyżur na porannej mszy. Mój dziadek, czyli ojciec Edmunda, Stanisław, był ważnym urzędnikiem magistratu. Z tego wynika, że mój ojciec musiał odebrać staranne wykształcenie, był chowany w środowisku katolickim i urzędniczym, co mu nie przeszkadzało być bardzo otwartym na sprawy światopoglądowe, obyczajowe, religijne. Nie znosił taniej obrzędowości, odpustowej wiary w święte obrazki, dla niego ważna była triada platońska: dobro, piękno, prawda. Ojciec był absolutnym liberałem. Wyznawana wiara czy bezwyznaniowość nie miały dla niego najmniejszego znaczenia. Ważne było to, żeby być porządnym człowiekiem, mieć do drugiego człowieka zaufanie i szacunek i tego mnie uczył. Żałuję tylko, że jak miałem trzynaście, czternaście lat, byłem po prostu za młody, żeby to pojąć.”

Jeszcze w pierwszych dekadach XIX wieku część rodziny nosiła nazwisko „Niziorski”, zaś najwcześniejsze korzenie polskich przodków Małgorzacie Konstanzer, architektce, wnuczce Edmunda, udało się znaleźć w połowie XVIII wieku. Wówczas to pojawia się rodzeństwo: Regina Dybał (urodzona w 1794 roku), Franciszek Dybał (1751) i Łukasz Dybał (1752). Po drodze pojawia się jeszcze rodzina Garbusińskich, z których

wywodziła się Aniela Teodozja Garbusińska (1870–1925), żona Karola Gretha (1861?–1944) i babcia Edmunda. Drzewo genealogiczne przodków Edmunda Niziurskiego, przygotowane przez Małgorzatę Konstanzer, liczy niemal osiemdziesiąt osób, ale nie znajdziemy wśród nich artystów, pisarzy, ludzi sztuki. Za to owszem, jak przystało na polską rodzinę i częściowo spolonizowaną z niemieckich i holenderskich osadników, znajdujemy powstańców styczniowych, żołnierzy legionów Piłsudskiego, obrońców Lwowa oraz oficerów Wojska Polskiego w wojnie z bolszewikami 1920 roku. Dopiero Edmund i jego młodszy brat Mirosław, kompozytor i muzyk, poszli tą drogą.

Ojciec Edmunda Niziurskiego

Marcin Niziurski mówi*:* „Dziadek wyciągnął z magistratu wszystkie te informacje, do których miał jeszcze dostęp, a które mogły dotyczyć Żydów, ewentualnie jakichś delikatnych spraw, aby okupant jak najmniej przechwycił. Wziął mego ojca i przedostali się na Węgry. Tam byli bezpieczni, ale szybko wrócili, bo babcia została sama z dwojgiem dzieci bez pieniędzy, bez niczego. W każdym razie jeszcze za komuny palił w piecu potajemnie takie papiery, które nie powinny leżeć w domu, jakieś wypełnione formularze, coś, co komuna mogła wykorzystać przeciwko ludziom. Kieleckie było naszpikowane partyzantami, w tamtych lasach roiło się od ludzi z bronią i lepiej, żeby za dużo nie wiedziano. Po powrocie z Węgier dziadek musiał uciec z moim ojcem z Kielc, ponieważ kiedyś w łapance na kieleckiej ulicy postawiono ojca pod ścianę. Prawdopodobnie chcieli go, jak większość złapanych, wysłać na roboty do Niemiec, ale najpierw postawili pod ścianę. I traf chciał, że jakiś przechodzący Niemiec zauważył, że to syn urzędnika magistratu, czy też dziadkowie jakąś łapówkę dali – nie wiem lub nie pamiętam. Ojciec nigdy nie opowiadał mi szczegółowo tamtych wojennych historii. Uciekli więc z Kielc, a dziadek znalazł posadę ekonoma w majątku Jeleniec. Tam przyjeżdżał nauczyciel spod Lublina i u niego ojciec uczył się na tajnych kompletach. Mnóstwo tam siedziało różnych wygnańców z Warszawy, którzy mieli poważne powody uciec z Warszawy. W majątku była wielka biblioteka, ojciec z niej korzystał, uczył się pilnie, dzięki temu po tych kompletach zdał maturę.”

Barbara Niziurska, wdowa po Edmundzie, dziś mówi: „W Balatonboglár Edmund był przez rok, potem musiał wrócić, bo ojcu nie płacili żołdu, i mój przyszły teść musiał z trójką

dzieci wracać do Polski, nie mieli z czego żyć. Gdyby nie mieli dzieci, toby poszli dalej, na Zachód. Wrócili do Polski, tutaj zresztą zostawili ładny dom, i do tego właśnie domu wrócili. Ale zaraz potem teść musiał zacząć się ukrywać, ponieważ był przed wojną radcą w starostwie i Niemcy go szukali. Znajomi zaproponowali mu pracę jako rządca w majątku Halpertów w Jeleńcu. Halpertowie pochodzący z Kurlandii spolonizowali się jeszcze w XVIII wieku i Halpert został uszlachcony. Oni byli z Kurlandii, ale Halpert ożenił się z Wielopolską. I Wielopolscy dali im 200 mórg ziemi, wybudowali pałac, gdzie mój mąż skończył podziemny uniwersytet. Z Lublina przyjeżdżali profesorowie i tam starał się skończyć prawo. Brakowało mu jeszcze roku do magisterium, więc po wojnie pojechał do Krakowa kończyć studia."

Marcin Niziurski: „W Jeleńcu ojciec korzystał z bogatej biblioteki hrabiego Halperta, ale źle się tam czuł, ponieważ goszczący w majątku arystokraci dawali do zrozumienia, że z błękitnej gliny są ulepieni, celebrowali swą klasową wyższość; nie przystawał do nich. Mama mówi, że sami Halpertowie byli życzliwi ludziom bez względu na ich pochodzenie; sami mieli korzenie żydowskie. Pochodzili z Kurlandii, ale spolonizowali się i zostali uszlachceni bardzo szybko, bodaj w XVIII wieku."

Halpertowie, potomkowie hrabiego Halperta z Jeleńca, żyją do dzisiaj w Vancouver w Kanadzie i w istocie, wedle wszelkiej wiedzy, nie pochodzili z Kurlandii, ale byli zasymilowanymi Żydami przybyłymi z carstwa rosyjskiego, prawdopodobnie z Krymu, osiadłymi w Koronie w XVIII wieku. Na warszawskim cmentarzu ewangelicko-augsburskim znajduje się piękne, okazałe mauzoleum Halpertów.

Ojciec Edmunda miał w Jeleńcu u Halperta pracę ekonoma.

Barbara Niziurska: „Mąż dostał kiedyś polecenie przeniesienia jakiejś przesyłki. I kiedy szedł przez las, to zobaczył, że zbliżają się niemieccy żołnierze. Usiadł pod drzewem i udawał, że czyta. Miał ze sobą książkę, a to, co niósł, zagrzebał w mchu. Niemcy tego czegoś nie znaleźli, natomiast zabrali go jako podejrzanego: był w lesie, to wiadomo, że partyzant. Chcieli go rozstrzelać, ale przylecieli chłopi do majątku i powiedzieli, że Edmunda chcą rozstrzelać. Więc dziedzic tam pojechał od razu, a ponieważ w tym majątku wszystko było, więc za porcję narkotyków wykupił mojego męża. Bo niemiecki oficer był narkomanem. Kiedy wojna zbliżała się do końca, z jednej strony wkraczali Rosjanie, a w przeciwną stronę uciekali Polacy z pałacu, i mąż wtedy wrócił do Kielc ze swoim ojcem. Pałac spalono.”

Marcin Niziurski: „A babcia w tym czasie opiekowała się domem w Kielcach. Na jednej tylko mapie turystycznej (wydawnictwa Compass) jest zaznaczony ślad Jeleńca. Wedle tej mapy powinna być jakaś leśniczówka, i pewnie w pobliżu jakaś jest, ale w miejscu dawnego dworu nic nie ma. Jeden kamień został. To są lasy Przedgórza Iłżeckiego. Jeleniec leży mniej więcej dziesięć kilometrów na północ od Ostrowca Świętokrzyskiego, w bok od Miłkowskiej Karczmy.”

Barbara Niziurska: „Po wojnie stary Halpert został uwięziony na sześć lat w Kielcach, próbowano coś od niego wydobyć. Ponieważ oni wszyscy mieli podwójne obywatelstwo, szwajcarskie lub francuskie i polskie, to później zwolniono go i rodzina wyjechała do Kanady. Jednego Halperta zabito

w więzieniu. Teraz z ludzi, którzy znali Halpertów, jedynie ja zostałam w Polsce. Jeleniec to był ważny rozdział w życiu mojego męża. Przede wszystkim miał wspaniałą bibliotekę. Siedział tylko w tej bibliotece i się uczył.”

W 1944 przyszedł czas na debiut literacki dziewiętnastoletniego przyszłego pisarza, i jak to nierzadko bywa w przypadku przyszłych prozaików, był to debiut poetycki. Wiersz pod tytułem (podobno) *Pielgrzymi* opublikował „Biuletyn Informacyjny” Armii Krajowej, ale jego treść nie zachowała się.

Edmund Niziurski lata 40-te

Marcin Niziurski: „Nie mogę dotrzeć do tego pierwszego utworu poetyckiego ojca. Wiadomo, że było to coś na poły z Broniewskiego, na poły z Mickiewicza, tak jak może pisać ideowy młodzieniec wychowany na polskich romantykach. Chodziło o to, żeby zagrzać do wytrwałości tych biednych chłopaków w lesie. Ten pierwszy utwór ojca został później przekazany, być może przez Halperta, oddziałowi AK, ale szczegółów nie znam. Nie wyobrażam sobie jednak, żeby młody chłopak, siedzący w majątku miał własne kontakty z partyzantami. Tata nie zapamiętał swojego debiutanckiego wiersza."

Po zakończeniu wojny młody Edmund zabrał się za już legalną kontynuację studiów prawniczych, najpierw na kieleckim oddziale Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, a finiszował w Krakowie na Uniwersytecie Jagiellońskim, gdzie obronił się w 1947 i w tymże samym roku wziął w Krakowie ślub z kielczanką Zofią Barbarą Kowalską, wówczas studentką dziennikarstwa. Nieopanowany, lecz niekonsekwentny pociąg do edukacji sprawił, że studiował w latach 1946–1947 dziennikarstwo w Wyższej Szkole Nauk Społecznych i socjologię na UJ. Stamtąd przeniósł się do Katowic, gdzie praktykował krótko w Wydziale Prawnym Izby Przemysłowo-Handlowej tylko po to, by szybko wrócić do Kielc i rozpocząć karierę w Prokuratorii Generalnej, początkowo jako zwykły aplikant, a później referendarz. I znów po niedługim czasie nastąpiła przeprowadzka – tym razem na stałe, do Warszawy.

Następne kilkadziesiąt lat życia upłynęło mu przede wszystkim na pisaniu książek.

OD MIŁOŚCI W LESIE DO PRACY W MIEŚCIE

Ale najpierw, jako to często bywa z przyszłymi pisarzami, Niziurski zaczął praktykować w zawodzie dziennikarskim. Wrota do tego zawodu otwarły się w tygodniku „Wieś”, gdzie dostał stanowisko sekretarza redakcji, a następnie redaktora działu młodzieżowego. Tam też debiutował jako recenzent książkowy – już w 1948 roku, nie będąc jeszcze etatowym pracownikiem pisma.

Edmund i Zofia Barbara Kowalska (urodzona w 1926 roku), do której należy się zwracać jej drugim imieniem, dlatego zarówno w rodzinie, jak i w tej książce występuje jako Barbara Niziurska, poznali się w… lesie pod Kielcami.

Barbara Niziurska

Barbara Niziurska: „To jest najważniejszy moment w moim życiu. Kochałam las i mój mąż też kochał las. On kochał góry, ja kochałam góry, on kochał morze, ja kochałam morze. Któregoś dnia wybrałam się do lasu na spacer, mimo iż mówiono, że w lesie są jeszcze ludzie z bronią, więc chodzenie tam może być niebezpieczne. Ja jednak las zawsze uważałam za coś bardzo bezpiecznego. Którejś niedzieli postanowiłam pojechać do lasu, co zresztą często robiłam. Szłam ścieżką, a naprzeciwko szedł młody człowiek. Wpadliśmy na siebie na tej leśnej ścieżce i pierwsze pytanie mojego przyszłego męża brzmiało: »Jakie książki pani lubi, co pani czyta?«. Ja właściwie nigdy w życiu bajek nie czytałam, odkąd nauczyłam się czytać, czytałam książki dla dorosłych. Czytałam wszystko, ale wtedy byłam pod wrażeniem wschodnich religii i czytałam o dharmie, karmie, filozofii ezoterycznej Indii itd. Jak zapytał, co pani ostatnio czytała, to powiedziałam mu, że czytałam właśnie o tym. Cały czas spacerowaliśmy i mój przyszły mąż zapytał, czy może się ze mną spotkać następnego dnia. Zgodziłam się. Chodziłam do liceum, w którym wymagane było posiadanie maszyny do pisania i rodzice mi ją kupili. To była piękna zabytkowa maszyna niemiecka. Jak mój mąż przyszedł do mnie i zobaczył tę maszynę, to zwariował. Tak mu zaimponowała, że oszalał zupełnie. Rozmawialiśmy o książkach codziennie, później często jeździliśmy za miasto do lasu.

Któregoś dnia, tuż po naszym ślubie, na stacji w Kielcach podszedł do nas znajomy mojego męża. Nie kolega, bo był starszy o kilka lat od męża, ale znajomy, zresztą okropny człowiek, i zapytał, czy mój mąż napisałby jakiś reportaż, bo on pracuje w tygodniku »Wieś«, gdzie jest redaktorem. Mąż odpowiedział, że bardzo chętnie, ale o czym. »No wie pan, nas interesują spółdzielnie produkcyjne«. Mąż nie miał zielonego

pojęcia o spółdzielniach, nie wiedział, co to w ogóle jest, ale się zgodził. »To niech pan pojedzie na jakąś wieś, zaprosi ludność na zebranie o spółdzielni i to opisze«. Edmund poprosił, żebym z nim pojechała, a że bardzo lubiłam takie wycieczki, odparłam, że chętnie, ale weźmy ze sobą Stefana Gierowskiego, naszego przyjaciela, później znanego i wybitnego malarza. Edmund i Stefan byli świeżo po studiach. Pomyśleliśmy, że Edmund coś napisze o tych spółdzielniach, Stefan coś tam narysuje i obaj dostaną kilka złotych. Wzięliśmy Stefana, pojechaliśmy na wieś, na zebranie przyszła grupa chłopów i mój mąż zaczął opowiadać o dobrodziejstwach spółdzielczości. I wtedy oni wstali i krzyknęli: »My wam damy spółdzielnię produkcyjną!«. I lecą na nas. Wszyscy: ja, Stefan i mąż uciekaliśmy przez jakieś świeżo zaorane pole do stacji kolejowej. Jeszcze za nami wygrażali, wyklinali, ale uciekliśmy. Tego reportażu nie wydrukowali we »Wsi«, ale później mąż pisał jeszcze inne reportaże i na te wyprawy zawsze braliśmy Stefana.

Winieta tygodnika „Wieś”,
w którym Niziurski rozpoczął
karierę redaktora, reportera,
a tak naprawdę pisarza

Później ten redaktor powiedział: »Nasza redakcja ma dostać malutkie mieszkanie w stolicy, przeprowadźcie się z tych Kielc do Warszawy, po co wam Kielce?«. Jechaliśmy wtedy z Kielc nad morze i zanocowaliśmy u niego w Warszawie. Były u niego wtedy Maria Janion i Maria Żmigrodzka, wówczas redaktorki »Wsi«.

I zostaliśmy w Warszawie. Z rozpędu, bo u nas wszystko działo się przypadkiem, a nic nie było przemyślane. Przypadkowo się spotkaliśmy w lesie, przypadkowo mój mąż został reporterem, przypadkowo znaleźliśmy się w Warszawie i tu zostaliśmy na zawsze. Chociaż ja zawsze chciałam żyć w Warszawie i kocham Warszawę. Dostaliśmy maleńkie mieszkanko na Mokotowie, na osiedlu Dąbrowskiego, mieszkało tam dużo ciekawych ludzi. To był adres Mieczysława Karłowicza 1/7.”

Karłowicza to dość dziwna ulica – częściowo jednokierunkowa i z obu stron ślepa. A jednak można się z niej wydostać i w nią wjechać, ponieważ w połowie swego biegu przecięta jest przez ulicę Antoniego Madalińskiego, a na jej południowym jednokierunkowym odcinku (między Madalińskiego a Dąbrowskiego) da się w nią skręcić z ulicy Balladyny. Adres Karłowicza 1/7 już nie istnieje – to obecnie Balladyny 1A. O tym, że ten szary klocek nosił kiedyś miano Karłowicza 1/7, informuje dziś tylko mała tabliczka. Dlatego po stronie nieparzystych numerów ulica Karłowicza zaczyna się od ciągu niskich szeregowców wzdłuż Balladyny o nieco dziwnej numeracji 9, 9A, 9B, 9C i 9/5. Obecna Balladyny 1A należy już – w przeciwieństwie do pozostałych domów na Karłowicza – do osiedla Dąbrowskiego. Prawie wciska się w ten budynek, gdzie Niziurscy mieszkali na parterze, ogromny

apartamentowiec pod adresem Łowicka 25, dominujący nad okolicznymi bloczkami z wczesnych lat pięćdziesiątych. Numeracja tej kolonii apartamentowców zbudowanych na przełomie wieków w miejscu dawnej kotłowni, tuż obok mokotowskiego Domu Kultury Centrum Łowicka (numer 21), też jest dziwna: są tu budynki o numerach 23, 25 oraz 23/25.

W rodzinie Niziurskich pamięć po tym miejscu jest dość mglista, może dlatego, że na Starym Mokotowie nie zagościli długo. Lata 1953–1959 spędzili już na Bielanach i ten okres życia w niedużym mieszkaniu przy ulicy Swarzewskiej 42 m. 2 na pierwszym piętrze, między ulicami noszącymi imiona dwóch pisarzy – Kasprowicza i Żeromskiego (dokładniej tuż przy rogu Żeromskiego), zaowocował już mocnymi akcentami w pisarstwie Niziurskiego. Marcin Niziurski pamięta, że naprzeciw domu przy Swarzewskiej rosła dorodna, owocująca morwa, a on sam – wówczas kilkulatek – rozbijał młotkiem kamienie, by sprawdzić, co jest w środku.

Marcin Niziurski: „Sama ulica Swarzewska nic się nie zmieniła. Za rogiem ulic Podczaszyńskiego i Żeromskiego zaczynał się »serek«: pustkowie, nieużytki aż do dworca PKS Marymont. Tam ojciec, tuż za Podczaszyńskiego, uczył mnie i Anię, starszą siostrę, jeździć na rowerze. W 1957 roku wprowadzono do handlu mleko w butelkach, pasteryzowane, kosztowało 2 złote 10 groszy. Sklep spożywczy był przy Żeromskiego, tuż za rogiem Swarzewskiej. Chodziłem do szkoły podstawowej nr 133 na rogu ulicy Fontany i Schroegera. Jeśli ktoś mnie odprowadzał, to ojciec. Ulica Kasprowicza była dopiero w budowie. Za Żeromskiego w stronę Powązek też było pustkowie, na groby 1 listopada chodziliśmy na przełaj. Za Reymonta też zaczynało się pustkowie. Wawrzyszew to rozlatujące się chałupy, niewielka wieś, parę pasących się na

nieużytkach krowin, w tle Huta Warszawa. To były moje odkrywane światy, moje Ameryki. Na Bielanach ojciec umieścił część akcji dobrego kryminału *Pięć manekinów*. Z ojcem chodziłem do Lasku Bielańskiego – tam z grubej kory wycinał kozikiem okręty. Ale drzew nie niszczył. Starannie wybierał miejsca na pniu, żeby nie zrobić krzywdy drzewom. Chodziliśmy również na północ od klasztoru, do Lasu Młocińskiego, nieświadomi, że tam był wylot kanalizacji warszawskiej; chodziliśmy do czasu, aż zyskaliśmy tego świadomość. Do miasta najczęściej jeździło się z przystanku tramwajowego na Marymonckiej róg Podczaszyńskiego, gdyż autobus ulicą Żeromskiego jeździł, nawet jak na Warszawę tamtych lat, wyjątkowo nieregularnie, po tak zwanym uważaniu."

„Serek" bielański, kiedyś będący częścią „pól bielańskich", służył armii carskiej jako poligon, zaś w czasach, gdy mieszkali tam Niziurscy, planowano budowę w tym miejscu centrum handlowego. Pomysł powracał co jakiś czas, ale nigdy nie został zrealizowany. Dziś na środku „serka" znajduje się stacja metra Słodowiec, do której ze Swarzewskiej idzie się nie dłużej niż dziesięć minut. Podobnie na Swarzewską dojść można w tym samym czasie ze stacji metra Stare Bielany. Poranne odprowadzanie małego Marcina do szkoły też nie mogło zajmować dużo czasu, bo aby ze Swarzewskiej dojść do szkoły nr 133, potrzeba pięciu minut. Swarzewska i równoległe do niej ulice Hajoty i Lisowska zabudowane ciasno przedwojennymi segmentami toną w spokoju i zieleni, a Schroegera na tym odcinku to niemal willowa okolica. Gdy pójdzie się kawałek na północ, dochodzi się do placu Konfederacji zabudowanego w latach dwudziestych przez podobne do dworków kamieniczki. Do wszystkich bardziej śródmiejskich dzielnic

można łatwo dojechać komunikacją miejską, z samej ulicy Żeromskiego już „nie po uważaniu" jadą autobusy do metra Marymont, placu Wilsona, w kierunku Starego Miasta i Traktu Królewskiego. Kilka kroków od Swarzewskiej 42 rozpoczyna się właśnie budowa nowego małego osiedla mieszkaniowego, a okolice „serka" bielańskiego są już niemal całkowicie zabudowane przez apartamentowce. Jedynie zaciszne uliczki między Kasprowicza i Żeromskiego zachowały swój dawny charakter, a nawet zagęściło się tam od drzew i krzewów. Rośnie nawet ta sama (prawdopodobnie) morwa, a obok niej dorodny cis pospolity.

Barbara Niziurska: „Początek lat pięćdziesiątych to były czasy, gdy Witold Zalewski napisał *Traktory zdobędą wiosnę*, wtedy czołową socrealistyczną książkę w Polsce, i mój mąż chciał być w tym nurcie – tak przypuszczam. W każdym razie napisał *Gorące dni,* które mi się absolutnie nie podobały, a ja musiałam przepisywać wszystko, bo mój mąż pisał stuk, stuk, jednym palcem. Przez całe życie tak pisał. Później dostał w prezencie od wydawnictwa maszynę elektryczną, ta maszyna złamała mu życie, bo on nie miał talentu do takich rzeczy. Przy tej maszynie siedział dwa lata, a nie nauczył się pisać, psuł ją bez przerwy i trzeba ją było zawozić do serwisu. Dwóch książek nie skończył pisać przez tę maszynę. Pisał ręcznie, miał bardzo drobny charakter pisma, potem dawał mi do przepisywania. Siedziałam w drugim pokoju przy maszynie i przepisywałam. Najgorzej było, gdy trafiłam na słowo, którego nie mogłam odczytać. Szłam do niego, on głowił się nad tym słowem, też nie mógł odczytać. W końcu mówiłam: »Słuchaj, może znajdź jakieś zastępcze słowo«. On na to: »Idź, siedź przy maszynie, ja ci zaraz przyniosę«. Siedziałam godzinę, dwie i nic z tego. Po dwóch godzinach przychodzę do niego, cała strona pokreślona.

Mąż z reguły na marginesach dopisywał drugi tekst albo wklejał kartki. Jak oddawał do wydawnictwa gotowe książki, to redaktorki płakały. Bo jeszcze coś mu wpadło do głowy, więc dopisywał i przylepiał papierki do stron maszynopisu i składał w harmonijkę. Każdą stronę z reguły przepisywałam siedem razy, ale kochałam tę pracę. Miałam propozycję, aby pójść do pracy do wydawnictwa, ale przyjaciel rodziny powiedział mi, żebym tego nie robiła, bo mam udane małżeństwo i lepiej, żebym myślała o mężu.

On bez przerwy pracował. Ja go nie pilnowałam, po prostu pomagałam mu przepisywać. Czasami bywało, że o godzinie pierwszej w nocy szłam zmęczona spać, a o piątej mąż mnie budził, w ogóle nie poszedł spać. Budził mnie i mówił: »Ja cały czas pracowałem, potrzebuję, żebyś mi pięć stron przepisała, więc wstawaj i przepisuj«. Nie musiałam tego robić, ale chciałam. Bo mnie bawiło to, co on pisał.”

SIEDEM MASZYN DO PISANIA

Drugie piętro bliźniaka przy ulicy Miłobędzkiej na warszawskim Górnym Mokotowie, ściślej w jego części zwanej Wyględowem. Dom z zewnątrz zdaje się spory, ale w środku jest ciasny. Wąskie kręte schody z ciemną boazerią, między parterem a pierwszym piętrem z białymi uchwytami na ścianach, pomagającymi we wspinaniu się. Krótkie korytarzyki, małe pokoje, prócz salonu na parterze, też nie większego niż tzw. duży pokój mieszkania z wielkiej płyty; wszystko przypomina peerelowskie standardy. Dużo obrazów zarówno w pokojach, jak i korytarzach, sporo płócien Agnieszki Niziurskiej, malarki, najmłodszej córki Barbary i Edmunda oraz

obrazy Stefana Gierowskiego w pokoju na pierwszym piętrze, pełniącym funkcję biblioteki.

W domu na Miłobędzkiej zostało siedem maszyn do pisania, na których Niziurski heroicznie wystukiwał swoje dzieła

Gabinet pisarza znajduje się na drugim piętrze na wprost schodów, pomiędzy dwoma równie niewielkimi pokoikami. Nie można tu wziąć głębszego oddechu, nie można się rozpędzić, parametry tych pomieszczeń powodują, że człowiek mimowolnie zaczyna się garbić, kurczyć.

Na biurku i parapecie stoi siedem maszyn do pisania, w tym trzy identyczne płaskie łuczniki w pamiętnym jasnobrązowym, a może ciemnożółtym kolorze. Każdy, kto

zaczynał od pisania na maszynie, zanim przerzucił się na komputer, musi je pamiętać, to modele Łucznik 1301 i Łucznik 1303. Walizkowy Imperial. Walizkowa maszyna o nazwie Maritsa 22. Malutka, bardzo stara i nadzwyczaj ciężka jak na swój rozmiar maszyna o tajemniczej nazwie Vasanta – wniesiona do rodziny przez Barbarę, jako rodzaj posagu; na tej maszynie żona Niziurskiego przepisała jego pierwszą książkę: *Gorące dni*. I wreszcie elektryczna, absurdalnie wielka maszyna firmy Quasar. Otrzymał ją od Wydawnictwa Łódzkiego i przez dwa lata usiłował nauczyć się na niej pisać. Bez większych sukcesów, podobnie jak z maszynami tradycyjnymi – do końca życia pisał ręcznie, a gdy już nie było innego wyjścia, to wystukiwał jednym palcem w tempie ślimaka.

Barbara Niziurska: „Pisał dosłownie wszędzie, w całym domu. Pisał w salonie, na parapecie, pisał w łazience, nigdzie nie było wolnego stołu, bo wszystko było zawalone papierami. Jak przyjechał ze swoją żoną Jarek Strzębski, jego siostrzeniec z Kielc, i chciałam im dać kolację, to mąż odsunął trochę papiery i miałam taki mały kawałek dla nich na tę kolację. Przyzwyczaiłam się do tego, uważałam to za normalne, że jemu się wszystko należy: każdy stół, każdy parapet...”

Większość maszyn, sądząc po naklejkach, była konserwowana i naprawiana w zakładzie Zygmunta Wrotniaka, ulica Żeromskiego 5/24 na warszawskich Bielanach. Oczywiście, że na ulicy Żeromskiego, bo bez autora *Ludzi bezdomnych* nie da się o Niziurskim mówić w sposób kompletny. W powieściach autora *Księgi urwisów* Żeromskiego pełno, o czym można się przekonać, wnikliwie studiując jego powieści dla dorosłych i szczególnie wczesne książki dla młodzieży.

Książki na półkach meblościanki: na wprost biurka od razu rzuca się w oczy opasłe żółte tomiszcze *Stefan Żeromski. Kalendarz życia i twórczości* oraz dzieło Jerzego Kądzieli *Młodość Stefana Żeromskiego*. Obok *Charitas* i *Zamieć* – dwie zapomniane powieści Żeromskiego pochodzące z trylogii *Walka z szatanem*, tutaj jako tomy 17. i 18. dzieł wydane z okazji pięćdziesiątej rocznicy jego śmierci. Półkę niżej kolejne książki autora *Wiernej rzeki* z tej samej edycji: trzy tomy zawierające pogrążone dziś w niepamięci dramaty *Róża*, *Grzech*, *Biała rękawiczka*, *Ponad śnieg bielszym się stanę*, *Uciekła mi przepióreczka*.

Obok Bruno Schulz i *Alchemia słowa* Parandowskiego, dwa tomy *Kronik tygodniowych* Prusa i *Słówka* Boya, *Życie seksualne dzikich* Bronisława Malinowskiego i *Mała encyklopedia techniki*, a także *Pamiątki Soplicy* Rzewuskiego. Trochę obowiązkowej klasyki: Słowacki i Krasiński, ale i *Dramaty wybrane* zapomnianego dziś Jerzego Szaniawskiego.

Mały słownik matematyczny, *Mały słownik chemii fizycznej*, *Geografia fizyczna świata* – Niziurski przykładał wagę do tego, czym się dziś szczycą nawet autorzy kryminałów, mianowicie do dokumentacji. Tyrady naukowe, oczywiście nie tak nachalne jak w powieściach Zbigniewa Nienackiego i Alfreda Szklarskiego, ale pojawiające się w jego książkach jakby mimochodem, czy popisy erudycji bohaterów brały się z dogłębnego przygotowania Niziurskiego do tematu. Stąd całe rzędy słowników etymologicznych, ksiąg przysłów polskich, słowniki wyrazów obcych i słowniki frazeologiczne. *Anatomia człowieka*, *Przyroda i technika. Encyklopedia* czy *Zarys kliniki chorób zakaźnych*, który musiał służyć Niziurskiemu za pomoc przy pisaniu opowiadania *Jutro klasówka*. Z literatury obcej to, co mieć należy: *Ulisses* i *Doktor Faustus*, *Czarodziejska góra* i cały Marcel Proust, *Bracia Karamazow* i Szekspir, ale

i Aleksander Dumas w pięknych wydaniach z lat pięćdziesiątych oraz *Baśnie z 1001 nocy* z roku 1960. Natomiast całkowity brak współczesnych Niziurskiemu pisarzy polskich. Barbara Niziurska mówi, że nie czytał rówieśników, bo „żaden pisarz nie czyta swoich kolegów po piórze".

W wielkich szufladach leżą stosy tekturowych teczek z wyblakłymi maszynopisami, zazwyczaj niekompletnymi, z pomieszanymi stronami. Jakby z jednej strony pisarz chciał wszystko usystematyzować i uporządkować, z drugiej – zupełnie nie panował nad swoimi zapiskami. Jedynie maszynopisy nadają się do czytania, rękopisy są całkowicie nieczytelne i trzeba by do nich zawodowego grafologa. Sam Niziurski przecież często nie był w stanie ich odczytać, nawet z pomocą żony. Zdarzało się, że nie mogąc pojąć, co on sam wcześniej napisał – zasiadał do pisania raz jeszcze. Są tu fragmenty książek, ale głównie maszynopisy adaptacji radiowych i przygotowanych dla teatru telewizji. Większość maszynopisów jest zdekompletowana, względnie wymieszane są ze sobą części środkowe jednych z początkami drugich i zakończeniami trzecich. Pojawiają się rzeczy nieznane zupełnie, nigdy niezrealizowane (wedle dostępnej wiedzy), jak scenariusz słuchowiska radiowego *Ostatnie przęsło*, poświęconego odbudowie po wojnie mostu Poniatowskiego w Warszawie. Nie widać tu żadnego zamysłu uporządkowania, skatalogowania czy podzielenia na osobne grupy tekstów. Stąd spomiędzy kartek maszynopisu *Salonu wytrzeźwień*, powieści dla dorosłych z pierwszej połowy lat sześćdziesiątych, nagle wypada skrypt czeskiej adaptacji *Niewiarygodnych przygód Marka Piegusa* z 1966 roku, której to adaptacji redaktor działu dziecięco-młodzieżowego czeskiego radia nosi na dodatek nazwisko Kafka.

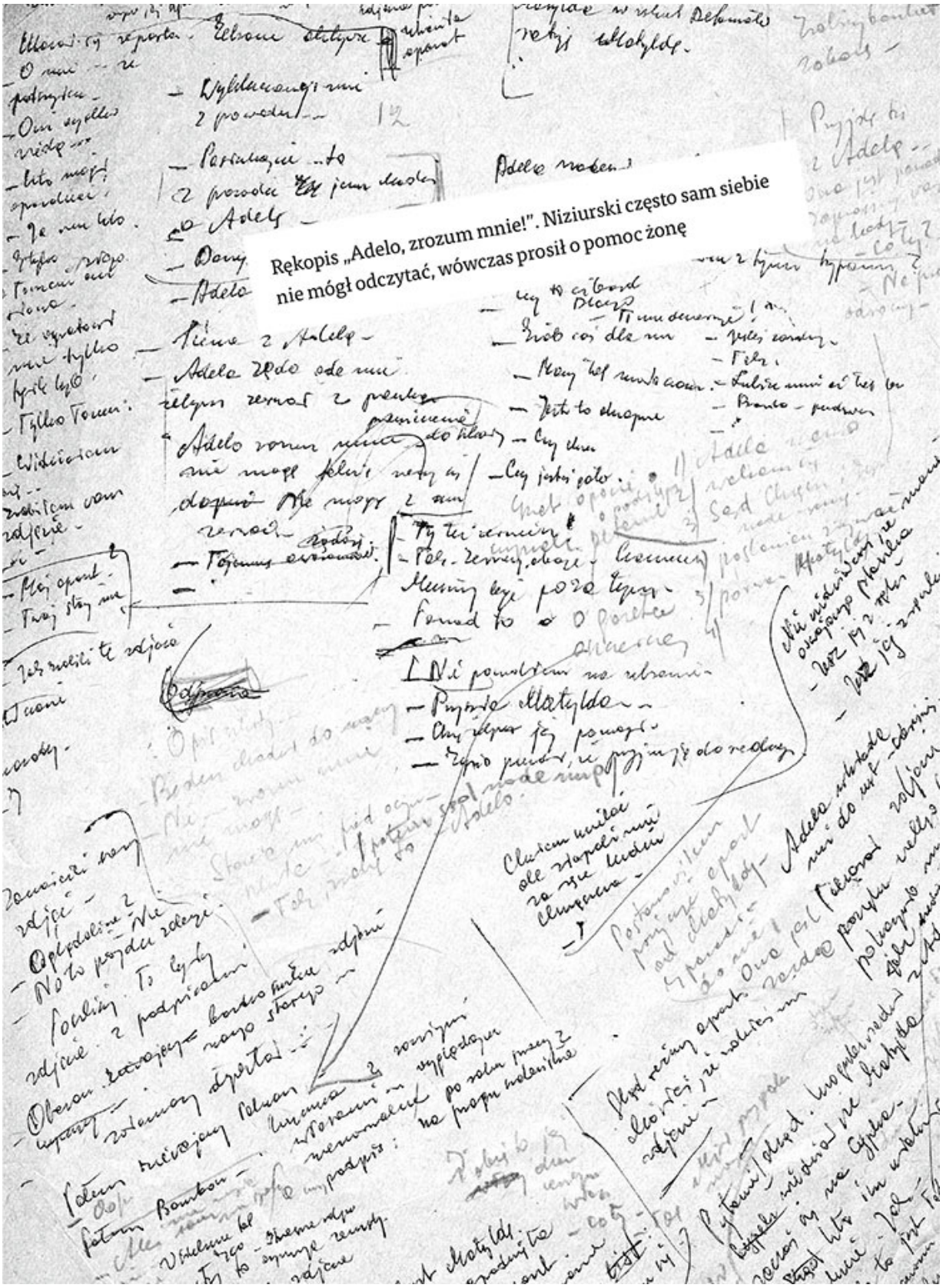

Rękopis „Adelo, zrozum mnie!". Niziurski często sam siebie nie mógł odczytać, wówczas prosił o pomoc żonę

Niektóre teczki mają myląc tytuły. Oto teczka z naklejką „Katedra obrabiarek Politechniki Warszawskiej. Praca przejściowa I. Rok akademicki 1968/69. Wykonał: Styczyński Krzysztof. Pod kierunkiem: mgr. inż. W. Sienkiewicza. Temat: Stół i sanie frezarki poziomej". A w środku *Przez zamieć dziejów, w burzy czas…*, Edmund Niziurski. Najwyraźniej scenopis filmu bądź serialu, rozgrywającego się na początku XX wieku w zaborze rosyjskim, od przedednia rewolucji roku 1905 do wybuchu II wojny światowej, poprzez I wojnę światową, odzyskanie niepodległości, zamach majowy, sanację.

Inna teczka z napisem „Konkurs Wydawnictwa Harcerskiego na opowiadanie 20 stron, termin 15.IV.1972" zawiera z kolei scenariusz filmowy Niziurskiego *Dom poprawy* z adnotacją „Scenariusz przesłano, Zespół Studio. 28.V.58". „Scenariusz" to nie najlepsze słowo na opis zawartości owej pomarańczowej, wyblakłej teczki, bo *Domu poprawy* nie daje się określić ani słowem „scenariusz", ani „opowiadanie", ani „słuchowisko". To dziwna forma hybrydowa, niespełniająca formalnych zasad scenariusza ani sztuki teatralnej, zaczynająca się jak opowiadanie pisane w czasie przeszłym, przechodząca w rodzaj didaskaliów w formie zdań oznajmujących w czasie teraźniejszym, a później znów zmieniająca się w opowiadanie w czasie przeszłym.

Rzecz dzieje się w roku 1952 w „Gminnej Spółdzielni w Groszkowie", gdzie ciśnie się tłum chłopów pragnących dostać wypłatę bądź przynajmniej zaliczkę, ale wypłaty premii i zaliczek są wstrzymane przez prokuratora powiatowego. A to z tej przyczyny, że w kasie jest… za dużo pieniędzy, dokładnie o 2700 złotych, a podejrzaną o niezgodność zawartości kasy z kwitami jest kasjerka Krystyna, atrakcyjna dziewczyna, niepełnoletnia „miastowa", za którą biegają wszystkie chłopaki

ze wsi, zaś kierownik spółdzielni nazywa ją „chłopczarą”, co stanowi eufemistyczny synonim „puszczalskiej”. Dowiadujemy się, że pensja kasjerki w spółdzielni wynosi 700 złotych.

Następnie pojawia się opowieść o oszustach: Apoloniuszu Oczko, „chiromancie, grafologu i mistrzu sztuk tajemnych” oraz jego uczniu „Fredziu somnambuliku”, którzy naciągają na wróżby łatwowierne kobiety. Później znajdujemy się w „Zakładzie poprawczym nr 9 w Rożankach”, tam do schroniska dla dziewcząt zostaje przywieziona Krystyna. Jednocześnie w części męskiej dochodzi do przykrego zdarzenia: wychowawca tak mocno uderzył osadzonego Majcherka, że ten dostał krwotoku i udusił się, bowiem był gruźlikiem, o czym szefostwo poprawczaka jakoby nie wiedziało; w zakładzie grozi bunt, kierownictwo chce zatuszować sprawę. Jakby tego mało, pojawia się ekipa Polskiej Kroniki Filmowej, by kręcić materiał o wzorcowej instytucji penitencjarnej. Tymczasem oficjalna wersja, że Majcherek został przeniesiony do „zakładu w Kcyni” nie znajduje zrozumienia wśród młodych więźniów, którzy kradną z kuchni 36 noży i dążą do konfrontacji. Redaktor z telewizji proponuje im układ: jeśli w pojedynku bokserskim pokona najsilniejszego z więźniów, to ci oddadzą noże i dodatkowo zegarek, który mu ukradli, jeśli przegra – noże i zegarek plus papierośnica i sygnet będą ich. Redaktor dzięki świetnej technice wygrywa starcie z największym zabijaką, ale młodzież nie chce uznać zasad i rusza z nożami zdobywać dyrekcję, biura, podziemia, cały kompleks więzienny, rabować jedzenie i alkohol. W tym czasie osadzona w innej części zakładu Krystyna doświadcza przemocy ze strony więźniarek z dłuższym stażem. Zbuntowani chłopcy pod wodzą Pytla uwalniają też dziewczęta, dochodzi niemal do gwałtów, ale i bijatyk między chłopcami, wreszcie w środek bałaganu wpada milicja. Korzystając z zamieszania,

Krystyna i Lulek – chłopak, który postawił się przywódcy buntu Pytlowi, uciekają z poprawczaka…

Maszynopis *Przez zamieć dziejów, w burzy czas…* leżący w teczce z napisem „Stół i sanie frezarki poziomej” zaczyna się od strony numer jeden, ale zarazem jest to początek rozdziału numer VII. Zaczyna się tak: „Rok 1904. Luty. Mimo że w zimowej aurze życie Warszawy toczy się pozornie w zwykłym trybie, to jednak na ulicach oznaki wojny są widoczne. W kierunku mostu Kierbedzia ciągną w baranich papachach oddziały rosyjskiego wojska, to znów nieskładne jeszcze tabuny świeżo powołanych pod broń rezerwistów w cywilnych ubraniach. Na murach, na słupach ogłoszeniowych mobilizacyjne i wiernopoddańcze plakaty. Wielkie nagłówki gazet o sytuacji na froncie”.

Formalnie to też scenariusz dla telewizji, a przynajmniej projekt scenariusza, tyle że w formie narracji powieściowej.

W innej teczce sygnowanej przez Katedrę Obrabiarek Politechniki Warszawskiej i teoretycznie zawierającej projekt „Wrzeciennika i skrzynki prędkości tokarki produkcyjnej” znajduję „sztukę w czterech odsłonach” pt. *Egzekucja*. Jak zaznacza sam autor: „Rzecz dzieje się pod koniec wiosny 1932 roku”. Idzie tutaj nie o egzekucję człowieka, ale należności finansowej…

Barbara Niziurska utrzymuje, że były jeszcze dwie powieści, które nigdy się nie ukazały, a ślad po nich zaginął, choć być może ich fragmenty znajdują się w którejś z rozlicznych teczek. Napisana w całości, zakończona miała być powieść dla dorosłych pod roboczym tyłem *Urzędnicy wstają rano uśmiechnięci*, zaś książka pod jeszcze cudaczniejszym tytułem *Dwie godziny prawdy dla młodzieży* miała pozostać nieukończona, bo pisarz zniechęcił się do projektu i go porzucił.

Takich teczek w szufladach gabinetu Niziurskiego jest o wiele więcej, ale ich zawartością zająć się powinni akademicy, naukowcy, autorzy prac habilitacyjnych. My zaś skupimy się na książkach, które Niziurski nie dość, że napisał, to jeszcze zostały one opublikowane i weszły do historii polskiej literatury.

— Pan jest zapaśnikiem? Styl klasyczny czy francuski?

— Jestem archiwariuszem, mój synu.

— Nie słyszałem o takiej dyscyplinie.

„Klub włóczykijów”

Pokój po śmierci ojca uporządkował syn Marcin, który teraz mówi, co tam się znajdowało: „Flaszka po jakimś winie, inna pusta po winiaku, bo na koniaki to nikogo nie było stać. Duże gwoździe, które nazywają się chyba „papiaki”, pozostawione najpewniej po remoncie dachu, do tego jakieś kawałki tynku, puszka zeschłej farby, wyłysiały pędzel. Kiedyś myślałem, choć to oczywiście było nierealne, żeby po śmierci taty zaopiekować się miejscem jego pracy twórczej tak, by wszystko pozostało w stanie nienaruszonym – zwłaszcza bałagan na górze, bo to była świątynia prawdziwego artysty. W swoim domu w Izabelinie mam absolutny porządek, natomiast ojciec miał bałagan koszmarny. Pewnego roku rodzice wyjechali na wakacje, pod namiot do Grecji. Opiekując się domem na Miłobędzkiej, wszystko ojcu w jego gabinecie uporządkowałem. Tata po powrocie popatrzył i powiedział: »No, ładnie posprzątane, ślicznie Marcin, jestem z ciebie strasznie dumny«. Po dwóch tygodniach przyszedłem, patrzę, bałagan odnowiony, łącznie z tamtymi pustymi flaszkami. Wszystko miało być tak jak wcześniej. Jemu najlepiej pracowało się w bałaganie.

Tym bardziej, że był roztargniony. Kiedy przychodziła ważna korespondencja, kładł ją na wierzchu, żeby nie zapomnieć, i nadal pisał. Później ta ważna korespondencja była przykrywana kolejnymi papierami i zapominał o niej, a góra papierów narastała. Najważniejsza była praca i chwila spokoju, kiedy nie ma dzieci, kiedy wiadomo, że wszystko jest pod ręką, w lodówce zapas jedzenia, można pracować. I to było najważniejsze, łapać pomysł i pisać, carpe diem”.

Barbara Niziurska: „Tam papiery leżały po sufit, do telefonu stojącego na parapecie okiennym z trudem się dochodziło, ale on niczego nie pozwalał ruszyć.”

Były jeszcze popielniczki: jedna z rżniętego szkła, ciężka, masywna, mogąca służyć jako przycisk do papieru, druga jeszcze większa, przywieziona z wycieczki do Holandii, fajansowa, biała w niebieskie wzory i z wizerunkiem XIX-wiecznego miasta. To słynna ceramika z Delft, choć współczesna, o czym świadczy nie tylko napis „Made in Holland” na spodzie, ale i numer telefonu manufaktury. Od wielu lat popielniczki nie były używane.

Barbara Niziurska: „Mąż przestał palić, jak miał 41 lat, ale wcześniej palił namiętnie, do godziny pierwszej w nocy palił i pisał. A jak mu zabrakło papierosów, szukał niedopałków w koszu na śmieci, wyciągał, brał jakąś cienką gazetę czy kawałek papieru, skręcał i palił z rozkoszą. Ja też paliłam do czterdziestki, a później przerwałam z dnia na dzień. Razem rzuciliśmy. Odechciało nam się palić.”

Anna Niziurska-Włodarska: „Tata wcześniej bardzo dużo palił. Pamiętam, że w pokoju stała wtedy popielniczka zrobiona z marmuru chęcińskiego. Właściwie to nie była popielniczka, to służyło jako popielniczka. To było coś podłużnego, z miejscem na pióro i kałamarz, pamiątka z Chęcin, a w niej stosy niedopałków. To był okres w życiu taty, kiedy palił nieprzytomnie, ale myślę, że wszyscy wtedy palili. Jak się ogląda filmy z tego okresu, to wszyscy palą. Jak wchodziło się do gabinetu taty, to tam było czarno od dymu, tata palił i pisał. Nie wychodził z domu, był spięty, wyłącznie pisał, mama

przepisywała jego rękopisy, a my jedliśmy ser z makaronem i zupą ogonową z proszku.

Jego gabinet zawsze był zawalony gazetami, cała podłoga była nimi usłana, tata zbierał wszystko i niczego nie można było wyrzucić. Kiedyś do szkoły miałam zrobić gazetkę »Nowa i stara Warszawa«. Tata prenumerował »Płomyki«, zbierał je i nie wolno było ich wyrzucać. Ale mnie skusiły w tych »Płomykach« zdjęcia: tu ruiny starej Warszawy, tutaj zdjęcie nowej. Ja te zdjęcia powycinałam, żeby z nich zrobić gazetkę. Można sobie wyobrazić, co się później działo, tata strasznie się zezłościł. Wtedy nie przywiązywałam wagi do tych wszystkich gazet ani książek, nawet się chyba nie orientowałam, że tata pisze książki. To, że jestem córką bardzo znanego pisarza, uświadomiłam sobie dopiero na Mokotowie, po przeprowadzce z Bielan. Trafiłam do klasy, w której byli syn Adama Bahdaja i córka Lesława Bartelskiego [krytyk literacki, varsavianista, autor książek o Armii Krajowej i Powstaniu Warszawskim]. To była szkoła podstawowa przy Wiktorskiej, która potem stała się liceum i kontynuowałyśmy naukę w tym samym budynku – to Liceum im. Jana Kochanowskiego. To była szkoła jeszcze ze starą kadrą nauczycieli, kształconych przed wojną. Wspominam ją z wielkim sentymentem.”

MIŁOŚĆ, GÓRY I SAMOCHÓD

Pisarz dostał zawału serca w październiku 1989 roku na słowackiej Lodowej Przełęczy, w trakcie wędrówki z synem Marcinem. Barbara Niziurska wraz z żoną Marcina, także Barbarą, poszły wówczas na inną wycieczkę. Niziurski znalazł się w szpitalu w Popradzie, ale wcześniej o własnych siłach (!) zszedł kawałek do miejsca, skąd zabrało go słowackie

pogotowie górskie. Od tego czasu dla zdrowia chodził na spacery z Mokotowa na Ochotę. Szedł z Miłobędzkiej Racławicką, przechodził przez skrzyżowanie ze Żwirki i Wigury, potem w prawo w Mołdawską, dalej skręcał w ulicę Korotyńskiego, idąc wzdłuż tzw. Fortów Korotyńskiego, przekraczał Grójecką i nadal idąc Korotyńskiego, docierał do parku Szczęśliwickiego. Tam też, w parku Szczęśliwickim, dziś obrośniętym nowymi osiedlami, dzieje się część akcji *Nowych przygód Marka Piegusa*.

Oczywiście Niziurski nie zaczął spacerować dopiero po zawale, był wytrawnym piechurem przez całe życie i maszerował zarówno po mieście, jak i po górach. Może po zawale zaczął bardziej spacerować niż urządzać forsowne marsze.

Marcin Niziurski: „Bardzo często chodziliśmy na spacery i podczas tych przechadzek trzeba było o czymś porozmawiać. Ponieważ rozmowa o moich szkolnych perypetiach była tematem zapalnym, w każdym razie niewnoszącym nic nowego ani do mojego życia, ani do jego, to opowiadał mi swoje pomysły twórcze, zamysły i obserwował moją reakcję. Sondował, czy jestem zainteresowany, czy wątki poboczne należy rozbudowywać, czy też nie – pytał, co ja sądzę, czy może mam jakieś propozycje dotyczące fabuły, jak to sobie wyobrażam. Traktował mnie zawsze poważnie, bez względu na to, czy miałem trzynaście lat, dwadzieścia, trzydzieści czy czterdzieści. Uwielbiał ze mną chodzić na spacery, z Miłobędzkiej przez Racławicką, do najbliższego parku, czyli na cmentarz żołnierzy radzieckich przy Żwirki i Wigury. Oczywiście przy każdej okazji łaziliśmy po Tatrach.

Miałem pięć lat, jak mnie rodzice wzięli na Zawrat, a później chodziliśmy co roku. Z tym że jak już byłem dorosły,

nie za bardzo lubiłem chodzić z ojcem po górach, a to z jednego prozaicznego powodu: ojciec miał szczęście, że w czasach gospodarki niedoboru trafiał w sklepach na wielkie mocne plecaki. Mimo że trudno było gdzieś, zwłaszcza w miejscowościach turystycznych, kupić dobre piwo, to jemu się to udawało. Wtedy piwo było tylko w butelkach. W sklepie wkładałem plecak na grzbiet i pochylony czekałem, aż z lady sklepowej przeładuje do plecaka tyle piw, ile zdołam udźwignąć. Ale to nie ja miałem być beneficjentem tego hurtowego zakupu.

Wybraliśmy się kiedyś, ja jako bezpłatny tragarz, na Kozi Wierch, przez Kozie Czuby. Odcinek Orlej Perci efektowny, ale przy oblodzonej skale niewygodny i niebezpieczny. Ojciec mnie poganiał: »Szybciej! szybciej! szybciej!«. Szedł przede mną, a ja już nie miałem siły, bo przecież dźwigałem trzydzieści butelek, a zdarzało się, że do kieszeni mi upchnął jeszcze jedną butelkę.

Pnę się więc powoli z tym plecakiem, wtem dobiega mnie głos ojca – opisuje komuś całą panoramę Tatr, relacjonuje historię zdobycia poszczególnych szczytów, wysokość w metrach itd. Ojciec wszystko o Tatrach wiedział, ja zresztą też, i matka, wszyscy jesteśmy zapalonymi turystami i miłośnikami tych gór. Wspinam się więc i słyszę z góry taki delikatny, ale stanowczy ryk: »No, Marcin! Pospiesz się!«. Wchodzę i słyszę: »Dobrze, że jesteś, bo tutaj koledzy bardzo spragnieni«. Patrzę, a tam cała wycieczka studentów. Ojciec wyjmuje butelki z mojego plecaka i rozdaje im. Wszyscy piją zadowoleni, ojciec siada, pije piwo też zadowolony i dalej opowiada o Tatrach, a ja tchu nie mogę wciąż złapać. Skrzydłami elokwencji operował wówczas wolniej i wypatrywał tęsknie kolejnych turystów. Gdy ci nadchodzili, przyśpieszał swą opowieść dotychczasowym słuchaczom, lub tak celował z fabułą, żeby harmonijnie wciągnąć w nią

nowoprzybyłych. Zdarzyło się, że przepraszał obecnych, odbiegał, po chwili przyprowadzał nowych i wielce rad wznawiał opowieść. Przyznam, że zaraził mnie tą formą kontaktu z turystami na szlaku, czy to Tatry, czy Beskidy.

Potrzebował kontaktu z młodzieżą, zarazem podbudowywał swoje ego turystyczne, że on jest jednym z tych nielicznych, którzy naprawdę wszystko wiedzą o górach. Z drugiej strony nie każdy miał swojego serwisanta, takiego jak ja. Ci studenci nie wiedzieli, kim jest ojciec, bo się nie przedstawiał. W ogóle mu to nie przyszło do głowy. Ojciec nigdy nie był osobą medialną, celebrytą. Wówczas w ogóle nie było pojęcia celebryty, był jeden kanał telewizji, potem dwa programy i to wszystko, ludzie nie kojarzyli twarzy osób publicznych. Ci studenci mogli znać i na pewno znali książki ojca, ale nie mieli pojęcia, że to właśnie on przed nimi stoi i opowiada o górach.

Na pierwszą zagraniczną wycieczkę wybraliśmy się w 1964 roku do Mamai w Rumunii, przez Węgry. Wszystkie nazwy były dla mnie tajemnicze, cudowne, nie spałem w nocy, tylko włóczyłem się sam w pobliżu hotelu. W Miszkolcu cuchnęło z otworów kanalizacyjnych, ale dla mnie był to zapach egzotyczny.”

Barbara Niziurska: „To ja go wyciągałam z domu. Zawsze miałam ochotę dokądś pójść, choćby na ciekawe spotkania w ZLP [Związku Literatów Polskich], a mąż najchętniej siedział w domu i pisał. Mówiłam: »Chodź, pójdziemy«. A on: »Skoro chcesz koniecznie iść, to pójdziemy«. I chodziliśmy. Ale najchętniej jeździliśmy w góry. Dwa razy do roku musieliśmy być w górach, i polskich, i słowackich. Od Wołowca do Rysów, wszędzie, każdy kamień znaliśmy, w zimie jeździliśmy na narty. Marcin i mój mąż współzawodniczyli ze sobą. Ja zawsze

nadawałam tempo, bardzo dbałam o męża i nie chciałam, aby on się męczył. Mówiłam mu: »Już nie mam siły, musimy iść wolniej«. Wszystko na siebie brałam i zwalnialiśmy, ale jak mój mąż powiedział: »Kto pierwszy wejdzie na Lodową Przełęcz?«, to Marcin poszedł z nim w zawody. A to najwyższa przełęcz w słowackich Tatrach! Rzeczywiście mąż był pierwszy, tylko że dostał zawału. I osiem kilometrów szedł z zawałem, a Marcin mu podawał śnieg, Eduś jadł ten śnieg i dopiero po ośmiu kilometrach spotkali niemieckich turystów, którzy mieli radiostację i wezwali pogotowie. Pogotowie nie mogło do nich dojść, mąż musiał jeszcze do pogotowia przejść kawałek i później zawieźli go do szpitala. Tak długo nie wracali z tej wycieczki, że nabawiłam się złych przeczuć. Wreszcie wrócił Marcin i powiedział: »Nie denerwuj się, ojciec jest w szpitalu i ma dobrą opiekę«. No to ja się szybko spakowałam i pojechałam do szpitala. Mieszkaliśmy u Słowaczki, okazało się, że ona pracuje w laboratorium tego szpitala, gdzie leżał mąż, i pokazała mi, którędy można wejść nawet w nocy, tak że nie obowiązywały mnie godziny odwiedzin, dzięki czemu cały czas byłam przy mężu. Z tym że trzeba było przejść obok prosektorium, a to były silne wrażenia. Wtedy było trudno o kawę, zdobywałam jakoś tę kawę i dawałam pielęgniarkom i wszyscy patrzyli przez palce, co ta wariatka Polka robi. Do tego stopnia rozpuściłam lekarzy i pielęgniarki, że jak wyjeżdżaliśmy, to lekarz, który się nim opiekował, przyniósł pakę różnych leków, strzykawek: »U was w Polsce nic nie ma, to niech to pani weźmie, to się przyda mężowi«. Kiedy wracaliśmy samochodem, prowadziłam bardzo ostrożnie, żeby najmniejszy kamień nie zrobił przykrości mężowi. On siedział obok mnie, bo uważał, że trzeba pilnować żony, jak ona prowadzi, a przecież był po zawale! Wtedy premier Mazowiecki zasłabł w Sejmie, o czym usłyszeliśmy w radiu, i przestraszyłam się, że

mój mąż też zemdleje, jak to usłyszał. Zatrzymaliśmy się na poboczu i poczekaliśmy, aż Mazowiecki dojdzie do siebie. Dojechaliśmy do domu i zaczęły się rozmaite przejścia, bo Edmund miał świetną opiekę, ale był nieposłuszny. Lekarz powiedział, żeby pójść z nim na Pole Mokotowskie na spacer, by dostarczyć mu trochę świeżego powietrza, ale Eduś to był człowiek nieobliczalny. Kiedy spacerowaliśmy, w pewnym momencie on się rozpędził i przeskoczył przez płot. Po zawale! Jak to zobaczyłam, od razu wezwałam lekarza, a lekarz: »Czy pani mąż zwariował?!«. Cały czas musiałam nad nim czuwać. On bardzo lubił mi robić na złość, ale zawsze w sposób kulturalny.

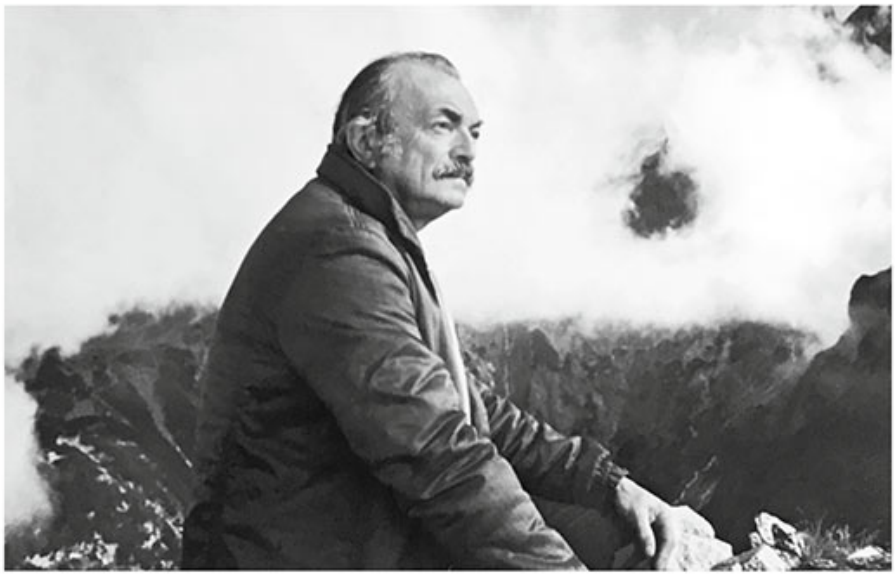

Edmund Niziurski na Judahu skale

Był uparciuchem. 6 stycznia 2006 roku, dokładnie pamiętam tę datę, poprosiłam męża, żeby wyprowadził samochód, bo jadę do miasta, ale przypomniałam mu, żeby założył buty, bo jest lód na zewnątrz. „Sam wiem, co mam robić!" – powiedział mąż i wyszedł w klapkach, poślizgnął się i złamał nogę. Samochodu nie wyprowadził i wrócił do domu, skacząc na jednej nodze. Noga zaczęła puchnąć, ale nie chciał jechać do lekarza: »Samo przejdzie«. Wreszcie udało się go zawieźć na dyżur do szpitala na Lindley'a, ale nie dostał zastrzyku przeciwzakrzepowego, bo nikt tego nie dopilnował. Po trzech dniach przyszedł lekarz i przepisał zastrzyki przeciwzakrzepowe – do końca życia Edmunda robiłam mu te zastrzyki w brzuch.

On był dla nas słońcem, wszystko toczyło się wokół niego, uwielbialiśmy go. Był niesamowicie zabawny, dzieci go uwielbiały, wymyślał różne zabawy, na przykład zabawę w więzienie. Więc jak przychodził dwuletni Filipek, nasz prawnuczek, to od progu mówił, że chce się bawić w więzienie. Za zasłoną stał taboret i mąż tam go posyłał: »Idź na pięć lat do więzienia«. Ale mąż nie wiedział, że ja mam miękkie serce i zostawiam mu tam czekoladę, choć rodzice mu zabraniali czekolady. Więc Filipek siedział w tym »więzieniu« i zadowolony jadł czekoladę. Była też zabawa w »wybuch wojny«. Jechaliśmy do Izabelina, do lasu z dziećmi, wnukami, i mąż krzyczał: »Lotnik, kryj się!«. Wszyscy padali, gdzie się dało, w krzaki, i czekali, aż lotnik przeleci."

Marcin Niziurski: „Ojciec nie uczestniczył w warszawskim życiu towarzyskim, nie miał czasu, bo pisał książki, miał rodzinę i chciał nas dobrze wychować."

Barbara Niziurska: „Od pięciu lat nie prowadzę samochodu i tęsknię za tym. Jeżdżenie samochodem to cudowna rzecz. Miłość, góry i samochód, te trzy rzeczy to jest motor życia.

Pierwsza zrobiłam prawo jazdy, mąż dwa lata później. Ale wypychał mnie zza kierownicy i mówił: »daj poprowadzić, daj«. A jak widział milicję, to »przesiadaj się, przesiadaj się!«, i siadał na moje siedzenie. Skończyłam kurs samochodowy tzw. telewizyjny. Trzeba było wpłacić osiemdziesiąt złotych, przysłali mi książki, wykułam wszystko na pamięć, poszłam, i miałam tylko mieć obowiązkowe kilka jazd. Kiedyś mąż powiedział: »Ja wprowadzę samochód do garażu, bo ty sobie nie dasz rady«. Jeszcze nie miał prawa jazdy i rozbił naszego biednego wartburga w trakcie wjeżdżania do garażu, trzasnął go w bok. Wyciągnęliśmy go i musiałam jechać do serwisu. Mąż siedział obok mnie, wchodzą mechanicy, a mąż mówi: »Widzicie, jak to kobieta potrafi prowadzić? Rozbiła samochód!«. A to on rozbił!

Pierwszy nasz samochód to był wartburg kupiony na raty i to na talon. Potem mieliśmy rozmaite fiaty, przeważnie mieliśmy dwa samochody. Jeden duży fiat, a jeden maluch. Jednego i drugiego kochałam. Ostatni nasz wspólny samochód to był fiat uno.”

Marcin Niziurski: „A potem mama kupiła nowego fiata i już tylko ona nim jeździła.”

Barbara Niziurska: „Wysoko zawieszony, z klimatyzacją, cudowny samochód. Ale w pewnym momencie Edmund już nie prowadził. Przed śmiercią Edusia musiałam go sprzedać, bo czułam, że mi zabraknie pieniędzy. Sprzedałam go bardzo dobrze, od ręki. Później to bym chętnie odkupiła ten samochód, bo go kochałam, był taki zrywny, miał wszystkie bajery i wysokie zawieszenie, a to jest bardzo ważne.

Szalenie lubiłam wyjazdy pod namiot, więc bardzo dużo jeździliśmy po Europie z namiotem. Owszem, byliśmy na kilku zorganizowanych wycieczkach, ale namiot daje wolność. Namiot i samochód. Mieliśmy zawsze dwa namioty: mały na krótki nocleg, a drugi pobytowy, z osobną sypialnią na dłuższe mieszkanie. To były cudowne czasy.

Jeździliśmy po całej Europie, zwiedzaliśmy wszystkie stolice. Najpierw zawsze zaopatrzyłam się w plany i mapy, miałam też w głowie mnóstwo informacji, wiedziałam, gdzie co wolno, gdzie nie wolno, gdzie się zatrzymać. Prowadziliśmy na zmianę. Jak kończyliśmy książkę, mąż nadawał ją na pocztę i wsiadaliśmy do samochodu.”

Marcin Niziurski: „Pamiętam, że byli na Peloponezie z namiotem i na mało co było ich stać. Wozili konserwy, słoiki z jedzeniem. Kiedyś rodzice kupili na Węgrzech prawdziwe salami. Tata podwiesił salami na sznurku, żeby mrówki mu nie zżarły. Poszli na plażę, wracają i mówią: »To my sobie teraz zjemy troszeczkę salami, winka się napijemy«. Patrzą, salami jest, ale do namiotu wchodzą wycieczki mrówek, mnóstwo tych mrówek z każdej strony. Okazało się, że bestie zostawiły samą skórkę, wyjadły wszystko w środku. Prawdziwe, węgierskie salami!.”

Barbara Niziurska: „Uwielbialiśmy jeździć do Grecji, mieliśmy tam swój ulubiony camping w Kamena Vourla. Pewnego późnego wieczoru mój mąż patrząc w zadumie na zaćmienie księżyca, powiedział nagle, że przestaje się golić i zapuszcza wąsy. Aż przyszedł moment powrotu do Polski i na granicy grecko-jugosłowiańskiej grecki pogranicznik powiedział, że nie przepuści nas, dopóki mąż nie zgoli wąsów i nie będzie wyglądał tak jak na zdjęciu w paszporcie. A mąż powiedział z godnością »Wąsów nie zgolę!«. »To pan nie przekroczy granicy« – odparł Grek. »To nie!« – powiedział mąż. Odjechaliśmy na bok, spędziliśmy w samochodzie trzy dni, czekając aż przyjedzie ktoś starszy szarżą i pozwoli nam wyjechać z Grecji. Wreszcie przyjechał jakiś wyższy oficer, spojrzał na paszport, spojrzał na męża, machnął ręką i powiedział: »Niech jedzie!«.”

Anna Niziurska-Włodarska: „Tata uwielbiał uczyć się języków, miał talent językowy. Kiedy mieliśmy wyjechać na Węgry, usiłował się poduczyć węgierskiego, ponieważ uważał, że jak gości się w jakimś kraju, to trzeba choć trochę znać język gospodarzy. Moi rodzice najpierw oszczędnie żyli, aby móc wyjechać na wakacje, podczas których i tak mieszkali w namiocie na kempingach. Przed wyjazdem żywiliśmy się na obiad makaronem z białym serem, to był znak, że zbliżają się wakacje i trzeba zacisnąć pasa. Po przekroczeniu granicy rodzice zatrzymali się w pierwszej węgierskiej restauracji, gdzie tata usiłował złożyć zamówienie w języku węgierskim. Kelner był nieco zdziwiony, mama oczywiście zdała się na tatę, i co się okazało? Po pewnym czasie kelner przynosi półmisek, na którym był makaron z białym serem. Jak się to je tygodniami, to człowiek jest złakniony jakiegoś innego

przysmaku. U nas z cukrem się to jadło, a tam bardziej wytrawnie.”

Należy przypuszczać, że Niziurskiemu udało się zamówić „túrós csusza”, czyli makaron w postaci kwadratowej przypominającej łazanki, z twarogiem i skwarkami ze słoniny, polany kwaśną śmietaną, danie stanowiące rodzaj zarówno głównego posiłku, jak i deseru, ale też dodatku, na przykład do paprykarza z suma.

Barbara Niziurska: „Eduś zawsze, jak prowadził samochód, mówił: »Daj pić, daj pić«. Dawałam mu wodę mineralną, a on: »Co ty mi tu dajesz? Wina mi daj«. I dawałam mu wina. Zawsze kupowaliśmy wino do kanistrów, chodziliśmy do najlepszych winnic, szukaliśmy, próbowaliśmy. Mieliśmy pełno tych kanistrów. Życie z nim było cudowne.”

Czasami cuda się kończyły, jak kiedyś na granicy polsko-czechosłowackiej w Cieszynie, gdy okazało się, że Edmund zapomniał z domu paszportu, dowodu rejestracyjnego oraz pieniędzy. Trzeba było wracać do Warszawy. I nie był to odosobniony przypadek.

Barbara Niziurska: „Eduś był strasznie roztargniony. Kiedyś umówiliśmy się w foyer opery. Byłam wcześniej u fryzjera, przychodzę, przychodzi też mój mąż, jak zwykle nieprzytomny, gwałtownym ruchem wyjmuje chusteczkę do nosa, patrzę, a to męska skarpetka. Patrzę na jego nogi, a on ma jedną nogę bez skarpety. Jak się ubierał przed operą, to wiedział, że coś trzeba zrobić z tą skarpetą, którą trzyma w ręce, więc wsadził ją do kieszeni, założył buty i wyszedł.”

Marcin Niziurski: „Ale on nie był abnegatem. Zawsze wyglądał bardzo elegancko, nawet na spotkaniach rodzinnych nosił krawaty, ale był roztargniony do tego stopnia, że czasami nie poznawał nawet członków rodziny. Kiedyś coś załatwiałem w okolicach ulicy Brackiej. Już mieszkaliśmy oddzielnie, rodzice na Miłobędzkiej, a ja na Sadybie, w bloku przy Jaszowieckiej. Miałem wtedy dwadzieścia dwa, dwadzieścia trzy lata, to było za wczesnego Gierka. Szedłem zamyślony, mija mnie ktoś na ulicy, patrzy na mnie, ja się patrzę na niego, ale poszliśmy każdy w swoją stronę. Idę dalej i widzę samochód. Zupełnie machinalnie otwieram drzwi, wsiadam na tylne siedzenie, i tam sobie przeglądam książkę, którą wcześniej kupiłem. Po piętnastu minutach przychodzi jakiś gość i mówi: »Cześć Marcin, no to jedziemy«. To był ten mężczyzna, z którym minęliśmy się na ulicy, nie rozpoznając nawzajem – mój ojciec. Nie dość, że się nie poznaliśmy, to jeszcze ja wsiadłem do jego samochodu, bo coś mi mówiło, że to jest samochód bezpieczny, taki, który znam.”

Anna Niziurska-Włodarska: „Po przeprowadzce z Bielan na Miłobędzką tata pokazał swoje oblicze ogrodnika. Radość życia: nowy domek, kupa ziemi i tata zabrał się za projektowanie ogrodu. Myślałam, że to będzie taki ogródek jak mojej babci, a jego rodziców w Kielcach, czyli porządne grządki, jakiś klomb w środku. Wracam ze szkoły, a tata z dumą woła mnie na pierwsze piętro, żeby stamtąd zobaczyć widok na ogródek. Ten ogród przyjął postać jakby skorupy żółwia, czyli miał wysepki i między nimi wąskie chodniczki o nieregularnych kształtach. Przez jakiś czas sąsiadka nas pytała: »Kim jest wasz tatuś?«. Bo nikt takiego ogródka nie miał. Tata jeszcze wymyślił, żeby było kolorowo, a jednocześnie w tych trudnych czasach przynosiło jakieś jedzenie. W związku z tym poobsiewał te wysepki, na

jednej zielona sałata, a na jej brzegach czerwone buraczki, to będzie ładnie się komponowało. Trzeba było lawirować między tymi wysepkami, przerywać tę sałatę, jedliśmy ją na obiad. Tyle że była bardzo gorzka, bo tata się dopiero uczył ogrodnictwa. Potem zaczął sadzić jakieś kwiaty, a potem drzewa, które pielęgnował i bardzo kochał. Ogród się przeobrażał. To, co mi przypomniało żółwia, było pierwszą fazą, ale potem tata sam skomponował kształt tarasu, był piękny i do dzisiaj zwraca uwagę swoją harmonią. Do tego założył jeszcze ogród skalny. Potem to wszystko usiłowałam zrobić u siebie w domu na Grotach, gdzie mieszkam."

Marcin Niziurski: „Gdy mieszkaliśmy na Bielanach, ojciec już był po pierwszych książkach, miał przychody i zapisał się do spółdzielni mieszkaniowej budującej bliźniaki, takie raczej biedabliźniaki, ale oczywiście dla nas wtedy wspaniałe. W końcu wylądowaliśmy w takim wspaniałym bliźniaku na Miłobędzkiej. Tam już ojciec mieszkał do końca życia."

Na Miłobędzkiej rodzina była już w komplecie. Edmund i Barbara oraz trójka dzieci: najstarsza Anna, Marcin oraz najmłodsza Agnieszka. Na samym początku gnieździli się w jednym pokoju, bo reszta domu była wciąż w budowie. Anna pamięta do dziś zapach drewna, wapna, cementu, farb, lakieru. Edmund sam usiłował projektować wnętrze domu, schody, poręcze, naklejać mozaiki, z czego Barbara nie do końca była zadowolona, bo mężowi udawało się przykleić coś krzywo – i tak już zostawało.

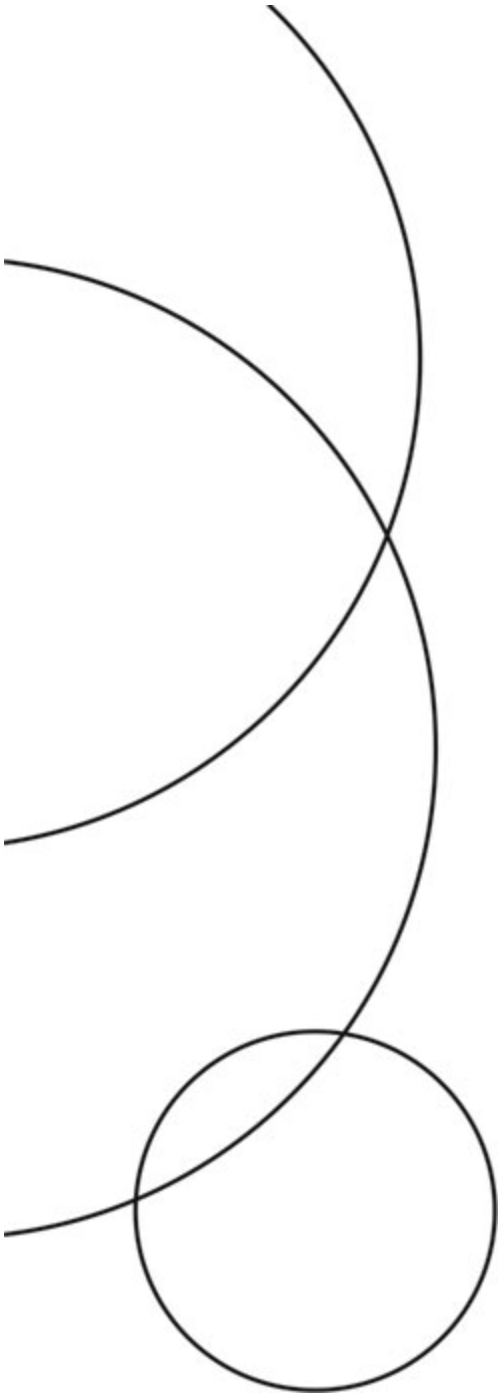

Trzy okręgi

Anna Niziurska-Włodarska: „Miałam w szkole problemy z rosyjskim, wówczas przedmiotem obowiązkowym. Rosyjski był dla mnie straszny. Tata odkrył pewnego dnia, że ja

kompletnie nic z tego rosyjskiego nie umiem, a byłam grzeczną, dobrą uczennicą, nie ujawniałam swoich kłopotów, może powiedział mu o tym Marcin. Tata nigdy wcześniej nie uczył się rosyjskiego, ale wziął mój podręcznik i po prostu zaczął sam się uczyć. Poszło mu błyskawicznie i to on mnie nauczył tego języka. Dla niego to była frajda uczyć się samemu rosyjskiego, a potem mnie uczyć, aż się rozkoszował brzmieniem rosyjskiego, ćwiczył wymowę, szlifował akcent, dla niego musiało być zawsze perfekt. Uwielbiał wyzwania, zadania, które trzeba rozwiązać. I zawsze rozwiązywał. Tak samo było z lekarzami. Tata nie wierzył lekarzom, gdy któreś z jego dzieci zachorowało. Kupił podręczniki akademickie dla studentów medycyny i gdy coś się działo z dzieckiem, na przykład dostawało wysypki, to tata najpierw studiował te podręczniki, sam diagnozował, i dopiero potem wzywał lekarza. Lekarze tego nie cierpieli! Kiedy diagnoza lekarza pokrywała się z tym, co tata przeczytał, mówił: »No, wiedziałem, to się wszystko zgadza«. Czasami wchodził w dyskusje z lekarzami, ale na pewno ich nie obrażał. Nigdy nie miał tendencji, żeby kogoś upokarzać, udowadniać czyjąś niewiedzę. Tata wszystko, za co się wziął, studiował z pasją."

Marcin Niziurski: „Zawsze interesowały mnie rzeczy poważne, typu filozofia, etnografia, etnologia, geografia, słowem wszystko to, co na czym się nie zarabia pieniędzy. Do tego doszło jeszcze moje malarstwo. Osobą, która mnie w tej pasji wspierała, był ojciec. Nie to, że bezkrytycznie podziwiał moje obrazy, często wskazywał błędy: »Słuchaj, kompozycyjnie na moje wyczucie coś nie jest w porządku, pamiętaj, że to odbiorca, adresat twoich obrazów ma rację, a nie ty. Ta kompozycja się chwieje, tutaj albo wzmocnij kolorem, albo daj mocniejszą linię. To nie ja jestem malarzem, to ty masz być malarzem, sam pomyśl. I nie

opowiadaj swoich obrazów, to nie twoja rola«. Te jego wskazówki pamiętam do dziś, dlatego że te same korekty mają zastosowanie do prac literackich, a przypuszczam, że również do muzyki. Są pewne ogólne zasady harmonii i tych zasad trzeba się trzymać, żeby myśl lub obraz, dzieło muzyczne czy literackie doprowadzić do końca. Ojciec nauczył mnie warsztatu. Wcześniej zawsze dostawałem w szkole dwójki z rysunków, nawet gdy brałem rysunki mojej siostry do tej samej pani od plastyki. Zacierałem piątki, które siostra dostała, podpisywałem swoim imieniem i nazwiskiem i dostawałem dwa z plusem. Ojciec mi więc pomagał, często za mnie rysował, z tym że jedyne, co umiał robić, to koło przecięte na pół. Jeżeli był temat przyrodniczy, to był grzybek, kapelusz grzybka, a jeżeli to byli ludzie, to czapka na czymś, co mogło być cyklistą, ale mogło też nie być cyklistą. Doskonale mi tłumaczył geometrię i najlepiej zawsze mu wychodziły ćwiczenia, gdzie było coś związane z kołem lub okręgiem.”

— Ciamciara, co należy zrobić, aby otrzymać wodę?
— Odkręcić kurek.

Źródło: „Sposób na Alcybiadesa"

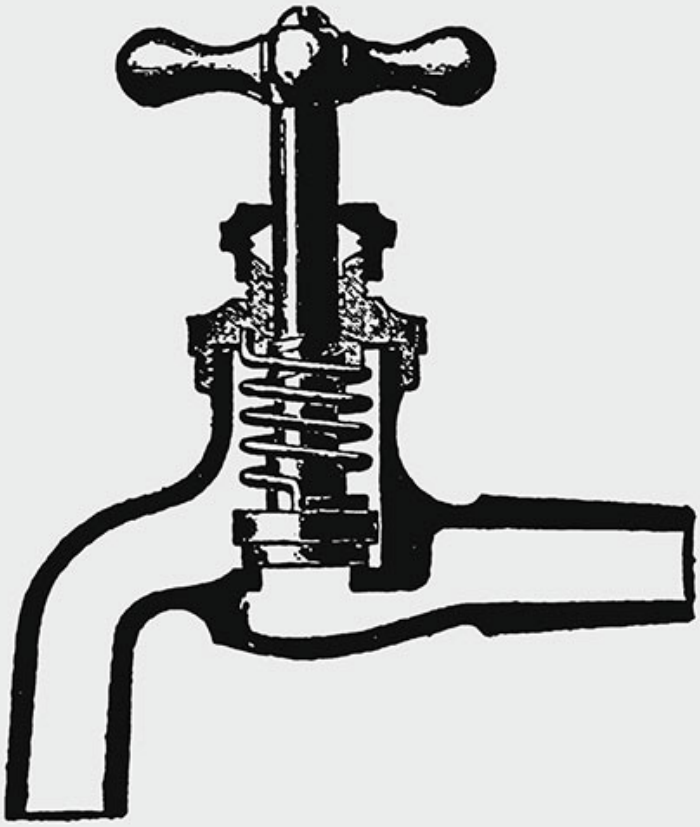

Anna Niziurska-Włodarska: „Uwielbiał pływać w morzu, często wypływał za daleko. Jak tata pływał, to miało się wrażenie, że to pływa wieloryb. To było pływanie z parskaniem, widowiskowe, ale głowa musiała być zanurzona. Tata nas wszystkich nauczył pływać. Wypływał w morze, czekamy, wszyscy już wyszli z wody, a ojca nie ma. Ojca nie ma! Gdzie tatuś, gdzie tatuś?! A tu morze tylko szumi, nikogo nie ma. Wreszcie gdzieś na widnokręgu po mokrym piachu biegnie tatuś, który wypłynął bardzo daleko, ale potem już wracał na piechotę plażą.

Być w górach i nie wejść do jakiegoś stawu, gdzie nie wolno oczywiście wchodzić? Ale jak nie wykąpać się w zimniej górskiej wodzie? Musiał wejść, choć to wiązało się z łamaniem przepisów i zasad. Kiedyś z takiego stawu wyszedł co prawda z pijawkami, i to była kara za to, co zrobił, ale musiał spróbować, jak to jest pływać w lodowatej wodzie.

Nigdy nie przepuścił okazji, żeby spróbować czegoś nowego i czegoś się nauczyć. Na pewno jednak nie lubił chodzić do teatrów i do opery. Do kina chodził, ale też niechętnie. To mama chciała, żeby chodził do kina, teatru, opery. Aczkolwiek dużo czytał o nowych trendach, znanych artystach. Lubił raczej oglądać filmy i seriale w telewizji. Nie lubił tłumów w miejscach publicznych.”

Niziurski, jeśli słuchał muzyki, to też z powodu Barbary, która przechodziła fascynację muzyką klasyczną, ale sam pisarz nie był melomanem. Skupiał się raczej na tym, by posiąść wiedzę na temat kompozytorów czy nurtów muzycznych. Zatem wiedział wszystko o Bachu, Haendlu czy Beethovenie, szanował ich, cenił, co nie znaczyło, że słuchał. Chciał mieć wiedzę o muzyce poważnej, podobnie jak o wszystkim innym, ale to nie przekładało się na jej praktykowanie. O kinie też

czytał, znał nazwiska reżyserów, tytuły filmów, czytał miesięcznik „Kino”, lecz nie oznaczało to, że chętnie do kina pójdzie.

Anna Niziurska-Włodarska: „Był taki okres, że lubił westerny, ale czy on chodził na nie do kina? To był okres popularności w Polsce tego gatunku, ja też je lubiłam, może odpowiadała nam ta przestrzeń, wolność, walka o sprawiedliwość dobrych ludzi ze złymi. W tacie zawsze był chłopak i jego chyba to pociągało. Tak jak i mnie, bo wychowywałam się na Winnetou. Dopiero potem zaczęłam sięgać po literaturę mojego taty.”

Marcin Niziurski: „Byłem leniem, nie uczyłem się, więc ojciec podczas spacerów, gry w szachy, śniadań, obiadów, kolacji uczył mnie wszystkich możliwych przedmiotów, jakie były w szkole. Był moim prawdziwym nauczycielem. Nauka historii z nim wyglądała mniej więcej tak, jak ta, którą opisał w *Sposobie na Alcybiadesa*. Rozmawialiśmy miło przez parę minut o rewolucji francuskiej, a on, żeby mnie jakoś specjalnie zachęcić, opowiadał, jaka to była krwawa rewolucja, jakie były losy jej bohaterów, co się stało z dyktatorami. Widocznie uważał, że najbardziej mnie ciągnie do rzeźni. Ojciec uczył za pomocą barwnych anegdot, a potem szukałem już sam w tekstach poważniejszych niż podręczniki, bardziej szczegółowych. Poszukiwałem wątków i zdarzeń, które mogłem sam w rozmowach z rówieśnikami wykorzystać jako anegdoty; do dziś mniej interesują mnie daty konkretnych zdarzeń, a bardziej przyczyny zjawisk i skutki. Kiedyś dostałem dwóję z matematyki. On miał z nią ostatni kontakt za gimnazjalnych czasów. Żeby mnie podszkolić i zachęcić do nauki, odłożył wszelką pracę twórczą i na kilka dni zamknął się w pokoju. Podciągnął się z matematyki na tyle, by później (jak ten

Alcybiades) kłaść mi do głowy wiedzę tak interesująco, że pokochałem matematykę. Ojciec był bardzo cierpliwy i jeżeli miałbym gdzieś szukać świętości, to właśnie w ludziach takich jak mój ojciec. Miał zawsze dla nas, dzieci, czas. Matka oczywiście musiała być cerberem, bo inaczej pomarlibyśmy z głodu, ona pilnowała domu. Natomiast kiedy przychodziliśmy do niego do pokoju, to zawsze nas objął, wytłumaczył to, czego nie rozumieliśmy, podciągnął ze szkolnych przedmiotów.

Moja starsza siostra Ania zawsze była prymuską, niedościgłym wzorem obowiązkowości i ponieważ chodziliśmy do jednej szkoły, nauczycielki patrzyły na mnie wrogo i mówiły: zobacz, Aniu, co twój brat zrobił. Szklarz chodzi po szkole albo ktoś musi jechać do szpitala po gips na nogę. No i że znów nic nie umiem, znów się nie nauczyłem, patrzyłem przez okno. Wracaliśmy razem do domu i Ania miała trudne wybory, bo musiała rodzicom powiedzieć. Ale w jakiej formie i ile powiedzieć? – nie chciałbym znaleźć się na jej miejscu. Ona jednak działała łagodząco. Z młodszą o pięć lat siostrą Agnieszką miałem układy innego typu. Była przez kilka lat niezłym źródłem moich dochodów, bo jak dostawała od rodziców dwa złote, to czyniłem inteligentne braterskie podchody, długo się uśmiechałem i pytałem: »Nie chciałabyś dwóch pieniążków zamiast jednego?«. I oczywiście dostawała dwie dziesięciogroszówki, a ja miałem całe dwa złote. Prosperowałem wówczas świetnie.”

ROZWIĄŻ ZADANIE Z MATEMATYKI. UŁAMKI NIZIURSKOLOGIA. SIÓDME WTAJEMNICZENIE.

Siedmiu grabarzy w ciągu czterech godzin miało wykopać grób rodzinny dla 5 i pół osoby, które zmarły w wypadku samochodowym (nie znaleziono połowy ciała szóstej osoby). Po wykopaniu 1/3 grobu nadeszła wiadomość, że jeszcze dwu członków rodziny otruło się jadem kiełbasianym i że należy odpowiednio poszerzyć grób. Wobec tego do pracy stanęło jeszcze 2 i ¼ grabarza, ponieważ trzeci grabarz uległ opilstwu i stracił ¾ zdolności do pracy. Gdy jednak wykopali 1/3 pozostałej części grobu, okazało się, że ostatni członek rodziny też już nie żyje, bo popełnił samobójstwo. Należało więc odpowiednio poszerzyć grób. W jakim czasie grabarze wykonają całą pracę, skoro po wykonaniu połowy grobu wszyscy ulegli opilstwu i wydajność ich pracy zmalała o 7/8?

Czterech
Wspaniałych
z Odrzywołów

Tomek Okist narrator trylogii odrzywolskiej, „syn okulisty Okista”, nadwrażliwy chudzielec, rozsądny, nieszczęśliwie zakochany w Matyldzie Opat, lecz wpadający też w niebezpieczne zauroczenie Adelą Wigor. Romantyczny kochanek bez szans u dziewczyn. Posiada ambicje literackie i chce napisać powieść.

Maciek Kwękacz czyli „Kwękuś”, czyli „Kękuś”. „Zakuta pała, nieobliczalny, opanowany przez prymitywne, ciemne instynkty facet, który w dodatku ma pecha”.

Aleksander Kleksiński czyli Olo, czyli „Kleksik”, mający „wyobraźnię, nawet za dużą, dlatego fantazja miesza mu się

z rzeczywistością, rozchwiany, przewrażliwiony narwaniec, równie nieobliczalny jak Kękuś, obaj urwali się z choinki”.

Zygmunt Gnacki czyli Zyzio, czyli „Gnat”. „Geniusz bez przydziału, marnujący się w gazetce szkolnej, wielki komplikator rzeczy prostych, uzurpator władzy wszelkiej, specjalista od nieszczęśliwych pomysłów, zawsze wplątywał nas w jakąś kabałę i kończyło się poślizgiem, wpadką, wsypą”.

...A teraz wieloletnia wyprawa do Wilczkowa, Niekłaja, Gnypowic Wielkich, Odrzywołów...

MROCZNY WILCZKÓW

Emblematyczna powieść, od której zaczął się Niziurski dla młodzieży, książka założycielska dla legendy Niziurskiego, to oczywiście *Księga urwisów*. Wbrew obiegowemu przekonaniu nie był to wcale jego debiut książkowy, bo pisarz miał już za sobą dwie pozycje, choć dzisiaj zupełnie zapomniane, mianowicie jeden zbiór reportaży z podrzeszowskich wsi oraz powieść dla dorosłych *Gorące dni*.

Pierwsze wydanie *Księgi urwisów* ukazało się w 1954 roku w nakładzie dwudziestu tysięcy egzemplarzy na papierze satynowym o gramaturze 80, a zatem najmniejszej możliwej. Z okładką oraz ilustracjami Stefana Gierowskiego. Przyjemność czytania polegała także na dotykaniu tego papieru satynowego, dość ekskluzywnego, lecz często występującego w książkach z tamtych czasów, dziś w zasadzie unikalnego.

Poczucie humoru jest tu szczątkowe, narracja prowadzona bez żadnych fajerwerków, książka jest pomnikowa, ale najpewniej głównie z tego powodu, że jest pierwszą młodzieżową książką Niziurskiego. Choć trzeba przyznać, że to powieść napisana z rozmachem, a jej poważny wydźwięk, brak charakterystycznej dla dojrzałego pisarsko Niziurskiego groteski, pokazanie realistycznie powojennej biedy na głębokiej prowincji stawiają ją po stronie wypowiedzi artystycznych bardzo serio. Nieustannie powracają kwestie butów, jako czegoś nadzwyczaj cennego, tego że niełatwo jest kupić nową miotłę, że chłopcom brakuje ubrań, że wciąż trzeba oszczędzać i nigdy nie wydawać pieniędzy na nic, co nie jest niezbędne.

Niziurski jako młody, niespełna trzydziestoletni autor podchodzi do swego pisania z najwyższą uwagą i powagą. Jest zresztą *Księga urwisów* największą objętościowo jego powieścią, miał już wówczas rozmach epicki, jego kolejne powieści będą często bardziej skrótowe w opisie rzeczywistości. To właściwie też kryminał społeczny, bo przecież prócz koniecznej daniny politycznej daje nam też wiarygodny fresk społeczny. Niziurski był już do tego przygotowany jako dziennikarz tygodnika „Wieś" i autor reportaży o rzeszowskiej prowincji. Intryga kryminalna czy też sensacyjna jest w dodatku dawkowana w miarę oszczędnie, pierwszoplanowe są relacje między uczniami, uczniami a nauczycielami oraz międzypokoleniowe między dziećmi a rodzicami.

Rzecz dzieje się we wrześniu 1952 roku w Wilczkowie, w Zagłębiu Staropolskim. To nazwa historyczna, znana też jako Staropolski Okręg Przemysłowy, najstarsze miejsce, gdzie w całej Polsce funkcjonował przemysł górniczo-hutniczy. Pierwsze kopalnie krzemienia działały już w paleolicie, a w II–III wieku naszej ery był to jeden z największych w Europie ośrodków górniczo-hutniczych. W średniowieczu rozwijało się wydobycie rud ołowiu, miedzi, w XVII wieku hutnictwo, pod koniec XIX wieku nastąpił jednak szybki upadek przemysłu górniczo-hutniczego. Później, w czasach międzywojnia, w trakcie tworzenia dumy II Rzeczypospolitej – Centralnego Okręgu Przemysłowego, ponowny rozwój i znów upadek na skutek wojny, a od początku PRL-u kolejna mozolna odbudowa. Przemysł tworzył się wokół takich miast jak Kielce, Skarżysko-Kamienna, Starachowice, Ostrowiec Świętokrzyski. To wszystko ważne, bo właśnie ten czas odbudowy dawnego Staropolskiego Okręgu Przemysłowego jest szkieletem opowieści o urwisach z Wilczkowa.

Ojciec Karlika Rudnioka jest inżynierem w kopalni i przy pomocy bardzo łebskiego, i co ciekawe niezwykle młodego sztygara Malinowskiego ma za zadanie podźwignąć przemysł kopalniany w tym ciężko doświadczonym i biednym regionie. Stąd pojawiające się w książce takie oto wykłady: „Znajdujesz się w Staropolskim Zagłębiu. Śląsk przy nim, jeśli chodzi o wiek, to szczeniak. Jeszcze się na Górnym Śląsku nikomu nie śniło o kopalniach, jeszcze po dzisiejszym Zabrzu-Wschód i Zabrzu-Zachód chodziły niedźwiedzie, kiedy tutaj wydobywano już kruszce. […] Nie ma tu węgla, ale za to jest marmur, wapień, piaskowce, glinki ceramiczne, piryt, baryt, rudy żelaza, ołowiu, no i wiele, wiele innych skarbów, no i miedź. Miedź. Wiesz, co to jest miedź?" – pyta ojciec Karlika.

„No pewnie, przewodniki elektryczne są z miedzi" – chwali się wiedzą Karlik. Na co ojciec: „Oczywiście, przewodniki też. Ale miedzi używa się nie tylko w instalacjach elektrycznych. Potrzebna jest do produkcji różnych maszyn i motorów. Jest niezbędnym składnikiem wielu stopów. Bez miedzi nie obejdzie się dzisiaj żadne państwo. Dla nas jest ona tym bardziej cenna, że nie mamy jej dużo, a imperialiści, którzy zagarnęli największe kopalnie tego surowca na świecie, nie chcą nam go sprzedawać.

„Tak na złość?" – dziwi się Karlik.

„Właśnie… Ale niech tylko ruszą nasze kopalnie na Dolnym Śląsku, no i tu, w Wilczej Górze! Dlatego ją w takim tempie odbudowujemy, a właściwie – budujemy, bo to, co zastaliśmy, to było albo w powijakach, albo w zupełnej ruinie" – mówi ojciec, a Karlik zamyśla się: „Tato, to imperialiści chyba się wściekają". „No myślę. Możesz być pewny, że dużo by dali, żeby nie dopuścić do jej uruchomienia". – Ojciec pokazuje swą słuszną postawę polityczną.

Nic zatem dziwnego, że ostoją fabuły *Księgi urwisów* jest sprawa tajemniczego szpiega, a nawet sabotażysty, którego obecność w kopalni miedzi podejrzewa Karlik, o czym informuje swego przyjaciela Wiktora Stopę. Stary Mikołaj opowiada legendę o Wojtku Miedzianej Stopie – skarbku z Gór Świętokrzyskich. W istocie taka legenda istnieje, nie została wymyślona przez Niziurskiego, ale wklejona jako osobna narracja do powieści: Wojtek był gwarkiem, a więc górnikiem, zakochanym w pięknej dziewczynie, której nie chciał mu wydać za żonę bogacz Piekutowski, jako że w XVII-wiecznych realiach to właściciel dóbr ziemskich i pracujących na nich robotników miał głos decydujący o tym, kto za kogo wyjdzie. W skrócie: bogacz Ewki nie chciał dać Wojtkowi, ale kazał mu przynieść dziesięć cetnarów miedzi, które Wojtek wydobył, tracąc przy tym stopę, i od tej pory chodząc z miedzianą protezą. Ewki oczywiście nie dostał, w międzyczasie najechali Polskę Szwedzi, zażądali, by im pokazać najbogatsze złoża miedzi, co Wojtek uczynił, jednakowoż dokonując w kopalni eksplozji i grzebiąc wraz ze sobą szwedzkich oficerów. Od tej pory krąży po kopalnianych korytarzach i ostrzega górników przed wypadkami, lecz i chroni dostępu do wielkiej podziemnej Zielonej Komnaty.

W tle głównej intrygi rozgrywa się konflikt dwóch skrajnie różnych postaci uczniowskich: Batury – prymusa, redaktora naczelnego szkolnej gazetki oraz Goli – maniaka piłki nożnej, który odciąga innych uczniów od pracy i nauki, by z nimi „haratać w gałę”. Nadejście pocztą wymarzonej prawdziwej piłki jest jednym z elementów konfliktu, bo autentyczna skórzana futbolówka odciąga chłopców od słusznej, ideologicznej pracy i nauki. Redaktor szkolnej gazetki to będzie jedna ze stałych postaci prozy Niziurskiego, pojawiająca się w powieściach pisanych nawet ćwierć wieku po

Księdze urwisów, wyraz pozytywistycznych, prospołecznych przekonań pisarza.

Edmund Niziurski sześć godzin od Wołowca

Tych drugoplanowych konfliktów jest więcej: uświadomieni politycznie nauczyciele czy inżynierowie ubolewają nad tym, że dzieci są odciągane od szkoły do pracy w polu i wypasania krów – kułackie, zacofane, zabobonne elementy społeczne nie doceniają edukacji i rozwoju cywilizacyjnego, bo przywiązane są do przestarzałych metod produkcji. Kiedy nadchodzą jesienne wykopki, następuje prawdziwa tragedia: niemal połowa uczniów nie pojawia się w szkole, bo zostaje zapędzona przez rodziców do kopania ziemniaków. I właściwie nie trzeba tu mieć pretensji do Niziurskiego, gdy wkłada do opowieści mocny wątek o zakładaniu spółdzielni produkcyjnej, co oczywiście trąci – nomen omen – produkcyjniakiem, ale opis zapyzienia powojennej Kielecczyzny jest jak najbardziej wiarygodny, jako i da się wierzyć w ośli opór chłopów przed jakimkolwiek postępem technicznym.

Uczniowie oglądają w kopalnianej świetlicy film *Opowieść o prawdziwym człowieku* według powieści Borysa Polewoja, sztandarowej książki socrealizmu. Pojawia się także książka *Węgiel*, choć nie pada nazwisko autora, z pewnością chodzi o wydaną w 1950 roku powieść Aleksandra Ścibora-Rylskiego, również kanoniczne dzieło socrealizmu. Ścibor-Rylski, nawiasem mówiąc, to późniejszy autor scenariuszy do takich filmów Andrzeja Wajdy jak *Człowiek z marmur*u i *Człowiek z żelaza*. Na lekcjach uczniowie czytają opowiadania Arkadego Gajdara, autora pamiętnego *Timura i jego drużyny*.

Dywersant

Chłopcy żyją w mocnym, i jak się okazuje słusznym, przekonaniu, że w kopalni działa szpieg bądź nawet dywersant. Podejrzewają a to woźnego Kropę, a to tajemniczego geologa Bolesławca, przybyłego z samej Warszawy i kręcącego się po okolicy. Dzielą się na dwie konkurujące ze sobą grupy – „kropistów” pod przewodnictwem Batury i „karlistów” (pierwsza od woźnego Kropy, druga do imienia Karlika Rudnioka). Nieformalne grupy, „bandy”, sprzysiężenia, tajemne organizacje uczniowskie, szkolne „mafie” to zawsze będzie nieodzowny element fabuł Niziurskiego. Wszyscy chłopcy chcą zawsze przynależeć do jakiejś wspólnoty, prowadzącej niebywale ważną, a często i tajną działalność, czy to będzie szukanie skarbu, czy rozpracowywanie nauczycieli i tworzenie skutecznych metod zwalczania szkolnej opresji, czy zwykłe współzawodnictwo plemienne z chłopcami z innej szkoły bądź klasy. Naturalnie dochodzi do niezwykle niebezpiecznych sytuacji, gdy chłopcy, postanawiając przydybać szpiega, wybierają się do Dzikiego Szybu. W istocie nakrywają dywersantów planujących wysadzić w powietrze i zalać

kopalnię, czego o mało nie przypłacają życiem. Całe szczęście władza ludowa czuwa i w ostatniej chwili wkracza, ratuje chłopców i aresztuje dywersantów. Okazuje się, że tajemniczy Bolesławiec nie był szpiegiem, ale oficerem Służby Bezpieczeństwa na tropie groźnej szajki i chłopcy niemal nie pokrzyżowali mu misternych planów, prowadząc własne amatorskie śledztwo. Dywersantami okazali się znany i lubiany listonosz Wcisło oraz jego pomagier zwany przez chłopców „Wargaczem". Wcisło po prawdzie był volksdeutschem o nazwisku Lemke, zaś „Wargacz" zrzuconym na spadochronie przez imperialistów zawodowym agentem. Finałem powieści jest informacja, że udało się niemal powołać spółdzielnię produkcyjną oraz że w Wilczkowie jednak będzie wreszcie drużyna harcerska.

Janusz Anderman, prozaik, felietonista, scenarzysta filmowy przeczytał w młodości *Księgę urwisów*, ale łączy go z Niziurskim więcej, mianowicie Kielecczyzna.

Mówi Anderman: „Kiedy czytałem po raz pierwszy *Księgę urwisów,* miałem dwanaście lat. Znałem te wszystkie okolice, w których rozgrywa się akcja, były to miejsca mi bliskie i dlatego czytałem książkę w innym kontekście. Rozpoznawałem Zajączków, czyli powieściowy Wilczków, czy Wierną Rzekę, wieś i rzekę właśnie, która się wcześniej inaczej nazywała i po Żeromskim ją nazwano Wierną Rzeką.

Gdy się ma dwanaście lat, inaczej się odbiera literaturę, jeżeli można jej realnie dotknąć. Kiedy na przykład przeczytałem *Syzyfowe prace*, mogłem pójść do szkoły, zobaczyć klasę, do której chodził Żeromski. Mało tego, do tej szkoły chodził przecież Aleksander Głowacki, czyli Bolesław Prus, który przez pewien czas mieszkał w Kielcach u swojego brata. Kielce i okolice to zagłębie pisarzy, drugie po Litwie. Więc co

krok – już od Kochanowskiego i Reja – Kielecczyzna jest naznaczona literacko. Pewne rzeczy dopiero później odkrywałem, na przykład parę lat mieszkałem niejako przez ścianę z Herlingiem-Grudzińskim. Oni przed wojną mieli kamienicę na Sienkiewicza 52, a ja mieszkałem przy Sienkiewicza 54, czyli w sąsiednim domu, w skrzydle, które stykało się z domem, w którym mieszkał Herling. To była skrzydłowa kamienica, a ponieważ byli właścicielami, musieli mieszkać na pierwszym piętrze. Ja też mieszkałem na pierwszym piętrze, tylko kilkadziesiąt lat później. Jeśli chodzi o Niziurskiego, to jego brat Mirosław, muzyk i kompozytor, był sąsiadem mojej rodziny. Mieszkali w bloku, on całymi dniami bębnił na pianinie. Ale mu to wybaczano, bo to brat »tego« Niziurskiego, no to niech bębni, choć można było dostać szału.

Chodziliśmy z Niziurskim do tej samej szkoły, ale on jako rocznik 1925 był ode mnie starszy o dwadzieścia cztery lata. Za moich czasów to już było Liceum Śniadeckiego, ale ten sam budynek, z początku XX wieku. Przeczytałem gdzieś, że on przed wojną mieszkał przy ulicy Karczówkowskiej. To była polna droga wiodąca na wzgórze Karczówka, przy okazji ulubione miejsce spacerów Żeromskiego, samotnych bądź z kolegami. To stwarza pewien łańcuch historii łączących pisarzy i miejsca. Całkiem niedaleko jest Oblęgorek, gdzie mieszkał Sienkiewicz, genialny pisarz dla młodzieży. Przy okazji: Sienkiewicz nie umiał tworzyć bohaterów pierwszoplanowych, są papierowi jak Skrzetuski, a świetne są postaci poboczne, typu Zagłoba, Rzędzian, Roch Kowalski, Luśnia. I Niziurski też kapitalnie tworzył postaci drugoplanowe, wszystkie są jak żywe, do tego noszą zabawne, łatwe do zapamiętania nazwiska”.

Anderman czyta *Księgę urwisów* nie tylko sentymentalnie, ale i politycznie.

Anderman: „Przeczytałem ją na powrót i byłem zdziwiony tym, że ona się nic nie zestarzała. Mogłaby być napisana dzisiaj, mimo że tamta problematyka jest archaiczna. Czytałem ją po raz pierwszy, będąc w wieku bohaterów książki, i wtedy mnie nie obchodziły żadne spółdzielnie produkcyjne. Była dla mnie książką przygodową. Teraz najbardziej zdziwiło mnie, że książka pisana na początku lat pięćdziesiątych zawiera jakieś harce nieprawdopodobne jak na czasy stalinowskie, dowcipy, które Niziurski sobie robi z władzy. To na pewno było ryzykowne. Na przykład po zebraniu w szkole władzy z miejscowymi chłopami uczniowie znajdują flaszki po wódce. To już wręcz niecenzuralne, bo przecież mamy do czynienia ze zdrowym moralnie ludem. Sekretarz gminy, który ciągle wykrzykuje do ludzi »Matko Boska Piekutowska« i »Idźcie z Bogiem!« – niesłychane, że wtedy mogło to przejść przez cenzurę. Kiedy Batura przygotowuje gazetkę szkolną i ktoś mu oddaje tekst, on krytykuje: »No nie, to jest jeszcze gorsze niż w normalnej gazecie«. To już jest uderzenie w świętość, czyli w propagandę stalinowską! Zastanawiające, że cenzor nie zwrócił na to uwagi. A myślę, że książkom przygodowym przyglądano się nie mniej dokładnie niż tym »poważnym« dla dorosłych, bo w końcu chodziło o wychowanie młodzieży. Pojawia się tam przecież górnik, czyli święta klasa pracująca, który dostaje białej gorączki od pijaństwa; też zadziwiające, że na to pozwolono. Powiedzieć, że to jest książka wywrotowa, to może za dużo, ale wówczas większość autorów trzęsła się ze strachu, pisząc powieści, i nie każdy by sobie pozwolił na takie historie jak w *Księdze urwisów*. Choćby taką, gdy ludzie rozpuszczają plotkę, że władza wyłapuje dzieci i zmusza je do

pracy w kopalni. Jest też dziwna informacja, że ojciec Batury jest kowalem, »ale teraz kuźnia jest zamknięta«. To mnie zastanowiło, bo nie przypuszczam, by kuźnie zamykano. Nie było w rolnictwie rozwiniętej motoryzacji, trzeba było kuć konie, naprawiać narzędzia rolnicze, szczególnie tam, gdzie była tak kamienista ziemia jak na Kielecczyźnie. Przecież nawet nie ze względu na powstawanie PGR-u zamknięto kuźnię, bo tam nie powstaje PGR, tylko chcą spółdzielnię zakładać. Jeżeli Niziurski przemyca coś tak nieprawdopodobnego, to znaczy, że kuźnia nie zamknęła się sama, ale po prostu komuniści ojcu Batury odebrali miejsce pracy. Rozkułaczyli go.

Niziurski był świetnym realistą i bardzo precyzyjnie opisywał szczegóły i lokalizacje, dawał dokładne opisy, łącznie z krajobrazami. To wszystko jest tam fantastycznie utrafione, ta biedna kamienista ziemia, biedna i czerwona, bo na Czerwonej Górze była ruda żelaza, która barwiła ziemię. Tak jak pisał Niziurski – po deszczu zamieniało się to w czerwone błocko, przez które brnęło się po kostki.

Księgę urwisów można oczywiście czytać jako przygodową, młodzieżową historię, ale także jako realistyczny opis Kielecczyzny. Jeszcze dwadzieścia, trzydzieści lat temu ta wieś wyglądała niemal identycznie jak w latach pięćdziesiątych, dzisiaj już są tam pewnie tylko wille. Wtedy na Kielecczyźnie panowała straszna bieda, może wokół kopalni było trochę lepiej, ale nędza była straszna z powodu marnej ziemi. Jeszcze w latach sześćdziesiątych wioski były jak żywcem przeniesione z XIX wieku, domy drewniane i kryte strzechą. Dopiero za Gierka to się zaczęło zmieniać, gdy wieś ruszyła do miasta. Kielce w ciągu dziesięciu lat z miasta nie więcej niż dziewięćdziesięciotysięcznego zrobiły się stupięćdziesięciotysięczne.

Księga urwisów jest świetnie napisana. Ma wszystkie niezbędne walory, czyli jest precyzyjnie skonstruowana, dzieją się fantastyczne przygody. Niziurski potrafił tworzyć niesamowite napięcie, pisał znakomite dialogi, no i miał niezwykłe poczucie humoru. Jak to wszystko razem połączyć, to dostajemy dzieło, które zupełnie się nie zestarzało.

Niziurski potrafił prócz tego bez trudu wywoływać wzruszenie! To niesamowite, jak bardzo dobrym był psychologiem i wiedział, co w czytelnika uderzy. Jest parę scen o takim natężeniu emocji, że czapki z głów. Był pomysłowy, wymyślając system komunikacji między domami. Coś podobnego pojawiło się w *Dzieciach z Bullerbyn* Astrid Lindgren, napisanej przed *Księgą urwisów*, ale wydanej w Polsce dopiero w 1957 roku, a więc ładnych parę lat po *Księdze"* – kończy Anderman.

Tajemnica dzikiego szybu z 1956 roku, ekranizacja *Księgi urwisów* w reżyserii Wadima Berestowskiego jest pierwszym scenariuszem Niziurskiego i pierwszą ekranizacją jego prozy. Opiekę artystyczną nad tym filmem sprawowała słynna Wanda Jakubowska. Karlika Rudnioka zagrał wówczas piętnastoletni Damian Damięcki, zaś Franka Miksę – wszak nie brata – młodszy o trzy lata od Damiana Maciej Damięcki, co ciekawe, tutaj podpisany jako Mateusz Górski. Obaj w tym filmie byli już uderzająco podobni do dorosłych Damięckich. W epizodach w roli górnika pojawia się kilka razy Zbigniew Cybulski (bez okularów), zaś nauczyciela Sądeja zagrał bardzo szczupły i młodzieńczy Gustaw Holoubek. Była to jego druga rola filmowa, po Feliksie Dzierżyńskim w filmie *Żołnierz zwycięstwa*, a na rok przed przejmującą rolą alkoholika w *Pętli* Wojciecha Jerzego Hasa według opowiadania Marka Hłaski.

„Zawsze
protestowałem i będę
protestował przeciw
arbitralnym sądom
woluntarystycznym
oraz przeciw osobom
płaszczącym się pod
nędznym płaszczykiem
humanizmu"

Matematyk Podlecki,
„Szkolny lud, Okulla i ja"

Jednocześnie to dość wierna ekranizacja powieści, może też z tej przyczyny, że za scenariusz odpowiadał sam Niziurski, bez niczyjej „pomocy". Artystycznie *Tajemnica dzikiego szybu* mieści się w poetyce filmowego socrealizmu, ale jednocześnie pozbawiona jest nachalności indoktrynacyjnej. Stanowi przykład udanej historii młodzieżowo-sensacyjnej, zarazem jednak widoczna jest inklinacja reżysera do wielkich scen zbiorowych, przemarszów przez wieś mieszkańców bądź uczniów, masowego galopu chłopów i chłopek przez okoliczne pola, marszów uczniów dwójkami ze śpiewem na ustach – to elementy poetyki socrealistycznej. Wszystko to jest głęboko osadzone w polskiej rzeczywistości społecznej i politycznej lat pięćdziesiątych, lecz nie umniejsza to nijak wartości filmu, zdającego się najlepszą i najbardziej przekonującą ekranizacją prozy Niziurskiego. Tym bardziej że pełne dramatyzmu sceny w kopalni, szczególnie w momencie wybuchu i zalewania chodników, robią wrażenie nawet dzisiaj, a co dopiero sześćdziesiąt lat temu.

Barbara Niziurska wspomina czas powstawania *Księgi urwisów*: „Kiedy mąż dostał propozycję napisania powieści dla młodzieży, powiedział tak: »Jedziemy w Kielecczyznę i szukamy jakiegoś terenu, żeby tę książkę napisać«. Pojechaliśmy do Chęcin, tam gdzie jest słynny zamek. I kiedy patrzyłam w dal, widziałam z daleka jakieś skałki, ale zrobiło się późno i wróciliśmy do domu. W kilka dni później mój mąż pojechał tam, żeby zobaczyć te skałki, bo to mu nie dawało spokoju. Tam natrafił na starą kopalnię, a właściwie na stary dziki szyb. Starał się do niego wejść, ale się nie udało, później jednak dostał przepustkę i jacyś inżynierowie go tam wprowadzili. Wrócił w zniszczonych, ubłoconych spodniach i powiedział »Mam

materiał!«. Pamiętam, że niewiele miał par spodni i te najlepsze zniszczył w tej kopalni”.

Jerzy Pilch w drugim tomie swojego *Dziennika* napisał, że kto nie przeczytał w młodości Karola Maya, Aleksandra Dumasa i Edmunda Niziurskiego, ten nie pojmie później Szekspira, Tołstoja, a nawet Monteskiusza. Dziś Pilch, trzymając przed sobą na stoliku kilka sfatygowanych starych wydań wczesnych książek Niziurskiego, mówi o *Księdze urwisów*: „Wiadomo, że pewne teksty, pewne książki możesz przeczytać w dzieciństwie i wtedy one mają sens. Nie da się jednak przeczytać po raz kolejny w życiu w *Pustyni i w puszczy*, mając, powiedzmy, pięćdziesiąt lat. Mając zaś dziesięć lat, góra piętnaście całą *Trylogię* Sienkiewicza można połknąć na raz i wtedy ten pisarz jest najlepszy. Książki mają swój czas i nawet okazuje się, że te, które są wieczne – też mają swój czas. Ponieważ są wieczne w swoim sezonie. Dziś czytana *Księga urwisów* jest jednak socrealistyczna. Teraz, po ponownej lekturze widzę to wyraźnie. Jest hołd złożony doktrynie, ale jednocześnie mamy tu nieczynną kopalnię, jakiś tajemniczy świat podziemi, co nie jest socrealistyczne. To, jak na tamte czasy, jest dziwaczne: świat przedstawiony w częściowo zatopionej kopalni. I to jest mocne, bo Niziurski jest bardzo sprawny w sięganiu do takich mitycznych obszarów”.

MAREK PIEGUS WKRACZA NA SCENĘ

O ile *Księga urwisów* była pierwszym wielkim sukcesem Niziurskiego, to potwierdzeniem wysokiej powieściowej formy, bardziej już pisane na luzie, mniej poważne i mimo

niezwykłych przygód na pewno mniej epickie były *Niewiarygodne przygody Marka Piegusa*, wydane w roku 1959, a zatem już także po trzech tomach opowiadań i dwóch kryminałach.

„Na naszej ulicy mieszkał obywatel trzynastoletni. Znajomi chłopcy powiedzieli mi, że nazywa się Marek Piegus i że chodzi do szóstej klasy. Chłopiec ten już dawno wpadł mi w oko. Może dlatego, że był piegowaty w sposób urągający wszelkim rozsądnym normom, a może dlatego, że miał zawsze strutą minę". Tak zaczyna się druga powieść młodzieżowa Niziurskiego, która podobnie jak *Księga urwisów* przeszła do kanonu, ale jest też pierwszą jego powieścią, gdzie objawiają się w pełni groteskowy humor Niziurskiego, absurdalny rozwój fabuły oraz zastosowanie wielkich kwantyfikatorów i mowy wysokiej do opisania rzeczy z zasady niepoważnych, co nieodmiennie daje efekt niezwykle humorystyczny.

Co ciekawe, w *Piegusie* pojawia się, wspomniany przez harcerza-detektywa Teodora, znany z dwóch powieści kryminalnych Niziurskiego kapitan Kajetan Trepka. Łączy to „poważną" i „niepoważną" drogę pisarską Niziurskiego, dla dorosłych i młodzieży, schodzące się w jednym punkcie – tym jest sposób narracji niemal slapstikowy, cyrkowy, a zarazem wzniosły. Żaden z bohaterów sobie tu nie dowcipkuje, wszyscy są śmiertelnie poważni, co przynosi zawsze efekt humorystyczny. W tym sensie oba kryminały, czyli *Przystań Eskulapa* i *Pięć manekinów* oraz *Piegusa*, więcej ze sobą łączy, niż bardzo poważną, śmiertelnie serio, jak na Niziurskiego, *Księgę urwisów* z *Piegusem* i innymi młodzieżowymi powieściami. Należałoby raczej rozdzielić pisarstwo Niziurskiego nie na „dla dorosłych" i „dla młodzieży", ale na „realistyczne" i „groteskowe". Wśród książek i opowiadań dla młodzieży także przecież znajdziemy teksty bardzo na

poważnie, a nawet, co przyznajemy z niejakim smutkiem, drętwe. A jednak zostaniemy przy podziale na „młodzieżowe” i „dorosłe”, a tymi drugimi zajmiemy się krótko na samym końcu.

Wróćmy jednak do samego Piegusa i jego niewiarygodnych przygód, spowodowanych tym, że jest on niepowtarzalnym, niebywałym i chyba jedynym takim na świecie pechowcem. Czegokolwiek się Marek dotknie – zamienia się w katastrofę. Nawet nie musi się niczego dotykać, wystarczy, że Marek jest w pobliżu i już dzieją się rzeczy niewiarygodne, które żadnemu innemu chłopcu się nie wydarzają. I mimo że przecież każdy nudzący się w szkole i na podwórku uczeń chciałby wreszcie przeżyć jakieś niesamowite przygody, to raczej nie powinien zazdrościć Markowi.

Niziurski wzorował postać Piegusa na swoim synu Marcinie, urodzonym w 1950 roku, a zatem w momencie pisania książki młodszym o ładnych parę lat od powieściowego Marka. Marcin – jak sam przyznaje, i jak potwierdzają wszyscy członkowie rodziny – był w istocie chłopcem nad wyraz pechowym, któremu rozliczne i przykre przygody zdarzały się jak Piegusowi „z niczego”.

Marcin oczywiście identyfikował się z bohaterami książek swojego ojca, nie tylko z Markiem Piegusem, którego był pierwowzorem: „Ja się identyfikowałem po kolei ze wszystkimi bohaterami ojca. Moim zdaniem dobra książka to taka, w której możesz się z kimś, czymś identyfikować. Nawet jak czytasz przewodnik turystyczny, to identyfikuj się z opisywanym jeziorem albo górą. Z czymś musisz, choćby z atmosferą. Kiedyś rozmawiałem z Arturem Sandauerem na temat *Auto-da-fé* Canettiego, którą mu polecałem, a on powiedział, że nie podoba mu się, bo nie może się identyfikować z żadnym bohaterem, charakterologicznie są mu obcy. Pomyślałem wtedy, że sporo

w jego stanowisku racji; dobra książka to taka, z którą czytelnik może zawrzeć niejako osobisty układ. Przecież Marek Piegus to jestem ja. To były w pewnej mierze moje przygody, choćby przygoda z wędką, podczas której zrujnowałem cały dom. Ojciec wziął moje wybryki, podkręcił je i opisał. Postanowił sobie w jakiś sposób wynagrodzić te zniszczenia, jakich dokonywałem. Oczywiście nie rzucił mnie na żer prawdziwym przestępcom, choć ja sam w swoim mniemaniu miałem przygody z przestępcami. Mimo że nie byli to prawdziwi przestępcy, ale wyobraźnia dziecięca pracuje. Ojciec skompilował parę moich przygód, nawet przeze mnie wymyślonych, doprawił je swoją wyobraźnią i powstały perypetie Marka Piegusa. Często nie miałem odwagi przyznać się ojcu, że spóźniłem się na obiad cztery godziny dlatego, że grałem w piłkę. Albo dlatego, że zostałem przez kolegów strącony do wielkiego dołu i zaczęli mnie zasypywać piachem i palącymi się głowniami. Im się znudziło, zgłodnieli i dlatego poparzony tu i ówdzie przeżyłem. W dodatku byłem z moją młodszą siostrą Agnieszką i ją chroniłem, zasłaniałem sobą, a na mnie leciały te pochodnie. Dzieci są straszne! O tym zdarzeniu rodzicom nie powiedziałem. Natomiast powiedziałem, że nie mogłem przyjść wcześniej do domu, ponieważ miałem bardzo przykrą rozmowę z pewnym panem, który mnie poprosił, abym mu wskazał drogę, a później nie mogłem się od niego uwolnić. Już nie pamiętam, co mówiłem, zacząłem klepać jak to ja, po swojemu, jakąś kryminalną intrygę, że oto niechcący stałem się głównym sprawcą wybryków bandy gangsterów i jak przyjdzie do nas milicja, to mnie nie ma. Ojciec zawsze słuchał mnie z zainteresowaniem, nigdy nie uważał mnie za psychopatę, nawet jak dostałem kategorię »E« na komisji poborowej do wojska. A musiałem ją dostać, żeby nie

iść na dwa lata, bo ja bym w wojsku nawet dwóch dni nie wytrzymał”.

Marek Piegus nie jest nawet w stanie odrobić lekcji, bo nie dość, że w jego pokoju mieszka sublokator Anatol Surma – muzyk multiinstrumentalista, aktor występujący jako kowboj, względnie Meksykanin w kabarecie „Arizona” – to nawiedza go nieustannie znajomy muzyk Cezary Cedur, nieustępliwie usiłujący pożyczyć od Surmy wiolonczelę, której ten z kolei za nic nie chce udostępnić, mówiąc, że „wiolonczela to moja żona”. Jest jeszcze kuzyn Alek, atleta, który także zabiera przestrzeń życiową Marka. Do tego dochodzą żyjące za ścianą siostry Marka – Jadźka i Kryśka (czyli prawdziwe siostry Marcina Niziurskiego, Anna i Agnieszka), z którymi oczywiście nie da się żyć, jak to z dziewczynami. Jakby tego było mało, naloty na dom Piegusów urządza ciocia Dora, domorosła lekarka, która przemocą usiłuje leczyć całą rodzinę, aplikując Markowi wciąż różne tajemnicze pastylki. Poza tym wpadają a to koledzy Czesiek i Grzesiek, a to bokserzy Buba Pierwszy oraz Buba Drugi, wraz z pięściarzem kategorii muszej Czopkiem, a to pielęgniarze sprowadzeni fałszywym alarmem, że w mieszkaniu znajduje się ofiara tyfusu.

Marek zatem nie ma możliwości, by normalnie funkcjonować nawet w rodzinnym domu, a na dodatek w szkole także prześladuje go pech, a także terror wprowadzony przez „Przerośniętych”, a więc starszych uczniów „zimujących” kolejny rok w tej samej klasie. „Silnych, głupich i złośliwych”, takich jak Zdeb, Pumeks Drugi, brat Pumeksa Pierwszego z klasy jedenastej czy przerośnięta Buba, siostra bokserów Buby Pierwszego i Buby Drugiego. „Przerośnięci” każą się golić, podpowiadać sobie w czasie odpytywania przy tablicy, czy nawet robić manicure, jak Buba, siostra bokserów Bubów.

Nic dziwnego zatem, że nieszczęsny Piegus nie widzi innego wyjścia niż udać się na wagary, bo chyba tylko z dala od szkoły i domu jest w stanie zaznać chwili spokoju. I tutaj dopiero zaczynają się prawdziwe kłopoty. Marek w czasie wagarów natyka się na znerwicowanego wypłosza z tornistrem, ewidentnie przed kimś uciekającego. Na skutek zamieszania wypłosz zabiera Markowi jego tornister, zostawiając mu swój. Ów tornister będzie przedmiotem pożądania wybitnego przestępcy Wieńczysława Nieszczególnego, który w tym oto momencie wkracza na scenę pisarstwa Niziurskiego i szerzej – do dziedzictwa polskiej literatury.

W tornistrze wypłosza, syna innego znanego przestępcy Chryzostoma Cherlawego, znajduje się skrytka, w której ukrywa się skradzione kosztowności, a uczeń, podobnie jak wielu innych, pełni funkcję kuriera, tzw. osiołka. Stąd Marek, a dokładnie jego tornister, staje się obiektem polowania Nieszczególnego. Przestępcy, na których żeruje Nieszczególny, porywają zatem Piegusa. Na scenę wkracza cała plejada znakomitych opryszków, którzy będą przewijali się przez takie przyszłe książki Niziurskiego jak kontynuacja *Piegusa* napisana po niemal czterdziestu latach czy *Klub włóczykijów*.

— Jestem uwięziony przez flaszkę pod płackiem.

Źródło: „Niewiarygodne przygody Marka Piegusa”

Tyle że wciąż jakby w drugoplanowych rolach, bo żadnej kwestii Nieszczególnego z jego ust nie usłyszymy, nawet dokładnie go nie zobaczymy, bo maskuje się długą brodą, a usłyszymy tylko jego szatański śmiech, gdy sprytnie zamknie Cedura i Alka w klatce z lwami w zoo. Podobnie jest z Albertem Flaszem, królem warszawskiego podziemia przestępczego, brutalem i alkoholikiem, a zarazem doskonałym

organizatorem. Osobiście zetkniemy się wyłącznie z Chryzostomem Cherlawym, płaczliwym, słabowitym chudzielcem oraz Teofilem Bosmannem, potężnym bandziorem, nieustannie myjącym swe nieodłączne rękawiczki w benzynie.

Do akcji pierwej wkracza sławny emerytowany detektyw Hippollit Kwass, a po jego uprowadzeniu przez przestępców – grupa harcerzy z zastępu o specjalności detektywistycznej (!) pod przywództwem genialnego Teodora i jego druhów – Pirydona czy Nudysa.

Za zabawną, choć formalnie groźną intrygą kryje się też poważny wątek społeczny, mianowicie niedoboru mieszkań w powojennej Warszawie. Ponad dziesięć lat po zakończeniu wojny instytucja sublokatora nadal jest czymś powszechnym i naturalnym. Podobnie ma się sprawa z dostępnością do łazienek. Finał powieści wszak ma miejsce w „łaźni miejskiej numer 17 przy ulicy Bednarskiej", gdzie w sobotę „panował jak zwykle nieopisany tłok", tłumy mężczyzn starały się wreszcie zaznać ożywczej kąpieli i doprowadzić ciała do cywilizowanych standardów higienicznych. To tam przebijają się z podziemi nasi harcerze wraz z Markiem i Kwassem, wywalając dziurę dokładnie pod wanną numer 49, w której kąpie się doktor Ildefons Stułbia.

Hippollit Kwass pierwotnie nazywał się Hipolit Kwas, lecz z powodu istnienia w Polsce dokładnie 328 innych Hipolitów Kwasów, dodał sobie po jednym „p", „l" i „s" do imienia i nazwiska, gdyż wielu przestępców usiłowało zemścić się na pozostałych Kwasach, nie mówiąc o zakochanych kobietach, uderzających do niczego nieświadomych 328 Kwasów.

Kwass jest też specjalistą od osmologii, czyli nauki o wykorzystywaniu zapachów, także w dziedzinie kryminalistyki – po nich poznaje się, że w okolicy grasują

przestępcy. Nieszczególny zażywa walerianę (trzydzieści kropel) przed wykonaniem przestępczej roboty, Bogumił Kadryll, „wybitny kieszonkowiec”, pracujący zawsze w stroju wizytowym nie może z kolei powstrzymać się przed skropieniem się wodą jaśminową, choć wie, że w ten sposób można go zdemaskować. Teofil Bosmann zaś zawsze pozostawia po sobie zapach benzyny, w której myje natrętnie swoje czarne rękawiczki.

Warszawa we wczesnych książkach Niziurskiego to wciąż miasto ruin, domów grożących zawaleniem, sublokatorów. To bardziej rudery i zgliszcza są scenografią przygód bohaterów tej prozy niż nowiutki Pałac Kultury czy też MDM – Marszałkowska Dzielnica Mieszkaniowa, chluba ludowego budownictwa ukończona w ekspresowym trybie, szybciej niż współczesne osiedla apartamentowców i oddana do użytkowania w lipcu 1952 roku. Podobnie nie pojawiają się tak sensacyjne miejsca jak schody ruchome przy Trasie W-Z, oddane do użytku w 1949 roku – 22 lipca ma się rozumieć, tak jak 22 lipca, tyle że trzy lata później, ukończono MDM. Data manifestu lipcowego była wówczas obowiązującym terminem ukończenia budowy czegokolwiek. Warszawa z ówczesnych książek Niziurskiego jest całkiem podobna do tej, którą znamy ze *Złego* Leopolda Tyrmanda.

Z pewnością wielekroć mniej czytelników, także z powodów czysto biologicznych, przeczytało kontynuację perypetii pechowego chłopca, detektywa Kwassa, Teofila Bosmanna oraz innych postaci pamiętanych z *Niewiarygodnych przygód Marka Piegusa*. Osobiście nawet zdarzało mi się spotykać wielbicieli *Piegusa*, którzy o istnieniu kontynuacji w ogóle nie wiedzieli.

Nowe przygody Marka Piegusa (również niewiarygodne) ukazały się w roku 1997, gdy forma pisarska Niziurskiego

zdecydowanie już dołowała. Zostały wydane aż trzydzieści osiem lat po pierwowzorze, choć sam Marek nie postarzał się ani trochę, podobnie jak inni bohaterowie, mimo że akcja nie rozgrywa się już w czasach gomułkowskich, ale w pierwszej dekadzie po odzyskaniu wolności.

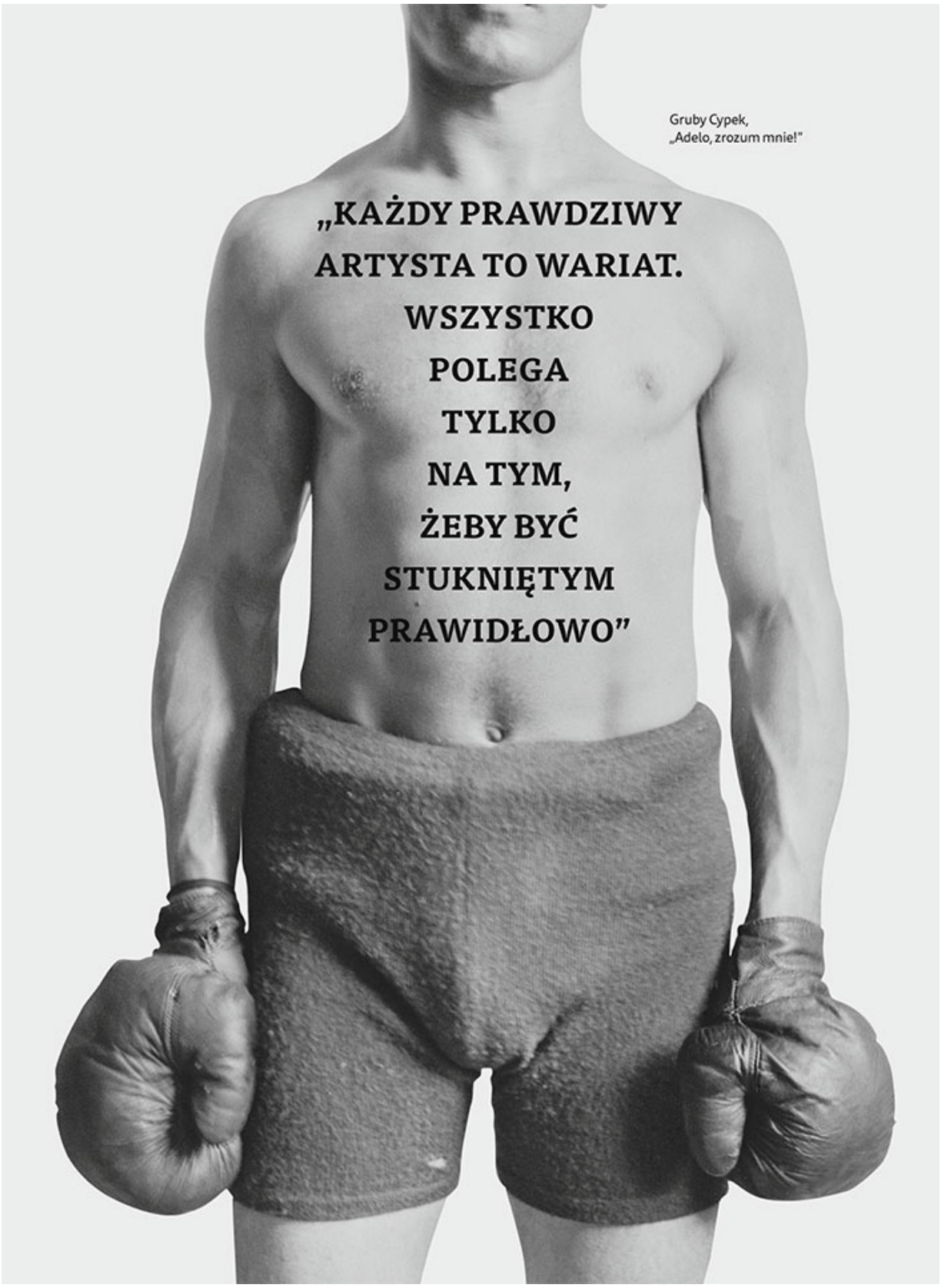

Gruby Cypek,
„Adelo, zrozum mnie!”

Marek mieszka, po przeprowadzce z Bielan, z rodzicami w nowym mieszkaniu na Szczęśliwicach, tam gdzie Niziurski lubił chodzić, wyprawiając się na spacery z Miłobędzkiej. W kontynuacji *Niewiarygodnych przygód Marka Piegusa* jego nowi koledzy w szkole na Ochocie „rozpieszczają" go, bo czytali książkę o jego przygodach. *Nowe przygody Marka Piegusa* są powieścią bardzo intertekstualną, a protagoniści mają poniekąd świadomość tego, że są postaciami literackimi, choć nie fikcyjnymi. Zatem żyją w przekonaniu o swym swoistym celebrytyzmie literackim. Co więcej, Piegusowie wciąż trzymają u siebie sublokatora Surmę, nieudacznego muzyka multiinstrumentalistę, podobnie jak w pierwszej części z 1959 roku, zatem musieli się przeprowadzić z Bielan razem z nim. Choć przecież w 1997 roku sublokatorstwo raczej nie było już tak nagminne jak w czasach gomułkowskich, a nawet niezbyt majętnego muzyka byłoby stać na wynajęcie samodzielnej kawalerki. Piegusowie mieszkają w dziesięciopiętrowym bloku przy ulicy Archiwistów blisko parku Szczęśliwickiego. O ile taka ulica nie istnieje, to w okolicy można znaleźć ulicę Architektów, leżącą między Urbanistów a Grójecką.

Marek oczywiście nadal ma strasznego pecha i ładuje się w bardzo niebezpieczną aferę kryminalną, a ta zaczyna się od handlu wężami – Piegus postanawia kupić od kolegi dwie młode, zaledwie metrowe anakondy. Jednocześnie na horyzoncie pojawia się tajemniczy Mustafon Idiosynkrazy, mężczyzna ze sztuczną brodą i pochodzenia „turko-tatarsko-ujgurskiego", wręczający Markowi tajemnicze puzderko, które naturalnie będzie zaczynem strasznych kłopotów chłopca. To dopiero początek i teraz akcja przyspiesza gwałtownie, a na scenę wbiega tłum postaci: fałszywi strażacy na czele ze zbirem Fastrygą o pokiereszowanej twarzy, fałszywi monterzy alarmów, pamiętny melancholijny bandzior Teofil Bosmann,

wciąż noszący rękawiczki i czyszczący je benzyną. Co więcej, pojawiają się również Chryzostom Cherlawy, Albert Flasz, dziś potężny mafioso, a także duet Kadryll – Nieszczególny, a nawet wzięty z *Klubu włóczykijów* stryj Dionizy Kiwajłło, tym razem jako krewny Piegusa (!), a nie Kornela Kiwajłły, Bąbel i Syfon z najnowszych książek Niziurskiego, a także nowe, choć poboczne figury przestępców jak Eulaliusz Trel czy Gargamel. Słowem *Nowe przygody Marka Piegusa* stanowią coś jak literacki odpowiednik popularnych filmów o superbohaterach, gdzie do jednego filmu wstawia się postaci z różnych komiksów: Batmana, Supermana, Spider-Mana, Wonder Woman, Kapitana Amerykę, Iron Mana i tak dalej. Tyle że „superbohaterowie" u Niziurskiego wpadają nieustannie w tarapaty spowodowane ich nierozgarnięciem, nieudacznością bądź niebywałym zupełnie pechem, o nieprawdopodobnych zbiegach okoliczności nie wspominając. Można jeszcze uznać nowe przygody Piegusa za swoiste pożegnanie Niziurskiego z pisarstwem, którego widowiskowym elementem miała być defilada jego najsłynniejszych i najulubieńszych bohaterów.

Mieszkanie Piegusów pod nieobecność mamy Marka zamienia się w arenę walki przestępców, uczniów, dziwnych magików, pojawia się nawet domokrążczyni, sprzedająca fantastyczne odkurzacze „Tornado 2000", które same sprzątają całe mieszkanie. Można tu znaleźć aluzję do szaleńczo drogich i niebywale modnych swego czasu odkurzaczy „Rainbow", sprzedawanych przez akwizytorów chodzących po mieszkaniach, tak jak czyniła to ze środkami czystości zapomniana już chyba dziś firma Amway. Oczywiście sprzedawczyni odkurzaczy także jest na usługach przestępców, bo w tym korowodzie postaci rozliczni rabusie, oszuści, agenci

wpadają na siebie niemal jak pasażerowie gwałtownie hamującego autobusu.

Kluczowym przestępcą jest tu tym razem Albert Flasz, stojący na czele dwóch organizacji – „Minotaur” i „Rautonim” – ta druga nazwa to ananim od „Minotaur”. „Minotaur” zajmuje się wywiadem i rozpoznaniem pod płaszczykiem agencji ochrony mienia (w latach dziewięćdziesiątych granica między firmami ochroniarskimi a gangami bywała płynna i niewyraźna), „Rautonim” zaś atakuje i „odstrzeliwuje”.

Lata dziewięćdziesiąte to także czas, kiedy niedawni przestępcy rozpoczęli kariery biznesmenów, a nawet polityków. Detektyw Kwass, kolejna z powracających postaci mówi tak o przestępcach: „Połowa z nich zajęła się obecnie wielkim biznesem i polityką! W przypadku doktora Bogumiła Kadrylla narkotyk polityki okazał się silniejszy od starych nawyków. Stwierdziłem ponad wszelką wątpliwość, że ten niebezpieczny przestępca zaniechał wulgarnego szprycowania się wodą kwiatową o zapachu jaśminu. Zapewne zauważył, że robiło to niekorzystne wrażenie w sferach, w których się teraz obraca. Podobnie Wieńczysław Nieszczególny przezwyciężył nałóg zażywania waleriany. Tak synku, wielki biznes i polityka zmieniają ludzi nie do poznania”.

Natomiast nałogu nie przezwyciężył Albert Flasz, który pije jeszcze więcej, niż pił, jest zadeklarowanym alkoholikiem, zwiększył przyjmowane dawki ulubionej dalmatyńskiej śliwowicy trzykrotnie! Nie słucha lekarzy, którzy zdiagnozowali mu chorą wątrobę, wódkę pije wręcz szklankami. Alkoholizm Flasza bardzo denerwuje Teofila Bosmanna, który walczy z patologiami, propagując „trzeźwość i powściągliwość” wśród rabusiów, poza tym Flasz mianował na swego szefa ochrony Fastrygę, kumpla od kieliszka.

Flasz jest przywódcą mafii Moczydłowskiej, groźniejszej niż sławne w latach dziewięćdziesiątych istniejące w rzeczywistości mafie pruszkowska i wołomińska. Nazwa bierze się z pewnością od parku Moczydło na warszawskiej Woli, fragmentu osiedla Koło w tej dzielnicy. Chyba że chodzi o osiedle Moczydło na obrzeżach Ursynowa, gdzie jeszcze w latach powojennych istniała wieś o tej nazwie, ale to mniej prawdopodobne.

Wcześniej banda Flasza urzędowała – co pamiętamy z pierwszej części – w katakumbach kościoła, obecnie Flasz buduje dwudziestopięciopiętrowy biurowiec „Albert Flash Enterprises". Jak wiadomo, po nastaniu kapitalizmu nastąpił istny wysyp anglojęzycznych nazw przedsiębiorstw, co często dawało efekt humorystyczny. Niestety, firma Flasza wpadła w spiralę zadłużenia, duszą ją złe kredyty. Poza tym ma bardzo potężną konkurencję w dziedzinie usługi prania brudnych pieniędzy w postaci firmy „Phoenix" Kadrylla i Nieszczególnego.

Pranie brudnych pieniędzy zdaje się sprawą kluczową w niebywale pogmatwanej intrydze *Nowych przygód Marka Piegusa*. Główna pralnia znajduje się w Konstancinie, symbolu nowej kapitalistycznej i dorobkiewiczowskiej Polski. Tam też, w Konstancinie, w fałszywym sanatorium, ukrywany jest porwany Piegus. Znów daje znać o sobie język bohaterów Niziurskiego. Kasjerzy-pracze Kluś i Męczyk takiego oto słownictwa używają, tłumacząc Kwassowi zawiłości procederu: „Daleko posunięta inkoherencja może zaowocować dywergencją. Wskutek czego poprzez niebezpieczną dysjunkcję i dysocjację popada pan szybko w katalepsję, albo jeszcze gorzej, w inhibicję generalną, co prowadzi nieuchronnie do kompletnej inkongruencji, a to już grozi głęboką enteroptozą, a w następstwie ogólną klapseologią psychosomatyczną przy

towarzyszącej dyspepsji i galopującej perystaltyce”. Oczywiście wywód ten pozbawiony jest jakiegokolwiek sensu, lecz nagromadzenie nieznanych bądź niezrozumiałych słów (słowniki na półkach pracowni Niziurskiego nie stały tam bez przyczyny!) mogło zrobić wrażenie nawet na detektywie Kwassie, a co dopiero na zwykłym obywatelu rzuconym w odmęty młodego polskiego kapitalizmu. Zapewne zdarzało się wam nieraz siedzieć naprzeciw doradcy finansowego bądź ubezpieczeniowego z głupią miną i udawać, że coś rozumiecie z jego nowomowy, a nie chcieliście przecież prać brudnych pieniędzy, tylko ulokować oszczędności. Jednak ów bełkot Klusia i Męczyka to także ulubiona metoda retoryczna bohaterów Niziurskiego, gdy znajdują się w sytuacji stresowej: szkolnej bądź sensacyjno-przestępczej, bo to przecież dwa główne pola aktywności bohaterów tej prozy. Ta metoda to zagadywanie, wylewanie wiader logorei, z koniecznym wplątywaniem skomplikowanego słownictwa, często naukowego, technicznego, mnożenie nieprawdopodobnych opowieści, z których nic nie wynika, a plecie się je jedynie, by zyskać na czasie bądź omamić i rozbroić rozmówcę: nauczyciela, opryszka, detektywa czy też kogoś z rodziny.

Co ciekawsze – wśród różnych sposobów prania pieniędzy Kluś i Męczyk oferują też możliwość lokowania „brudasów” w FIKALB-i – Funduszu Instytutu Kształcenia Artystycznego Ludzi Biznesu. Inwestując w ten sposób można nie tylko wyprać pieniądze, ale i zostać prawdziwym malarzem albo pisarzem, dzięki kursom dokształceniowym oraz wsparciu funduszu oferującego farby, blejtramy, płótna albo komputer i drukarkę („Maszyna do pisania to przestarzały rekwizyt. Stawiamy na nowoczesność!”).

Nowe przygody Marka Piegusa należały już do książek, w których styl Niziurskiego tracił swoją finezję, pogmatwana

akcja dominowała nad warstwą językową, sam język bohaterów przestawał być wykwintny, za to coraz częściej pojawiał się raczej nieznany wcześniej wulgaryzm w dialogach w rodzaju „Zamknij się, śmierdzi ci z gęby” czy „Spływaj stąd, śmierdzielu!”. Największą zaletą sequela *Marka Piegusa* jest groteskowy obraz wczesnego polskiego kapitalizmu, wolnego rynku, manii prywatyzacyjnej i przenikania się biznesu ze światem przestępczym. Obok wydanych w połowie lat dziewięćdziesiątych *Pięciu melonów na rękę* ta książka pozostaje jednym z najlepszych obrazów (oczywiście w krzywym zwierciadle) Polski pierwszej połowy lat dziewięćdziesiątych.

Rzecz ciekawa: *Nowe przygody*… urywają się bez finałowego rozwiązania, jakby przed ostatecznym starciem. Ostatni akapit powieści brzmi: „Kto mógł wtedy przypuszczać, że już najbliższe minuty przyniosą nagły i niewiarygodny zwrot akcji i na spokojny sen w wygodnym łóżku Marek musi jeszcze trochę poczekać”. I co jeszcze ciekawsze, nie jest wykluczone, że Niziurski planował ciąg dalszy, czyli trzecią część przygód Piegusa, lecz nigdy jej nie napisał.

Niziurski miał niesamowity talent do wymyślania przezabawnych, a przy tym często znaczących nazwisk. Niemal każdy z jego bohaterów nosi nietypowe nazwisko, tak samo jak jego właściciel prawie zawsze jest postacią niezwyczajną, dziwaczną. Przecież wielekroć tak było, że wystarczyło, by na scenie powieści pojawił się osobnik o cudacznym nazwisku, a my już pękaliśmy ze śmiechu.

Mariusz Czubaj, pisarz, antropolog kultury: „Niziurski był mistrzem onomastyki, czyli posiadł nadzwyczajną umiejętność wymyślania niezapomnianych imion, nazwisk i nazw miejscowych. Niziurski, pomijając Sienkiewicza i może Mrożka,

to pisarz, który ma największą wyobraźnię do nazwisk, stosuje coś w rodzaju skrótu poetyckiego. Te nazwiska były zawsze na tyle plastyczne, że od razu nie dość, że łączyły się z pewnymi cechami noszących ich bohaterów, to jeszcze my, słysząc samo nazwisko, coś sobie wyobrażaliśmy w tej sprawie. To niesłychanie rzadka umiejętność. Większość nazwisk bohaterów polskiej literatury młodzieżowej nie zapadła mi w pamięć. Oczywiście pamiętam, że w *Panu Samochodziku* jest Tomasz oraz jest Waldemar Batura, ale to wszystko. U Szklarskiego w *Tomkach*… wszyscy nazywają się jak z książki telefonicznej: Wilmowski, Nowicki, Smuga. Niezależnie, czy mówimy o literaturze młodzieżowej, czy jakiejkolwiek innej, to u Niziurskiego są najlepsze nazwiska: Teofil Bosmann, Hippollit Kwass, kapitan Trepka, Marek Piegus, Anatol Surma. W tych imionach i nazwiskach jest od razu zawarta pewna charakterystyka bohatera. Tak samo nazwy miejscowości, na przykład Odrzywoły. Przecież nie sposób zapomnieć takiej nazwy miasta, gdzie się obdzierało woły. To jest jedna z umiejętności pisarskich, które się albo ma, albo których się nie ma. Wystarczy usłyszeć, że akcja powieści rozgrywa się w Gnypowicach Wielkich i już je sobie wyobrażamy”.

Jarosław Strzębski wspomina, że wuj Edmund przyznał mu się kiedyś, że najciekawsze nazwiska znajduje na cmentarzach: przechadza się między grobami i wynajduje co bardziej intrygujące, dziwniej brzmiące, choć oczywiście wiele sam wymyślił.

Niziurski bezapelacyjnie był również mistrzem ostatnich zdań. Niekoniecznie pierwszych, kluczowych zdań książki, choć zazwyczaj miał bardzo dobre wejścia, wprowadzające w intrygę. Najlepszy był jednak w zakończeniach, najczęściej otwartych, a przy tym nierzadko smutnych, tak że czytelnik

mógł dowolnie zaprojektować we własnej wyobraźni ciąg dalszy.

„Szliśmy coraz głębiej w las. Serce mi biło mocno. Myślałem: tak się boję, a idę za nim. Co mnie ciągnie w ten las? Tak się boję, a idę” – to zakończenie *Osobliwych przypadków Cymeona Maksymalnego*.

„Jutro zaczną się wakacje. Po raz pierwszy są mi dokładnie obojętne. Nie snuję żadnych planów. Patrzę ospale przez okno. Słońce niemrawo przebija się przez ciężkie chmury. Jeśli będzie pogoda, Adela przyjdzie na korty… Stanę z boku, przy siatce, i będę patrzył z daleka” – to z kolei rozdzierająco melancholijne zakończenie powieści *Adelo, zrozum mnie!*.

NIEKŁAJ, CZYLI CAŁY ŚWIAT

Trzy lata po *Niewiarygodnych przygodach Marka Piegusa* (i trzydzieści pięć lat przed *Nowymi przygodami Marka Piegusa*) ukazała się kolejna powieść Niziurskiego, której w ciekawy sposób bliżej jest do *Księgi urwisów* niźli do zwariowanych wybryków Cedura, Cherlawego, Bosmanna, Kwassa, Nieszczególnego i Kadrylla. Nad wydaną w 1962 roku *Awanturą w Niekłaju* wisi ciężkie odium socrealistycznych powinności, nie mniejsze niż nad *Księgą urwisów*, a na dodatek widać wyraźnie, że ironiczny, prześmiewczy, groteskowy, a zarazem przesiąknięty melancholią styl dojrzałego Niziurskiego jeszcze się całkowicie nie wytworzył. W kanonie wybitnych książek pisarza *Awantura w Niekłaju* ciągnęłaby się w ogonie peletonu, i dziś pozostaje na dobrą sprawę głównie sentymentalnym wspomnieniem dla tych, którzy właśnie w okolicy tej powieści rozstali się z pisarstwem Niziurskiego. Rozstali się oczywiście z przyczyn czysto biologicznych, mianowicie z powodu

dorastania do innych lektur. Będąc regresem w stosunku do brawurowych, wcześniejszych *Niewiarygodnych przygód Marka Piegusa* pozostaje jednak *Awantura w Niekłaju* książką bardzo ważną w dorobku pisarza, także dlatego że narodziła się z niej całkiem pokaźna gromadka opowiadań „niekłajskich", nierzadko lepszych od samej powieści-matki (o czym będzie opowiedziane w rozdziale o nowelistyce Niziurskiego).

Oto miasteczko Niekłaj, upalny lipiec, gdy większość dzieci musiała zostać w rodzinnej miejscowości, bo nie dla wszystkich starczyło miejsca i pieniędzy, by wysłać je na kolonie i obozy letnie. Zbliża się rocznica bitwy pod Grunwaldem, którą Niekłaj uczci inscenizacją, przygotowaną przez uczniów pod czujną opieką harcmistrza doktora Gwidona Otrębusa, miejscowego lekarza i społecznika, aktywisty, wręcz pozytywisty pracującego u podstaw oraz organicznie. Biedna to będzie inscenizacja, czy też, jak dziś byśmy powiedzieli, „rekonstrukcja", bo dzieciaki biegają po niekłajskich błoniach u podnóża fabrycznych hałd w nędznych hełmach z wybrakowanych durszlaków i dziurawych garnków.

Niekłaj to rozrastające się miasto, gdzie żyją tubylcy, mieszkańcy zasiedziali, ale też pojawiają się nowi, przyjezdni, osadnicy zwabieni (bądź delegowani) życiowymi szansami związanymi z rozwojem przemysłu, co musi nieuchronnie prowadzić do napięć i konfliktów. W Niekłaju bowiem powstały nowoczesne zakłady metalurgiczne, gdzie praca wre na trzy zmiany i powstają epokowe wynalazki, które przyczynią się do rozwoju polskiej potęgi.

Oto mamy „Piratów", czyli tubylczą dzieciarnię męską zjednoczoną pod przywództwem niejakiego Zenona (poprzedni szef, Stefan, odsiaduje swoje w poprawczaku) oraz tubylcze dziewczynki ze Związku Zielonych Jaszczurek pod przywództwem rezolutnej Anki. Ich przeciwnikami są

„Koloniści” czyli oficjalnie nazywające się Federacją Astronautów dzieci z nowych bloków, przybyłe do Niekłaja wraz z rodzicami zatrudnionymi w rozkręcających produkcję strategicznych zakładach. Wodzem „Kolonistów” jest Andrzej Kszyk, cherlawy okularnik, ale świetny, inteligentny organizator, po prawdzie harcerz, jak i wszyscy „Koloniści”. Walka toczy się o panowanie nad zdziczałym Ogrodem, gdzie podług legendy zakopane są „skrzynie Szwajsa” ze skarbami. Ów Szwajs, niemiecki fabrykant, ewakuował się wraz z Wehrmachtem na kilka dni przed nadejściem Rosjan, zakopując właśnie w Ogrodzie skrzynie, do których dotrzeć chcą „Piraci”. W tym celu opiekują się schorowanym alkoholikiem Henrykiem Reją, zwanym „Bosmanem”, który w zamian za jedzenie i napoje wyskokowe raczy ich opowieściami o swych przygodach na morzach południowych, a także mami perspektywą wyjawienia, gdzie zakopane są skrzynie. Bosman leży obłożnie chory u swej siostry, ubogiej wdowy Biegańskiej, i marzy o ucieczce nad morze, by jeszcze raz zamustrować na statek, choć czytelnik od początku ma świadomość, że nic z tego nie będzie. „Piraci” jednak, rojąc wciąż o skrzyniach Szwajsa, nie dość, że nielegalnie dokarmiając i pojąc Bosmana, a także za plecami wdowy dbając o obejście i żywy inwentarz, pomagają Rei w rozpaczliwej i groteskowej próbie ucieczki do Gdyni, która to ucieczka kończy się na stacji kolejowej w Niekłaju, gdzie Bosman zamiast wsiąść w pociąg, popada w pijaństwo z przypadkowo spotkanymi żulami.

ARKUSZ EGZAMINACYJNY NR 2
NIZIURSKOLOGIA. POZIOM ŚREDNIO ZAAWANSOWANY

Uważnie przeczytaj pytania i zaznacz właściwą odpowiedź.

PYTANIE 1
Wiersz „Męka poety” został napisany przez

A) Jerzego Cypałłę.
B) Maksymiliana Ogromskiego.
C) Klasę ósmą szkoły na Zabuczu.

PYTANIE 2
Cezary Cedur odpędza lwy w zoo za pomocą zapachu

A) Wody jaśminowej doktora Kadrylla.
B) Wody kwiatowej „Siedem czarów”.
C) Wody kolońskiej „Big-beat.”

PYTANIE 3
Maciek Kwękacz, aby zostać „Wspaniałym”, postanawia uciec z domu, pakuje się do skrzyni, żeby w ten sposób wyjechać nielegalnie do

A) Kanady, by zostać traperem.
B) Kenii, gdzie będzie polował na dzikie zwierzęta.
C) Wietnamu, aby przyłączyć się do walki z imperializmem.

Grzegorz Kasdepke, znany autor literatury dziecięcej: „*Awantura w Niekłaju* sprawiła, że marzyłem o tym, żeby mieć żółte buty, ponieważ bosman Reja – którym opiekowali się chłopcy i przemycali go na stację kolejową, przykrytego w wózku papierami – miał właśnie żółte buty. I mam, kupiłem sobie w zeszłym roku! Kupiłem żółte reeboki – tylko dlatego, że były żółte, ponieważ jako dzieciak chciałem mieć żółte buty, a jak wiadomo w PRL-u to było pragnienie nie do spełnienia.”

Konflikt w powieści tak naprawdę rozgrywa się między nowoczesną, uświadomioną politycznie i społecznie młodzieżą z „Kolonistów” a jeszcze niewyedukowaną ludnością tubylczą. To swoiste starcie nowego, postępowego ze starym, skostniałym, zabobonnym. „Koloniści” nie szukają skarbów, chcą uporządkować Ogród, zrobić tam miejsca do uprawiania sportu, zaś zarówno „Jaszczurki”, jak i „Piraci” hołubią baśnie, legendy, magię tego miejsca. „Piraci” mają flagę z konturem Afryki oraz hasłem „Śmierć kolonizmowi i imperializmowi”, które pozornie postępowe, wydaje się naprawdę postępowemu Kszykowi śmieszne i dziecinne.

O ile lekka drętwota literacka tej książki może być czasami konfudująca, szczególnie na tle późniejszych, niebywale zabawnych powieści Niziurskiego, można znaleźć momenty przyszłego stylu pisania autora *Sposobu na Alcybiadesa*. Widać wyraźnie, że charakterystyczny, niepowtarzalny styl Niziurskiego dopiero wykluwa się w niejakich bólach, ale dadzą się już zauważyć przebłyski geniuszu. Tak, geniusz nie jest cechą przydaną, naturalnie przychodzącą w chwili narodzin, geniusz jest umiejętnością, którą należy dopiero w sobie odnaleźć i oszlifować, wydoskonalić. Taką genialną sceną, z pewnością wyrastającą

ponad całą powieść, jest rozmowa wdowy Biegańskiej z doktorem Otrębusem, który prócz spełniania się w pasji społecznikowskiej i wychowawczej, zajmuje się także swym podstawowym zajęciem, mianowicie leczeniem mieszkańców Niekłaja.

Biegańska opowiada Otrębusowi, jak to w jej domu samo się sprząta, zwierzęta, mimo że nie mają prawie nic do jedzenia, tyją, podobnie jak żywiony wyłącznie dietetycznymi kaszkami Bosman nabiera ciała w alarmistycznym tempie. Jedynie sama wdowa chudnie i marnieje, co zapewne jest działaniem ciemnych sił szatańskich. Otrębus, wszak peerelowski harcerz, lekarz, zatem, szczególnie w tamtych czasach, materialista, czuje się nadzwyczaj niezręcznie, bo nie umie wytłumaczyć nieszczęsnej, przeżartej przez zabobony starszej kobiecie, że to niemożliwe, aby zwierzęta czy Bosman, nic nie jedząc, tyli, krowa zwariowała, bo krowy raczej nie cierpią na choroby umysłowe, a w każdym razie na pewno nie jest to działalność diabła. Natomiast sama Biegańska być może powinna poddać się badaniu psychiatrycznemu. To najlepszy fragment powieści, lecz niedługo potem wkraczamy już w prawdziwą sensacyjną opowieść o sabotażystach w starym, socrealistycznym stylu.

Otóż jak się okazuje, w zakładach niekłajskich czeka na wdrożenie genialny wynalazek polskich inżynierów, mianowicie silnik beztłokowy „Wirus”. Ów „Wirus”, będąc przełomem w mechanice samochodowej i nie tylko, dziełem, którego nie potrafili stworzyć naukowcy z najpotężniejszych krajów imperialistycznych, staje się celem grupy przestępców pod przywództwem cynicznego i bezwzględnego bandziora zwanego „Magistrem”, który chce „Wirusa” wykraść i sprzedać kapitalistom. Tutaj Niziurski daje nam prawdziwy popis socjalistycznej propagandy. Tak oto Andrzej Kszyk tłumaczy

Michałowi z bandy „Piratów”: „Od dawna wszyscy konstruktorzy byli zdania, że silnik tłokowy to nie jest zbyt szczęśliwe rozwiązanie, że ma wady. To całe przenoszenie siły i zamiana ruchu, te rozliczne części i łożyska, które się wycierają – stanowczo za dużo ambarasu, a do tego kłopoty ze smarowaniem, stosunkowo duże straty mocy, szybkie zużywanie części, defekty, no i w ogóle skomplikowana maszyna. Więc wynalazcy głowili się nad nowym rozwiązaniem. Takie rozwiązanie przynosi właśnie nasz nowy silnik »Wirus«. Pomyśl, co za uproszczenie. »Wirus« nie potrzebuje zamieniać ruchu posuwistego na obrotowy, bo zamiast tłoka ma specjalny wirnik i zapalenie mieszanki od razu wprawia go w ruch wirowy. Kręci się, rozumiesz? A co za tym idzie obywa się bez sworzni tłokowych, korbowodów i kosztownych łożysk. Jest więc o wiele tańszy. A jaki zysk mocy! Klawe, nie?”.

Złoczyńcy z „Magistrem” na czele dzięki trochę odwadze, a trochę głupocie zjednoczonych sił „Kolonistów”, „Tubylców” oraz „Jaszczurek” zostają pochwyceni przez milicję. Dzieci w ostatniej niemal chwili ratują fabrykę (i przy okazji swoje życie) przed wysadzeniem w powietrze. W słynnych „skrzyniach Szwajsa” bowiem nie było złota, ale granaty i miny, za pomocą których „Magister” chciał wysadzić zakłady metalurgiczne i uciec z Polski wraz z „Wirusem”.

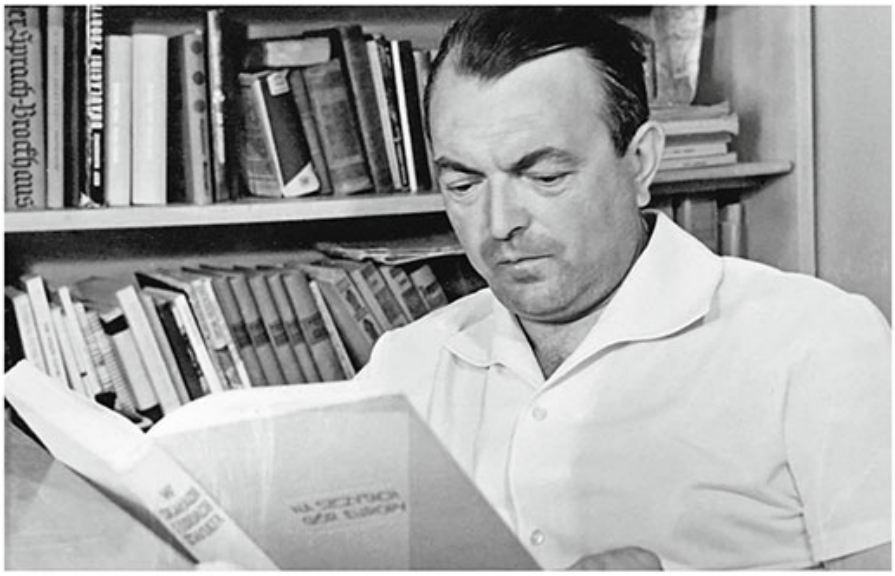

Edmund Niziurski czyta

książkę pt. „Na szczytach gór Europy" (tom I „W skałach i lodach świata")

Prawdopodobnie planuje wakacje

Jarosław Strzębski nie ma wątpliwości: „*Awantura w Niekłaju* to są Kielce samego początku lat sześćdziesiątych. Bo tak naprawdę wtedy Kielce zaczęły się rozwijać stosunkowo dynamicznie. Wokół naszego domu rodzinnego, stojącego na peryferiach miasta, powstało wtedy osiedle 25-lecia PRL i nagle nasz dom został obudowany blokami. Podówczas to okrojono nam ogród w tak nieszczęśliwy sposób, że dom stoi właściwie przy ulicy i można zastukać w okno, idąc chodnikiem. A był tam duży ogród ze wspaniałym starodrzewem. I Kielce to jest właśnie Niekłaj, także reminiscencja Kielc lat młodości, dzieciństwa autora oraz lat tuż powojennych, jeszcze sprzed przeprowadzki do Warszawy. Wujek nawet po wyjeździe do Warszawy tak naprawdę został na zawsze w Kielcach. Wszystkie miejsca akcji *Awantury w Niekłaju* i nie tylko to Kielce. Zakłady SHL, czyli tzw. Suchedniowska Hala Ludowa, znajdująca się w Kielcach, to są te zakłady mechaniczne w Niekłaju. Ulica Zapłotkowa w Niekłaju to ulica Mazurska w Kielcach. Zawsze nazywała się Mazurska, a wujek nazwał ją Zapłotkową, bo tam były opłotki, a żeby nie była Opłotkowa, to Zapłotkowa. Z kolei istniejące liceum im. ks. Piotra Ściegiennego w Kielcach to jest szkoła w Wilczkowie z *Księgi urwisów*. Tę szkołę widać z daleka, bo stoi na niewielkim wzgórzu, które teraz niestety obudowane jest blokami, ale kiedyś z naszego domu przez pola było widać dominującą sylwetę czteropiętrowego liceum Ściegiennego. Początek *Księgi Urwisów* to dla mnie opis widoku tej prawdziwej budowli. Kielecka cukiernia Smolińskiego to jest cukiernia Bryla w Niekłaju. Już nie ma cukierni Smolińskiego, ale kiedyś tam się chodziło na lody i na kawę. Nawet podróż bosmana Rei w wózku ciągniętym przez bohaterów powieści to podróż na

kielecki dworzec kolejowy, do którego trzeba było przejechać przez całe miasto.

Oczywiście w książkach wujka jest też przedstawiony krajobraz podkielecki. To zarówno pasmo przy Łośnej, czyli rzece, która występuje w *Księdze urwisów*, jak i góry Świętokrzyskie z *Klubu włóczykijów*. Wszystkie te miejsca opisane w prozie Niziurskiego: Dolina Wilkowska, Bodzentyn, Diabelski Kamień, gołoborza – to wszystko jest tu, na miejscu.

Wrak czołgu występujący w *Awanturze w Niekłaju* to być może reminiscencja wyzwalania Kielc od strony wschodniej przez Armię Czerwoną 15 stycznia 1945 roku. Pamiętam, jak w podkieleckiej wsi Bieleckie Młyny z rzeki Nidy wyciągano czołg, niemiecką panterę, który utknął tam w błocie w czasie wojny i został porzucony przez Niemców. Czołg wydobyto w 1990 roku, ale wszyscy wiedzieli, że on tam jest. Na początku lat pięćdziesiątych wojsko wysadziło mu wieżę, lecz kadłub został w rzece. Wujek musiał znać historię tej pantery.

W pobliżu naszego domu były pochodzące jeszcze z końca XIX wieku tzw. Doły Siekluckiego. Karol Sieklucki był właścicielem ziemskim posiadającym duże stawy hodowlane, które zdziczały po wojnie. Jako dziecko kiedyś się tam topiłem, gdy załamał się pode mną lód. Kolega mnie uratował, podając mi gałąź. Tam do tej pory niczego się nie buduje, dlatego że w tych dołach jest mnóstwo niewypałów po Armii Czerwonej. Te doły były obrośnięte dziką roślinnością, starodrzewem. Może ów Ogród w Niekłaju to jest również reminiscencja tych Dołów Siekluckiego. Dom rodzinny wujka Edusia stał prawie w polu, na obrzeżach miasta, ale zarazem na tyle blisko Dołów Siekluckiego, że to i one mogły być inspiracją dla niekłajskiego Ogrodu”.

Juliusz Machulski, reżyser, który niestety nigdy nie zekranizował żadnej książki Niziurskiego, co potwierdza tylko

tezę o nadzwyczajnym pechu Niziurskiego do filmu, ma jednak do tej powieści stosunek wręcz entuzjastyczny.

Juliusz Machulski: „Moją pierwszą książką Niziurskiego była *Awantura w Niekłaju*. Bardzo mnie to brało, bo wydawało mi się, że to jest o mnie i o moich kolegach. Tam były dwa zwalczające się obozy, a myśmy akurat – mieszkałem wtedy w Lublinie – toczyli walki: dwa bloki przeciw sobie. Wiadomo było, kto mieszka w którym bloku i do której grupy należy. Pomiędzy blokami stała kotłownia, więc mieliśmy pociski w postaci koksu, którym się rzucało w przeciwników. Czułem, że nareszcie znalazłem książkę o mnie w niemal dosłownym sensie. To mnie strasznie wciągało i zacząłem śledzić powieści Niziurskiego. Druga książka to była *Księga urwisów,* mimo że chronologicznie jest starsza. I ona niestety była dla mnie nudna, zbyt socrealistyczna. Tylko nie wiedziałem, że to się tak nazywa. Natomiast moja ulubiona książka to zbiór opowiadań *Nikodem, czyli tajemnica gabinetu*. Te historie znów odbierałem tak, jakby były o mnie, czułem, że Niziurski opisywał moje życie, ale z taką swadą, jakiej mnie brakowało. Ale książką przebijającą absolutnie wszystko był *Sposób na Alcybiadesa*. To też było moje życie, bo przecież o to chodziło w szkole: nie uczyć się, a pozornie umieć.

Niziurski bardzo dobrze rozumiał psychikę nastolatka. Mówił głośno to, co każdy z nas czuł. *Sposób na Alcybiadesa* jest oczywiście przewrotny, bo jego morał brzmi: »nie chcieli się uczyć, a nauczyli się«. Świetnie się to czytało. Podobnie genialnie się czytało *Piegusa*, i chociaż to zupełnie odjechana i niekoniecznie realistyczna historia, jeśli chodzi o gangsterski-przygodowy wydźwięk, ale opowieść o chłopcu, który chciał odrobić lekcje, przygotować się do szkoły, a ciągle ktoś mu przerywał, zdawała mi się wiarygodna.

Alcybiadesa czytałem w edycji Klubu Siedmiu Przygód, bo zbierałem całą tę serię. [Klub Siedmiu Przygód – seria młodzieżowa Naszej Księgarni, ukazująca się w latach 1960–1991, wydano w jej ramach 120 tytułów, *Sposób na Alcybiadesa* ukazał się w tej serii w 1964 roku]. Wówczas ciężko było dostać te książki, zdobywało się je spod lady, trzeba było je »wychodzić«. Mój ojciec [Jan Machulski] był jeszcze mało znanym aktorem, ale jednak był aktorem, więc dzięki temu czasami się udawało załatwić jakąś trudno dostępną książkę.

Jak wychodziła książka Niziurskiego, to było święto. Trzeba było ją zdobyć, przeczytać i przez jakiś czas żyć życiem książkowych bohaterów i chcieć być takimi jak oni. Niziurski wymyślił język uczniowski i cały świat szkoły. To tak jak w kinie. Czasem powstają filmy, które tworzą świat, a potem wszyscy myślą, że te filmy ów świat odwzorowały. Tarantino, gdy zaczął opowiadać o bandytach, to takich bandytów nie było. A Coppola stworzył mafię z wszystkimi obyczajami, rytuałami, poniekąd przygotował dla mafii podręcznik pod tytułem »Ojciec chrzestny«. Literatura lub film mogą wykreować świat, do którego rzeczywistość się później dostosowuje”.

Edmund Niziurski lata 30-te

Wyznania dziś bardzo dorosłych czytelników Niziurskiego, którzy czytali go jako dzieci lub nastolatkowie, w jasny sposób pokazują, że zapamiętujemy nade wszystko atrakcyjność fabuły, dreszcz przygody, utożsamiamy się z bohaterami bądź też odnajdujemy się w ich historiach i poniekąd sami siebie widzimy na planie powieściowym. Natomiast wszelkie, przecież nie aż tak nachalne, wtręty ideologiczne, umykają nam. Pozostaje pamięć wzruszeń, emocji, zazdrości, że to nie my ścigaliśmy groźnych przestępców, a na dodatek nie należeliśmy nawet do żadnej „bandy” bądź tajnego sprzysiężenia.

W 1983 roku, ponad dwadzieścia lat po literackim pierwowzorze, pojawił się film na podstawie *Awantury w Niekłaju*. *Tajemnica starego ogrodu*, bo taki tytuł miała ekranizacja, to dzieło z ciekawymi i dziwnymi zmianami w stosunku do pierwowzoru. A zarazem doskonała ilustracja tezy, że przenoszenie na ekran literatury Niziurskiego było skazane na klęskę. Automatycznie bowiem musiały uciec finezja retoryczna bohaterów, dowcip językowy, zabiegi intertekstualne, a sami bohaterowie, w książkowych oryginałach nad wyraz dojrzali, na taśmie filmowej okazywali się zwykłymi nastolatkami. Aktorzy dziecięcy zaś dokładnie takimi samymi jak w większości filmów dla młodego widza – postaciami niewyróżniającymi się w żaden sposób, w przeciwieństwie do swoich literackich pierwowzorów, które górowały nad bohaterami literackimi stworzonymi przez innych autorów.

Tajemnica starego ogrodu jest z jednej strony sztampowa i zwyczajna, z drugiej zaś kuriozalna pod względem formalnym, bo wzbogacona wstawkami rysunkowymi Edwarda Lutczyna – nie animacją, ale planszami rysunkowymi w charakterystycznym dla Lutczyna groteskowo-infantylnym stylu. Plansze owe stanowić miały chyba urozmaicenie i uatrakcyjnienie narracji filmowej, natomiast dlaczego to uczyniono, pozostaje o wiele większą zagadką niż ta kryminalna z filmu. Plenery kręcono w Wałbrzychu, udającym Niekłaj, który z kolei, jak wiadomo, udawał powojenne Kielce. Atrakcją jest krótki występ Zdzisława Kamińskiego i Andrzeja Kurka, odgrywających tu fikcyjny odcinek pamiętnego programu „Sonda”, w którym opowiadają o dziwnym owocu z Ghany, po którego zjedzeniu nawet cytryna staje się w ustach słodka, ponieważ ów owoc zawiera substancję zmieniającą smak dowolnego pożywienia na przyjemny.

Intryga polega tu na tym, że inżynier Tyc, ojciec Andrzeja, wynalazł preparat zmieniający smak na przyjemny, a przeznaczony do wzbogacania pasz, aby trzoda czy rogacizna z ukontentowaniem spożywały wszystko, co dostaną, nawet pożywienie podłej jakości. Tak więc postęp od czasów książkowej *Awantury w Niekłaju* po filmową *Tajemnicę starego ogrodu* polega na tym, że już nie nowoczesny silnik staje się przedmiotem pożądania rabusiów, ale wynalazek z dziedziny chemii gospodarczej czy też rolniczej. Jasne musiało być, że na początku lat osiemdziesiąt polska technika nie jest w stanie wyprodukować czegoś, co by mogło zadziwić zachodnich imperialistów, natomiast karłowata socjalistyczna nauka mogła od biedy wykreować takie cudo jak zmieniacz smaku paszy dla zwierząt – w filmie widzimy, że to zwykły sprej w małym pojemniku przypominającym dezodorant.

Nie sposób nie pomyśleć o tym, że gdyby w istocie taka substancja była w PRL-u dostępna, jedzenie marnych produktów byłoby więcej niż znośne. Mortadela miałaby smak szynki, a wyrób czekoladopodobny sprawiałby rozkosz jak przy rozpuszczaniu się w ustach prawdziwej czekolady. Peerelowski kontekst jest tu jeszcze bardziej wyraźny niż w powieści, w końcu film powstał w 1983 roku, w epoce dojmujących niedoborów w zaopatrzeniu. Stąd wątki zdobytych z wielkim trudem przez siostrę Bosmana rajstop dla pani ze sklepu, która z kolei załatwiła biszkopty.

Bandytów Mniszka i Dodka grają tu Wiesław Gołas i Stefan Friedmann, zaś bosmana Reję naturalnie predystynowany do tej roli Bogusz Bilewski, pamiętny Kwiczoł z *Janosika*. Wszystko jednak zupełnie pozbawione jest napięcia i tajemnicy, cała literackość powieści Niziurskiego wyparowała bez śladu. Doktor Otrębus, nieco oszalały, pełen pasji i żarliwości lekarz, w kreacji Andrzeja Pieczyńskiego jest

wyłącznie prowincjonalnym, dość sfrustrowanym łapiduchem. Nad całym filmem wisi cień peerelowskiej prowincjonalnej beznadziei i rutyny, a przecież prowincja u Niziurskiego była ciekawsza, bardziej magiczna i pełniejsza niezwykłych przygód niż wszystkie morza tropikalne, które rzekomo zwiedził bosman Reja.

Mniszek i Dodek pozbawieni są grozy pierwowzorów książkowych, stanowią jakby tańsze, gorsze, mniej wyrafinowane i pozbawione wdzięku wersje Nieszczególnego i Kadrylla. Zrezygnowano, może z powodów finansowych i realizacyjnych, z przeniesienia finałowych scen w podziemia pod fabryką. Z oczywistych powodów (od wojny w momencie kręcenia filmu minęło niemal czterdzieści lat) także nie ma wraku czołgu. Za sferę chtoniczną odpowiadają tu wilcze doły wykopane przez „Piratów", w które wpadają Mniszek i Dodek. Scena bitwy „Piratów" z „Kolonistami" jak na filmową bijatykę dzieciaków nie jest zła, kojarzy się z bezkrwawymi bitwami zbójników Janosika z hajdukami margrabiego. Jak pamiętamy, były to dziwaczne starcia, gdzie co prawda czasami strzelano, ale najczęściej używano chwytów przypominających dżudo bądź zapasy. Scena pojedynku karate między Zenonem i Dodkiem zaś jest już czystą groteską i, jak się można domyślać, parodią walk z filmów o przygodach Bruce'a Lee.

Natomiast postarano się o „nowoczesność" w wątkach kryminalnych. I tak Mniszek zdobywa linie papilarne całej dłoni inżyniera Tyca, robiąc mu zdjęcie, gdy ten macha z okna pociągu. Następnie ze zdjęcia zostaje zrobiona klisza – wzór dłoni Tyca – która zostaje naklejona w miejscu włamania do biura fabryki, tak by rzucić podejrzenie na uczciwego przecież inżyniera. Nie bardzo przy tym wiadomo, czemu miałby wykradać materiały, do których miał raczej dostęp.

W finale zaś miast skrzyń Szwajsa odnaleziona zostaje stara (zapewne XVIII-wieczna) mapa La Isla de Resplandor, o której opowiada bosman Reja, a zatem opowieść kończy się optymistycznie, dosłownie wybuchem śmiechu bosmana. Wymazany został cały gorzki, tragiczny niemal wydźwięk postaci rojącego niewydarzone opowieści schorowanego alkoholika. Swoistą atrakcją są też piosenki do słów Wojciecha Młynarskiego i muzyki Jerzego Derfla w emfatycznym wykonaniu Michała Bajora.

Juliusz Machulski: „Problem z ekranizacjami Niziurskiego i w ogóle literatury młodzieżowej polega na tym, że literatura dziecięca jest uważana za mniej ważną. Specjalizacja z literatury dziecięcej jest traktowana trochę jak wydział projektowania toalet na studiach architektonicznych. Kręcenie dla dzieci i młodzieży było zawsze nieco wstydliwe. My chcieliśmy zbadać i opisać Polskę, świat, zadawać wielkie pytania i podnosić wielkie problemy. A tak naprawdę robienie filmów dla dorosłych i młodzieży niczym się technicznie nie różni. Ktoś mądrze powiedział, że dla dzieci trzeba robić takie same filmy jak dla dorosłych, tylko lepiej. I dlatego trzeba je robić z potrzeby serca, duszy, bardzo serio, bez taryfy ulgowej. Wajda zrobił *Pannę Nikt* i niemal nikt nie przyszedł na ten film.

Dzisiaj ciężko kręcić Niziurskiego, bo młodzież nie rozumie, o co w tych książkach chodzi. To był inny świat. Dzieciaki obecnie skupiają się na tym, żeby mieć zwolnienie z wuefu, a tam wciąż były zawody, bójki, bandy. Można zrobić współcześnie ekranizacje Niziurskiego jako filmy historyczne, w tamtych realiach, kostiumach z epoki, ale to byłyby drogie produkcje”.

Dodajmy, że pech Niziurskiego też na tym polegał, że za jego powieści nie brali się tacy fachowcy, jak Stanisław Jędryka, mistrz filmu młodzieżowego, który przeniósł powieści Adama Bahdaja *Do przerwy 0:1*, *Podróż za jeden uśmiech*, *Stawiam na Tolka Banana* na najwyższy poziom sztuki serialowej. Ci, którzy dziś przywołują nazwisko Bahdaja jako wielkiego pisarza młodzieżowego, w dużej mierze myślą o serialach Jędryki.

O ile powieści Niziurskiego były przeważnie masakrowane przez reżyserów, dokonujących horrendalnych ekranizacji, to scenariusze pisane przez Niziurskiego nie do własnych powieści kończyły się całkiem zgrabnymi filmami, co prawda dziś niemal zupełnie zapomnianymi, ale sprawiającymi przyjemność, a przynajmniej brak irytacji, że genialna literatura została tak bezlitośnie potraktowana. Tak było choćby z *Kryptonimem „Nektar”* z 1963 roku, błahą, acz sympatyczną komedią kryminalną z Bogumiłem Kobielą, grającym jak zawsze łajzę, jakby to sam Piszczyk z *Zezowatego szczęścia* został redaktorem „Echa Warszawy” (gazety wzorowanej wyraźnie na „Życiu Warszawy”).

Intrygą jest tutaj proceder podrabiania… napoju orzeźwiającego. To „Pola Manola”, a jej nazwa jest najpewniej aluzją do zapamiętanej jako Polo Cockta peerelowskiej podróbki Coca-Coli. W tym zawiera się poniekąd doskonała definicja Peerelu i jego dziwactwa: mamy do czynienia z nielegalnym podrabianiem legalnej podróbki niemal niedostępnego zachodniego towaru. Napój jest ohydny, pozbawiony gazu i cukru, rozwodniony, ale za to drogi. Na czele gangu stoi niejaki Wiktor Fagas, pseudonim „Chaplin”, w istocie prezentujący chaplinowski wąsik, dawniej pracujący we wrocławskiej wytwórni filmów, dokąd prowadzą tropy dziennikarskiego śledztwa bohatera granego przez Kobielę. Ale historia ma swoje wyższe piętra: wybitny i groźny przestępca

„Dziekan” wyszedł właśnie z „ula”, czyli z więzienia, i chce odzyskać swoje pieniądze, zachachmęcone przez producentów „Poli Manoli”. „Dziekan” to gwiazda podziemia gospodarczego, niebywale niebezpieczny. Posługuje się podstawionymi „dziewczynami o anielskim wyglądzie”, proponując im wyjazd do Francji. Ciekawsze są tu jednak raczej obrazki rodzajowe pokazujące stosunki społeczne wczesnych lat sześćdziesiątych. Spauperyzowana po wojnie hrabina Łęczycka jest kioskarką, handlującą pokątnie lekarstwami z Kanady, wtrącającą francuskie słowa, podobnie jak grany przez Jaremę Stępowskiego jej bratanek hrabia Dymek, z racji swego pochodzenia – „kostiumograf i rekwizytor”. „Używasz strasznego języka!” – załamuje ręce hrabina Łęczycka, gdy hrabia Dymek w chwili wzburzenia wykrzykuje „Będzie straszny klops!”. Pokrętna, pretekstowa fabuła jest raczej tłem dla gagów, qui pro quo, staroświeckiej dość rozrywki, z niespodzianką: tajemnicza Agnieszka, którą przez cały film podejrzewamy, że jest członkinią gangu „Dziekana”, okazuje się oficerem milicji, porucznik Kruszyną. Wiele jest tu smakowitych cytatów, co nie dziwi, bo Niziurski, nawet jeśli nie czytał modnych książek czy nie oglądał popularnych filmów, zawsze wiedział, co się dzieje w kulturze. I tak Kobiela mówi do podrywanej Agnieszki: „Do widzenia, do jutra”, a ona mu odpowiada: „To z innego filmu”. Fenomen Niziurskiego też polegał na tym, że zarówno jego powieści, jak i scenariusze filmowe zawierały ogromną liczbę aluzji kulturowych, nieświadomej chyba gry postmodernistycznej, sporą dawkę intertekstualności.

Mariusz Czubaj, nie tylko autor powieści kryminalnych, ale też antropolog kultury mówi: „Wielki worek »literatura młodzieżowa« to jest wszystko i nic. A przecież już w dość

wczesnym okresie pisarstwa Niziurskiego pojawiają się wątki fantastyczne, szczególnie w *Siódmym wtajemniczeniu*. To jest bardzo »vonnegutowska« książka, właściwie tak na to należałoby spojrzeć. Tylko że on nie znał Kurta Vonneguta i na tym cały dowcip polega. Niziurski mieszał gatunki i nierzadko sposób opowiadania, jego historie bardzo często są tak zbudowane, że ciężar jest przenoszony z jednej postaci na drugą. Bardzo sprawny pisarz, który w dodatku znakomicie manipulował intrygą i gatunkami, myślę, że w znacznej mierze intuicyjnie. Miał świetnego czuja literackiego. Nie tyle był w tym konkretny zamysł konstrukcyjny, jak u dzisiejszych pisarzy młodzieżowych z premedytacją biorących sobie trochę z Harry'ego Pottera, trochę z Rafała Kosika, trochę z innych książek, dzięki czemu ten patchwork im się składa w całość, ile właśnie wyczucie, intuicja, coś naturalnie danego.

Niezależnie od tego, że był Niziurski znakomitym warsztatowym pisarzem, to jego fenomen polegał na odkryciu tego, przed czym władza strasznie się wzbraniała, to znaczy przeciwko oddolnej kreacji bytu, jaką jest młodzież. Właściwie młodzież w literaturze polskiej w takiej formie, w jakiej pisze o tym Niziurski, wcześniej nie istniała. Jeżeli istniała, to była tak czy inaczej skanalizowana przez harcerstwo albo doświadczenia tego rodzaju jak w *Szatanie z siódmej klasy* Kornela Makuszyńskiego. Natomiast u Niziurskiego mamy spontaniczne grupy młodzieżowe, takie protosubkultury. Mówiąc bardzo antropologicznie, to jest dokładnie to, co Charles Horton Cooley, jeden z pionierów mikrosocjologii, nazywał »grupami pierwotnymi« i w obrębie tych grup pierwotnych widział grupę rodzinną, grupę sąsiedzką oraz rówieśniczą grupę zabawową. To wypisz wymaluj rówieśnicza grupa zabawowa, która jest tworzona całkowicie oddolnie, bez żadnego parasola instytucjonalnego, ideologicznego, bez

»czapy« harcerstwa czy klubów sportowych. Łączy ich to, że po prostu są z tej samej miejscowości, chodzą do tej samej szkoły. Są w konflikcie z konkurencyjną szkołą oraz bardzo często z »gogami« ze swojej szkoły. I to są podstawowe punkty odniesienia, całkowicie oddolne, nieinstytucjonalne, spontaniczne towarzysko i, co niesłychanie ważne, bez żadnej zewnętrznej regulacji, która mogłaby ich w jakikolwiek sposób ukarać albo postponować. Te grupy są też hierarchicznie zorganizowane, mają swego szefa, ale to wszystko jest tworzone w obrębie tej zbiorowości, a nie narzuconych z zewnątrz reguł. Nie chciałbym, żeby z Niziurskiego robić pisarza wyklętego, ale w gruncie rzeczy nieprawilnego w realiach państwa socjalistycznego na pewno tak. Jeśli czegokolwiek mogła bać się władza, to takiego sposobu kreowania świata, w którym ludziom jest przydana sprawczość i możliwość oddolnej samoorganizacji, niezależnie od organizmu państwowego, partyjnego. Tutaj mamy młodych ludzi, którzy się sami organizują. Ich kodeks wewnętrzny jest trochę zbliżony do kodeksu gangsterskiego. To też niesłychanie ciekawy wątek: w jakiejś mierze niekoniecznie nawet świadomie, ale te książki wpisują się trochę w kulturę chuligańską, choć ta chuligańskość jest bardzo delikatna.

Kwestia chuligańskości i sami chuligani jako tacy to element nieodkryty w polskiej literaturze. Przecież bohaterowie Niziurskiego są o wiele bardziej anarchistyczni niż James Dean w *Buntowniku bez powodu*, który w porównaniu z Niziurskim jest opowieścią dla dziesięciolatków, a nie dla poważnych młodych ludzi. Przy anarchii bohaterów Niziurskiego nawet *Pokolenie* Wajdy czy jego *Niewinni czarodzieje* to są grzeczne powiastki. U Niziurskiego to jest oparte na dwóch kontrach. Jedna jest taka, że z istoty swojej dorastający człowiek nie dogada się z rodzicami i, co bardzo wyraźnie widać w jego

powieściach, to jest świat swoistej wojny, bardziej pozycyjnej niż totalnej, ale świat wojny. A druga sprawa to to, że bohaterowie mają swój swoisty świat, swoją enklawę, do której nikomu innemu nie można wejść. To, co bardzo wyróżnia te powieści, to przede wszystkim kultura podwórka, coś, co w tej chwili jest nie do odtworzenia, ponieważ nie istnieją podwórka czy hałdy, przestrzenie do zagospodarowania przez taką nieformalną grupę. Kultura czasu wolnego, spędzanego na powietrzu bądź w często opuszczonej przestrzeni, jak stare budynki. Bohaterowie Niziurskiego mało czytają, mało oglądają i słuchają. PRL-owska popkultura raczej rzadko przenika do tego świata, oni tworzą sami dla siebie własny świat, całkowicie wystarczalny. Niziurski miał absolutną, uwodzicielską moc mówienia: Drodzy chłopcy, trzeba sobie jasno powiedzieć, macie swoje pięć minut, musicie je wykorzystać, potem niestety będzie dorosłość”.

Dziewczęta fatalne,
czyli te, które kochamy,
ale które nas nie kochają,
bo zawsze wolą kochać
złych i cynicznych
chłopaków, a nie
wrażliwych i dobrych
jak my

Adela Wigor Piękna, postawna i wyniosła uczennica szkoły im. Gałczyńskiego w Odrzywołach. Obiekt westchnień wszystkich chłopców, zarówno w Defonsiarni, jak i Rejtaniaków. Okistowi kojarzy się z Pallas Ateną. Ma „złote włosy", choć być może jest raczej ruda. Kocha się w niej Gruby Cypek, przywódca piłkarzy rejtaniackich Chrząszcz, Tomek Okist, ale też znany mizogin Zyzio Gnacki, który nie uznaje żadnych dziewcząt poza Adelą. Adela potrafi dać adoratorom nadzieje, a potem bezwzględnie je podeptać. Tak naprawdę zależy jej wyłącznie na własnej karierze i władzy. Adorowanie Adeli nazywa się „adelowaniem". Na straży cnoty Adeli stoi jej mama, czyli Mamadela.

Giga Czyli Jadwiga Julicka. Blond piękność, z kaskadami włosów opadających na opalone ramiona. Najpiękniejsza uczennica w całym mieście, gdzie rozgrywa się akcja *Osobliwych przypadków Cymeona Maksymalnego*. Brigitte Bardot i Claudia Cardinale w jednym. Mieszka ze stukniętą babcią, która gra na gitarze i śpiewa piosenkę o ułanach. Nokautuje Cymeona albumem o gwiazdach kina. Dostępu do Gigi strzeże groźny buldog Medor, łasy wyłącznie na bigos.

Matylda Opat Dziewczyna nowoczesna, wyzwolona, pociągająca i przebojowa, choć niepozbawiona kompleksów. Córka przedsiębiorcy pogrzebowego. Pasjonuje się fotografią. Miłość Tomka Okista – oczywiście nieszczęśliwa, bo Matylda kocha Gnata, dla którego zrobi wszystko. Na głowie ma burzę ciemnych włosów, zaś na nosie modne okulary.

Nelka Szyperska Prawdziwe imię Kornelia Szyperska. Znana także jako Nelly. Szczupła, a nawet chuda, o trupiej cerze.

Maluje się dyskretnie. Miła, przystępna oraz inteligentna, a zarazem nieco demoniczna. Chce zostać aktorką.

Złoty okres lat sześćdziesiątych. Nieśmiertelny Alcybiades, psychodeliczne Gnypowice i groźna twierdza Persil. Oszalały stryj Dionizy, czyli Pan Samochodzik na wesoło. Straszliwe przygody nieszczęsnego Cymeona, pojawienie się ponętnej Gigi, a także wielki powrót Kadrylla i Nieszczególnego.

Sposób na Alcybiadesa (1964) jest książką dla Niziurskiego emblematyczną, najsłynniejszą i najbardziej uznaną, kanoniczną literacko i znajdującą się w kanonie lektur szkolnych. Niebezpodstawnie, jak dowiedziemy, bo jest dziełem formacyjnym dla pokoleń uczniów, z których wyrosnąć mieli świadomi obywatele. Tak, jest to książka wychowawcza, ale wychowawcza w stylu Niziurskiego. Miał on swój niepowtarzalny sposób, sposób, którego nie da się kupić, ukraść ani sfałszować, sposób na to, jak nawet najbardziej krnąbrnym i niechętnym szkolnemu rygorowi uczniom uprzytomnić niezbędność i doniosłość edukacji elementarnej.

Mimo iż, jak się zdaje, wszyscy dorośli Polacy pamiętają fabułę *Sposobu na Alcybiadesa*, warto przypomnieć, na czym polega intryga. Czterech uczniów żoliborskiej jedenastoklasowej szkoły im. Lindego ma nadzwyczajne problemy, mianowicie leżą ze wszystkich przedmiotów, ciesząc się opinią kompletnych matołów, wręcz imbecyli. Jako że historię poznajemy podaną nam wyrafinowanym językiem przez jednego z nich, w debilizm, matołectwo, opóźnienie w rozwoju nijak uwierzyć nie można. Mamy do czynienia po prostu z rezolutnymi chłopakami, którzy udrękę edukacji chcą przejść najmniejszym nakładem sił. Zasępa, Słabiszewski zwany „Słabym”, Józio Pędzelkiewicz, czyli „Pędzel”, oraz narrator Ciamciara to czterech muszkieterów lenistwa, cztery żywioły cwaniactwa, czterech jeźdźców kombinatorstwa.

Legenda głosi, że uczniowie ze starszych klas posiadają „sposoby” na gogów, dzięki którym mogą oddawać się zbawiennemu bimbaniu i jednocześnie pozostać

niezagrożonymi przez gogiczną przemoc. Ale że fundusze czwórki przyjaciół są więcej niż ograniczone, to stać ich jedynie na „sposób na Alcybiadesa”, czyli nauczyciela historii Tymoteusza Misiaka, najmniej groźnego, poczciwego i ciamajdę po prawdzie, szczególnie na tle okrutnego polonisty Żwaczka, pani Kalino od geografii czy chemika Farfali. Co ciekawe, prawdziwy Alcybiades, grecki wódz i polityk z V wieku p.n.e., był osobą wojowniczą, kontrowersyjną, nielojalną, a co więcej, obyczajowo rozwiązłą, czego z pewnością nie można powiedzieć o poczciwym profesorze Misiaku.

To książka z jednej strony typowa dla pisarstwa Niziurskiego, ale zarazem nieco nietypowa, jako że pozbawiona w zupełności wątków przygodowych, sensacyjnych. Na jej kartach nie pojawiają się żadni przestępcy, żadne skarby, mroczne tajemnice, żadne przygody wykraczające poza szkolną przestrzeń. Jednocześnie jest doskonałym przykładem na sposób kreowania przez Niziurskiego szkoły jako osobnego, samowystarczalnego świata.

Świat szkoły w *Sposobie na Alcybiadesa* jest metaforą odwiecznego starcia cywilizacji, niekończącej się wojny między nauczycielami a uczniami, ale wojny będącej nie destrukcją, lecz fundamentem trwania równowagi: walki przeplatanej rozejmami, tak jak wojny na przestrzeni historii przyczyniały się przecież do rozwoju nauki, cywilizacji, bo jakkolwiek by o wojnach myśleć, to często bywały napędem postępu. To wojna bez końcowego zwycięstwa którejś ze stron, a efektem walki jest dorastanie kolejnych pokoleń wchodzących w dorosłość już z zasobem wiedzy i umiejętności funkcjonowania w społeczeństwie.

Uczniowie tak bardzo żyją wewnątrz własnej cywilizacji, że tworzą w zasadzie równoległy system edukacji, pobierając obowiązkową wiedzę od pedagogów, ale i od swoich starszych

kolegów, wprowadzających ich w arkana wiedzy nie mniej ważnej niż ta absorbowana na lekcjach historii, geografii czy chemii. Uczeń, zwany „Szekspirem”, wprowadzając czwórkę naszych bohaterów w zasady „sposobu”, daje im profesjonalny, niemal na poziomie uniwersyteckim podany wykład z tablicami poglądowymi, tabelami, ze skryptem, używając dokładnie jak nauczyciel tablicy i kredy. Każe słuchaczom robić notatki, stosując sformułowania „Proszę zanotować” czy „Zanotujmy więc ten pierwszy element szczegółowy”. To pastisz języka akademickiego, nauczycielskiego, często nawet języka partyjnego i swoistego wolapiku nowomowy. W zasadzie cała warstwa językowa w większości powieści Niziurskiego jest pastiszowa, ale nigdy nie zamienia się w parodię. Podobnie jak ta powieść: ma morał, ale nie jest moralizatorska. Wydźwięk *Alcybiadesa* jest taki, że zaangażowanie się w oszukiwanie nauczyciela może stać się napędem do prawdziwego zainteresowania przedmiotem. Wszak, aby większość klasy miała święty spokój, do lekcji przygotowują się dyżurni, którzy wkuwają poszczególne zagadnienia i zagadują obkuci w wiedzę skłonnego do dryfowania profesora Misiaka. Ale powoduje to, że cała klasa w ostatecznym rozrachunku infekuje się pasją historyczną i nie chcąc się nauczyć, jednocześnie wbrew sobie uczy się i angażuje. Sprawdzianem ma być oprowadzanie po Warszawie wycieczki uczniów z Ełku, co wedle podejrzeń dyrekcji, a i samych uczniów, skończyć się winno epokową kompromitacją. Tymczasem nasi bohaterowie na skutek używania „sposobu” mają teraz taką wiedzę historyczną, że potrafią aż zadręczyć słuchaczy i nauczycieli nawałem informacji.

Oczywiście efekt humorystyczny osiągał Niziurski, zderzając ze sobą zajęcia i fascynacje nieprzystających do siebie dziedzin jak boks i poezja, względnie boks i muzyka poważna.

Słynny bokser szkolny Wątłusz Pierwszy na skutek przegranych dwóch walk, ze swoim młodszym bratem Wątłuszem Drugim, a także z niejakim Szają, popada w ciężką melancholię, spowodowaną także urazami głowy, i postanawia zająć się pisaniem poezji, względnie graniem muzyki, najchętniej na skrzypcach, ale także na tubie. Również język, jakiego używa inny z bokserów, zwany „Alibabą", jest językiem nieprzystającym do zainteresowań i kultu siły fizycznej, wyznawanego przez słynną „paczkę czwororęcznych". Otóż uczeń Babiński alias Alibaba strofuje młodszych uczniów, dając im wykład niczym przemowa z partyjnej operatywki. Zamiast (jak przystało na boksera) użyć do perswazji pięści, używa sformułowań z zakresu nauk humanistycznych. Ten wzniosły język niczym z poezji tyrtejskiej stanowi zarazem parodię mowy partyjnej, w sposób zadziwiający i chyba nieświadomie odwołującej się do rodzimego romantyzmu. W zdaniu Zasępy „Bijemy pięścią poezji w szczękę nicości!" znaleźć przecież można aluzję i do romantycznych wieszczów, i do „poezji" języka partyjnego.

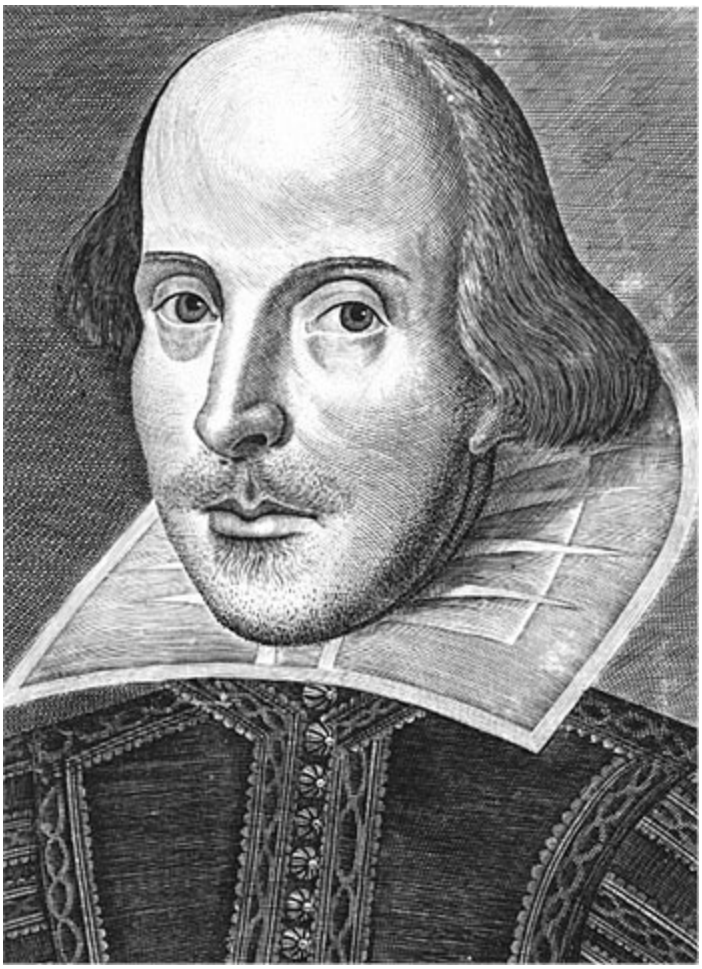

William Szekspir

Mitologizacja świata Niziurskiego osadza się nade wszystko na stworzeniu świata szkoły – w tym przypadku żoliborskiej, czy ściślej rzecz biorąc, bielańskiej szkoły im. Lindego – której początki znajdujemy w czasach Komisji Edukacji Narodowej. Mamy zatem do czynienia ze świątynią nauczania o dwustuletniej tradycji, szkołą, która wielekroć zmieniała swą siedzibę, ale trwa siłą tradycji i legendą roczników absolwentów, w tym niezwykle sławnych.

Niziurski niczym wytrawny postmodernista łączył mowę wysoką z przekazem przyziemnym, wzniosłych określeń używając do nazwania wyczynów zwyczajnych, tworząc

herosów na mikroskalę szkolną i podwórkową, lecz dając im legendę czynów historycznych. Uczniowie tworzą własną przestrzeń mitologiczną, zamknięty świat własnych podań, gdzie kreują legendarnych przywódców, wynalazców, artystów, których zrównują z prawdziwymi bohaterami naszej historii, tworząc przy tym opowieści dla swych następców. W tym świecie były lub obecny kolega szkolny staje się przesławną i legendarną postacią w wielkiej księdze wspomnień.

Szekspir instruuje słuchaczy, w jaki sposób należy oswoić poczciwego skądinąd nauczyciela historii. Mianowicie nakłaniając go do „dryfu", czyli rzucając mu w czasie lekcji przynętę w postaci „węża morskiego", a zatem „elementu dygresyjnego". Pedagog, który ruszy ścigać „węża morskiego", zboczy z kursu lekcji i odda się dryfowaniu, czyli swobodnym dygresjom, opowieściom, zapominając o odpytywaniu uczniów, stawianiu stopni, dręczeniu przy tablicy. Jak bardzo opowieść Szekspira o „dryfach" i „wężach morskich" jest realistyczna, a nade wszystko przydatna, świadczy to, że my, nastoletni czytelnicy Niziurskiego, w tym przypadku w męskim (niczym u Niziurskiego) liceum św. Augustyna w latach osiemdziesiątych z wielkim powodzeniem stosowaliśmy tę metodę, szczególnie wobec naszego łacinnika zwanego „Bengalem". Otóż Bengal – zdecydowanie bardziej srogi niż Alcybiades – znajdował szczególne upodobanie w dręczeniu uczniów za pomocą łacińskich deklinacji, czasu zaprzeszłego, czyli plusquamperfectum, oraz innych narzędzi tortur z epoki Horacego i Owidiusza. Jednocześnie był nadzwyczaj podatny na „węża morskiego" i umiejętnie rzucony na wzburzone wody jego intelektu wąż sprawiał, iż znakomity Bengal mrużył z rozkoszą oczy i zaczynał dryfować, porzucając łacinę i opowiadając o piłce nożnej bądź też męskiej higienie, dajmy na to o metodyce golenia się. To była zasługa „uczynków

dezorientujących”, czyli nadzwyczajnej i niespodziewanej przychylności uczniów wobec nauczyciela. Mówiąc krótko: pozorowanego lizusostwa.

Jarosław Strzębski wspomina, że sam Niziurski był bardzo podatny na dryf. W trakcie rodzinnych zjazdów w Kielcach, które zamieniały się w niekończące się dyskusje i niestworzone opowieści, można było zarzucić „węża morskiego” i Edmund sam zaczynał barwnie dryfować.

Edmund Niziurski rok 1973

W 2003 roku **Edmund Niziurski** tak mówił Katarzynie Surmiak-Domańskiej w wywiadzie udzielonym „Gazecie

Wyborczej”: „To była książka wyjątkowo łatwa do napisania, bo przedstawia w dużym stopniu moje lata szkolne – okres, kiedy u młodego człowieka następuje rozdwojenie między tym, czego chciałby się uczyć, a tym, co musi. Za tym idzie niechęć do lektur obowiązkowych, a zarazem poszukiwanie ciekawej książki na własną rękę. No i poszukiwanie sposobu na znalezienie czasu, żeby tę książkę przeczytać”.

Niziurski przyznawał w tej rozmowie, że tuż przed wojną w kieleckim liceum jako uczeń także używał „sposobu” na nauczyciela, ten zaś: „Podobnie jak w książce był nauczycielem historii, choć nie tak sympatycznym i nie tak starym. Mógł mieć około pięćdziesiątki. […] Podobnie jak bohaterowie *Sposobu na Alcybiadesa* najpierw próbowaliśmy to robić na własną rękę, bez pomocy starszych kolegów. Ale to był niewypał. My też przeszliśmy taką fazę poszukiwania, ale to była amatorszczyzna. Na konkretnego goga działa konkretny, starannie wyselekcjonowany temat do zagadywania. I ten musieliśmy ostatecznie kupić. Okazało się, że u niego to działało na wspomnienia żołnierskie. […] Zmieniłem nazwiska. Ciamciara to ja. Chociaż w książce zwiększyłem swoją rolę. W rzeczywistości nie byłem w tej najściślejszej grupie, która zdobywała sposób. Zasępa naprawdę nazywał się Jerzy Jania. To był chłopiec o talentach wodzowskich, bardzo zdolny. Zawsze rywalizowaliśmy, kto otrzyma lepsze świadectwo. Jania był synem zawodowego sierżanta. Kiedy po agresji Niemców zaczęły się organizować związki zbrojne, od razu do nich przystąpił. Zginął w 1944, przedzierając się z Kielc do Warszawy, żeby iść na pomoc powstańcom. […] Wybór patrona szkoły wyniknął z mojej sympatii dla Samuela Lindego i jego słownika języka polskiego, którym posługiwałem się od dziecka. A pisząc o tradycjach, myślałem oczywiście o moim zasłużonym

liceum z Kielc. Do dziś pamiętam powitalną przemowę naszego wychowawcy: »Wasi starsi koledzy to nie były łazęgi, tylko młodzież zdolna, układna i stosująca się do regulaminu szkolnego...«. Dalej ów wychowawca uczył nas, jak postępuje uczeń, który dostąpił zaszczytu bycia w naszej zasłużonej szkole. Co robi, gdy spotka na ulicy nauczyciela? Na trzy kroki przed nim zdejmuje czapkę z głowy, ale nie odzywa się, wystarczy ukłon. O szesnastej uczeń miał mieć odrobione lekcje. Potem można było iść do kina na film dozwolony dla młodzieży, ale trzeba było pamiętać, że nauczyciele pełnią w kinach dyżury i sprawdzają, na jakie filmy chodzimy. Młodzież lat sześćdziesiątych nie była tak zepsuta jak dzisiejsza, ale trochę ją wyidealizowałem. Wcale się tego nie wstydzę. Lubię, gdy moje książki działają krzepiąco”.

„Odkryłem w szkole neandertalczyków. Czy nie zechciałby dyrektor posłuchać ich bełkotu? To rzadka okazja. Mogę panu przyprowadzić przedstawicieli”

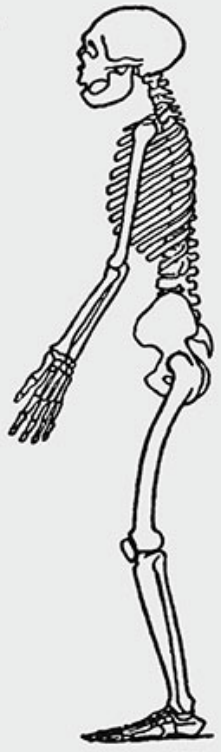

W istocie miał Niziurski skłonność do idealizowania młodzieży, nie tylko jeśli idzie o jej inteligencki bądź niemal uniwersytecki sposób wysławiania się, ale przecież to jest młodzież, która też nie pije, nie pali, nie chuligani w taki sposób, w jaki w rzeczywistości młodzież lubi łamać prawo.

Zygmunt Miłoszewski, znany nade wszystko z cyklu powieści kryminalnych o prokuratorze Szackim, uważa *Sposób na Alcybiadesa* za najbardziej przejmującą i doniosłą kulturowo książkę Niziurskiego: „Przeczytałem ostatnio kilka jego książek i przyznaję, że po latach *Sposób na Alcybiadesa* absolutnie rzucił mnie na kolana. To bardzo mądra książka, która mnie mocno dotknęła. Nikt już dzisiaj nie opowiada o szkole jako o przygodzie intelektualnej. To książka bardzo inteligencka. Bohaterowie przeżywają po prostu inicjację inteligencką. Kogo dzisiaj interesuje inicjacja w inteligenckość?”

Jerzy Pilch: „Raz w życiu zetknąłem się z Niziurskim, wiele lat temu, na kiermaszu książki w Izabelinie, urządzanym przez Czesława Apiecionka. Podszedłem do niego z Andrzejem Mleczką, który też się deklarował jako jego wielbiciel, a gęba, łysina Mleczki o wiele bardziej znana niż moja twarz, więc Mleczko do Niziurskiego na pewniaka, a ten go nie poznał. Nie poznał gwiazdora! No i co teraz, przedstawiać ich: To pan Andrzej Mleczko? Niziurski był wtedy pod opieką żony, bo już troszkę był słabawy, chyba źle słyszał. Miałem wrażenie niepełnego kontaktu z jego strony. W każdym razie coś powiedział do mnie, czego ja skądinąd nie zrozumiałem. To w gruncie rzeczy było wzruszające. Wzruszające i tragiczne niezrozumienie starców. Może mi się roiło, że mam osiemnaście lat, a on trzydzieści, ale prawda była taka, że ja na pewno

miałem po pięćdziesiątce. Był problem z kontaktem, ale wydeklamowałem mu dokładnie wiersz Wątłusza ze *Sposobu na Alcybiadesa*, bo umiem ten wiersz na pamięć. Niziurski był wyraźnie podniecony moją deklamacją". (Pilch recytuje cały wiersz Wątłusza).

Pilch kontynuuje po deklamacji: „Niziurski potrafił celnie trafiać w rzeczywistość, niby ją olewając, niby robiąc z rzeczy najwyższych parodię. To jest zarazem realistyczne i kompletnie odjechane, tak jak powinno być w literaturze: wielkie i trafione. Odjechane i trafione. On miał ten wyjątkowy dar".

Wiersz Wątłusza Pierwszego
(bez tytułu)

Zachodzi słońce za Wędzarnią krwawo,
Słychać krzyk drobiu Więckowskiej nieświeży,
Sezon skończony, żegnaj sławo!
Na zwiędłych liściach znokautowany bokser leży.
Twarz mu wykrzywia uśmiech żałosny.
Byle do wiosny!
Kiedy Ci walka na pięści zbrzydła.
Poezji rozwiń skrzydła!

WIERSZE KTÓRE RWĄ NAM SERCE

Miłoszewski o *Alcybiadesie* mówi w ten sposób: „Wręcz rozczulający jest ten kod kulturowy, w który ci chłopcy wchodzą. Zabrałem *Alcybiadesa* na rejs jachtem – mam dużo morskich wątków w nowej książce, a mój teść jest żeglarzem. I popłynąłem z nim jachtem na Atlantyk. Pływaliśmy wokół Wysp Kanaryjskich i siedzieliśmy z *Alcybiadesem* na łódce – ja, mój prawie siedemdziesięcioletni teść, a także Grześ Kasdepke oraz mój brat Wojtek Miłoszewski, też pisarz. Czytam *Alcybiadesa*, cały czas śmieję się na głos, bo jest nieprawdopodobnie śmieszny. Grzesiek Kasdepke pyta, z czego się śmieję, ja mówię mu początek zdania z *Alcybiadesa*, a on bez problemu z pamięci kończy to zdanie. Podobnie mój teść – ja mówię początek zdania, teść kończy. I to nie tylko wiersz o »krzyku drobiu Więckowskiej nieświeżym«, ale nawet jakieś drugoplanowe sceny. Natomiast dla Wojtka, młodszego ode mnie zaledwie o cztery lata, to jest czarna magia. On należy już do innego pokolenia. Będąc rocznikiem 1980, nie załapał się na Niziurskiego. Wojtek jest bardziej pokoleniem komiksowym. Dla brata najświętszą rzeczą z dzieciństwa nie jest, jak dla mnie, Niziurski, tylko pierwsze wydanie *Zdradzonej czarodziejki*, czyli komiksu o Thorgalu. Żeby było jasne, dla Thorgala też jestem pełen szacunku. Kiedy byłem u jego autora Grzegorza Rosińskiego w Szwajcarii, czułem się, jakby mnie Bóg Ojciec zaprosił do siebie na herbatę. Kiedy jednak wyprowadzaliśmy się z domu i dzieliliśmy z bratem różnymi rzeczami, to dla Wojtka najświętsze były komiksy, a dla mnie Niziurski i Nienacki”.

Pomijając warstwę sentymentalno-rozrywkową, Miłoszewski zwraca jednak uwagę przede wszystkim na wymiar edukacyjny książek Niziurskiego, ale także

egzystencjalny: „Warstwa edukacyjna, czy w *Alcybiadesie*, czy w *Klubie włóczykijów*, jest dość wymagająca. W *Sposobie na Alcybiadesa* smutek przemijania starego nauczyciela jest przejmujący. Nawet ci chłopcy rozumieją profesora Misiaka, gdy inni nauczyciele się z niego nabijają. Jest w tym coś bardzo smutnego, kiedy widzimy, jak ten ostatni inteligent, urodzony jeszcze w XIX wieku, już jest na wylocie. To jest rozdzierające. Zawsze byłem bardzo nieodporny na takie iwaszkiewiczowskie przemijanie, szczególnie odkąd sięgnąłem po dojrzalszą literaturę, ale to nadal profesor Misiak rusza mnie najbardziej. Bo dziewczyna może odejść, obrazić się i po wakacjach będzie następna, a z profesorem Misiakiem po prostu odchodzi cała epoka. Ta epoka, w której wiedza, kojarzenie faktów, przygoda intelektualna to były jakieś wartości. I co ważne – to nie Misiak wprowadza młodych bohaterów powieści w ten etos, ale starsi koledzy ich wprowadzają. Przekazują pałeczkę następnym pokoleniom, które wkraczają w świat już nie tylko durnych uczniowskich wygłupów, ale w ten rozdział życia, gdy trzeba ruszyć z posad bryłę świata. *Sposób na Alcybiadesa* to nie tylko bardzo zabawna, ale i bardzo głęboka oraz bardzo smutna książka.

Gdybym miał zrobić listę doświadczeń, które we mnie zostały z lektury Niziurskiego, nie jako w człowieku, tylko w pisarzu, w warsztacie pisarskim, to naczelną zasadą jest, że nie powinno się pisać zbyt poważnie, bo ironia zawsze się przydaje. Poza tym jak tworzysz prozę dla młodzieży, czy piszesz tak jak ja prozę gatunkową, to nie znaczy, że poprzeczka musi być tak nisko, żeby każdy debil przeskoczył. Możesz wymagać od swojego czytelnika jakiejś wiedzy, minimalnego kodu kulturowego, nie musisz się zgadzać na żądania redaktora, że coś należy wytłumaczyć, uprościć, bo czytelnik nie będzie wiedział. Skoro ja, jako czytelnik Niziurskiego,

mogłem sobie w czasach przedinternetowych sprawdzać w encyklopedii, o co chodzi, to myślę, że dzisiaj mój dorosły czytelnik może to zrobić tym bardziej".

O ile *Sposób na Alcybiadesa* wciąż pozostaje niemal wzorcem z Sèvres literatury młodzieżowej, to niestety do historii kinematografii nie przejdzie (i może dobrze) ekranizacja tej powieści, mianowicie film pod tytułem *Spona* z 1998 roku.

Scenariusz napisał Michał Tomczyk, a za reżyserię zabrał się Waldemar Szarek i jest to zapewne najsłynniejsza ekranizacja Niziurskiego, co nie znaczy, że znana i udana. Co więcej – jest to ekranizacja niedorzeczna. Niziurski do tego filmu napisał wyłącznie dialogi, jego odpowiedzialność za tę klęskę artystyczną jest mocno ograniczona, a wpływ na końcowy efekt zapewne znikomy.

Rzecz dzieje się we wrześniu 1969 roku (choć powieść pochodzi z 1964 roku), ale mamy przebitki na współczesnych muzyków, na przykład hiphopowych, rapujących do melodii wygrywanej na saksofonie przez Michała Urbaniaka. Aktorzy grający Ciamciarę, Zasępę i Słabińskiego byli już sporo po dwudziestce, dla osiemnastoletniej wówczas Karoliny Gruszki była to dopiero druga rola filmowa. Babińskiego czyli Alibabę zagrał Jarosław Jakimowicz, wówczas niemal trzydziestolatek, Szekspira klarującego bohaterom tytułowy sposób – Andrzej Nejman, podówczas mający na karku niemal ćwierć wieku, podobnie jak Cezary Kosiński wcielający się w Szlaję, już wówczas lekko łysiejący. W nieszczęsnego profesora Misiaka wcielił się z pełnym poświęceniem Władysław Kowalski, starając się wycisnąć ze swojej charakterystycznej ofermowatości maksimum, choć jednocześnie jako Alcybiades jest zupełnie pozbawiony wiarygodności, podobnie jak

dokładnie każda postać w tym katastrofalnym filmie. Ani dyrektor szkoły odgrywany przez Krzysztofa Kowalewskiego, ani Żwaczek w kreacji Sławomira Orzechowskiego, ani chemik Fąfara, ani matematyk Dziadzia – w powieści tak wyraziści, tak zapadający w pamięć, tutaj są postaciami zupełnie bez właściwości.

Deklamowanie przez Wątłusza słynnego wiersza o incipicie „Zachodzi słońce nad Wędzarnią krwawo…" można uznać za najgorsze wykonanie poezji w polskich filmach. Z piosenkami szczelnie wypełniającymi ten film różnie bywa, a ich współgranie z fabułą jest raczej umowne. Muzycznie utwory rzadko korespondują z epoką schyłkowych lat sześćdziesiątych, a sam film sprawia wrażenie dokręconego do ścieżki muzycznej jako teledysk do piosenek Wzgórza Ya-Pa 3, Kuby Sienkiewicza, Grzegorza Markowskiego, Norbiego, Anny Marii Jopek i innych. Jednocześnie nie chce się pozbyć film Szarka dosadnego przekazu wychowawczego i patriotycznego, co pokazane zostaje w rozmowie Alcybiadesa z uczniami o konsekwencjach odsieczy wiedeńskiej oraz swoistym pokazie slajdów, gdy na ekranie kolejno oglądamy obrazy Jana Matejki (*Rejtan*) Wojciecha Kossaka (*Przysięga Kościuszki na Rynku w Krakowie*, *Szwoleżerowie przed Napoleonem*, *Olszynka Grochowska*, *Sowiński na szańcach Woli*), Artura Grottgera (*Polonia*) oraz zdjęcia Piłsudskiego. Wreszcie mamy wizytę Misiaka z uczniami na grobach polskich żołnierzy, a zatem żelazny kanon wychowania patriotycznego młodzieży. U Niziurskiego w powieści wszystko było zdecydowanie bardziej finezyjne, u Szarka zaś widać ciężką rękę kogoś, kto do młodzieży chce podejść łopatologicznie i nie do końca rozumie literaturę autora *Sposobu na Alcybiadesa*. Stąd zapewne patetyczne wypowiedzi uczniów o „narodzie, który jest rodziną, tylko taką większą", i że historii „uczymy się, żeby nie popełniać

ciągle tych samych błędów”, zaś Misiak głosi: „Historia uczy, jak się zachować. Stajecie się, panowie, mężczyznami, Polakami, Europejczykami. Musicie wiedzieć, co jest waszą powinnością, jak postąpić, gdy historia was wezwie, byście się stali jej uczestnikami. A wezwie was na pewno”.

REALIZM MAGICZNY I ŚWIAT CHTONICZNY

Wydane w 1969 roku *Siódme wtajemniczenie* jest najdziwniejszą książką Niziurskiego, najbardziej surrealistyczną, można nawet powiedzieć, że psychodeliczną. Tak jakby autor chciał w pewien sposób wpisać się w napędzaną środkami psychoaktywnymi amerykańską kontrkulturę lat sześćdziesiątych. Oczywiście sam Niziurski nic nie miał wspólnego z kontrkulturowo-psychodelicznym spojrzeniem na literaturę, mógł nie słyszeć nawet o Burroughsie, Tomie Wolfie, Kenie Keseyu. Należy tę powieść nazwać „realizmem magicznym dla młodzieży”. Nawet w powieściach o przygodach na innych planetach i kontaktach z kosmicznymi jaszczurami, jakie będzie pisał Niziurski ćwierć wieku później, na dobrą sprawę nie osiągnie takiego odrealnienia, mimo iż przecież wszystko, co się dzieje w *Siódmym wtajemniczeniu* (pierwotnie noszącym tytuł *Twierdza Persil*) dzieje się w świecie nieodbiegającym specjalnie od tego, który dotychczas zaludniali rezolutni bohaterowie tego pisarza.

Co więcej, jest to poniekąd powieść polityczna, bo metaforycznie też tak ją przecież można czytać. Powieść o niezależności, ale i braku wyjścia ze skomplikowanej sytuacji w świecie dwubiegunowym, gdzie trzeba opowiedzieć się po jednej ze stron, o trudności w staniu obok. Wreszcie o tym, że

świat jasnych, wyraźnych podziałów, wojny między dwoma siłami może być światem pozorów i oszustwa. To w pewnym sensie powieść o fałszu świata, o zakulisowych rozgrywkach, o budowaniu złudzeń i kamuflażu ideologii, za którym kryje się czysta interesowność.

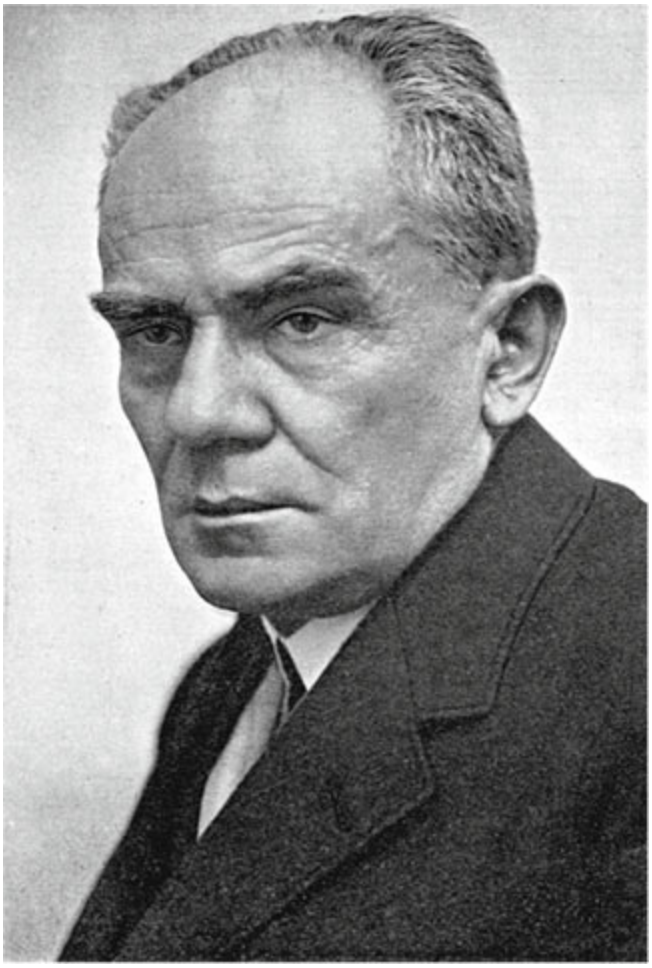

Stefan Żeromski

Jak często u tego autora, mamy tu archetyp nowego ucznia w szkole. Gustaw Cykorz, syn inżyniera przerzucanego służbowo po całej Polsce, ląduje w Gnypowicach Wielkich, śląskim miasteczku, którego chlubą jest Koksochemia – nowoczesna budowa socjalistyczna, do której ściągają

pracownicy z niemal całego kraju. Tak jak w *Awanturze w Niekłaju* mamy konflikt między ludnością rdzenną a napływową, między zasiedziałą w swoich niebogatych domkach, często nędznych chałupach a przyjezdnymi, którzy zasiedlają nowe bloki. Powieści Niziurskiego z tego okresu, przecież zawsze wybitnego kronikarza przemian społecznych, rejestrują wielką wędrówkę ludu polskiego za pracą. Czasy inżynierów wyjeżdzających na prowincję, by budować fabryki, zakłady przemysłowe i chłoporobotników pojawiających się tam, gdzie akurat dzieje się wielka inwestycja. W *Siódmym wtajemniczeniu* mieszkańcy nowych bloków nazywają się „Blokerami", zaś śląscy autochtoni „Matusami". Problem Cykorza polega na tym, że nie chce należeć ani do Blokerów (mimo że mieszka w bloku i chodzi z Blokerami do klasy), ani do Matusów. Za wszelką cenę pragnie zachować osobność i niezależność, co jest nad wyraz trudne, bo spotyka się z opresją ze strony obu szkolnych gangów. Oczywiście słowo „gang", a nawet „banda" jest tu na wyrost, u Niziurskiego nie ma prawdziwej, brutalnej przemocy, rozliczne dręczenia, tortury, gnębienie, robienie głupich kawałów jest niewątpliwie upokarzające i przykre fizycznie, ale nie jest realną przemocą, taką jakiej należałoby się spodziewać po prawdziwym gangu młodocianych. Nie ma tu ordynarnego bicia po twarzy czy kopania, ale wymyślne mydlenia, nacierania, szlifowania, jak opisuje sam Cykorz.

Obie grupy – Blokerzy i Matusy – są zorganizowane na wzór niemal wojskowy, ale jak się przyjrzeć, to zdaje się, że raczej powielają strukturę organizacji partyjnej z kierownikiem i z zapleczem ideologicznym. I tak pośród Matusów występuje niejaki Kwiczoł, zwany Wielkim Doktrynerem, odpowiedzialny za „ideologiczną" stronę działalności „gangu", uważany za „wielkiego filozofa", a także Maks „Wielki Eksperymentator".

Podobnie wśród Blokerów, ich szef Radek Nieradkiewicz, zwany Nieradkiem podpisuje swoje listy: „Przewodniczący Wielkiej Rady Bloku”, co uznać można za nadętą nazwę organizacji rewolucyjnej, ale i za parodię Rady Narodowej czy nawet Rad Robotniczych i Chłopskich. Nieradek jest bardziej nawet niż szefem „gangu” ideologiem i politykiem.

Główną bojową rozrywką Blokerów i Matusów jest wspólna, masowa gonitwa przez łaźnię, zwaną Wielką Kołomyją Elementarną, podczas której Blokerzy gonią Matusów, a Matusy jednocześnie gonią Blokerów. Ta dziwna paradoksalna pogoń, gdzie uciekający jednocześnie gonią ścigających możliwa jest dzięki temu, że szkolna łaźnia ma dwa naprzeciw siebie znajdujące się wejścia-wyjścia, zatem uczniowska masa biega w koło, i szpica uciekających jednocześnie jest czołem pościgu za ariergardą goniących. Całość tego groteskowego pościgu i ucieczki polega na udawaniu walki. Obie grupy falsyfikują rzeczywistość, symulując bezlitosne starcie. Nikt nie może ostatecznie wygrać, ponieważ świat Gnypowic opiera się na równowadze pomiędzy Blokerami i Matusami i nikomu specjalnie nie zależy na zburzeniu tego dziwnego konsensu, ponieważ istnienie dwóch jakoby śmiertelnie nienawidzących się środowisk powoduje, że nie ma miejsca nie tylko na powstanie jakiejkolwiek opozycji, trzeciej grupy, nowej partii, mówiąc krótko, a nawet nie da się nie należeć do którejś z nich. To nie tyle przynależność do znienawidzonej grupy jest piętnowana, ile nieprzynależność do czegokolwiek, osobność, samodzielność, niezależność. W Gnypowicach albo jesteś Blokerem, albo Matusem, albo po prostu cię nie ma.

Powieść ma klimat często oniryczny. Cykorz fantazjuje o lotach kosmicznych w towarzystwie Komandora i orbitowaniu. Jak się okazuje, takie same sny ma lokalny pijak

Inocynt Ankoholik, spędzający czas na okolicznych łąkach i hałdach i tam się alkoholizujący. Co więcej, często przymuszający do picia wódki pochwyconych chłopców, co zdaje się mało wiarygodne, bo ciężki nałogowiec wolałby dla siebie zachować zapasy spirytualiów, niż trwonić je na zaszczepianie alkoholizmu wśród młodzieży. Według pracy doktorskiej magistra Cymby, o której wspomina się w powieści, „pijacy dzielą się ogólnie na lokalowych i koczujących. Wśród lokalowych najważniejsze są grupy pijaków barowych i kameralnych, a wśród koczujących przeważają podpłotkowi, leśni, ogrodowi i łęgowi". Wedle tej terminologii Inocynt należy do „pijaków łęgowych".

Cykorz postanawia w końcu przystąpić do Matusów, choć z oporami i bez przekonania. Doktryner Kwiczoł mówi, że „zdradza poważne wahania ideologiczne" oraz że „kandydat powinien… rozumiesz… z radością… z zapałem" chcieć przystąpić do organizacji. Niestety Cykorz ma „poważne braki w wyszkoleniu politycznym", co zasmuca ideową wierchuszkę Matusów, będących w swoim mniemaniu „funkcjonariuszami związku" postępującymi „zgodnie z racją stanu". Zatem Cykorz musi dostać się w „tryby maszyny organizacyjnej". Organizacja jest wszystkim, zaś wszystko, co poza organizacją, jest albo nieważne, albo złe.

Niziurski jak mało kto z literatury nawet poważnej pokazuje ułudę władzy, swoistą jej fasadowość, to, że rzeczywistość wygląda zupełnie inaczej, niż się wydaje, a rzekomy wszechwładny szef w istocie jest figurantem, nieświadomym swej nieważności oraz tego, że za jego plecami toczy się zupełnie inna rozgrywka. Oficjalna wersja wydarzeń nie ma nic wspólnego z prawdziwą, a komunikaty wrogich grup Blokerów i Matusów w zadziwiający sposób są identyczne. Ernest jest przekonany, że „Twierdza Persil" jest codziennie

zdobywana przez jego żołnierzy i Blokerzy ponieśli już sześćdziesiąt sześć klęsk, o czym informują pełne entuzjazmu raporty Matusów. Ale rzekomo miażdżeni codziennie Blokerzy mają się świetnie i też informują o swoich sześćdziesięciu sześciu bezapelacyjnych zwycięstwach. Cykorz rwie się do zdobywania „Twierdzy Persil", podobnie jak cała chmara Matusów, z których każdy, nie zważając na zbliżającą się klasówkę z matematyki, chce zdobywać umocnienia Blokerów. Jednak Kulawy Lolo stara się wytłumaczyć nieznającemu rzeczywistych układów Cykorzowi, że jest zupełnie inaczej, niż wydaje się wodzowi Ernestowi, że Ernest stracił kontakt z rzeczywistością i tak naprawdę nie ma pojęcia, co się dzieje. Przypomina to przecież sytuację, gdy jakiś satrapa czy pierwszy sekretarz utrzymywany jest w nieświadomości, gdy specjalnie dla niego preparuje się raporty i doniesienia prasowe, by utrzymywać go w błogim przeświadczeniu o swojej doskonałości i o tym, że sprawy idą w dobrym kierunku, wróg jest wycieńczony i już za chwilę bezwarunkowo skapituluje.

Także tutaj jest ukazana chtoniczność powieściowego świata Niziurskiego, wszak tajna kwatera Matusów znajduje się w podziemiach, w ciasnych, cuchnących piwnicach, do których prowadzi tajne przejście. Podobnież ma się rzecz z legendą o „trumnie Klappera" ukrytej gdzieś w piwnicach „Twierdzy Persil" – i znów owa tajemnica skryta jest pod ziemią. Jako że akcja *Siódmego wtajemniczenia* dzieje się na terenach poniemieckich, to naszą wyobraźnię rozbudzają (niczym w *Panu Samochodziku*) podania o niemieckich skarbach, ukrytych przez uciekających nazistów w lochach, piwnicach, grobowcach, podziemiach zrujnowanych willi czy pałaców – patent jeszcze pod koniec lat sześćdziesiątych doskonale działający. W zasadzie na osobne opracowanie zasługuje temat zasług junkrów, esesmanów i niemieckich arystokratów

w dziele budowania peerelowskiej popkultury, gdzie obok dzierżącego palmę pierwszeństwa Zbigniewa Nienackiego musiałoby się też znaleźć miejsce dla autora *Siódmego wtajemniczenia* i *Awantury w Niekłaju*.

Jednocześnie groteskowa, surrealistyczna – jak większość tej powieści – scena zaprzysięgania Cykorza na Matusa ewidentnie przypomina wykoślawioną wersję wprowadzenia nowego kandydata w arkana wiedzy masońskiej. Cykorz z założonymi na oczy końskimi klapkami jest parodią Daniela Olbrychskiego stającego się wolnomularzem w ekranizacji *Popiołów* Żeromskiego wyreżyserowanych przez Wajdę. Być może Niziurski nie znał tego filmu, ale niemożliwe jest, by nie znał powieści Żeromskiego, swojego literackiego idola.

Prawdziwym wtajemniczeniem jest cel zdobycia „Twierdzy Persil" i odnalezienia „trumny Klappera", w której ten wytwórca trumien, a zarazem członek SS schować miał bezcenne kosztowności. Zdobycz ma posłużyć do sfinansowania „Wielkiego Wandru", czyli epokowej wyprawy Matusów na jeziora mazurskie, a w dalszej perspektywie dalej: na morza, oceany i do zamorskich krain, za czym stoi potrzeba emigracji z zatęchłego, smutnego Śląska.

Tyle że Jarosław Strzębski uważa, że Gnypowice to też Kielce i wcale nie chodzi o śląski krajobraz, który sugerują hałdy: „Gnypowice, Twierdza Persil, i te glinianki to są dla mnie właśnie Doły Siekluckiego. Staw był na tyle rozległy, że się przez niego płynęło, ale na tyle mały, że nie stanowił nieprzebytej przeszkody. Oczywiście są na Śląsku wyrobiska, hałdy i stawy, ale hałdy były również koło Dołów Siekluckiego, bo przecież te doły, skąd wybierano piasek, otoczone były pasmem tzw. górek. Szkoła w Gnypowicach to szkoła im. Feliksa Dzierżyńskiego, której budowę za płotem naszego domu ukończono w 1967 roku. Na pewno Gnypowice są jakąś kompilacją wielu miejsc,

bo to zwykle tak bywa, ale przede wszystkim to krajobraz kielecki. Kielce leżą między dwoma pasmami: Dymińskim i Masłowskim, i stąd tutaj ten przewiew, bo rzeczywiście tu często mocno wieje, dlatego właśnie mówi się, że »piździ jak w Kieleckiem«”.

Profesor Tadeusz Cegielski, znawca i praktyk rytuałów masońskich: „W *Siódmym wtajemniczeniu* mamy bez wątpienia rozbudowany, wielostopniowy rytuał inicjacyjny, choć niekoniecznie musi to być obrzęd wolnomularski. Niziurski bawi się różnymi elementami takiego rytuału, przekształca je, deformuje, zmienia kolejność lub ośmiesza, ale nadal spełniają one swoją rolę. Cykorz ma przewiązane chustką oczy, pije kozie mleko i przebywa w ciemnościach szafy. Charakterystycznym momentem jest dokładne protokołowanie przebiegu rytuału, właściwe dla tradycji wolnomularskiej. Mamy tu też »legendę założycielską« masonerii symbolicznej, błękitnej, czyli trzech pierwszych stopni wtajemniczenia: sprawę ukrytej w podziemiach trumny i jej zawartości. Zresztą, trumna, zwłoki zamordowanego Mistrza i jego zmartwychwstanie to główne elementy symboliki trzeciego, mistrzowskiego stopnia wolnomularskiego.

Edmund Niziurski rok 1945

Klasyczny system wtajemniczeń wolnomularskich, ukształtowany około 1750 roku, zawierał siedem stopni (Ryt Różanego Krzyża). Do każdego prowadził odrębny rytuał. Rytuały te tworzyły synkretyczną strukturę, na którą złożyły się proste, tradycyjne obrzędy cechowe, towarzyszące przyjęciu nowego członka, pogłębione i wzbogacone mniej lub bardziej świadomie w XVII i XVIII wieku dzięki symbolice transmutacji alchemicznej. Zapożyczony z alchemii i innych dyscyplin ezoterycznych aparat pojęciowy nadał wolnomularstwu już we wczesnej fazie jego historii wymiar uniwersalny, zarazem transcendentalny. Oczywiście, najważniejszy pozostał obrzęd

inicjacji do związku, czyli rytuał uczniowski. Jak każdy rytuał przejścia zaczynał się »we wnętrzu ziemi« (w ciemnościach Izby Rozmyślań) i prowadził tzw. postulanta (»ni to nagiego, ni to ubranego«) poprzez kolejne trzy próby (ognia, wody i powietrza) do momentu »udzielenia mu światła«, czyli zdjęcia opaski z oczu. Szok, jaki towarzyszy nagłemu wyjściu z ciemności, przyrównywany jest do szoku związanego z narodzinami. W rzeczy samej postulant, który stał się dzięki inicjacji adeptem, rodzi się do nowego życia – bardziej świadomego, rozumnego, pełnego. Ważnym elementem rytuału inicjacyjnego jest spełnienie »czary goryczy« przez postulanta, czyli wychylenie jednym łykiem napoju zawierającego piołun. Także przejście »pod stalowym sklepieniem« utworzonym ze skrzyżowanych szpad braci. Po pomyślnym przejściu przez próby i otrzymaniu światła kandydat składa przysięgę na Księgę Praw (Biblia, Tora, Koran lub inne teksty objawione w zależności od wyznawanej przez postulatna religii) i zostaje pasowany mieczem na Brata i członka Loży. Otrzymuje fartuch uczniowski i białe rękawiczki. Potem wtajemniczony zostaje w znaki, słowa i kroki stopnia Ucznia.

Rytuał przytoczony w *Popiołach* przez Żeromskiego, a potem wykorzystany przez Wajdę nie jest rekonstrukcją konkretnego rytuału, ale zawiera zasadnicze elementy obrzędu inicjacji. Szwagier Żeromskiego, Rafał Radziwiłłowicz, wolnomularz od 1910 roku – jeśli to on był informatorem – nie miał prawa udostępnić pisarzowi konkretnego rytuału konkretnej loży, której był członkiem, ale mógł ukazać mu jego przebieg, symbolikę i znaczenie. Mógł Żeromski, podobnie później Niziurski skorzystać z jednego z setek wydawnictw naukowych lub choćby popularnych broszur, które mniej lub bardziej bałamutnie ujawniały tajemnice i sens rytuału wolnomularskiego”.

Znamienne, że rwący się do walki Cykorz odwodzony jest przez hierarchię Matusów od bohaterstwa i prawdziwej walki. Czarny Piter i Kwiczoł suflują wręcz Cykorzowi ideę poddania się Blokerom bez walki i studzą jego bojowy zapał, bo przecież nie o żadną zabawę w wojnę tutaj chodzi, ale o coś o wiele poważniejszego. Każdy szturmujący twierdzę otrzymuje prócz broni (drewnianej szabli, plastikowego floretu, pistoletu na kapiszony) paczkę żywnościową dla pojmanego jeńca oraz książkę dla niego. Stąd łatwość, z jaką wrogowie się poddają, bo w paczce dostają łakocie na co dzień niedostępne, ale nade wszystko lekturę. Z nich najcenniejsza jest powieść „Niezwykłe przygody Anatola Stukniętego na początku".

I przy tej fikcyjnej, czy też mówiąc nazewnictwem Pawła Dunin-Wąsowicza, książce „widmowej" bądź „urojonej" trzeba się na chwilę zatrzymać. To legendarna powieść, której prawdziwego autorstwa ani tytułu nikt nie zna, ponieważ została znaleziona przez niejakiego Pleksika w skupie makulatury jego wuja – bez okładki i strony tytułowej. Podaję tu jej omówienie za książką Dunin-Wąsowicza *Polska biblioteka widmowa* zbierającej przykłady książek występujących wyłącznie w innych książkach (Narodowe Centrum Kultury, Warszawa 2016): „Pod wpływem tej lektury poszczególni czytelnicy doznają przypadłości, które przeżywa w książce Anatol. Początkowa scena, w której Anatol, ścigany przez ludzi sir Douglasa ucieka boso w koszuli po śniegu i odmraża sobie palce u nóg i uszy, spowodowała, że Bezczelnemu Pacholcowi przydarzyło się to samo. Nieradek dostał od niej grypy, Szprot zaś, uprzedzony, czym grozi lektura, czytał w kożuchu i futrzanej czapie, lecz zapomniał o ciepłych butach i odmroził sobie duży palec u nogi. Na stronie 28 Anatol ukrywa się w przerębli pod wodą – czytający to chłopcy, m.in. Szczeżuja-Spec, skakali masowo do przerębli. Bąbel, czytając pod ławką

o tym, jak Anatol nadstawia gołą pierś wrogom, rozpiął na lekcji koszulę. Zaintrygowany tym nauczyciel Piszczoch zabrał mu książkę, zaczytał się i dostał skurczów tak niebezpiecznych, że musiał być przez miesiąc hospitalizowany. Wujkowi Kwiczoła odnowiła się rana w piersi. Jeżeli komuś udało się mimo braku uczuleń dotrwać do siódmego rozdziału, nieuchronnie zasypiał na jego początku".

Dopowiedzmy: czytelnik zasypiał, ale nie z nudów, tylko z tej przyczyny, że siódmy rozdział (jak siódme wtajemniczenie) był opisem snu Anatola, a nieprzeparta sugestywność powieści powodowała, że próby czytania o spaniu kończyły się w sposób oczywisty zaśnięciem. Do czytania niebezpiecznej powieści zabiera się jeden ze znakomitych Blokerów – Żarłoczny Stef, znany ze swojego niepohamowanego apetytu, ale także gruboskórności. U Stefa wszystkie emocje działają zawsze z opóźnieniem, dlatego w tym upatruje szans przebrnięcia przez powieść o Anatolu, bo zanim jego organizm zdąży się przejąć sugestywnym opisem marznięcia Anatola, to Anatol już będzie przypiekany ogniem, a gdy ciało Stefa zacznie reagować na gorąco, Anatol już będzie zasypiał, a gdy Stef poczuje pierwsze objawy senności, Anatol się zbudzi itd., itd.

— Słabiński, kto napisał „Latarnika”?

— Żeromski. On siedział w latarni na Rozewiu. Ja tam byłem.

„Sposób na Alcybiadesa”

Kiedy Cykorz wreszcie przybywa, przeprawiając się łódką przez staw (urastający w wyobraźni Gustawa do rozmiarów Jeziora Wiktorii lub rzeki Kongo) i staje naprzeciw „Twierdzy Persil”, daje nam taki oto opis owego ponurego domostwa, niczym z powieści gotyckiej albo opisu hotelu Normana Batesa z *Psychozy*: „Sam, oko w oko z twierdzą. Spojrzałem na nią pełen lęku. Z bliska wydawała się jeszcze potężniejsza, niż myślałem. Była to wielka, dwupiętrowa budowla z cegły, poczerniała od dymu. Od tej strony w ogóle niedostępna. Gruby mur osunął się w dół parę metrów i częściowo zawalił, odsłaniając na piętrach kolorowe ściany pokojów, w których gnieździły się teraz zdziczałe gołębie. Olbrzymie ich stada jak chmury unosiły się nad budynkiem, spokojnie i majestatycznie wykonując podniebne ewolucje. Nie pasowały mi jakoś do twierdzy te gołębie. Chętniej widziałbym tu stado złowieszczych kruków, a przynajmniej gawronów lub kawek, w każdym razie ptaków posępnych, ubranych czarno, odpowiednio do okoliczności. Gołębie były niestosowne”.

Tajemnica „Twierdzy Persil” i wojny między Matusami a Blokerami polega na tym, że członkowie jakoby wrogich sobie band spotykają się tam i podciągają nawzajem z trudnych przedmiotów szkolnych. Cała wojna jest tak naprawdę przykrywką dla świetnie działającej samopomocy uczniowskiej, odpisywania od siebie zadań i pobierania korepetycji, o czym nie miał pojęcia zarówno rwący się do walki Cykorz, jak i przywódcy Matusów i Blokerów.

W POLSKĘ JEDZIEMY, DRODZY PANOWIE

Klub włóczykijów, wydany w roku 1970, ale pisany oczywiście wcześniej, przynależy w pełni do złotej dekady pisarstwa Niziurskiego, dekady lat sześćdziesiątych, gdy powstawały sztandarowe powieści autora *Siódmego wtajemniczenia*. I jest jak na tego pisarza książką bardzo nietypową. Tak mogłaby wyglądać bowiem powieść Zbigniewa Nienackiego, gdyby ten miał poczucie humoru, swobodę i brawurę językową, bo główne zręby intrygi *Klubu włóczykijów* – mimo że brzmi to zaskakująco, a nawet absurdalnie – nieco przypominają schematy autora *Panów Samochodzików*. Oto mamy opowieść z mocnym wątkiem przygodowo-historycznym, gdzie punktem dojścia ma być odkrycie starych archiwów, jeszcze z czasów powstania styczniowego. Dodatkowo z całkiem, szczególnie jak na Niziurskiego, sporą dawką wiedzy historycznej, jaką uwielbiał faszerować towarzyszy przygód Pan Tomasz. A więc dostajemy klasyczną wyprawę po skarb, co prawda jedynie w Góry Świętokrzyskie i do Pułtuska, ale przecież Samochodzik skarbów szukał także głównie na polskiej prowincji, choć najchętniej na Pojezierzu Mazurskim, zaś Niziurski wierny pozostawał nade wszystko Kielecczyźnie.

Wytłumaczenie osobności *Klubu włóczykijów* na tle innych książek Niziurskiego jest proste: powieść powstała na zamówienie miesięcznika „Poznaj swój kraj”, a jej premierowy odcinek ukazał się we wrześniowym numerze z 1966 roku, na cztery lata przed edycją książkową. *Klub włóczykijów* ukazywał się na łamach „Poznaj swój kraj” przez całą resztę roku 1966 i część 1967, z ilustracjami Bohdana Butenki, choć ten wydania książkowego już nie będzie ilustrował, podejmie się tego w pierwszym wydaniu Andrzej Czeczot, a potem Maciej Hibner. „Poznaj swój kraj” jak na miesięcznik miał wątłą formę, przypominającą bardziej tygodnik (ledwo 32 strony), a tematem

numeru, w którym rozpoczęły się przygody stryja Dionizego Kiwajłły, były ziemia bydgoska i toruńska oraz opowieść o wojnie trzynastoletniej. Co zresztą nie miało nic wspólnego z powieścią Niziurskiego, choć z kolei *Klub włóczykijów* jak najbardziej miał wiele wspólnego z ideą „miesięcznika krajoznawczo-turystycznego". Jedna z najlepszych książek pisarza została napisana na bardzo konkretne zamówienie.

Mamy koniec upalnego lipca 1966 roku, w Warszawie da się odczuć nie tylko straszny skwar, ale i niedobory wody. Ciekawe, że ani przez chwilę nie pojawia się wątek wielkiej defilady z okazji tysiąclecia państwa polskiego (czyli tysiąclecia chrztu Polski – władze komunistyczne i Kościół „ścigały" się na uroczystości, każde pod innym hasłem), wydarzenia nadzwyczaj spektakularnego. Do dziś żywa jest pamięć tamtej wielkiej defilady 22 lipca 1966 roku, zaś u Niziurskiego nie ma śladu o niej i w ogóle o samym tysiącleciu. Powieściowa Warszawa to miasto, po którym kursują wciąż trolejbusy, a Zamek Ujazdowski, dziś odbudowany i dumnie stojący na skarpie wiślanej, jest wyłącznie resztką ruin z podziemiami. Niziurski unikał zawsze nie tylko propagandy socjalistycznej, ale i realia jego powieści to bardziej ruiny, wojenne ostańce, stare budowle, a nie nowe trasy i osiedla.

Kornel Kiwajłło, uczeń udręczony przez geografię, z której na koniec roku dostał bombę, zmuszony jest cały ten upalny lipiec siedzieć w Warszawie i wkuwać pod okiem bezwzględnej korepetytorki Joanny, zwanej „Zieloną Niedojrzałą". Na dodatek znajduje się w szponach ciotki Pelagii, surowej wychowawczyni i zarazem maniakalnej wielbicielki roślin doniczkowych. Swoją drogą „Zielona Niedojrzała", mimo iż postać drugoplanowa, jawi nam się jako bodaj najbardziej rozsądna uczestniczka wyprawy do Pułtuska, na Mazury i Kielecczyznę. Może dlatego, że w jej przypadku to podróż

wymuszona. Jednocześnie to rzadki przypadek bohaterki zupełnie nieprzerysowanej, nieopatrzonej żadnym dziwactwem, nietypowymi zainteresowaniami, nawet jej uroda, jak się domyślamy, przyjemna dla oka, jest raczej zwyczajna. Nic w niej nie ma z demonicznych dziewcząt w rodzaju Gigi czy Adeli, które zaludnią późniejsze książki tego pisarza. Kimś takim jak Joanna już za kilka lat stanie się Matylda Opat z *Awantur kosmicznych*, ale tam znów Niziurski nie powstrzyma się przed wykrzywieniem, przerysowaniem, a na pewno dość dziwne są jej zajęcia w chwilach wolnych od szkoły. Dla Kornela, prześladowanego geografią i spędzaniem wakacji w towarzystwie korepetytorki, „Zielona Niedojrzała" jest potworem, brzydkim i odstręczającym, ale dla młodego czytelnika dziewczyną, z którą chciałby „chodzić", bo o ile znakomita większość bohaterek Niziurskiego miała w sobie powab dziewcząt fatalnych, emocjonalnych wampirzyc, nieosiągalnych bogiń, które zstąpiły z kart mitologii do szkół podstawowych, to niemal dorosła Joanna jest kimś, kogo naprawdę szuka się w życiu, a nie chce tylko w niej straceńczo zadurzyć.

Tymczasem w stolicy zjawia się zażywny stryj z Krakowa, Dionizy Kiwajłło, postawny, a nawet ogromny, łysy i maniakalny antykwariusz oraz tropiciel zagadek historycznych. Maniakalny jako i ciotka jest maniakalna, ponieważ rozliczne odmiany maniakalności są cechą przynależną wszystkim Kiwajłłom. To znaczy każdy z Kiwajłłów uważa, że wszyscy w rodzinie od pokoleń są maniakami prócz jego samego. Ani ciotka, ani Dionizy nie uważają oczywiście samych siebie za maniaków, co jedynie oznacza, że są klinicznymi maniakami, podobnie jak wszyscy ich przodkowie oraz nadal żyjący krewni.

Rodzina Kiwajłłów to ni mniej, ni więcej tylko familia Niziurskich, co prawda nie maniaków, ale jak uważają niektórzy jej członkowie – fantastów i bajarzy.

Jarosław Strzębski: „Stryj Dionizy to mój dziadek Stanisław Niziurski, ojciec Edmunda, dusza człowiek, zawsze pogodny. Stanisław Niziurski nie był archiwistą jak Dionizy, ale był urzędnikiem starostwa, w czasie wojny na polecenie starosty wywoził z Kielc tajne archiwa. Właśnie z tymi archiwami Stanisław został wysłany na Węgry, aby te dokumenty nie wpadły w ręce Niemców, i zabrał ze sobą rodzinę. W *Klubie włóczykijów* wszystkie cechy dziadka są idealnie sportretowane w postaci Dionizego. Dziadek uwielbiał robić dowcipy w bardzo dobrym tego słowa znaczeniu. Natomiast ciocia Pelagia z powieści to babcia Leokadia Niziurska, która zawsze była bardzo zasadnicza. Oczywiście wszyscy ją uwielbiali, bo to była kochana babcia, ale ona zawsze dziadka w jego dowcipach tonowała. Wszystkie szalone pomysły dziadka Stanisława babcia Leokadia sprowadzała na ziemię i ona właściwie całą rodziną zawiadywała. Zresztą ciocia Basia, wdowa po Edmundzie, twierdzi, że to właśnie po Leokadii rodzina odziedziczyła wszystkie talenty artystyczne, muzyczne, literackie. Stryj Dionizy i ciotka Pelagia to prawdziwe postacie”.

Jak się okazuje, Dionizy wpadł na trop ukrytego w Górach Świętokrzyskich archiwum powstańczego oddziału swego pradziadka Pankracego Kiwajłły, służącego pod generałem Marianem Langiewiczem. Pradziadek Pankracy, dostawszy się w rosyjskie ręce, zeznał, że pieniądze swojego oddziału roztrwonił, a dokumenty spalił, w co z kolei nie uwierzył syn Pankracego (a zatem dziadek Dionizego) Hieronim Kiwajłło, maniakalny oczywiście speleolog, przekonany, że skarb

znajduje się w jednej z jaskiń Gór Świętokrzyskich. Nie dokończył jednak swych poszukiwań, jako że zginął w trakcie wyprawy speleologicznej. Teraz na kolejny trop wpadł Dionizy. Niestety okazuje się, że Dionizy po przyjeździe do Warszawy zostaje podstępnie uśpiony i obrabowany ze swego bezcennego notesu, w którym ma wszystkie wskazówki. Jak zeznaje, po drodze zetknął się z pewnymi osobnikami, których opisy wydają nam się podejrzanie znajome, a w każdym razie podejrzane tym, którzy mieli wcześniej w ręku *Niewiarygodne przygody Marka Piegusa*... Tak jest, proszę państwa, oto na scenie pojawiają się niezapomniani, niepowtarzalni, wspaniali, doskonali, wybitni i genialni doktor Bogumił Kadryll oraz Wieńczysław Nieszczególny.

Klub włóczykijów to nietypowa w dorobku Niziurskiego powieść, tak nietypowa, tak w klimacie Nienackiego sprawiona, ale zarazem tak pełna przygód, że nawet doczekała się – nieudanej, oczywiście uwspółcześnionej i nie w stu procentach wiernej pierwowzorowi, a nade wszystko zupełnie nieśmiesznej – ekranizacji. Nie uratowali jej niestety Tomasz Karolak jako Kadryll i Wojciech Mecwaldowski w roli Nieszczególnego. Niziurski nijak nie chce się przekładać na udane filmy, jest nazbyt rozbrykany językowo, jego dowcip zawierający się w dialogach, w zdaniach wielokrotnie złożonych, w pełnych pasji tyradach bohaterów nie jest językiem filmowym, ale fundamentalnie literackim.

Wartburg – samochód z silnikiem dwusuwowym produkcji NRD. Coś trochę lepszego i większego od trabanta – symbolu enerdowskiej motoryzacji. Zdezelowanym wartburgiem podróżują bohaterowie *Klubu włóczykijów*. Wartburgiem rozbija się jeden z drobnych biznesmenów z Pięciu melonów na rękę – mimo że to już lata dziewięćdziesiąte. Niziurscy sami mieli wartburga, którym podróżowali po Europie, a pisarz osobiście zdefasonował ten wóz przy nieudanej próbie wjechania do własnego garażu.

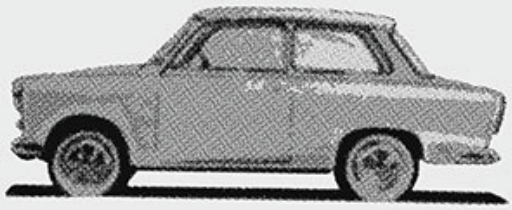

Trabant – coś trochę gorszego i mniejszego od wartburga.

Nawet kiedy Niziurski daje nam wykłady o historii i geografii, wciska nam wiedzę na temat architektury kurpiowskiej, rozkłada landszafty z panoramą Gór Świętokrzyskich, wszystko to jest naznaczone złośliwą ironią nieprzekładalną na taśmę filmową ani nawet na nagranie cyfrowe. Niziurski z upodobaniem (pozostając w poetyce powieści, należy rzec, iż maniakalnie) stosował enumeracje i wszelkie wyliczanki. Kiedy Dionizy z Maćkiem Pirydionem i jego smutnym bratem Maćkiem Pirydionem Starszym jadą do Pułtuska, okazuje się, że – często myląc drogę na skutek melancholii brata Maćka, kierowcy nadzwyczaj refleksyjnego – byli już w Płońsku, Przasnyszu, a nie jest wykluczone, że są właśnie w Płocku. Brat na propozycję Dionizego, by skoro jest tak straszliwie smutny, wreszcie się wypłakał, odpowiada, że: „jest to smutek ontologiczny, eschatologiczny i diaboliczny". Nie należy się spodziewać, żeby nastoletni czytelnik rozumiał słowa „ontologia" i „eschatologia", a jednak musiał w tym momencie wybuchnąć śmiechem, bo samo ich zastosowanie w połączeniu z niezaradnością, smutkiem i ciamajdowatością kierowcy zdezelowanego wartburga (przypominam, że wartburgiem jeździli Niziurscy w trakcie wakacyjnych podróży po Europie), na dodatek szczycącego się odznaką „dżentelmena szos", ma niebywały ładunek komiczny. Czytelnik wie, że nietrudno być „dżentelmenem szos", gdy dajesz się wyprzedzać wszystkim innym pojazdom, a przed każdym skrętem zatrzymujesz się i dokładnie sprawdzasz, czy nic nie jedzie. W drugiej połowie lat sześćdziesiątych, gdy powieść powstawała, czy nawet w 1970 roku, gdy ukazywała się na rynku, ruch na drogach był nieporównywalnie mniejszy niż obecnie, a stadko kóz, których pojawienie się na głównej ulicy miasta dziś zdaje się przesadną groteską, wówczas mogło być dość zwyczajnym widokiem.

W *Klubie włóczykijów* podróż do Pułtuska starym wartburgiem nabiera cech wielkiej wyprawy. Dziś jedzie się tam z Warszawy ledwo godzinę, omijając wygodnie obwodnicą Serock i pędząc przez niemałe odcinki drogi świetną ekspresówką. I mimo że samochodów w ciągu minionego półwiecza przybyło w sposób niepoliczalny, to sama podróż jest w zasadzie małym wyskokiem i nie da się jej literacko zmitologizować. Sam Pułtusk w istocie jest uroczym mazowieckim miasteczkiem, które od czasów wyprawy wesołej kompanii Dionizego zmieniło się nie aż tak radykalnie, w każdym razie wszystkie miejsca, gdzie Dionizy szuka kufra Hieronima Kiwajłły, znajdziemy z łatwością. Znajdują się od siebie w odległości kilkuset metrów i to w linii prostej, mianowicie w pierzei północnej, w środku i na południowym krańcu pułtuskiego rynku, długiego na czterysta metrów. To odpowiednio kolegiata z XV wieku, ratusz (odbudowany po wojnie wraz ze szczęśliwie ocalałą gotycką wieżą ratuszową) i dawny zamek biskupów płockich, dziś Dom Polonii, i hotel.

Rynek pułtuski – najdłuższy brukowany rynek w Europie – spełnia funkcję wielkiego parkingu, więc to nieco dziwne, że samochód ekipy Dionizego zaparkował w jakiejś małej, nienazwanej uliczce, a nie właśnie tam, gdzie miejsca było aż nadto. Zadziwiające też, że bohaterowie kursują między budowlami tworzącymi ramę, bądź też zwieńczenie rynku, natomiast o samym rynku nie ma tu niemal słowa. Wygląda to tak, jakby sam Niziurski w Pułtusku nie był, a posiłkował się wyłącznie przewodnikiem turystycznym (nie było wówczas Google Maps ani Google Earth, które dziś wielu pisarzom pomagają w odwzorowywaniu rzeczywistości).

Na zdjęciach z lat sześćdziesiątych widać albo zupełną pustkę pułtuskiego rynku, albo też jedynie pojedyncze wozy konne, nadrzędnym wrażeniem jest w każdym razie zupełny

brak samochodów. Dziś wygląda to zupełnie inaczej – niemal cały rynek zastawiony jest pojazdami. W każdą trzecią sobotę miesiąca odbywa się tutaj targ staroci. Akurat mam szczęście przyjechać do Pułtuska w trzecią sobotę sierpnia 2018 roku, a zatem pięćdziesiąt dwa lata i jeden miesiąc po wizycie Dionizego, Kornela i reszty ekipy. Na targu można kupić starą porcelanę, stare hełmy polskie i niemieckie, stare sztućce, szklanki, talerze, ordery, plakaty, monety, zegarki, przedwojenny wózek dziecięcy, wreszcie meble. Dwa spore kufry, wedle sprzedawczyni mające odpowiednio osiemdziesiąt i sto lat, ale będące w świetnym stanie, kosztują po 550 złotych, niestety są już sprzedane. Dowiaduję się, że należy przyjechać za miesiąc i będą następne kufry, równie stare, piękne i w świetnym stanie. Być może zostały wykonane nieco później i poddane „antykwizacji", co w powieściowej fikcji roku 1966 już uskuteczniano w spółdzielni „Antyk Pułtuski", specjalizującej się w produkowaniu i postarzaniu stylowych mebli, udających później oryginały sprzed dziesiątków bądź setek lat.

Na rynku, pod numerem czterdziestym, znajduje się restauracja „Kogel Mogel" stylizująca się na czasy Peerelu, a zatem ową epokę, w której apogeum przybyli tu nasi bohaterowie. Na ścianach stare plakaty propagandowe i tablice, stoliki z obrusami w kratkę, a dania noszą nazwy „Pewex", „Kobieta pracująca", „Komitet Centralny", dobre, niedrogie domowe jedzenie. Zarówno zupa zacierkowa, wątróbka drobiowa, jak i racuchy z jabłkami są bardzo smaczne. W *Klubie włóczykijów* pojawia się pomysł zjedzenia obiadu, ale nie zostaje wprowadzony w życie z powodu niedoborów czasu, można jedynie spekulować, gdzie wówczas wyprawa z Warszawy mogłaby się pożywić. W ogóle wątki kulinarne, biesiadne u Niziurskiego traktowane były nad wyraz

lekceważąco. Jeżeli już, to bohaterowie raczej cierpieli z powodu karmienia ich przez troskliwe matki bezpłciowymi potrawkami z kurczaka, daniami zwanymi „to i owo na śmietanowo” albo budzącym grozę wśród młodzieży szpinakiem. Czasami bohaterowie żarłocznie rzucają się na kiełbasę bądź serdelki, zazwyczaj jednak skubią pestki słonecznika, co im wystarcza za całe pożywienie, choć w *Klubie włóczykijów* w odsłonie mazurskiej pojawią się kanapki i czekolada. Można odnieść wrażenie, że kwestie jedzeniowe Niziurskiego niespecjalnie interesowały, co zrozumiałe, bo przecież akcja powieści rozgrywa się w mało obfitych czasach Peerelu, ale także wynika z tego, że Niziurski najzwyczajniej nie miał do tego głowy.

Zamek biskupów płockich w czasie, gdy rozgrywa się akcja *Klubu włóczykijów*, stanowił między innymi siedzibę władz partyjnych. Dzisiaj całość wspaniale prezentującej się dawnej siedziby biskupiej stanowi trzygwiazdkowy hotel „Zamek” dysponujący ponad pięćdziesięcioma pokojami, i wszystkie one w trzecią sobotę sierpnia 2018 roku są zajęte. Zapewne część nich zasiedli polonijny chór z Baranowicz na Białorusi, który ma wystąpić następnego dnia i właśnie zajechał autokarem i chórzystki wypakowują walizki, a w znajdującym się tuż obok amfiteatrze imienia Krzysztofa Klenczona trwa niepokojąca próba nagłośnienia. Hotel jest integralną częścią Domu Polonii i jego formuła jest turystyczno-konferencyjna. Kilka hotelowych restauracji oferuje „tradycyjne dania kuchni szlacheckiej, myśliwskiej i ziemiańskiej”. Wuj Dionizy, człowiek ogromnej postury, a zatem pewnie też apetytu, gdyby miał dziś trochę czasu i nie uganiał się za starym kufrem, mógłby tu odpoczywać z pełną satysfakcją.

Zaraz pod zamkiem od strony rynku znajduje się spora fontanna tryskająca pionowymi biczami wody, po której bez

ceregieli jeździ grupka dzieci na wielkich, czterokołowych rowerach. Na jednej z ławek stojących wokół fontanny siedzi w postaci pomnika Krzysztof Klenczon z gitarą, a gdy się ktoś do niego dosiądzie, fotokomórka uruchamia muzykę Klenczona i Czerwonych Gitar, tym razem *10 w skali Beauforta*. Akurat jakiś sztorm byłby mile widziany, bo upał jest udręczający, podobnie jak w lipcu 1966 roku. A dlaczego wiemy, że to lipiec 1966? Dlatego że we wrześniu tego roku pojawiły się pierwsze fragmenty powieści w „Poznaj swój kraj”? To za słaba poszlaka. Otóż dowiadujemy się, że dokładnie osiem lat wcześniej przez Pułtusk przeszła straszna powódź i „nierogacizna płynęła ulicami”. A stosowna tablica znajduje się zresztą na frontonie ratusza, umiejscowiona tam w 1959 roku – stryj Dionizy musiał ją widzieć. Choć oczywiście nie mógł widzieć nieistniejącej jeszcze wtedy tablicy upamiętniającej bitwę Napoleona z armią rosyjską w grudniu 1806 roku, a tym bardziej tablicy czczącej odbicie z rąk sowieckich Pułtuska 17 sierpnia 1920 roku przez „15 Pułk Piechoty »Wilków« działający w składzie 9 Dywizji Piechoty w ramach V Armii dowodzonej przez gen. Władysława Sikorskiego”.

Dionizy dostaje się w ręce urzędnika z referatu kultury Prezydium Rady Narodowej, który zanudza go opowieściami o historii Pułtuska w przekonaniu, że to przysłany ze stolicy dziennikarz. Fenomenalny patent Niziurskiego polega na tym, że pisarz spełnia swoją powinność popularyzowania historii kraju, ale nie w formie drętwej opowieści narratora lub któregoś z głównych bohaterów (jak to mieli w zwyczaju Nienacki czy Szklarski), ale w formie irytującego wykładu miejskiego urzędnika partyjnego, który swą gadaniną doprowadza do furii Dionizego, dzięki czemu czytelnik paradoksalnie lepiej zapamiętuje dzieje Pułtuska, angażując się emocjonalnie w zażartą walkę na słowa. Gdyby Niziurski pisał

swoją powieść w okolicach roku 1983, Dionizy mógłby trafić jeszcze gorzej. W tym czasie kierownikiem Wydziału Kultury Miejskiego Komitetu PZPR w Pułtusku był Stanisław Anioł, który po przeprowadzce do Warszawy został srogim gospodarzem domu w ursynowskim bloku przy ulicy Alternatywy 4. Biorąc pod uwagę, że zarówno Anioł, jak i Dionizy Kiwajłło to postaci fikcyjne, nic nie stałoby na drodze, aby się poznali.

fuksów należało do tradycyjnych rozrywek tutejszego bractwa.

Nie omijali żadnej okazji, żeby mnie podsz[illegible]. Najgorszymi miejscami były umywalnia i szat[illegible] pełnie bezbronny i w zal[illegible] dleniu jako niedo[illegible] niedopucowany fuks. W tym momen[illegible] sobie, że przecież właśnie jestem w umywalni i że jeśli Blokerzy tu wtargną mydlenie mnie nie minie. To też pośpiesznie naciągnąłem pantofle Zeflika na nogi i pobiegłem do sali zajęć technicznych. Tu jeszcze nikogo nie było. Otworzyłem teczkę i ~~wyciągnąłem z niej resztę kleju~~, skrawki blach i kawałki drutu, które miały mi służyć do wykonania modelu ciężarówki "Star". Wyjąłem także gumową podeszwę od starego trampka, z której zamierzałem wykonać opony do samochodu, aczkolwiek bez wielkiej nadziei. Nie odznaczałem się bowiem zdolnościami technicznymi i zwątpiłem już, czy kiedykolwiek ukończę pracę nad tym przeklętym modelem. Z ciężkim westchnieniem schowałem więc materiały do szuflady mojego stołu i zamyśliłem się smętnie nad tym co mi powiedział Lolo.

Nagle za oknem rozległ się szyderczy śmiech. Wzdrygnąłem się i obejrzałem nerwowo. Nie, do licha. Na prawdę jestem już wykończony nerwowo. To nie żaden śmiech tylko rżenie. Przez okno zaglądał do sali wielki łeb konia Emanuela, emerytowanego konia, który od paru tygodni dostarczał nam rozrywki, spacerując pod oknami szkoły i zaglądając do klas w najbardziej nieoczekiwanych momentach, ku utrapieniu wszystkich gogów.

Przeciwnie nastroił mnie jeszcze smutniej. Lecz dzisiaj nawet widok konia nie poprawił mi humoru. Był to bowiem koń rzeźny. Dawniej nie myślałem o tym, lecz dzisiaj pomyślałem od razu: Emanuel jest koniem rzeźnym. Zięć Derwidza trudnił się skupem starych koni i dostarczaniem ich do Zakładów Mięsnych. Emanuelowi tylko dlatego darowano chwilowo życie, po-

Maszynopis „Siódmego wtajemniczenia" z odręcznymi poprawkami autora, które cierpliwie wprowadzała żona

Trzeba tu zatrzymać się na chwilę i wytłumaczyć, dlaczego brat Maćka Pirydiona nazywa się Maciek Pirydion i odróżnia się ich, nadając przydomki „Młodszy” i „Starszy”. Przy okazji zobaczymy kolejny zabieg stylistyczny, czy też wyjaśniająco-dezorientujący typowy dla pisarstwa Niziurskiego. Tak oto Pirydion Młodszy tłumaczy proste zasady panujące w jego rodzinie: „W naszej licznej Pirydionowej rodzinie jest siedmiu Maciejów Pirydionów Starszych i około trzynastu Maćków Pirydionów Młodszych. Dlatego, aby nie było pomyłki, mojego brata nazywają Pirydionem Politechnicznym albo Polipirydionem, względnie Pirydiopolitem, lub jeśli pani woli, także po prostu Pirypoldem lub Pirylem. Natomiast na mnie proszę mówić Pirydion Teodorowy albo Pirydor. Przyjęta też jest popularna nazwa Teopiryd, względnie Teodion Pirydowy”.

A teraz powtórz to, drogi czytelniku, a w ogóle to spróbuj zapamiętać…

To tylko jeden z przykładów, jak bohaterowie Niziurskiego komplikują rzeczywistość, zalewając rozmówców tsunami nieistotnych z punktu widzenia intrygi informacji, prowadząc wielopiętrowe dygresje, z premedytacją zanudzając absurdalnymi opowieściami, albowiem usypianie, zanudzanie oraz zmulanie rozmówcy jest jedną ze strategii toczenia swoistej walki. Tak jak walkę ze stryjem Dionizym toczy bohaterski woźny, biorąc naszego archiwistę-wielkoluda za Bogumiła Kadrylla. Woźny bombarduje Dionizego wielopiętrowymi absurdalnymi opowieściami, uciekając z dygresji w kolejne dygresje, konstruując opowieść szkatułkową, a wszystko to w celu zyskania na czasie, by zdążyła przybyć milicja i aresztować rzekomego Kadrylla.

Bohaterowie Niziurskiego nadzwyczaj chętnie wypowiadali się z emfazą, która przynosiła efekt komiczny, lecz pojawiały się (nieczęsto, ale jednak) figury mające prawdziwy rys tragiczny i nawet odium śmiechu nie niwelowało tego dramatyzmu, jak w przypadku dozorcy Teofila Szmeli. Ów Szmela to dawniej dyrektor banku, później prezes spółdzielni kożuszniczej, następnie kasjer w domu towarowym, wreszcie magazynier. Każda degradacja zawodowa Szmeli była wynikiem działalności Kadrylla i Nieszczególnego, którzy pojawiali się tam, gdzie Szmela pracował, obrabiali do czysta kasę banku, spółdzielni, domu towarowego, a nieszczęsny Szmela był za swoje zaniedbania zwalniany dyscyplinarnie. Ponieważ Kadryll i Nieszczególny są złodziejami-dżentelmenami, kierującymi się w swych poczynaniach swoistą etyką, ustanawiają dla Szmeli specjalną „rentę starczą w wysokości złotych tysiąc miesięcznie z funduszów Stowarzyszenia Opieki nad Upadłymi Dyrektorami". Stowarzyszenie finansowane jest przez Bank Przelewów Jednostronnych i Niedobrowolnych, czyli przestępczą instytucję finansową gromadzącą kradzione pieniądze. Niziurski miał niezwykły talent do tworzenia absurdalnych instytucji o wymyślnych i dziwacznych nazwach, co zresztą trzeba czytać jako parodię niezliczonych tworów biurokratycznych, w jakie obrastało socjalistyczne państwo. Tak jak „Tepe i Ekape" czyli „Towarzystwo Popierania i Eksploatacji Kultury Pułtuskiej".

Stryj Dionizy nieustannie jest zasypywany przez urzędników lawiną opowieści o historii i kulturze Pułtuska, w których to mazowieckie miasteczko urasta do rangi jednej z najokazalszych pereł polskiej kultury i najbardziej tajemniczych lokalizacji w kraju, tak jak Frombork i Malbork w powieściach Nienackiego. To nie kończy się wraz z opuszczeniem Pułtuska i ciągiem dalszym wyprawy przez

Mazury po Góry Świętokrzyskie, gdzie w trakcie poszukiwania kufra dowiadujemy się nawet o budowie pasma górskiego i strukturze skał, dostając cykl małych wykładów geologicznych. Wyprawa – mimo desperackich prób pokrzyżowania planów naszym bohaterom przez Kadrylla i Nieszczególnego – kończy się sukcesem, odkryciem jaskini, gdzie tajną bazę mieli powstańcy styczniowi, i odnalezieniem kufra wraz z bezcennymi dokumentami. I mimo tej nieco zbyt nachalnej warstwy architektoniczno-geologiczno-pedagogicznej (a dowiadujemy się nawet, czym są kurpiowskie śparogi, czyli ozdobne zwieńczenia dachów) skupiamy się na dramatycznym wyścigu Dionizego i Kornela wraz z ekipą oraz Kadrylla i Nieszczególnego, a nawet jeszcze jednej grupy poszukiwaczy skarbów pod przewodnictwem bratanka Dionizego, Rocha Kiwajłły. Niczym u Nienackiego, gdzie też przecież mieliśmy nieustanny wyścig Pana Samochodzika i jego harcerzy z przestępcami bądź bezdusznymi łowcami bezcennych zabytków kultury polskiej.

Udało się Niziurskiemu w *Klubie włóczykijów* zamieścić potężne kompendium wiedzy o Pułtusku, strach pomyśleć nawet, co by się stało, gdyby pisał tę książkę dziesięć lat później. W powieści dostajemy historię „niedawno odkrytych" podziemi pułtuskiej kolegiaty, czyli bazyliki kolegiackiej Zwiastowania Najświętszej Marii Panny, gdzie znaleziono pochówki ofiar epidemii, w tym alchemika Pośpiecha. Musiał się posiłkować pisarz fantazją, ale gdyby Dionizy przybył dziesięć lat później do nadnarwiańskiego grodu i poszedł (podobnie jak w książce) do znajdującego się w starej gotyckiej wieży ratuszowej Muzeum Regionalnego (otwartego w 1964 roku, zatem na dwa lata przed przybyciem Dionizego), miałby okazję podziwiać drewniane, ceramiczne i żelazne efekty wykopalisk archeologicznych prowadzonych w Pułtusku i okolicach od

połowy lat siedemdziesiątych. A gdyby wizytował muzeum dzisiaj, obejrzałby makietę „protomiasta” zrobioną na drukarce 3D. Natomiast dość ciężko wyobrazić sobie wizytowanie przez Kiwajłłę gabinetów w tejże wieży, budowli wysokiej, ale nadzwyczaj ciasnej, gdzie każde piętro, na które należy wspinać się po wąskich schodach, ma rozmiar dużego pokoju w bloku z płyty. Sam ratusz zresztą odbudowano, czy też zbudowano na nowo w latach 1952–1954, a zatem trudno go uznać za prawdziwy zabytek. Gdyby dzisiaj Dionizy wizytował Pułtusk, z pewnością zwróciłby uwagę na to, że w najbliższym sąsiedztwie kolegiaty, na ulicy Konopnickiej 7 w jednym budynku znajduje się Przedszkole Miejskie nr 4 oraz Gminna Komisja Rozwiązywania Problemów Alkoholowych. Pisarz niejednokrotnie dworował sobie z ludzi znajdujących się w szponach nałogu alkoholowego, potrafił zarówno wyjątkowo kąśliwie opisywać osobników nadużywających alkoholu, jak i jak najbardziej trzeźwych, ale podejrzewanych przez otoczenie o znajdowanie się pod wpływem napojów wyskokowych. Nie jest wykluczone, że skorzystałby dzisiaj z takiego prezentu jak umiejscowienie w jednym budynku przedszkola i komisji antyalkoholowej, wszak w powieści dla dorosłych *Salon wytrzeźwień* rzeczona izba wytrzeźwień znajdowała się w pomieszczeniach przedszkola.

Zygmunt Miłoszewski: „Rodzina mojego ojca pochodzi z Pułtuska. Przez całe dzieciństwo co drugi weekend spędzałem w Pułtusku, w wakacje też siedziałem w Pułtusku. Dlatego też *Klub włóczykijów*, a szczególnie jego wątek pułtuski jest dla mnie ważny, a czytając go ponownie, widzę, jak bardzo jest edukacyjny, jak cenne są te wiadomości historyczne, krajoznawcze, geograficzne. *Klub włóczykijów* czytałem

w kółko, bo tam jest wielka wyprawa, przygody, postacie są niesamowicie wymyślone.

Myślę, że każdy ma jakiś swój najważniejszy zestaw książek Niziurskiego. Ja mam *Klub włóczykijów*, ale nie *Marka Piegusa*, którego nie lubiłem i do tej pory nie lubię, jest dla mnie zbyt odjechany, zbyt abstrakcyjny. *Klub włóczykijów*, *Adelo, zrozum mnie!*, *Awantura w Niekłaju* i *Sposób na Alcybiadesa* to mój osobisty kanon. Teraz nawet widzę, że książki Niziurskiego w jakimś sensie ukształtowały mnie jako pisarza. W *Klubie włóczykijów* znajduję sceny, które pojawiły się w moich książkach. Jak pamiętamy, powieść kończy się w Górach Świętokrzyskich, gdzie są jaskinie. Mój *Bezcenny* zaczyna się w jaskini i kończy w jaskini, tam są podobne schematy. Ale schematy fabularne nie mają aż takiego znaczenia. Znaczenie ma to, w jaki sposób traktuje Niziurski swoich bohaterów, niezwykle wyrazistych. Często jestem pytany, czemu moi drugoplanowi bohaterowie są tacy wyraziści i gdzie się tego nauczyłem. Na początku odpowiadałem do znudzenia, że nauczyłem się od wielkich klasyków literatury, proszę poczytać Karola Dickensa, gdzie są wyraziści bohaterowie drugoplanowi. Po czym teraz, kiedy ponownie przeczytałem parę książek Niziurskiego, zobaczyłem, że mój sposób tworzenia bohaterów nie jest z Karola Dickensa, tylko z Edmunda Niziurskiego”.

Miłoszewskiemu wtóruje **Grzegorz Kasdepke**, znany nie tylko z tego, że pływał z Miłoszewskim jachtem, ale nade wszystko ze swojej pozycji czołowego polskiego pisarza dla dzieci i młodzieży: „To Niziurski w jakiejś mierze spowodował, że zostałem pisarzem. Wpędził mnie też w pewnego rodzaju obsesję literacką – u każdego, kto w Polsce pisał, szukałem wpływów Niziurskiego! Byłem na to wyczulony. Czytałem książki pisarzy debiutujących w latach osiemdziesiątych,

dziewięćdziesiątych i zdarzało się, że zawiesiwszy wzrok na jednym czy drugim wersie, mruczałem pod nosem: »Oho, pan Edmund!«. Zawsze z uznaniem. Potem, poznając wielu autorów, zauważyłem, że ci, którzy mają podobne do mojego poczucie humoru, przeszli przez szkołę Niziurskiego.

Jest chyba jedynym pisarzem z mojego dzieciństwa i z nastoletnich lat – może poza Bahdajem – którego książek się nie pozbędę. I do których wracam, gdy walczę z nieustannie dopadającymi mnie chandrami. Niziurski był i jest lekarstwem na złe samopoczucie. Jego książki sprawdzają się też, gdy poszukujemy bratniej duszy. Czasami wystarczy w nieznanym towarzystwie rzucić mimochodem cytat z Niziurskiego: »wielka kołomyja elementarna«, »miejsce, gdzie plecy tracą swą szlachetną nazwę« albo »kolega żuje czy łuska?«, aby natychmiast ktoś zareagował porozumiewawczym uśmiechem… Niziurski to identyfikacja pokoleniowa, środowiskowa.

Często jeżdżę na spotkania z czytelnikami. Mają od ośmiu do dwunastu lat, czyli zakładam, że te dzieciaki po przeczytaniu moich książek powinny przechodzić do lektury Niziurskiego. Ale nie jest już tak czytany jak niegdyś. Dlatego obsesyjnie na każdym spotkaniu autorskim wbijam im w głowy nazwisko pana Edmunda – może kilka osób sięgnie potem po jego książki. Najlepiej kojarzą *Niewiarygodne przygody Marka Piegusa*, pewnie ze względu na dobry serial.

Ooo właśnie – Marek Piegus! Książka o Marku Piegusie z całą pewnością była dla mnie ważna – także ze względu na znakomite rysunki Bohdana Butenki. Piegus z graficzną oprawą Butenki to było – i jest – prawdziwe dzieło sztuki. Butenko zaszalał z typografią, z tekstem, a efekt jest absolutnie fenomenalny. Wręcz rewolucyjny, biorąc pod uwagę datę pierwszego wydania”.

ARKUSZ EGZAMINACYJNY NR 3
NIZIURSKOLOGIA. POZIOM ZAAWANSOWANY

Uważnie przeczytaj pytania i zaznacz właściwą odpowiedź.

PYTANIE 1
Matylda Opat nosi modne dżinsy z napisem

A) VIVACUBAROJA.
B) CUBA LIBRE.
C) REVOLUCION O MUERTE.

PYTANIE 2
Popiersie jakiego wielkiego starożytnego męża hołubi Alcybiades?

A) Cycerona.
B) Katona.
C) Platona.

PYTANIE 3
Ile kosztował „sposób” na Alcybiadesa?

A) 14 złotych i 70 groszy.
B) 47 złotych i 10 groszy.
C) 470 złotych.

Zygmunt Miłoszewski: „Ponieważ straciłem stare egzemplarze książek Niziurskiego, bo albo zostały u rodziców, albo córka gdzieś je zabrała, nagle okazało się, że nie mam w domu nic poza *Sposobem na Alcybiadesa*. Poszedłem więc do księgarni, by kupić kilka tytułów, i poczułem prawdziwą zgrozę. Bo albo tych książek nie ma, albo są, ale w wydaniach tak obrzydliwych, że powinny być zakazane. Miałem wszystkie zaczytane Niziurskie w wydaniach z lat osiemdziesiątych w postaci zbiorów luźnych kartek, bo to czarna dekada polskiej poligrafii. I nie tylko poligrafii oczywiście. Ale dzisiejsze okładki są jeszcze gorsze".

Niestety trzeba przyznać Miłoszewskiemu rację, najnowsze wznowienia powieści Niziurskiego wyglądają okropnie, okładki są antyestetyczne, rysunki koślawe oraz infantylne. O ile w latach siedemdziesiątych, a szczególnie osiemdziesiątych poziom polskiej poligrafii wołał o pomstę do nieba, to jednak książki, nie tylko Niziurskiego, prezentowały wysoki, a co najmniej bardzo przyzwoity poziom graficzny, a projektowaniem okładek oraz rysowaniem ilustracji zajmowali się najwybitniejsi artyści, co podnosiło walory samego tekstu. Książki Niziurskiego były dzięki temu czymś więcej niż po prostu powieściami dla młodzieży.

Miłoszewski: „To w ogóle bardzo ciekawe, gdy po latach wracasz do lektur młodzieńczych i masz całkowicie inny aparat literacko-poznawczy. Bardzo się bałem tego powrotu i nawet się zastanawiałem, czy w ogóle chcę rozmawiać o Niziurskim. Mam w sobie wspomnienie tych lektur, ale czy chcę do tego wracać, czytać to teraz na nowo? Bałem się rozczarowania, żeby nie upadł wielki mit. I w ogóle się nie rozczarowałem.

Wrócę jeszcze do rysunku bohaterów. Jego bohaterowie są dobrzy, nawet ci źli są dobrzy, tacy jak Kadryll i Nieszczególny. Oni wszyscy wzbudzają sympatię. To jest trochę takie harcerskie, opowiada o tradycyjnych wartościach, trwałych przyjaźniach. Teraz jak na to patrzę, używając innego aparatu, cieszę się, że taka, a nie inna literatura mnie ukształtowała. Bo obecnie takiej formującej czytelnika literatury nie ma. Współczesna literatura młodzieżowa musi być bardzo wydziwiona, wchodząca od razu na metapoziom, jakby nie można było napisać historii ot tak, po prostu. A jestem na bieżąco, bo moja córka ma dwadzieścia lat, przerobiłem z nią literaturę typu *Harry Potter* czy *Igrzyska śmierci*. Dla niej to, o czym rozmawiamy, trąciło myszką, nigdy się nie wciągnęła ani w Niziurskiego, ani Nienackiego czy Szklarskiego. Teraz mam siedmioletniego syna, któremu czytam na przykład młodzieżowe książki Marcina Szczygielskiego, którego bardzo lubię. Ale właściwie nie widzę takich lektur, które by opisywały fajną prostotę codzienności, codzienności lekko zakręconej, ale z przeżywaniem zupełnie zwykłych przygód.

Klub włóczykijów czytałem piętnaście razy. Mieszkałem u wujostwa pod lasem i wszyscy mieliśmy obsesję, żeby w Puszczy Białej, która zaczyna się pod Pułtuskiem, znaleźć czołg na bagnach, ponieważ chodziła fama po Popławach – to dzielnica Pułtuska, takie zarzecze po drugiej stronie Narwi, właśnie na obrzeżach Puszczy Białej – że na bagnach jest porzucony czołg. I nagle okazuje się, że naprawdę żyjesz w dwóch powieściach: w *Klubie włóczykijów* i w *Awanturze w Niekłaju*. I te wyprawy, które podejmowaliśmy, żeby znaleźć czołg, żeby się wyprawić na bagna, za górę, za okopy, były realizacją marzeń rozbudzonych przez powieści Niziurskiego.

To trochę tak jak z horrorami Stephena Kinga. W jego książkach istnieje zupełnie normalne, codzienne życie

w małym prowincjonalnym miasteczku, w którym nagle pojawia się coś niesamowitego i przerażającego. U Niziurskiego mamy z kolei zupełnie normalne, szkolne życie w prowincjonalnym mieście, gdzie pojawia się jakaś przygoda, która zupełnie zmienia życie najzwyklejszych uczniów”.

— Miecio-Kulturysta?

— To jeden mój kolega. Uprawia kult ciała i walczy z tyranią ducha.

— Rozumiem. Niekulturalny kulturysta.

„Klub włóczykijów”

Mówi **Grzegorz Kasdepke**: „Niziurski nauczył mnie, autora tworzącego dla dzieci i młodzieży, że pisząc nie można odtwarzać języka jeden do jednego. I że raczej należy unikać gwary, slangu czy żargonu, bo to może skazać książkę zarówno na krótki żywot, jak i na śmieszność. Chyba że uda się wykreować sztuczny język – udający, dajmy na to, gwarę. Niziurski był w tym mistrzem. Jego bohaterowie, uczniowie PRL-owskiej szkoły, przemawiają używając przedwojennej składni, ale brzmi to wszystko naturalnie i świeżo. Fenomenalne! Zachwyciła mnie ta sztuczność. Ja w ogóle lubię w literaturze, w filmie, czy po prostu w sztuce tak zwaną sztuczność, bo jej drugie imię brzmi: »Artyzm«. To paradoks, ale umiejętna kreacja więcej czasami mówi o świecie niż wierne odtworzenie rzeczywistości. Dlatego powtarzam, że szkoda mi czasu na czytanie literatury faktu, bo z literatury pięknej więcej się dowiem o życiu. O ile jest dobra. Edmund Niziurski chyba też to wiedział”.

Klub włóczykijów i tajemnica dziadka Hieronima, film Tomasza Szafrańskiego do jego scenariusza na podstawie powieści Niziurskiego oraz oficjalnie poświęcony pamięci pisarza, jakby dla zasady okazał się porażką. Ta ekranizacja z 2015 roku, ostatnie jak dotąd podejście do prozy autora *Księgi urwisów*, rozczarowuje w każdym aspekcie. Pramatką tej klęski jest – podobnie jak w przypadku *Spony* – przekonanie, że literaturę Niziurskiego trzeba koniecznie „uwspółcześnić”. Miast trzymać się pierwowzoru, który daje ogromne możliwości nakręcenia filmu stylowego i utrzymanego w nostalgicznej atmosferze, zrobiono film w mniemaniu twórców mający odpowiadać na zapotrzebowanie dzisiejszych nastolatków. A cóż dzisiejszych nastolatków kręci, jak nie filmy

sensacyjne w rodzaju *Mission*: *Impossible* oraz gry komputerowe? – pomyśleli zapewne autorzy tej smutnej klęski. Według strony Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej *Klub włóczykijów i tajemnicę…* obejrzało w kinach 131 tysięcy widzów, co nie jest znów tak złym wynikiem, a jednak trzeba mówić o porażce mierzonej procentową obecnością humoru oraz inteligencji Niziurskiego w tym produkcie. Zapewne nie więcej niż dziesięć procent z Niziurskiego udało się zachować w tej ekranizacji. Znów okazało się, że język tego pisarza jest niemal nieprzekładalny na język filmu, bo o ile czytając niekończące się utarczki słowne stryja Dionizego z woźnymi, zastępcami dyrektorów oraz miejskimi urzędnikami od kultury, tarzamy się ze śmiechu, to zapewne takie sceny przeniesione na ekran straciłyby swój smak i moc, niczym ciepłe i wygazowane piwo.

Początek ekranizacji *Klubu włóczykijów*, gdy Nieszczególny w czarnym kombinezonie włamuje się do muzeum i mija smugi podczerwieni, jako żywo przypomina ekwilibrystyczne wygibasy Vincenta Cassela w *Ocean's Twelve* albo Toma Cruise'a w *Mission*: *Impossible*. Jakby tego było mało, natychmiast potem mamy jednego z dziecięcych bohaterów, Kornela Kiwajłłę, strzelającego w grze komputerowej, a potem wstawki animacyjne, co było prawdziwą zmorą ekranizacji Niziurskiego. Najpewniej Szafrański, składając hołd autorowi *Klubu włóczykijów*, chciał jakoś nawiązać do *Tajemnicy starego ogrodu*.

Punkt wyjścia historii przeniesiony został nie tylko w czasie z roku 1966 do współczesności, ale i z Warszawy do Gliwic. To stamtąd wyruszają Kornel, Maks i Cyprian wraz z wujem Dionizym w swą podróż, stamtąd też wyrusza Joanna, pamiętana z powieści jako „Zielona Niedojrzała". Nieszczególny i Kadryll pozbawieni są w wykonaniu Wojciecha

Mecwaldowskiego i Tomasza Karolaka nie tylko finezji pierwowzorów, ale też ich elegancji, swoistej melancholii, zaś rozczulające słabości tych wybitnych przestępców tutaj zostały zastąpione nieudanym cwaniactwem. Bliżej Nieszczególnemu i Kadryllowi do Kwiczoła i Pyzdry niż do elitarnych opryszków stworzonych przez Niziurskiego. Co prawda Kadryllowi udaje się uciec z policyjnej furgonetki i nadal ścigać kompanię Kiwajłły, ale oczywiście finalnie przegra w żałosnym stylu, podobnie jak Nieszczególny aresztowany przez tłum stróżów prawa. Dobro w postaci policji (choć dość groteskowej i nieudolnej) zwycięży. Finał zaś filmu jest już czystą komedią romantyczną dla młodzieży, zaś końcowy napis „Pamięci Edmunda Niziurskiego 1925–2013” brzmi wyjątkowo smutno.

Pozostaje żałować, że nigdy nie zekranizowano ani *Osobliwych przypadków Cymeona Maksymalnego*, ani szczególnie „trylogii odrzywolskiej”, posiadającej niezwykły potencjał filmowy. Gdyby kiedyś, w jakiejś nieokreślonej przyszłości ktoś, uzbrojony w odpowiednie fundusze oraz doskonale czujący klimat literatury Niziurskiego chciał

zmierzyć się filmowo z jego prozą, to powinien wybrać właśnie albo przygody Maksymiliana Ogromskiego, albo też stworzyć wielką opowieść filmową o chłopcach i dziewczętach z miasteczka Odrzywoły.

MELANCHOLIJNY CYMEON MAKSYMALNY

Ta książka z kolei nie przynależy już do złotej epoki lat sześćdziesiątych, to rzecz późniejsza, nieco mniej znana, a zasługująca na szacunek, lecz i na żal, że po pierwsze, objętościowo jest dziełkiem niezbyt obszernym, po drugie, nie stała się początkiem większego cyklu, swoistego uniwersum tak jak miało to miejsce z przygodami Tomka Okista w Odrzywołach. Odrzywoły niebawem staną się tematem naszej opowieści, na razie przenieśmy się na Zabucze…

Osobliwie przypadki Cymeona Maksymalnego z roku 1975 – wydawane później jako *Niesamowite przypadki Cymeona Maksymalnego* – we fragmentach pojawiały się już w „Płomyku” w roku 1973 (numery 20–24). To nie tylko jedna z najosobliwszych, ale też najdoskonalszych powieści Niziurskiego, gdzie autor daje prawdziwy popis tworzenia intrygi i maluje fenomenalną galerię postaci uczniów i nauczycieli. Jedno ze szczytowych osiągnięć pisarza, a zarazem powieść, która jak się zdaje, nie przeszła do legendy i nie bywa wymieniana jednym tchem z *Księgą urwisów*, *Sposobem na Alcybiadesa* czy *Markiem Piegusem*, a przecież niewątpliwie należą się na jej cześć fanfary.

Rok szkolny 1973/1974, siódmoklasista Maksymilian Ogromski (oczywiście posiadacz dwóch sióstr: Seweryny i Marceliny) zostaje przeniesiony do nowej szkoły numer 3 na Zabuczu. Dotychczas w mieście istniały dwie szkoły, a zatem

wyraźny dychotomiczny podział na dwa wrogie sobie światy: świat Paskarzy (uczniów szkoły im. Jana Chryzostoma Paska) i Cykanderów (uczniów szkoły im. Cypriana Kamila Norwida). Co ciekawe, żadna z tych szkół nie nosi nazwy socjalistycznej, a biorąc pod uwagę, że znajdujemy się w prowincjonalnym miasteczku, dziwi, że patronami szkół są Pasek i Norwid, a nie Ludowe Wojsko Polskie, generał Świerczewski czy przynajmniej, żeby odejść od socjalizmu, ale zostać przy kanonie – Adam Mickiewicz. Jednocześnie to niejasnego położenia i nazwy niewielkie miasto musi mieć długą i znaczącą historię, jako że najstarsza, wciąż działająca firma cukiernicza „Piepke i synowie" założona została w roku 1888…

Naturalnie pojawienie się bohatera powieści w nowej szkole – topos literatury młodzieżowej, z którego Niziurski nadzwyczaj chętnie korzystał – jest szansą na nowe życie, na wyprostowanie relacji z rówieśnikami i nauczycielami, podreperowanie swojego zszarganego wizerunku. I oczywiście musi być to szansa zaprzepaszczona, tak jak czternastoletni Maksymilian Ogromski zwany Cymeonem Maksymalnym, bądź po prostu Cymkiem ją zaprzepaszcza. I to już na samym początku roku szkolnego.

Cymek podpada natychmiast nowemu wychowawcy, magistrowi Szykoniowi, czyli „Koniowi". Nie rozpoznaje w nim nauczyciela, ale bierze go dzięki młodemu wyglądowi za ucznia, na dodatek demaskując się przed nim w szkolnej poczekalni lekarskiej jako lawirant i kombinator. Szykoń alias „Koń" to nie mniej istotna postać pedagoga niż Misiak, czyli „Alcybiades", tyle że uwspółcześniona, samodzielna, z bardziej nowoczesnymi metodami otwierania uczniów na samodzielne myślenie. „Koń" obśmiewa oportunistycznych uczniów, starających się niczym zwierzątka w cyrku odgadnąć oczekiwania nauczyciela i się do nich dostosować. Dopiero gdy

zostaną skompromitowani, postanowią zemścić się na Szykoniu, prowadząc coś w rodzaju strajku włoskiego czy też biernego oporu. Zagrywka „Konia” z prośbą o interpretację wiersza „Męka poety” jest ośmieszeniem całego systemu edukacji, nastawionego na produkcję niesamodzielnie myślących potakiwaczy, w przyszłości modelowych obywateli autorytarnego państwa.

Szykoń to nie jest męska wersja Siłaczki z Żeromskiego, ale waleczny pedagog nowego typu. Choć zarazem przecież wszystkie miasteczka, gdzie rozgrywają się powieści Niziurskiego, te Gnypowice i Odrzywoły to swoiste Obrzydłówki, wzięte z nowelistyki autora *Ludzi bezdomnych*.

Cymek planuje nakręcenie filmu „co najmniej średniometrażowego” za pomocą kamery pożyczonej od brata kolegi, oczywiście jako reżyser, producent, kierownik artystyczny, choć – co znamienne – dopuszcza, by ktoś inny napisał scenariusz. Poza tym ma zamiar pobić rekord w biegach, rozwiązać problemy osobiste, ale bodaj pierwszy raz u Niziurskiego pojawia się postać tak bardzo zorientowana na uprawianie sztuki. Owszem, wcześniejsze książki tego pisarza zaludniały figury grafomanów klecących wiersze, zazwyczaj na skutek urazu głowy w pojedynku bokserskim, nie brakowało nad wiek rozwiniętych intelektualnie nastolatków, wielkich teoretyków i myślicieli, filozofów szkolnych, ale wszystko to było rysowane bardzo grubymi groteskowymi kreskami. Oczywiście nastoletni poeci pojawią się jeszcze w książkach tego autora, choćby w „trylogii odrzywolskiej”, ale tutaj mamy wreszcie pierwszą pełną postać artysty, a nie szkolnego cwaniaka i klasowego rozrabiaki. Nie głód niezwykłych przygód gna Cymeona do działania, ale żądza bycia artystą. No, może nie tak znowu bycia tylko artystą, w końcu chodzi głównie o zbajerowanie pewnej nastoletniej piękności, ale

powiedzmy szczerze: czyż jednym z mechanizmów napędzających artystów do pisania, kręcenia filmów, grania w zespole nie jest chęć zaimponowania dziewczętom?

W *Cymeonie* jak mało gdzie mamy tak imponujący zestaw uczniowskich bohaterów, z których każdy jest osobnikiem więcej niż charakterystycznym i oczywiście przerysowanym. Cała ta skondensowana, niedługa powieść jest popisem talentu Niziurskiego w dziedzinie groteski. Korowód postaci uczniowskich jest wręcz oszałamiający: Józef Mleczko zwany „Włochaczem", „Zezowaty Dodo", szkolny geniusz Eugeniusz Tubkowski i jego starszy brat zwany „Ciężkim Tubką", syczący Gibas, straszny Cykander Mężyk alias „Męsio", a także jeden z mniejszych Tubkowskich zwany „Kulfonem" oraz Szczypas Henryk zwany „Kancerą". Przy tej kompanii bledną nawet czwororęczni ze *Sposobu na Alcybiadesa* oraz Zdeb, Pumeks i rodzina Bubów z *Marka Piegusa*. Prawdziwe bestiarium obserwujemy w szatni przed biegiem na czterysta metrów, w którym startuje Cymeon. Pobicie życiowego rekordu na tym dystansie jest jednym z priorytetów niespełnionego filmowca. I tak do biegu szykują się bliźniacy Bojkowie z bliźniaczym nieżytem nosów, Ciemski Tytus zwany „Ciemną Masą Tytoidalną", niezbyt lotny sportowiec z pociągiem do papierosów „sportów", Opęda Klaudiusz zwany „Nie Liczącym Się Klodkiem" oraz Kobylak Stanisław. Niziurski z upodobaniem przestawia tutaj imiona z nazwiskami (może to wpływ węgierszczyzny, gdzie zawsze najpierw występuje nazwisko, a może warszawskiej prawobrzeżnej tradycji, choć z praską stroną Wisły ani z jej folklorem nie był Niziurski związany), co nadaje prezentacji wymiar nad wyraz oficjalny, a przez to prześmiewczy. Wszystkie wycieczki pisarza na tereny oficjalnej nowomowy były narzędziem do budowania rzeczywistości parodystycznej. Bohaterowie Niziurskiego

zazwyczaj noszą wymyślne imiona, często połączone z bardzo pospolitymi nazwiskami, jakby zderzał chłopskie, proletariackie pochodzenie rodziców bohaterów z ich aspiracjami, by synowie poszli kiedyś w ślady wielkich postaci historycznych, rzymskich cesarzy nieomal. Można rzec, że profetycznie zapowiedział pisarz przyszłą modę na wymyślne imiona, często brane od bohaterów światowej popkultury, łączone z przaśnymi polskimi nazwiskami. Kto pamięta istną plagę noworodków o imionach Isaura i Leoncio w latach osiemdziesiątych, a w następnej dekadzie przysłowiowych Brajanów i Dżesik? Wszyscy oni knują, by nie dać się gogom przekarmić „tłustymi pulpetami wiedzy i twardymi szaszłykami mądrości".

No i na scenę wkracza przede wszystkim wspaniała Jadwiga Julicka, czyli Giga. Opalona, tryskająca zdrowiem, w kaskadach niesamowicie jasnych włosów, dziewczyna fatalna, obiekt niezdrowego zainteresowania męskiej części uczniowskiego narodu. Pierwsza tak wyrazista postać dziewczęca w prozie Niziurskiego, jakby wycięta z pisma o zagranicznych filmach. Dotychczas bohaterki Niziurskiego, jeśli już odgrywały jakąś rolę, to były zdecydowanie bardziej swojskie, a tutaj mamy do czynienia z polską nastoletnią wersją Brigitte Bardot połączoną z Claudią Cardinale.

Jest też i druga dziewczyna – Kornelia Szyperska, czyli Nelka. Jest miła i ładna, inteligentna, ale niestety zbyt chuda i ma trupią cerę, mimo iż dyskretnie się maluje. Choć jednocześnie jest w niej coś pociągającego i może właśnie to Nelka Szyperska jest bardziej demoniczna, a zarazem bardziej dostępna niż Giga, uosobienie plastikowej piękności szkolnej. Naturalnie pomiędzy Gigą i Nelką występuje napięcie, klasyczna walka między dwoma osobowościami aspirującymi do bycia szkolnymi królowymi, zwłaszcza że w tle przecież jest

film, który Cymek chce nakręcić i naturalnie jego atrakcyjność idzie w górę, bo każda z dziewcząt chce być aktorką.

Z prawdziwym wzruszeniem czyta się dziś opisy zbieractwa fotografii gwiazd filmowych, kolekcjonowanych przez uczniów i przechowywanych w klaserach, w tym zdjęć przysłanych przez rodzinę z zagranicy, wyciętych z kolorowych magazynów. Wreszcie pożyczanie sobie albumów ze zdjęciami znanych aktorów, tak jak Szczypas pożyczył taki album od Gigi i przetrzymał go haniebnie długo. Dla dzisiejszego młodzieńca, który za pomocą Google może w sekundę mieć przed oczami setki zdjęć dowolnej gwiazdy filmowej, brzmi to niedorzecznie, ale jednocześnie czyż tak naprawdę wartościowszym nie jest owo zbieractwo, gdy zdjęcie Claudii Cardinale okazuje się mocną walutą przetargową w rozmowie Ciężkiego Tubki z zawodnikami przed biegiem na czterysta metrów? Dziś umarła ta magia kina pamiętana z czasów analogowych, z polskiej rzeczywistości, gdy fotosy gwiazd, których filmy były nawet trudno dostępne na polskich ekranach, niejako organizowały naszą duchową stronę życia. Sam miałem nad biurkiem zdjęcie Catherine Deneuve i nie szło jedynie o to, że jako smarkacz się w niej kochałem, oglądając w DKF-ach i w warszawskim kinie „Iluzjon” jej wczesne filmy, wyreżyserowane przez Romana Polańskiego i Luisa Buñuela, ale także ćwiczyłem się poniekąd w uwielbieniu dla sztuki, magii kina i duchowości. Kolekcjonerstwo jest jednym z objawów melancholii, tutaj przybiera obraz tęsknoty za nieosiągalnym światem zachodniej popkultury.

Osobliwe przypadki Cymeona Maksymalnego korespondują z „trylogią odrzywolską” (szczególnie z jej drugim i trzecim tomem) w sposobie kreślenia postaci chłopięcych, ale nade wszystko dziewczęcych. Są Giga i Nelka niemal lustrzanym odbiciem postaci Adeli Wigor i Matyldy Opat. To

okres, kiedy w literaturze Niziurskiego najmocniej dochodzi do głosu melancholia, tęsknota za przemijającą młodością, bezpowrotnym odchodzeniem epoki beztroski i wiary w nieśmiertelność. *Osobliwe przypadki Cymeona…* i *Adelo, zrozum mnie!* to książki na swój sposób niemal bliźniacze. Pisząc je, zbliżał się Niziurski do symbolicznej granicy pięćdziesięciu lat, momentu w życiu mężczyzny, gdy ostatecznie zdaje sobie sprawę z tego, że nigdy już nie pobije żadnych życiowych rekordów. *Osobliwe przypadki…*, *Awantury kosmiczne* oraz *Adelo, zrozum mnie!* to szczyt możliwości Niziurskiego, wszystko, co później napisał, było już tylko coraz słabszymi wersjami tych genialnych książek, aż po ostateczną klęskę trylogii o Bąblu i Syfonie.

„Nagrajmy się
imponująco, ultranaukowo,
nokautująco,
sardonyksowo, awanturynowo
i serpentynowo! Tak jest kolego,
a przynajmniej pirargirytowo.
Spenetrujemy
górne piętra wiedzy
przyrodniczej, opanujemy
komensalizm, polifiletyzm
i anafilaksję lub choćby
amfimiksję, nie mówiąc już
o endokrynologii.
Nagrajmy się dogłębnie,
specjalistycznie
i mądralistycznie”

Wielkie marzenia filmowe Ogromskiego, który chce jednocześnie nakręcić dwa filmy, legną naturalnie w gruzach, gdy groteskowa rzeczywistość wkroczy w świat artystycznych marzeń. Stanie się to w domu ciotki Matyldy w podmiejskich Wrzoskach, słynnych z pięknego lasu i pól, gdzie będzie zakwaterowana ekipa filmowa. Prawdziwą katastrofą – niczym w dorosłym świecie przemysłu filmowego – jest wzajemna nienawiść głównych gwiazd, Gigi i Nelki, bo każda z nich chce być tą pierwszą, główniejszą, ważniejszą i bardziej gwiazdorską. Cymeon stanie w obliczu starcia dwóch silnych dziewczęcych osobowości o wybujałym ego, i mimo iż mamy do czynienia tylko z uczniakami bawiącymi się w kino, to poziom emocji jest tu jak najbardziej dorosły.

Groteska osiąga szczyty, gdy okazuje się, że w okolicy grasuje wampir nazwany „Kubusiem", względnie „Punktualnym", bo najpierw pyta grzecznie o godzinę, a dopiero później atakuje. Tak też potraktował jedyną zidentyfikowaną ofiarę, niejakiego Masztalerza, wracającego z imienin przez las na skróty. Najpierw zapytał o godzinę, a potem zaczął dusić. Tak zeznaje stara Michałowa, gosposia u ciotki Matyldy: „Nieszczęśliwego znalazła Karasiowa, która wybrała się rano na grzyby… bo u nas było w tym roku moc grzybów… osobliwie gąski i kurki. Masztalerz znajdował się w opłakanym stanie, na pół rozebrany i skostniały… Do dzisiejszego dnia jest w szpitalu… Inna rzecz, że przeprowadza tam także leczenie odwykowe". Mimo iż najpewniej atak wampira był wynikiem delirium, na które cierpiał Masztalerz, to pokazuje tu Niziurski, jak tworzy się zbiorowa histeria wokół wyimaginowanego zagrożenia. Niziurski zawsze, nawet szybując w wysokich rejonach nieprawdopodobieństwa, jednocześnie był bardzo wiarygodny, jeśli idzie

o psychologiczne portrety swoich postaci. Bohaterowie w nocy są przekonani, że stali się celem ataku wampira, który zamordował Nelkę Szyperską (zasnęła, przesadziwszy z tabletkami na uspokojenie, a rzekoma krew wylewająca się z szafy okazała się sokiem malinowym), uzbrojeni w noże osaczają rzekomego potwora, którym okazuje się wujek Błażej, w istocie osobnik o wyjątkowo nieapetycznej urodzie, aczkolwiek posiadający złote serce. Wyprawa do Wrzosek kończy się klęską Cymeona: Giga odchodzi obrażona, Nelkę zabiera wściekła mama, nie udaje się Cymkowi pogodzić z Ciężkim Tubką, nie powstaje nawet zarys filmu, a marzenia o spełnieniu się w sztuce (i miłości do Gigi bądź Nelki) rozwiewa jesienny wiatr. Ostatnie strony *Cymeona* przesiąknięte są takim smutkiem, jakiego nie znajdziemy chyba w żadnej innej książce Niziurskiego.

Finał przygód Cymeona pozostawia jednak wyraźny niedosyt czytelniczy, wszak to książka niespełna dwustustronicowa, której ogromny potencjał nie w pełni został wykorzystany. Ale wówczas już powstało prawdziwe opus magnum tego pisarza, swoiste uniwersum odrzywolskie, przy którym ledwo naszkicowane Zabucze staje się światem niepełnym… Oto w całej swojej doskonałości „trylogia odrzywolska”!

Choroby i przykre
przypadłości dręczące
uczniów w szkole – krótki
przewodnik medyczny.

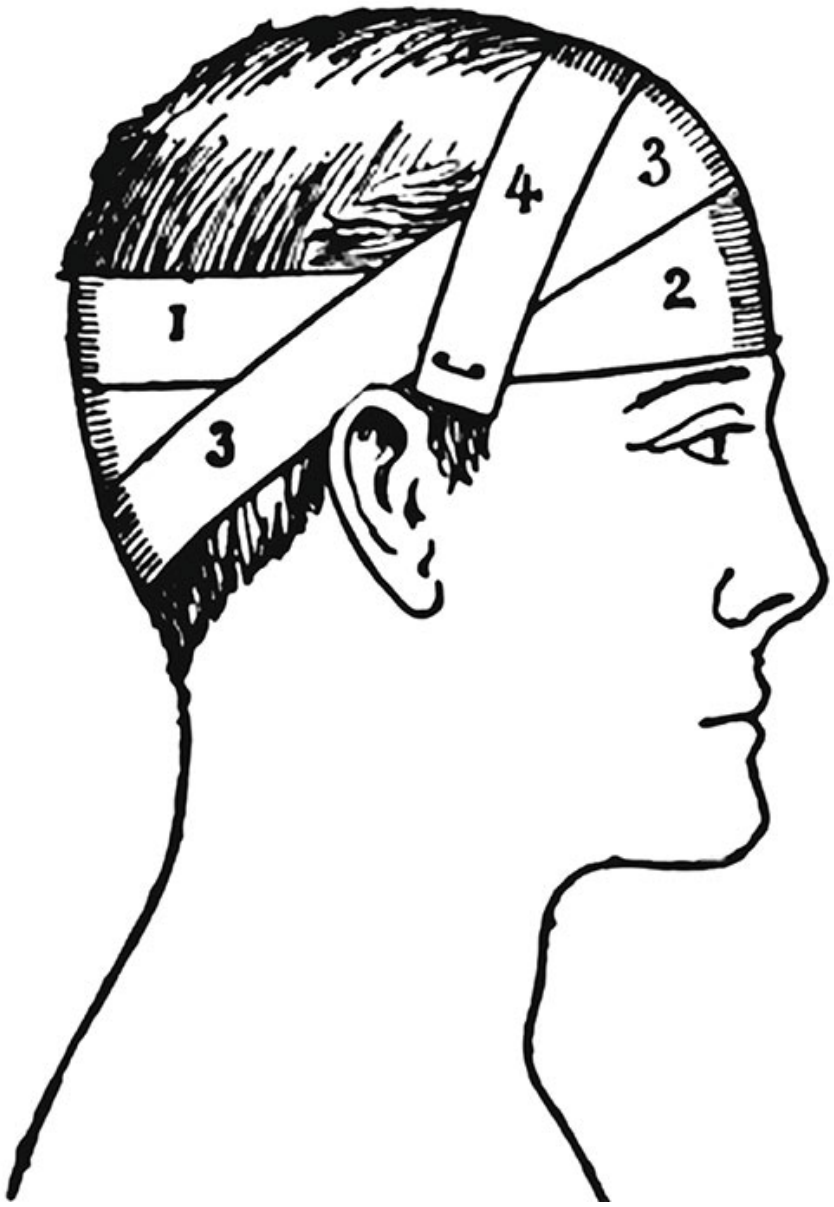

Paraliż przytabliczny nagminny (*Paralysis tabularis epidemica*). Schorzenie zdiagnozowane i opisane przez doktora Aleksandra Babińskiego (czyli Alibabę ze *Sposobu na Alcybiadesa*, w wieku dorosłym znakomitego naukowca). Objawia się usztywnieniami i osłupieniami, drżeniem kończyn, zanikiem mowy i pamięci, zwłaszcza przy tablicy, względnie „potami przytablicznymi".

Rozproszyca przewlekła omamowa. Zaczyna się niewinnie: ziewanie, senność, roztargnienie, swędzenie, niemożność skupienia się. Potem dołączają objawy poważniejsze, takie jak widzenia na lekcjach na przykład Bolesława Chrobrego, Indian, kowbojów, czterech pancernych, kosmonautów. Przyczyny rozproszycy przewlekłej mogą być różne, np. niedotlenienie organizmu, przemęczenie, uczulenie. Niebezpieczne jest brzęczenie muchy na szybie, szczególnie wiosną bądź jesienią, kiedy organizm ucznia traci odporność. Rozproszycy można dostać także od słuchania niektórych pedagogów. W *Siódmym wtajemniczeniu* opisany jest przypadek ucznia Szczeżui, który na skutek słuchania profesora Omaniszyna, w zwidach Szczeżui przyjmującego postać brzęczącej muchy ocierającej sobie skrzydełka, nabawił się ciężkiej postaci tego schorzenia.

Przekarmienie wspólną wielokrotną. Niestrawność spowodowana zbyt dużą ilością „tłustych pulpetów wiedzy matematycznej". Objawia się czkawką i nudnościami, czasami nawet poczuciem, że ma się w przełyku mysz, co czuł wyraźnie uczeń Lompa z *Siódmego wtajemniczenia*. Matematyka jest przyczyną wielu groźnych chorób, nie tylko przekarmienia wspólną wielokrotną. Jedną z najnowocześniejszych, choć jednocześnie kontrowersyjnych metod jest praktykowane przez

Blokerów nagrywanie wiedzą matematyczną pacjentów, cierpiących na różne porażenia i paraliże przytabliczne. Zdarzają się nieszczęśliwie wypadki: nagrywany zbyt długo matematyczną wiedzą ociężały umysłowo uczeń Cieloch wpadł w stupor i potrafił jedynie w kółko powtarzać definicję mnożenia i dzielenia licznika i mianownika ułamków. Uczeń Kękuś zaś przypadkowo nagrany został taśmą z geometrii puszczoną od tyłu, co spowodowało, że zamiast przyswoić definicję „pole trójkąta równa się połowie iloczynu jego podstawy przez jego wysokość” powtarzał bez przerwy i bez zrozumienia „…atąk-jurt elop…”.

Straszliwe afery w starym browarze. Budzące grozę zdarzenia w szpitalu. Potworne przygody z Bamboszem. Wstrząsające wydarzenia w zakładzie pogrzebowym. Samozwańczy geniusz Gnat, poetycki brutal Gruby Cypek, piękna jak sen Adela Wigor i ponętna Matylda Opat, czyli świat Odrzywołów jako najwspanialsze miejsce na świecie.

„Od września notuję w tym brulionie pewne zdarzenia z naszego szkolnego życia. Oczywiście nie będą one figurować w prawdziwej książce, którą wkrótce napiszę. Nie są na tyle ważne ani śmieszne, ani straszne. Notuję je po prostu tak sobie, dla treningu, żeby nabrać pisarskiej formy i wyrobić sobie styl, a tak naprawdę to czekam… Czekam, a raczej czyham, bo to jest niecierpliwe, czujne i pełne napięcia czekanie, żeby coś okropnego zdarzyło się w naszym poczciwym miasteczku, w tych nudnych Odrzywołach".

Tak zaczyna się *Naprzód, Wspaniali!*, pierwsza powieść cyklu, wydana w 1971 roku, na kilka lat przed *Cymeonem*, ale za to znajdująca swą kontynuację i finał już dwa i trzy lata po zakończeniu przygód domorosłego filmowca Ogromskiego.

Pierwsze zdania powieści wykorzystują częsty u Niziurskiego topos prywatnych zapisków, tajemnego dziennika, który ma być ćwiczeniem i swoistą dokumentacją do napisania w przyszłości wielkiej powieści. Można powiedzieć, że to swoiste notatki z czasu dojrzewania, dokumenty z okresu przełomu osobistego, emocjonalnego, wreszcie hormonalnego (czego Niziurski nigdy nie wyjawia, u niego miłość nosi wyłącznie znamiona romantycznego zadurzenia). To wyraz rozpaczliwej tęsknoty za wielką przygodą, tęsknoty zrodzonej zarówno przez nudę prowincjonalnego miasteczka, beznadzieję peerelowskiej rzeczywistości, jak i tęsknotę wyrosłą na żyznej glebie fantazji o życiu jak z filmu przygodowego. Forma wyznania, sekretnego dziennika, wreszcie pierwszych prób literackich jest nadzwyczaj często występującym u Niziurskiego zabiegiem, od razu wyzwalającym czytelniczą gorączkę. Bo przecież pierwszy akapit *Naprzód, Wspaniali!*, mimo iż mówi nam o Odrzywołach jako miasteczku poczciwym i nudnym,

natychmiast daje nam do zrozumienia, że w tej historii żadnej poczciwości ani nudy nie będzie.

Wielkość tego zabiegu polega na tym, że to, co ma być w powieści Tomka Okista, narratora *Naprzód, Wspaniali!*, a zatem „Wielki Zły, igranie ze śmiercią, podstępy i zasadzki, ucieczki i pościgi, walki na pięści, trupy i rewolwery" jest w zasadzie zupełnie nieciekawe i nieważne w porównaniu z tym, co Tomek Okist, „syn okulisty Okista" i jego koledzy przeżyją naprawdę. Czterech wspaniałych (nazwali się „wspaniałymi" oczywiście na cześć bohaterów kultowego westernu *Siedmiu wspaniałych*) to Tomek Okist, Maciek Kwękacz, czyli „Kękuś", „zakuta pała, nieobliczalny, opanowany przez prymitywne, ciemne instynkty facet, który w dodatku ma pecha"; Aleksander Kleksiński, czyli Olo, czyli „Kleksik", mający „wyobraźnię, nawet za dużą, dlatego fantazja miesza mu się z rzeczywistością, rozchwiany, przewrażliwiony narwaniec, równie nieobliczalny jak Kękuś, obaj urwali się z choinki" i wreszcie Zygmunt Gnacki, czyli Zyzio, czyli „Gnat", „geniusz bez przydziału, marnujący się w gazetce szkolnej, wielki komplikator rzeczy prostych, uzurpator władzy wszelkiej, specjalista od nieszczęśliwych pomysłów, zawsze wplątywał nas w jakąś kabałę i kończyło się poślizgiem, wpadką, wsypą". Zauważmy, że już przedstawienie głównych bohaterów stanowi demitologizację toposu „wspaniałych". To po prostu grupka narwańców i świrów, niedemonstrujących żadnych prawdziwych wartości, chłopców, których na pewno nie można nazwać „wspaniałymi", a co najwyższej, tak jak Gnata, cierpiącymi na zbyt rozbudowane i nieadekwatnie wielkie do rzeczywistych możliwości ego. To jest kopnięcie w podbrzusze całego archetypu powieści młodzieżowej jako elementu edukacji, wychowania i wpajania wartości, zanegowanie zadań formacyjnych literatury młodzieżowej. Dlatego właśnie ci

czterej nieudacznicy staną się tak bliscy czytelnikom, bo każdy szkolny chłystek mógł się z nimi zidentyfikować i odnaleźć w nich własne kompleksy, manie, lęki, ale też i bezpodstawne poczucie wyższości. Ci czterej mimo swych deficytów należą do swoistej szkolnej elity i tworzą coś na kształt tajnego sprzysiężenia. A należeć do elitarnego, tajnego sprzysiężenia w realiach peerelowskiej szarej szkoły to było coś o wiele więcej, niż być hersztem piratów szalejących po Morzu Karaibskim.

Tomek, Gnat, Kwękacz i Kleksik marzą o przygodach, jakich nie mogą przeżyć w swych rodzinnych Odrzywołach. Każdy nastolatek w Polsce Ludowej mógł uwierzyć, że jeśli nie przeżyje „igrania ze śmiercią, podstępów, zasadzek, ucieczek i pościgów", bo niby w jaki sposób miałby tego doświadczyć, to jak najbardziej mogą mu być dane takie przygody, jakie staną się już za chwilę udziałem chłopców z Odrzywołów. Bo cała Polska roku 1971 była poniekąd Odrzywołami, a na pewno bardziej Odrzywołami niż Dzikim Zachodem z serialu *Bonanza*, Chicago czasów Ala Capone bądź Londynem Jamesa Bonda czy Simona Templara zwanego „Świętym", a to są postaci kultury popularnej, do których wzdychają odrzywolskie nastolatki. Oczywiście ich świat wyobraźni konstruuje także proza Henryka Sienkiewicza i obowiązkowo książeczki z serii „Biblioteki Żółtego Tygrysa", w owych latach w istocie mające ogromny wpływ na wojenne zainteresowanie dzieci, czytane, kolekcjonowane, a nawet nierzadko pełniące funkcję waluty koniecznej do podwórkowego handlu. „Tygrysy" ukazywały się w latach 1957–1989 w monstrualnych kilkusettysięcznych nakładach, dostępne były w kioskach Ruchu. Nabycie nowego „Tygrysa" było prawdziwym wydarzeniem, a ja sam byłbym w stanie wymienić z pamięci garść tytułów kupionych z wypiekami na twarzy i później czytanych w prawdziwej

ekstazie. Tutaj odrzywolscy chłopcy zupełnie nie odstają od średniej krajowej, nic ich z masy nastolatków nie wyróżnia i w tym także jest niezwykła siła tych fikcyjnych postaci.

Odrzywoły, jak się dowiadujemy z powieści, niedawno obchodziły sześćsetlecie, a zatem prawa miejskie musiały otrzymać przed rokiem 1370, czyli za panowania Kazimierza Wielkiego. Ich nazwa pochodzi od „obdzierania wołów ze skóry", jako że miasto w początkach historii było osadą zbójecką, a zbójcy uprowadzone z pastwisk woły zaganiali w to miejsce, gdzie później powstał rynek miejski, i tam je mordowali. Albowiem okolice Odrzywołów w dawnych czasach zamieszkane były wyłącznie przez myśliwych i zbójników.

Dzielą się Odrzywoły z grubsza na Odrzywoły właściwe, gdzie znajduje się centrum miasta, wszystkie instytucje, szkoły, oraz na Zatruchle, zaniedbane przedmieście za rzeką, bo przez Odrzywoły przepływa rzeka i jest most. Blisko rzeki znajduje się dzielnica Przyrzecze, gdzie rosną nowe, nawet dziesięciopiętrowe bloki, co oznacza, że Odrzywoły nie są malutką mieściną. Mają szpital przy ulicy Tarnobrzeskiej, z pewnością spory, skoro, jak się dowiadujemy z trzeciego tomu trylogii, na samym Oddziale Otyłości leżakuje na tarasie, korzystając z pięknej pogody, setka pacjentów wyczerpanych jazdą na rowerach stacjonarnych i pływaniem w basenie. Szpital, w którym sam oddział dla chorobliwie otyłych ma miejsca dla setki pacjentów, musi być molochem, a nie małym powiatowym szpitalikiem.

Jest także muzeum miejskie i muzeum sportu, a nawet dwa zakłady pogrzebowe: „Trumna" przy ulicy Krochmalnej i „Wiekuistość" nie bardzo wiadomo pod jakim adresem. Cmentarz miejski widać z okien biblioteki szkoły im. Rejtana – znajduje się bardzo blisko, zaraz za ogrodem szkolnym. Wychodzą co najmniej dwie lokalne gazety: poranny „Głos

Odrzywolski” i popołudniówka „Wieczór Odrzywolski”. Sport w Odrzywołach reprezentuje Okaes, czyli Odrzywolski Klub Sportowy, ale także drużyna piłkarska Orion Odrzywoły, grająca z drugoligową wówczas Siarką Tarnobrzeg w Pucharze Trzech Województw. Na stadionie w Odrzywołach w trakcie meczu było aż dwadzieścia tysięcy widzów, co musi oznaczać, że Odrzywoły są miastem co najmniej stutysięcznym. Tarnobrzeg, wówczas stolica województwa, był miastem ledwo ponad trzydziestotysięcznym. Odrzywoły zatem mogą tym bardziej być stolicą województwa, po prostu nie po raz pierwszy przetworzonymi literacko Kielcami. Jednocześnie w Odrzywołach mieszka tylko trzech artystów sztuk pięknych, w tym rzeźbiarz Łukasz Obara, wsławiony tym, że odlał w brązie nogę piłkarza Krystiana Kwękacza, zwanego Bombą, zresztą brata stryjecznego Maćka Kwękacza, jednego z głównych bohaterów trylogii. Być może jednak Niziurski przesadza z liczbą widzów na stadionie Oriona, bo z wszystkich innych opisów literackich wyłania się miasto zdecydowanie mniejsze niż Kielce, którego być może cała ludność zmieściłaby się na dwudziestotysięcznym stadionie. Chyba że uznamy, iż tak kluczowy mecz (w którym Krystian Kwękacz historycznie i ostatecznie się skompromitował) przyciągnął dokładnie całą populację Odrzywołów bez różnicy wieku i płci, czego jednak nie potwierdzają rozliczne przesłanki w powieści *Adelo, zrozum mnie!*.

Jarosław Strzębski także w Odrzywołach widzi obraz Kielc: „Odrzywoły może mniej bezpośrednio przypominają Kielce, ale wielkość tego miasta, mentalność ludzi, którzy w nim mieszkają, stosunki, gdzie miasto jest duże, ale właściwie wszyscy tam się znają, to skala Kielc. Niekonsekwencja, że mamy do czynienia z miastem, które ma stadion na

dwadzieścia tysięcy widzów, a zarazem występują tylko dwie szkoły podstawowe (w powieści pada zdanie, że odbył się turniej miast, w którym startowali uczniowie obydwu odrzywolskich szkół) być może wynikała z pewnej potrzeby narracji, pokazania dychotomii na przykładzie Rejtaniaków i Defonsiaków. Wiadomo, że jeżeli są tylko dwie szkoły, to musisz się zdeklarować – albo jesteś z tymi, albo z tamtymi. To bardzo częsty chwyt narracyjny u wujka. U jego bohaterów często występuje poczucie samotności, wyobcowania i outsiderstwa głównego bohatera. Myślę, że wujek tak naprawdę pisał nie o uczniach podstawówki, ale o młodzieży licealnej. Oni są za mądrzy jak na chłopaków z podstawówki. Kiedyś rozmawiałem na ten temat z wujkiem. Powiedział mi, że bohaterowie powieści muszą być trochę mądrzejsi od czytelników, bo czytelnik wtedy aspiruje, chce dorosnąć do tych bohaterów.

„Zastępuję teraz mojego zastępcę
w sprawach podrzędnych i zastępczych,
lecz zastępując mojego zastępcę w jego
sprawach zastępczych, sam stałem się
zastępcą mojego zastępcy"

Źródło: „Klub włóczykijów"

Ten podział na dwie szkoły w mieście to reminiscencja przedwojennych liceów kieleckich, których było tak naprawdę dwa. Wujkowie Eduś i Miruś byli absolwentami liceum Śniadeckiego, a ja, oczywiście wiele lat później, Żeromskiego. Przed wojną były dwa licea, potem chyba była jeszcze żeńska szkoła. Ale wujek zapamiętał ten podział na dwie szkoły w mieście i to później przełożyło się na tę dychotomię w jego książkach, gdzie były dwa światy: Paskarzy i Cykanderów albo Rejtaniaków i Defonsiaków.

Skala, wielkość Odrzywołów to są tużpowojenne Kielce, gdzie miasto jest niby duże, akcja może zawiązywać się w różnych miejscach, ale kiedy pisze się o kawiarni, to wiadomo, że to jest ta jedna, konkretna kawiarnia. Kawiarni w mieście może być pięć albo piętnaście, ale gdy mówi się »kawiarnia«, to wiadomo, o którą chodzi. Jest to jednak na tyle duże miasto, że ma swój tzw. Wudek, czyli Wojewódzki Dom Kultury, gdzie występuje powieściowy Jan Piszczyn-Świergocki. Czyli jest to miasto, które nie jest miasteczkiem powiatowym, tylko wojewódzkim, a z drugiej strony jest na tyle małe, że wszyscy wiedzą, kto to jest Piszczyn-Świergocki, on nie jest anonimowy. W Warszawie nie wszyscy znają lokalnych muzyków, duże miasto ma ich zbyt wielu. Ale jeżeli ktoś występuje w kieleckim Wudeku, to wszyscy wiedzą, kto to jest. Słynny lokalny rzeźbiarz jest jeden, więc też go wszyscy znają, podobnie jak słynnego lokalnego piłkarza. Znają ich, nie będąc nawet koniecznie zainteresowanymi piłką czy sztuką. W takim mieście jest jeden znany rzeźbiarz, jest jeden znany muzyk, jeden znany zespół bigbitowy, jeden znany technik dentystyczny i jeden znany fryzjer. Ale zarazem jest to na tyle duże miasto, że ma już sporą placówkę kulturalną i duży

stadion piłkarski. Stadion Korony Kielce dopiero niedawno dorósł rozmiarami do stadionu Oriona Odrzywoły.

Odrzywoły to Kielce, nawet nie w warstwie topograficznej, ale bardziej mentalnej. Jak się z kimś tutaj rozmawia, to zawsze się człowiek doszuka wspólnych znajomych, dalekiej rodziny. Do tej pory tak zostało. Oczywiście był czas, kiedy Kielce miały prawie dwieście pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców, w tej chwili się kurczą, my się też wyprowadziliśmy z Kielc pod miasto. Z punktu widzenia narracji powieściowej to bardzo wygodne miasto, bo zapewnia anonimowość bohatera, ale jednocześnie daje poczucie przynależności i zakorzenienia, swojskości.

Kielce mają też swoje Zatruchle, jak w Odrzywołach, czyli gorszą dzielnicę, kojarzoną z łobuzerstwem. A nawet niejedną taką dzielnicę. Mają nawet dzielnicę, która nazywa się Złodziejów, jest oficjalnie na mapach. Kiedyś takimi dzielnicami były Herby, Czarnów, zresztą do dzisiaj to nie są reprezentacyjne fragmenty miasta. Ludzie niechętnie tam kupują mieszkania, mimo że to się powoli zmienia. Kiedyś Szydłówek był też takim miejscem, ale w tej chwili został wchłonięty w tkankę śródmiejską".

Kiedyś tętniącym centrum Odrzywołów było oczywiście Stare Miasto, ale od kiedy na wschód od Starego Miasta zbudowano tzw. Nowe Centrum, to tam przeniosły się „uciechy konsumpcyjne i kulturalne rozrywki". Wiemy to stąd, że na ulicy Boleść, znajdującej się na obrzeżach Starego Miasta mieszka Zyzio Gnacki wraz z rodzicami i rodzeństwem. Kiedyś na Boleść koncentrował się handel mięsem dostarczanym z pobliskiej rzeźni, wokół pełno było sławnych restauracji i barów takich jak „Pod Wołem" czy „Cielęca Nóżka" – z oczywistego powodu łatwej dostępności mięsa. Co więcej, oferowały one nie tylko znakomite posiłki, ale także rozrywkę:

bilard, stoliki do gry w karty, chińczyka, szachy i domino. Niestety, starą rzeźnię zamknięto, zaś otwarto na dalekim przedmieściu Odrzywolskie Zakłady Mięsne „Przyszłość”, co przyczyniło się do upadku ulicy Boleść i w dużej mierze całego Starego Miasta. Prężni mieszkańcy zaczęli się wyprowadzać do nowych domów, zostali tylko emeryci, drobni handlarze i sklepikarze, jeden szewc i niejaki Feluś Balon, niegdyś po prostu śmieciarz, a obecnie „dość zamożny przedsiębiorca skupu odpadków użytkowych i surowców wtórnych”. Poza tym Boleść stała się „ulubionym schronieniem różnych niebieskich ptaszków oraz meliną odrzywolskich pasożytów, złodziejaszków, oszustów, cinkciarzy i innych mętów”. „Przerażająca była panująca tu cisza, przerywana tylko od czasu do czasu czyimś rozpaczliwym krzykiem, plugawą klątwą czy diabelskim śmiechem. W na pół zrujnowanych bramach stali z niedopałkami w zębach podejrzani osobnicy, czekający nie wiadomo na co i na kogo”.

To dość typowe zjawisko dla peerelowskiej rzeczywistości: starówki i szerzej, stare dzielnice, które przetrwały wojnę, stawały się często najgorszymi kwartałami w mieście, zasiedlonymi przez kwaterunek i tzw. element, gdzie nie warto było zapuszczać się po zmroku. Były to nierzadko bezcenne historyczne miejsca – jak Stare Miasto w Lublinie czy krakowski Kazimierz, gdzie jeszcze w latach dziewięćdziesiątych nikt rozsądny nie uprawiał romantycznych wieczornych spacerów, bo w istocie „przerażająca była panująca cisza, przerywana tylko od czasu do czasu czyimś rozpaczliwym krzykiem, plugawą klątwą” i można było dostać w twarz. Centra miast przesuwały się w miejsca wyznaczone przez gospodarkę planową, tam powstawały domy towarowe, kina, usługi, rozrywki, co powodowało, że tradycyjne ośrodki

handlu, usług i kultury wokół starówek i rynków stawały się socjalnymi leprozoriami.

Nowy stadion zbudowano na Zarzeczu, a stary bliżej centrum miał zostać rozebrany, zaś teren po nim przeznaczony na nową fabrykę. Ruiny terenów sportowych „Ozamu" wciąż jednak służą jako miejsce dzikich meczów piłkarskich, zmagań trampkarzy, biegaczy (słowo „jogging" jeszcze nie było znane), a także modelarzy-hobbystów. Są więc Odrzywoły klasycznym peerelowskim miastem w trakcie wielkiej przemiany, gdy część tkanki miejskiej obumiera, niektóre pozostałości działań wojennych, ruiny pozostają zostawione same sobie (jak stary, spalony browar), tereny niegdyś kwitnące życiem popadają w degrengoladę, a planiści wedle odgórnych politycznych koncepcji starają się zmienić charakter miasta na bardziej przemysłowy, sport i kulturę scentralizować i podporządkować ideologii masowości.

Sprawa, w którą zaangażują się z narażeniem zdrowia i życia Okist, Gnat, Kwękacz i Kleksik, w istocie będzie poważna, niemal kryminalna, lecz jednocześnie głęboko zakorzeniona w polskiej siermiężnej rzeczywistości, pozbawiona tak wytęsknionych przez Okista i jego kolegów pościgów, strzelanin, ostrych bijatyk oraz zabójstw. Nie znaczy to, że w Peerelu nie było zabójstw i bijatyk, ale odrzywolska przestępczość jest w gruncie rzeczy dość niewinna i niespecjalnie przemocowa. Daleko jej nie tylko do przygód kowbojów, gangsterów i szpiegów, ale nawet do zbrodni z serialu *07 zgłoś się*.

Edmund Niziurski lata 40-te

Oto pojawia się w miasteczku tajemniczy przybysz (oczywiście porusza się mercedesem), nazwany „Chudym” i zbierający „bandę”, w skład której wchodzą technik dentystyczny Potępa, mistrz fryzjerski Ondula i nauczyciel z Defonsiarni profesor Rajzer, wszyscy ewidentnie szykujący się do większej akcji w podziemiach spalonego browaru. Ów zrujnowany przedwojenny browar, który doznał zniszczeń w czasie, gdy przez Odrzywoły przewalał się front, lecz zachował w dobrym stanie piwnice, znów jest chtonicznym planem akcji. Podobnie jak w *Księdze urwisów*, *Niewiarygodnych przygodach Marka Piegusa*, *Awanturze*

w Niekłaju i *Siódmym wtajemniczeniu* Niziurski z upodobaniem ulokował kluczowe dla sensacyjnej intrygi miejsca pod ziemią. Potępa, Ondula i profesor Rajzer chcą wydobyć ze skrytki w piwnicach browaru tajemniczą torbę z nie mniej tajemniczą zawartością, czemu przeszkodzić usiłują „wspaniali" pod kierownictwem Zyzia Gnackiego. Co naturalnie skończy się korowodem pomyłek, a w konsekwencji chaosem, katastrofą i dużymi kłopotami, w jakie wpadną bohaterowie. Rzekoma banda opryszków dużej klasy, czyli Potępa, Ondula i Rajzer, okaże się grupą przyjaciół, częściowo ze sobą spokrewnionych, postanawiających dotrzeć do ukrytej w czasie okupacji partyzanckiej broni, by w ten sposób oczyścić pamięć Rajzera seniora, podejrzewanego, że w trakcie przesłuchania przez gestapo sypnął organizację i skrytkę. W istocie posądzani o najgorsze zamiary i mordercze instynkty Potępa, Ondula i Rajzer okazują się porządnymi (choć działającymi nieformalnie, za plecami milicji) obywatelami, a nasi detektywi-amatorzy, przechwyciwszy torbę z bronią, sami muszą wydostać się z tego bigosu, jaki przez swą lekkomyślność oraz nieopanowaną tęsknotę za „Wielkim Złym" i „czymś okropnym" przyrządzili.

Po wielu perypetiach, komplikacjach, wpadkach i rozlicznych qui pro quo wreszcie udaje się torbę z bronią oddać. Opisy niektórych sytuacji wzięte są niczym z komedii slapstikowej, jak scena w browarze, gdy rozjuszony Ondula wyłapuje i wsadza do starych beczek krążących po podziemiach intruzów, a z niektórymi (będącymi już w beczkach) toczy groteskowe walki, ujeżdża ich bądź goni. Takie sceny mogłyby być ozdobą filmu braci Marx bądź Chaplina. Podobnie jak z koncertem, a ściślej przedstawieniem teatralnym z udziałem znakomitego multiinstrumentalisty Piszczyna-Świergockiego (nazwisko jest aluzją do znanego jazzmana Jana Ptaszyna-

Wróblewskiego) i zespołu bigbitowego „Optymiści”, gdy Gnat podrzuca wiolonczeliście zdobytą na kłusowniku strzelbę.

Niepoślednią rolę w całej intrydze odgrywa Jacek Pęcherski, czyli Perzyk, cherlawy specjalista od rozwiązywania problemów. To on dzięki swoim kontaktom, intelektowi, umiejętności negocjacji, a także znajomości sztuk walki (ma kuzyna w „czerwonych beretach”) pomaga wywikłać się nieszczęsnym „wspaniałym” z tarapatów, przekazać broń milicji i udobruchać Potępę. Przy okazji obnaża nieudolność samozwańczego geniusza Zyzia Gnackiego, wielkiego teoretyka, kombinatora, urojonego geniusza, a po prawdzie sprawcy największych wpadek czwórki, pożal się Boże, detektywów.

U Niziurskiego istotną rolę odgrywali zawsze zdziwaczali emeryci, nieustannie komplikujący im życie, tak jak nam przecież komplikowali życie rozliczni wścibscy, kostyczni staruszkowie. Fantastyczny popis możliwości dociekliwych, nachalnych emerytów mieliśmy w *Awanturze w Niekłaju*, gdy „Piraci” usiłowali przemycić na dworzec bosmana Reję zamieszkaną przez ubogich staruszków ulicą Zapłotkową. Ale zajadły emeryt to nadzwyczaj częsta figura w prozie Niziurskiego, postać budząca śmiech i współczucie zarazem, irytację i empatię, bo maniactwo każdego z tych ludzi brało się z ich niedogodności życiowych i straszliwej samotności.

W *Naprzód, Wspaniali!* mamy emerytkę Pytlasińską (znamienne nazwisko), osobę pytlującą i rzucającą oszczercze oskarżenia na innych, tak jak rzuca na dyrektora szkoły im. Rejtana, czyli Kiera, a ściślej na jego kota, który ma podkradać jej ryby wywieszane za oknem. Wytresowany przez Kiera kot ponoć korzysta z okazji, gdy Pytlasińska idzie do kościoła, i wtedy zakrada się i pożera ryby. Sprawa zostaje wyjaśniona, to nie Kiero ani kot kradli ryby, lecz uczeń Umilak, a nieszczęsna Pytlasińska staje się obiektem niechęci mieszkańców jako osoba

rozpuszczająca fałszywe pogłoski; dziś byśmy ją nazwali „hejterką”. Ale prawdziwym klasycznym zajadłym starcem jest emeryt Gołąbek, wiceprezes LOMPO, czyli Ligi Obrony Moralności i Porządku w Odrzywołach. Gołąbek, jak przystało na zaciekłego moralistę, tak definiuje swoje powołanie: „Czeluści piwniczne browaru są siedliskiem bakcyli zarazy moralnej, przybytkiem alkoholizmu i kołyską przestępczości w naszym mieście. Liga nasza postawiła sobie jako cel likwidację tego gniazda zepsucia. Niestety, uchwała ta została na papierze. Naszym członkom brakowało hartu ducha i męstwa, by przypuścić decydujący szturm na tę twierdzę wszelkiej nieprawości. Ja sam, wstyd przyznać, mimo swych wysokich funkcji zamiast świecić przykładem, omijałem z daleka te mury i ograniczałem się do bezsilnych apeli i jałowych protestów starczych. I oto miałem sen, że wreszcie zdobyłem się na czyn pełen męstwa i udałem się do browaru w celach dezynsekcyjnych i dezynfekcyjnych, że tak się wyrażę”.

Takiej przemowy nie powstydziłby się z jednej strony ksiądz, z drugiej publicysta partyjny w oficjalnym organie propagandowym. Gołąbek – jak przystało na starca o konserwatywnych poglądach – prezentuje też postawę wyższościową i czysty „klasizm”, planując walkę z „elementem zarzecznym”, czyli młodzieżą zamieszkującą zaniedbane przedmieście Odrzywołów, zwane Zatruchlem i znajdujące się po drugiej stronie rzeki niż centrum miasta. Na czele młodzieży z Zatruchla stoi Maciuś, przestępca wypuszczony po trzech latach odsiadki, dość sympatyczny oraz ironiczny, raczej niegroźny. Przestępcy u Niziurskiego zawsze byli niezwykle elokwentni, posługiwali się zdaniami wielokrotnie złożonymi, nie unikali metafor i lubowali się w kwiecistościach językowych.

Polecamy trumny familijne
dwu-, trzy- i czteroosobowe, szczególnie przydatne dla ofiar rodzinnych kraks samochodowych, oraz tak zwane trumny towarzyskie. Jeśli całe życie byłeś towarzysko usposobiony, dlaczego masz nie spędzić w towarzystwie i tego czasu, który przyjdzie potem?

Źródło: „Awantury kosmiczne"

Cała historia kończy się szczęśliwie mimo straszliwych komplikacji i niebezpiecznego balansowana przez bohaterów na granicy prawa (wszak przechowują skradzioną broń). Ale zarazem koniec tej przygody jest początkiem końca przyjaźni Okista z Gnatem, Kleksikiem i Kwękaczem. Ta agonia przyjaźni trwać będzie jeszcze przez dwa tomy i tak należy czytać odrzywolską sagę, jako wielką opowieść o końcu przyjaźni.

Awantury kosmiczne, ciąg dalszy przygód Tomka Okista i jego kolegów, ukazywał się w odcinkach w dwutygodniku „Płomyk" przez cały 1975 rok, z rozchwianymi rysunkami Juliusza Puchalskiego. Podobnie bywało w przypadku innych książek Niziurskiego, swe prapremiery często miały na łamach pism młodzieżowych, a „Płomyk" (i czasami jego wersja dla dzieci młodszych, „Płomyczek") spełniały tu wyjątkową rolę. „Płomyk" powstały w 1917 (i zamknięty w 1991 roku), wydawany przez Naszą Księgarnię był w owym czasie dość dziwną hybrydą pisma propagandowego dla nastolatków z pismem literackim, poradnikowym, krajoznawczym, a wszystko to na trzydziestu dwóch stronach druku plus czterech okładkowych. Co ciekawe, paginacja w kolejnych numerach była ciągła, dzięki czemu na przykład ostatni numer „Płomyka" z 1975 roku (podwójny 23/24) kończy się na stronie 680.

W sąsiedztwie *Awantur kosmicznych* pojawiali się na łamach tego pisma inni pisarze dla młodzieży, jak Aleksander Minkowski czy nieszczęsny Janusz Przymanowski, nie tylko autor *Czterech pancernych i psa*, ale i aparatczyk pezetpeerowski prezentujący betonową frakcję partii komunistycznej. Ale zdarzały się też przedruki klasyków, na przykład fragmenty *Nocy i dni* Dąbrowskiej, a dla równowagi *Wspomnienia działacza KPP* [przedwojennej Komunistycznej

Partii Polski] Bronisława Owsianko. Materiały patriotyczno-wojenne o trudzie frontowym żołnierzy Ludowego Wojska Polskiego, drętwe referaty o przemyśle stoczniowym, a dla hobbystów reportaże z klubu modelarzy, klejących plastikowe samoloty. Dziewczęta otrzymywały porady kulinarne i krawieckie, a wszystko to okraszone było bardzo złymi, bladymi zdjęciami bez polotu oraz niewyraźnymi grafikami.

W *Awanturach kosmicznych*, które w postaci druku zwartego ukazały się w 1978 roku (zatem aż siedem lat po części pierwszej), znów mamy do czynienia z poszukiwaniem skarbów z przeszłości. Tym razem chodzi o „awaramisy", niezwykle cenne klejnoty. Obecnie z bogatej kolekcji niemal nic nie zostało, a prezentowane w odrzywolskim muzeum są jedynie w postaci doskonałej kopii. Gdzieś jednak ukryte są dwa ostatnie prawdziwe „awaramisy", czyli „niespotykanej czystości hiacynty". Oto historia „awaramisów" wedle opowieści kustosza odrzywolskiego muzeum: „Klejnoty te pochodziły prawdopodobnie z wieku dziesiątego i wykonane były w Bagdadzie na zamówienie kalifa. Nazywano je także klejnotami śmierci, ponieważ wielu ich kolejnych właścicieli zginęło w wypadkach losowych bądź umarło przedwczesną śmiercią. To było między innymi powodem, że klejnoty przechodziły dość często z rąk do rąk, stawały się przedmiotem handlu, a także grabieży. W początkach siedemnastego wieku były własnością pewnego baszy tureckiego, który dostał się do niewoli polskiej podczas strasznej bitwy pod Chocimiem. Za wykup z niewoli przekazał on stolnikowi sandomierskiemu Bogusławowi Jelenieckiemu całą kolekcję, nie uprzedzając go wszakże z zemsty o śmiercionośnych właściwościach klejnotów. Mimo to przez sto lat nikogo z rodziny Jelenieckich nie dosięgła zemsta baszy, ponieważ klejnoty były przechowywane w skarbcu i żaden z domowników nie miał z nimi

bezpośredniej styczności. Dopiero August Jeleniecki, zwany Rozpustnym wydobył klejnoty z ukrycia i podarował je kurtyzanie Augusta II Sasa, z którą miał potajemnie romans, niebawem zresztą poślubił ją. Nieszczęsna zmarła w trzy tygodnie po ślubie. Odtąd dziwne choroby i przedwczesne zgony dziesiątkują nieszczęsną rodzinę. Wreszcie po powstaniu styczniowym na znak żałoby ordynat Dominik Jeleniecki zamyka z powrotem awaramisy w skarbcu w podziemiach wieży pałacowej i pokazuje je tylko co znakomitszym gościom podczas ważnych uroczystości rodzinnych. Niestety, w okresie międzywojennym hulaszczy tryb życia, a zwłaszcza namiętna pasja do podróży, jaka rozpleniła się w rodzie Jelenieckich, i obsesja polowań w krajach tropikalnych doprowadziły do ruiny finansowej rodziny. Po cichu poszczególne egzemplarze kolekcji były sprzedawane. Ostatni z ordynatów miał już tylko w posiadaniu dwa duże pierścienie z żółtymi kamieniami".

I te oto właśnie żółte kamienie jako ostatni widział niedawno zmarły antykwariusz Antoni Zakałło. Było to przed wigilią Bożego Narodzenia 1940 roku, gdy ostatni ordynat Jeleniecki szukał na nie kupca i prosił Zakałłę o wycenę. Ten wycenił je na „co najmniej sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów". W roku 1975 z pewnością te dwa hiacynty w pięknej oprawie musiały być warte o wiele więcej.

Awantury kosmiczne są najmroczniejszą powieścią młodzieżową Niziurskiego, do tego miejscami niepojąco surrealistyczną i oniryczną. Tomkowi Okistowi śnią się koszmary, w których całe miasto staje się ofiarą powodzi i jest atakowane przez plagę szczurów. Również, dowcipny oczywiście, wątek zakładu pogrzebowego „Trumna" prezentuje raczej czarny humor i dość nietypowe dla tego pisarza eschatologiczne żarty. Otóż „Trumna" była najpodlejszym zakładem pogrzebowym nie tylko w Odrzywołach, ale zapewne

w całym województwie. Usługi „Trumny” były na najniższym z możliwych poziomie, obsługa wiecznie pijana, karawany rozpadające się, same trumny dziurawe, nieboszczycy wypadający z owych dziurawych trumien. Ludzie wciąż żyjący zastrzegali w testamentach, że nie życzą sobie być chowani przez te firmę. Dopiero pojawienie się w mieście znakomitego fachowca Cezarego Opata, ojca Matyldy Opat, który postawił na nogi „Trumnę” i zrobił z niej firmę świadczącą szeroki wachlarz ekskluzywnych usług, zupełnie zmieniło krajobraz funeralny Odrzywołów. „Trumna” ma nowoczesne i kompleksowe podejście do klienta, chętnie podpisuje umowy wstępne, można w „Trumnie” z góry omówić własny pogrzeb, ponadto ma w ofercie na przykład trumny rodzinne, jeśli cała rodzina zginie w wypadku komunikacyjnym, czy też trumny „towarzyskie”, jeśli zmarły miałby życzenie leżeć obok kogoś, z kim bardzo się przyjaźnił.

Społeczność uczniowska Odrzywołów dzieli się już nie tylko na Defonsiaków i Rejtaniaków, ale nawet poszczególne klasy w szkole Rejtana są głęboko podzielone – pomijając naturalny podział płciowy, bo u Niziurskiego te światy zawsze są oddzielone murem wzajemnej niechęci, a przynajmniej obojętności. W ramach danej płci także może dochodzić do głębokich klanowych podziałów. I tak w klasie Okista dziewczęta podzielone są na harcerki i „artystki”. Tymi pierwszymi zarządza Ela Melasińska, czyli Elamela, zaś drugimi Brunhilda Przypora (czy też jak występuje w książce, Przypora Brunhilda). Obie są wzorowymi uczennicami, z tym że „artystki” to grupka nadętych i nieznośnych dziewcząt, które od czasu, gdy wystawiły sztukę na podstawie *Ani z Zielonego Wzgórza*, by zebrać pieniądze na Centrum Zdrowia Dziecka, przestały odróżniać rzeczywistość od sceny teatralnej i nie przestają grać nawet w czasie lekcji. Zarazem jednak są

wyszczekane i obkute, a więc serdecznie nielubiane przez resztę uczniów. W tym dychotomicznym podziale te zepsute lokalną sławą, nadęte snobki, którym uderzyła woda sodowa, są zarazem najlepszymi uczennicami. Można sądzić, że lepszymi niż porządne harcerki, co zdaje się bezczelną kpiną z socjalistycznego modelu wychowawczego.

Kobiecość zresztą w *Awanturach kosmicznych* po raz pierwszy pojawia się u Niziurskiego z tak wielką siłą i w takim natężeniu, jeszcze silniejszym niż w *Cymeonie Maksymalnym*, bo tutaj jest mroczniejsza. Naturalnie dotychczas postaci dziewcząt krążyły po kartach powieści tego pisarza, bywały to figury dziewcząt fatalnych bądź też zwykłych koleżanek, ale nigdy wcześniej nie pojawiały się tak silnie i zmysłowo. Matylda Opat jest pociągającą, wyzwoloną dziewczyną, przebojową i nowoczesną, w burzy włosów, ciemnych okularach i modnych dżinsach, z aparatem fotograficznym, niczym fotoreporterka na froncie. I w istocie jest fotoreporterką na froncie wojny szkolnej, uwieczniającą wydarzenia zabawne, ale i kuriozalne. Usiłuje przełamać męską (patriarchalną w wersji „junior”) dominację w prasie (gazetka szkolna). Jej konkurentka do chłopięcych serc, Adela Wigor, elegancka piękność o złotych włosach z Defonsiarni, ma urodę – jak powiada Okist – Pallas Ateny, choć jest nieco zbyt duża i masywna. Ale to typ dominy poniekąd, a nie wiotkiej mimozy, wrażliwego dziewczęcia o romantycznym usposobieniu. Szaleją za nią najtwardsi chłopcy w Odrzywołach, jak Zyzio Gnacki czy przywódca rejtaniackich piłkarzy Chrząszcz. Wokół Adeli krąży wybitna postać defonsiacka Jerzy Cypałło, czyli Gruby Cypek, wciąż starający się posiąść jej względy. To w zasadzie skopiowanie wzorca z *Osobliwych przypadków Cymeona Maksymalnego*, powieści starszej od *Awantur kosmicznych* o ledwo kilka lat, gdzie przecież była wcześniejsza wersja Matyldy Opat, czyli

Nelka Szyperska, oraz wcześniejszy model Adeli Wigor, czyli Giga Julicka. Nawet dyżurny adorator Adeli, Gruby Cypek nad wyraz przypomina Ciężkiego Tubkę i w pełni zasługuje na nazywanie go grubym, waży bowiem dokładnie 92 kilo i 35 deko. Cypek, podobnie jak Chrząszcz, zajmuje się tzw. adelowaniem, czyli próbami uwiedzenia Adeli Wigor. To bardzo niebezpieczna pasja, ponieważ zbliżanie się do domu Wigorów grozi wpadnięciem w ręce mamy Adeli, czyli Mamadeli. Mamadela, opętana pasją ciągłego sprzątania, zmusza adoratorów córki do mycia okien bądź trzepania dywanów, co dla Cypka skończyło się kiedyś niemal tragicznie, gdy podczas nieumiejętnego pucowania szyb wypadł wraz z całym oknem i spadł wprost na róże Mamadeli. Adela mieszka w domu jednorodzinnym na cichej, bocznej ulicy Ogrodowej, a zatem podobnie jak Giga Julicka z *Cymeona Maksymalnego*, która też przecież mieszkała w spokojnej, willowej części miasta. Najwyraźniej Niziurski w ten sposób nadawał swym ideałom dziewczęcego piękna swoiste cechy arystokratyczne. Rodziny Gigi i Adeli nie przynależały do peerelowskiego proletariatu ani nawet do „inteligencji pracującej", do warstwy urzędniczej, ale miały jakieś wyraźne korzenie w przedwojennym mieszczaństwie, a może wręcz dalekie koneksje szlacheckie, a przynajmniej ziemiańskie. Co znamienne, były to domy wyłącznie kobiece, zamieszkałe przez babcie, mamy, córki i ciotki, zaś figury męskie w tym różanym, postziemiańskim, postszlacheckim świecie nie występowały zupełnie, i wkraczający na te tereny młody mężczyzna był niemal jak Wiktor Ruben w *Pannach z Wilka* Iwaszkiewicza. Kolorowe, piękne, wyniosłe Giga i Adela to ostentacyjne zaprzeczenie socjalistycznej urawniłowki. Zasiedlał nimi Niziurski tonące w zieleni domy przy willowych ulicach, kojarzące się, przynajmniej warszawiakom, bardziej

z ekskluzywnością Saskiej Kępy niż z szarymi blokami gomułkowskimi czy gierkowskimi z wielkiej płyty.

ARKUSZ EGZAMINACYJNY NR 4
NIZIURSKOLOGIA. POZIOM WYSOKI

Uważnie przeczytaj pytania i zaznacz właściwą odpowiedź.

PYTANIE 1
Ile należy wypić mlekozy, aby zostać przyjętym do Matusów?

A) Ćwierć litra duszkiem.
B) Pół litra w ciągu pięciu minut.
C) Litr w ciągu dziesięciu minut.

PYTANIE 2
Jakie przezwisko nosił groźny stróż Ogrodu w Niekłaju, pan Abdulewicz?

A) Abdul.
B) Ahmed.
C) Mułła.

PYTANIE 3
Jak się nazywa zamaskowany kanał wentylacyjny w odrzywolskiej szkole im. Rejtana, dzięki któremu można podsłuchiwać, co się dzieje w gabinecie dyrektora Oberonowicza?

A) Kanał Kościuszki.
B) Kanał Moniuszki.
C) Kanał Kiepury.

Intryga kryminalna *Awantur kosmicznych* przyspiesza i już jest jasne, że srogi woźny Bambosz wraz z chemikiem Pelmanem odgrywają w niej niepoślednią rolę. Rzeczone „awaramisy", jak się okazuje, znajdują się w szkole, ukryte w oczodołach wypchanego kota, zaś ich nazwa „klejnoty śmierci" jest jak najbardziej uzasadniona, jako że są to izotopy promieniotwórcze, stąd nie wychodziły na zdjęciach, które robiła Matylda Opat. Ich promieniotwórczość powodowała, że zdjęcia były prześwietlone. Archiwariusz Zakałło tak naprawdę był lichwiarzem, który kupił za niewielką sumę ostatnie dwa kamienie od głodującego ordynata i ukrył je w oczodołach wypchanego kota, a po śmierci antykwariusza eksponat wylądował w sali biologicznej. Złoczyńcy „Kablarz" i „Pigmej" od dłuższego czasu podszywający się pod robotników kręcących się wokół szkoły (budowa nowego skrzydła szkoły była dla nich dobrą przykrywką) wiedzą, że awaramisy są gdzieś w pomieszczeniach szkoły, ale nie wiedzą dokładnie gdzie. Udając ekipę remontową i tapicerską, prują fotele, kanapy, zrywają podłogę, aż wreszcie zostają zdemaskowani przez naszych bohaterów i otoczeni przez Oberona na czele pospolitego ruszenia rodziców przybyłych na wywiadówkę, w tym oficerów wojska i milicji. „Kablarz" i „Pigmej", używając farby i pędzli, przedzierają się przez oblężenie i uciekają, ale drogę zastępuje im Pelman uzbrojony we własnej produkcji rozpylacz ze środkiem uspokajającym, a właściwie narkotycznym, o zapachu wody Old Spice (wówczas szczyt marzeń o luksusowych męskich kosmetykach, symbol pragnień peerelowskiego mężczyzny), którego działanie zdaje się zbliżone do marihuany. Potraktowani preparatem złoczyńcy robią się mili, przyjaźni i chętnie dają się pojmać oraz przesłuchać. Opary wynalazku Pelmana powodują jednak, że

również nauczyciele i rodzice wpadają w błogi nastrój spod znaku „peace and love” i wszystko zamienia się w radosne pląsanie. Okazuje się, że nieszczęsny Bambosz, którego szef szajki Jaksa (pracujący w muzeum sportu) chciał zmusić do współpracy przy znalezieniu i kradzieży awaramisów, został porwany, jako że przeciwstawił się opryszkom. Bambosz zostaje zrehabilitowany i okazuje się postacią tragiczną. To samotny, pozbawiony rodziny ojciec dwóch synów, z których jeden zaginął jako tramp w Kanadzie, drugi zaś wybrał życie przestępcze. Bambosz skazany na wegetację w przytułku zatrudnił się w szkole po to, by móc zarobić starczy grosz i mieć gdzie mieszkać.

Jako formacyjne dla siebie samego *Osobliwie przypadki Cymeona Maksymalnego* oraz historię Tomka Okista z Odrzywołów widzi Grzegorz Kasdepke, zwracając uwagę na to, że w tych książkach dochodzi do swoistej emancypacji – jak to nazywa – samca omega: „Do mojego kanonu Niziurskiego należą *Osobliwe przypadki Cymeona Maksymalnego*. Śmieszyło mnie i imię, i nazwisko bohatera – i zachwyciły jego nieudolne próby poderwania fascynującej Gigi. Uwielbiam też cały cykl »trylogii odrzywolskiej«. Nagle w przezabawnych książkach Niziurskiego zobaczyłem, że życie bywa smutne, a ja chyba chciałem wtedy właśnie o tym poczytać. Ale najważniejszą rzeczą, jaką osadziła we mnie literatura Niziurskiego, jest świadomość, że nie trzeba być samcem alfa, że można być tym drugim, trzecim w stadzie – tym, który idzie własną drogą. Innymi słowy, że nie trzeba być przywódcą jak Gnat z książek o Odrzywołach. Że można być »samcem omega«. Gdy to sobie uświadomiłem, poczułem niebywałą ulgę – i spokojniej zacząłem myśleć o przyszłości. Nagle miałem plan – ścieżkę, której mogę się trzymać.

Cymeon Maksymalny jest artystą, chce być filmowcem, a ja chciałem być pisarzem, czyli także twórcą, artystą. Pisałem wtedy fantastykę, masę złych opowiadań, ale czułem, że pisanie to moja droga, moja przyszłość, mój cel – że ten stojący trochę z boku ironiczny komentator to rola stworzona dla mnie. No i miałem rację. Pamiętam tych wszystkich kolegów ze szkoły podstawowej, którzy zawsze byli tacy hop do przodu jak Gnat. Gdzie oni teraz są? Pamiętam też kumpli ze szkoły, którzy byli jak Żaba z powieści *Szkolny lud, Okulla i ja* – zresztą sam też byłem takim Żabą. Żabą, Cymeonem i Tomkiem Okistem. Wymiksowaliśmy się z gry o tron, stanęliśmy z boku i czort wie, kiedy zostawiliśmy peleton daleko za sobą. Niziurski uzbroił nas w broń, która pozwalała trzymać wszystkich na dystans – w ironię i poczucie humoru.

Osobnym wątkiem są rodzice pokazywani w tekstach Niziurskiego, choćby figura ojca. To taki ojciec trochę jak z serialu *Wojna domowa*. Ojciec, który po prostu ma swoje ważne, dorosłe sprawy, i który czasem oczywiście musi wrócić do domu, bo trzeba się gdzieś przespać i zmienić koszulę, ale generalnie chciałby, żeby rodzina mu nie przeszkadzała. Taki Kazimierz Rudzki. Aby obraz idealnej, choć stereotypowej rodziny PRL-owskiej był pełny, trzeba jeszcze wprowadzić żonę. Zmęczoną, zalataną, starającą się na różne sposoby zacerować dziury w domowym budżecie. W *Osobliwych przypadkach…* główny bohater nie może przenieść się do innej szkoły, bo matka już zdążyła pożyczyć pieniądze w komitecie klasowym – na rondle – i jest udręczona zarówno wyrzutami sumienia wobec syna, jak i problemami dnia codziennego. Na ojca nie ma co liczyć – jego przeważnie nie ma.

Ale sam Edmund Niziurski podobno chętnie zajmował się swoimi dziećmi. Pewnie także dlatego, że miał inspirację pod ręką, a wiemy, jacy są pisarze – ciągną, skąd się da, najchętniej

z rodziny. W każdym razie był przeciwieństwem ojców wykreowanych w swoich książkach. I chyba lubił troszeczkę obśmiewać dorosłych. Choć to tylko moje podejrzenia – ja to w każdym razie uwielbiam. Takie obśmiewanie bardzo nam, dorosłym, służy. Obśmiany dorosły łatwiej akceptuje sam siebie i trochę spuszcza z tonu. Niziurski obśmiewał więc tego czy tamtą, ale zawsze z czułością. Dlatego obraz rodziny w powieściach Niziurskiego jest z jednej strony odrobinę karykaturalny, a z drugiej – jest to rodzina kochająca się, taka, w której, gdy trzeba, każdy każdemu pomoże. A do jakiej grupy społecznej należą te rodziny z książek Niziurskiego? To przeważnie inteligencja: inżynierowie, sędziowie, lekarze, klasa średnia. Klasa średnia w rozumieniu PRL-owskim. Tak zwana »inteligencja pracująca«.

Żałuję, że Niziurski nie mógł pisać po angielsku i że nie jest tak znany, jak powinien na całym świecie. Ale cieszę się zarazem, że wzniósł polską literaturę młodzieżową na nieosiągalny dla większości pułap. Jeszcze długo będzie punktem odniesienia dla wielu pisarzy – również dla mnie”.

— Pędzelkiewicz!

Tryby!

— Przeważnie

zębate.

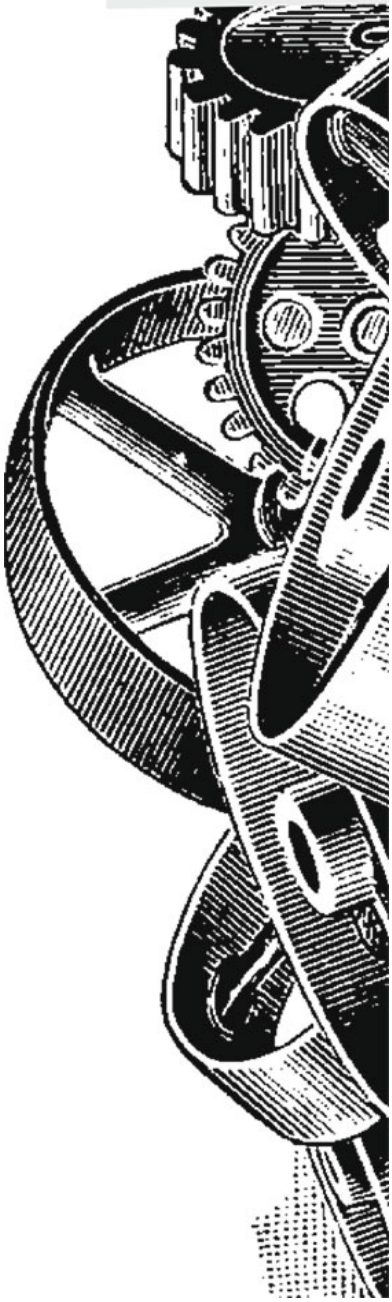

Część trzecia, ostatnia, domknięcie „trylogii odrzywolskiej”, czyli powieść *Adelo, zrozum mnie!*, została formalnie wydana rok przed *Awanturami kosmicznymi* na skutek procesu produkcyjnego i wydawania książek przez Niziurskiego w różnych wydawnictwach. Należy ją jednak czytać jako ostatnią, po *Awanturach kosmicznych*.

To swoisty thriller, bo zaczyna się od nieszczęsnego meczu z Siarką Tarnobrzeg (zremisowanego zero do zera, co powoduje odpadnięcie Oriona Odrzywoły z rozgrywek o puchar) a następnie porwania Zyzia Gnackiego i Tomka Okista przez… fałszywe ofiary wypadku samochodowego. Można nawet powiedzieć, że *Adelo, zrozum mnie!* to coś na kształt thrillera medycznego, a przynajmniej dreszczowca szpitalnego.

Otóż znani nam już Defonsiacy pod przywództwem Grubego Cypka porywają Gnackiego i Okista, aby pod przykrywką wielkich ćwiczeń PCK poznęcać się nad nimi, faszerować ich rycyną, boleśnie bandażować oraz brutalnie reanimować jako pozorantów z wypadku komunikacyjnego. Za owymi wielkimi ćwiczeniami stoi dyrektor szpitala doktor Otrębus. To prawdziwy maniak aktywności społecznej, który popędziwszy do galopu młodzież defonsiacką, chciałby też zaktywizować młodzież rejtaniacką. Porwani Gnat i Okist mają być dowodem na to, że uczniowie Rejtana także angażują się w epokowy projekt Otrębusa. Nawiasem dodając – doktor Otrębus był też istotną postacią *Awantury w Niekłaju*, gdzie zaganiał młodzież do rekonstruowania bitwy pod Grunwaldem. Co więcej, lekarz w opowiadaniu *Jutro klasówka* przybywający, by wyrwać chorych z rąk znachora Karolusa, także nosi nazwisko Otrębus! Tutaj Otrębus zagania młodzież do zdobywania sprawności medycznych, propagowania higieny, co naturalnie młodzież (bohaterowie Niziurskiego sami o sobie

mówią „młodzież”, podkreślając nieustannie, że są w trudnym wieku, że są nad wyraz wrażliwi oraz że „nie wolno młodzieży przemęczać nauką”) wykorzystuje dla swych niecnych czynów. Przez ów szlachetny idealizm Otrębusa w szpitalu nastąpi cała seria mrożących krew w żyłach wypadków, których sprawcami będą Zyzio i Okist. Przeniknąwszy do szpitala nocą, staną się tam zaczynem mnóstwa iście filmowych perypetii, pogoni, ucieczek i przebieranek, ale ich inwazja na „świątynię cierpienia” będzie miała też swoje daleko idące konsekwencje. Zyzio zaskakująco okaże się osobnikiem niepozbawionym empatii i współczującego serca, gdy postanowi zostać na noc, by towarzyszyć przerażonemu, poważnie choremu chłopcu. Okist zaś wpadnie w ciężkie zauroczenie boską Adelą, która w szpitalu odwiedza swą siostrę, pracującą tam jako pielęgniarka. A jak wiadomo, zakochać się w Adeli jest nietrudno, lecz jest to dziewczę fatalne i miłość do niej może łatwo skończyć się dla zakochanego tragicznie. Adela umawia się nawet z Tomkiem (co zadziwiające, bo Okist nie dość, że Rejtaniak, to na dodatek nie jest wzorcem piękności). Niewątpliwie motywy Adeli nie są szczere i jej afekt do Okista musi coś za sobą kryć. Na dodatek Okist zostaje podejrzany o zdradę na rzecz Defonsiarni. Zyzio wysyła Matyldę, by ta sfotografowała w kompromitujących pozach Grubego Cypka i jego przybocznych, co ma być odwetem za numer gazetki szkolnej Defonsiaków wyśmiewającej Zyzia i jego kolegów. Matylda zostaje pochwycona przez Defonsiaków i aresztowana, Tomek zawala randkę z Adelą, wybierając ratowanie Matyldy: rozumie, że dziewczyną dla niego ważną i bliską tak naprawdę jest Opatówna, a nie cyniczna Wigor. Adela uosabia tu stereotyp piękności manipulującej zakochanymi w niej mężczyznami, których używa do prowadzenia własnej polityki. Wszak słabość do Adeli czuje nawet niezłomny mizogin Zyzio Gnacki,

z pogardą wyrażający się o całym rodzie niewieścim, zaś jedynie Adelę stawiający na piedestale.

Edmund Niziurski w krawacie

Defonsiacy za uwolnienie Matyldy przedstawiają twarde żądania i dobrze widać, co było wówczas obiektem westchnień młodzieży zajmującej się redagowaniem gazetki ściennej: pudełko papieru fotograficznego do odbitek formatu A5, pięć arkuszy brystolu kreślarskiego, klasery filatelistyczne Gnackiego. Pomijam tu żądania przeprosin, zadośćuczynienia moralnego i podpisanie układu o wyrzeczeniu się przemocy. Papier fotograficzny, brystol kreślarski jako towary jeśli nie

deficytowe, to z pewnością dostępne nie od ręki oraz nietanie, były okupem do zapłacenia, bo tego potrzebowano do robienia gazetki ściennej. W czasach internetu trudno sobie nawet przypomnieć taki rodzaj komunikacji, a dzisiejszym nastolatkom zapewne niezwykle ciężko byłoby uwierzyć w coś takiego jak „gazetka ścienna", z tekstami kaligrafowanymi (!) nawet, a nie drukowanymi i odbijanymi na ksero. Żądza wejścia w posiadanie klaserów ze znaczkami pocztowymi dobrze też ilustruje to, co dla urodzonych na początku lat sześćdziesiątych było fascynacją. Filatelistyka to szlachetny rodzaj młodzieńczej pasji, elitarny i świadczący też o pewnej dojrzałości bohaterów, a raczej ich aspiracjach kulturowych. Nikt tu nie domaga się w ramach okupu na przykład „żelaźniaków", czyli małych modeli samochodów na resorach, ani kompletu komiksów z kapitanem Żbikiem. Elita odrzywolska najwyraźniej gardzi takimi rozrywkami, skupiając się na zbieraniu rzadkich serii znaczków.

— Powiedz mi te rymy do „zbrzydła”.

— Powidła, stawidła, mydła, kropidła,

straszydła, bydła, szydła, sidła,

mazidła, prawidła, mamidła,

kadzidła, liczydła.

— Nie, to musi być coś lekkiego, porywającego.

— Skrzydła!

Finał ostatniej części „trylogii odrzywolskiej” ma najbardziej gorzkie zakończenie ze wszystkich powieści Niziurskiego – jest historią o rozczarowaniu, które zawsze stoi u progu dorosłości. Rozczarowanie, pozbycie się złudzeń jest fundamentem udanego dorastania – Tomek Okist dojrzewa. Okazuje się, że Adela jedynie grała na rozbicie paczki Gnata i Okista, bo była zainteresowana Gnatem. To Zyzio ją pociągał, a Okist miał spełnić rolę detonatora, spowodować destrukcję rejtaniackiej solidarności i zawłaszczenie Zyzia przez Adelę, która pragnęła tego dokonać także na złość Cypkowi. To Adela, niczym w filmie sensacyjnym, okazuje się prawdziwą przywódczynią Defonsiarni, a nominalny szef Cypek jedynie figurantem, narzędziem w ręku bezwzględnej dziewczyny. Okist musi się nawet pogodzić z tym, że także Matylda Opat jest zainteresowana tylko i wyłącznie, za to bardzo poważnie Zyziem, a „Tomcia” traktuje jako miłego, pożytecznego kolegę, który ułatwi jej dojście do obiektu marzeń. To niehonorowy, cyniczny kombinator Gnacki, arogancki impertynent przekonany o swoim geniuszu, małoletni mizogin, pomiatający rówieśniczkami, jest obiektem pragnień dorastających dziewcząt. Czy ty, czytelniku, przynajmniej części swej młodości nie straciłeś na ponure rozważania, czemu najpiękniejsza i najmądrzejsza dziewczyna w klasie, którą wielbisz jak święty obraz, interesuje się wyłącznie największym łobuzem w klasie? Czy ty, czytelniczko, nie zmitrężyłaś niezliczonych godzin na próbę zrozumienia, czemu wszyscy chłopcy tracą rozum dla wypindrzonej gęsi z twojej klasy, mimo iż nie dorasta ci ona do kolan, jeśli chodzi o kulturę, wiedzę, stopnie w szkole, a poza tym tak naprawdę wcale nie jest ładna i ubiera się bez gustu, za to krzykliwie?

Jakby tego było mało, okazuje się, że wśród Rejtaniaków rzeczywiście działał zdrajca i szpieg defonsiacki, którym okazał się Kwękacz, od dawna donoszący śmiertelnym wrogom o wszystkim, co się dzieje w szkole imienia Rejtana. Kończy się też przyjaźń Okista z Gnatem. Siedem wspólnych lat było dobrych w czasach szczeniackich zabaw, teraz okazuje się, że dwaj przyjaciele charakterologicznie różnią się od siebie tak bardzo, że przyjaźni nie da się utrzymać. Tomek Okist za jednym razem traci najbliższego przyjaciela Zyzia, starego kumpla Kwękacza, prawdziwą miłość Matyldę i obiekt fascynacji, czyli boską Adelę, choć po prawdzie żadnej nigdy nie miał, a jedynie przez chwilę się łudził. Zostaje zupełnie sam w przeddzień rozpoczęcia wakacji. Ten finał jest gorzki, ale jednocześnie niezwykle budujący, bo wyklucie się ze skorupy chłopięctwa i początek procesu opierzania się w męskość są bolesne, ale przecież nieuchronne i stanowią moment prawdziwego narodzenia. O tym właśnie traktuje przezabawna powieść *Adelo, zrozum mnie!*, i niewątpliwie jedna z najsmutniejszych nie tylko w dorobku Niziurskiego, ale w całej literaturze młodzieżowej tamtych czasów.

STRASZNE KRZYWDY NA AWANTURACH…

Po latach druga część trylogii, czyli *Awantury kosmiczne*, doczekała się wznowienia pod nowym tytułem *Klejnoty śmierci, czyli tajemnica awaramisów*. Niziurski miał bardzo przykrą skłonność do wznawiania swoich, szczególnie późniejszych, książek pod zmienionymi tytułami i o ile w książkach wcześniejszych czasami ograniczało się to do obcięcia i skrócenia tytułu, jak w przypadku *Klubu włóczykijów*, gdzie zrezygnowano w kolejnych wydaniach z podtytułu *trzynaście*

przygód stryja Dionizego i jego ekipy, to tutaj cały tytuł został przerobiony, stając się niebezpiecznym precedensem. W późnych książkach Niziurskiego było to niemal nagminne. O ile nie wyobrażamy sobie, by można było wznowić *Niewiarygodne przygody Marka Piegusa* czy *Sposób na Alcybiadesa* pod zupełnie innym tytułem, to książki, które nie stały się spiżowymi klasykami, przyjmowały nową skórę bez wstydu i z *Nieziemskich przypadków Bubla i spółki* zrobił się *Tajemniczy nieznajomy z zoo*, a z *Gwiazdy Barnarda – Tajemnica Dzikiego Uroczyska*. Najwidoczniej uznano, że słowo „tajemnica" w tytule każdej książki podniesie jej atrakcyjność i potencjał rynkowy, a ci, którzy już przypadkiem mają w swoich zbiorach książkę o Bublu albo o gwieździe Barnarda, najzwyczajniej nabiorą się i kupią ten sam towar jeszcze raz.

Na tym tle *Klejnoty śmierci, czyli tajemnica awaramisów* to prawdziwe kuriozum, bo powieść została skrócona z grubsza o jedną czwartą i z dwudziestu ośmiu rozdziałów zostało zgrabne dwadzieścia dwa – wykasowano rozdziały „Podwójne życie Bambosza", „Sąd w pokoju stołowym", „Czy warto być dobrym dla dziewczyn?", „Kłopoty Oberona", „Tajemniczy kopacze i przygoda Pelmana", „Niezwykłe rewelacje Chrząszcza", „Bambosz znika z pola widzenia", za to dodano jeden rozdział pt. „Brunhilda, agent specjalny", w którym Brunhilda Przypora jako agentka Okista zdaje sprawozdanie ze swej działalności Gnatowi i reszcie paczki. Stary czytelnik Niziurskiego, pochłaniający *Awantury kosmiczne* z fascynacją i podziwem dla ich autora, poczuje przy lekturze tego rozdziału prawdziwy wstrząs: tekst jest dramatycznie słabszy od tego, jakim posługiwał się, pisząc *Awantury kosmiczne*. Niziurski jest wręcz prostacki, pozbawiony jakiejkolwiek finezji i prawdziwego dowcipu. Jakby to nie sam Niziurski go napisał, a jeśli już Niziurski, to w pośpiechu i na odczepnego, usiłując na

siłę uwspółcześnić język i realia, tak by nastoletni czytelnik, dla którego rzeczywistość peerelowska odleglejsza była niźli świat *Gwiezdnych wojen*, odnalazł się w książce. Nie tylko pojawiają się tu takie słowa jak „policja", ale nawet wprowadzony jest element „polskiego snu" o bogactwie, tak powszechnego przecież w latach dziewięćdziesiątych. W *Awanturach kosmicznych* była mowa o zaginionym w Kanadzie synu Macocha, który wybrał życie trampa włóczącego się po ogromnym kraju w poszukiwaniu przygód i dorywczego zajęcia, a który zaginął bez śladu. Bambosz prowadzi regularną korespondencję z kanadyjskim Czerwonym Krzyżem, ale ten nie jest w stanie zlokalizować Macocha juniora. W *Klejnotach śmierci* zaś mówi się już o „bogatym synu w Kanadzie". Jest też drugi syn – w *Awanturach…* dowiadujemy się, że Macoch też nie ma z nim kontaktu, bo ten przesiadywał z kolei w więzieniach bądź prowadził życie bandyty, lecz wiemy to z opowieści. Tutaj drugi syn Bambosza nazwany Fredkiem ujawnia się nam jako leżący w łóżku obandażowany przestępca. To jednak drobiazgi – kluczowa zmiana to wykastrowanie *Awantur kosmicznych* z kontekstów Peerelu. Niziurski nierzadko dawał znaki, że zna rzeczywistość niedoborów sklepowych, problemów ze zdobyciem mięsa, nieustannie smagał rózgą aluzji komunistyczne absurdy urzędnicze. Niestety *Klejnoty śmierci* zostały spreparowane pod czytelnika już Polski demokratycznej i kapitalistycznej, absurd skracania powieści doszedł do tego, że nawet wycinano pojedyncze wzmianki o milicji. W rozdziale „Szalony wieczór w szkole" Oberon prowadzi do szturmu zwerbowanych na wywiadówce rodziców-oficerów: trzech wojskowych i dwóch milicjantów. W *Klejnotach śmierci* zostało już tylko trzech wojskowych, milicjanci ulotnili się.

Szczęśliwy był ten młodzieniec, który z natury swego wieku czytał *Awantury kosmiczne* w latach osiemdziesiątych, a nie było mu już dane z racji zbytniej dorosłości zetknąć się z *Klejnotami śmierci*, jednym z najbardziej żałosnych i smutnych gwałtów na literaturze.

Męka poety

Muzo poezji, unieś moje ciężkie ciało,
aby rozkoszy wzlotu nad poziom doznało!
Niech wlecę poszturchując oporne obłoki
w świat ułudy bezdennej długi i szeroki!
Podskoczyłem. Na próżno! Coś trzyma za nogę!
A w dodatku tak jakoś nieprzyjemnie skrzeczy.
To pospolitość ziemska. Więc wzlecieć nie mogę
i pytam, co mam robić w takim stanie rzeczy.
Uciąć nogę i wzlecieć. Kaleka bez nogi,
czy też zostać, przykuty do nędznej podłogi?
I wiję się schwytany w dylematu kleszcze.
I wiem, że do poezji stąd daleko jeszcze.

WIERSZE KTÓRE RWĄ NAM SERCE

Nie tylko Bałłaban, Kadryll i Kwass, czyli ukochana końcówka Niziurskiego „…łło”

Curyłło Peerelowski dziennikarz, dyspozycyjny, ale i dociekliwy, w ramach chałtur piszący uroczyste przemowy dla lokalnych oficjeli. Lubi wypić, wie, co w trawie piszczy.

Cypałło Jerzy Czyli Gruby Cypek, wybitna figura Defonsiarni, postać wagi ciężkiej, albowiem w wieku czternastu lat waży dokładnie 92 kilo i 35 deko. Redaktor gazetki szkolnej, a także intelektualista i poeta. Mściwy, bezwzględny, przebiegły, nienawidzi Rejtaniaków. W wolnych od bycia geniuszem chwilach zajmuje się adorowaniem Adeli Wigor.

Iwaniłło Cyryl Milicjant z kryminałów Niziurskiego. Typ przedwojenny, pozornie ciamajdowaty, nad wyraz irytujący. Używa zdrobnień, a do przestępców zwraca się pieszczotliwie. Niebezpieczny.

Kiryłło Nauczyciel gry na instrumentach dętych w Młodzieżowym Domu Kultury, dokąd wybiera się Cymeon Maksymalny, by grać na puzonie i podrywać Nelkę Szyperską.

Kiwajłło Dionizy Archiwariusz ruszający na poszukiwania kufra z czasów powstania styczniowego w powieści *Klub włóczykijów*. Wielki, silny, łysy i maniakalny, jak zresztą cała liczna rodzina Kiwajłłów, składająca się wyłącznie z maniaków.

Kurzyłło Remigiusz Pseudonim, pod którym w *Niewiarygodnych przygodach Marka Piegusa* ukrywa się Wieńczysław Nieszczególny, na dodatek doklejając sobie długą sztuczną brodę.

Pucyłło Nauczyciel fizyki ze szkoły w Gnypowicach Wielkich. Magluje.

Walka z sanacją, podchody pod Alcybiadesa, szkielet straszący pijaków. Nieistniejący skwer Worcella. Opowiadania „bielańskie” i „niekłajskie”. Wszystko to bardzo wesołe, a przez to ogromnie smutne. Straszne męki pisarza, który chciałby pisać powieści, ale musi opowiadania, bo nie może się oprzeć terrorowi redaktorów.

Niziurski nigdy nie ukrywał, że pisze opowiadania bardziej z przyczyn merkantylnych, aby się po prostu utrzymać, a nie z głębokiej, wewnętrznej potrzeby. Jednocześnie dał nam cały zestaw znakomitych krótkich form prozatorskich, które często nie były wcale takie krótkie, bo opowiadanie *Jutro klasówka* jest w zasadzie stustronicową nowelą. Szczególnie wczesne opowiadania Niziurskiego ze zbiorów *Lizus* i *Nikodem, czyli tajemnica gabinetu*, z których większość weszła potem do zbioru *Opowiadania*, znanego także jako *Trzynasty występek* to znakomite teksty, imponujące wnikliwymi portretami psychologicznymi nastoletnich bohaterów. Podobnie jak tom *Jutro klasówka* w pierwszym wydaniu składający się z zaledwie trzech tekstów, w wydaniach kolejnych rozbudowany o następne nowele, prezentuje poziom mistrzowski. Nade wszystko różni krótsze formy prozatorskie od powieści, jak na rozpasany humor tego pisarza, zaskakująco poważna, by nie powiedzieć, że często ponura tonacja. Niziurski pisał opowiadania na zamówienia pism młodzieżowych bądź wydawnictw szykujących antologie, i być może z tej przyczyny, że była to dla niego praca zlecona, humor mu nie dopisywał, a może udręczony koniecznością wywiązania się z obowiązku, do którego nie miał pełnego przekonania, pokazywał tam swoją ciemniejszą stronę oblicza.

„Muszę wyznać ze skruchą, że w odróżnieniu od moich powieści, które pisałem z potrzeby wewnętrznej i za sprawą czystego natchnienia, geneza moich opowiadań jest przeraźliwie przyziemna. Rodziły się one mianowicie z kuszenia przez redaktorów, raczej jako owoc mojej słabości

niż mocy. To przez nich odkładałem moje benedyktyńskie prace nad powieścią i zasiadałem do pisania opowiadań, zawsze z nieczystym sumieniem, że kradnę czas przeznaczony na »właściwą« twórczość" – napisał we wstępie do zbioru *Opowiadania* ich autor. I należy mu wierzyć, a współczując harówki nad pracami zleconymi i rozterek związanych z odłożonymi powieściami, przyznać też trzeba, że chyba dobrze, iż czasami te teksty „pisał spiesznie, co nie znaczy, że łatwo".

Pierwszym zbiorem opowiadań dla młodzieży jest zestaw jak na tego autora nie dość, że nietypowy pod względem formy, poważnej i tak smutnej, że przywołuje skojarzenia z pozytywistycznymi nowelami o niedolach i nędzy dzieci, to i zaskakujący tematyką. *Dzwonnik od świętego Floriana* z 1955 roku to książka „dla starszych dzieci i młodzieży". Powstał w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych, w apogeum stalinizmu i socrealizmu, kiedy Niziurski nie wytworzył w sobie niepowtarzalnego poczucia humoru, ironii, a zarazem czułości dla świata nastolatków. Te siedem opowiadań pisanych jest raczej w manierze znanej z *Gorących dni* niźli z prozy młodzieżowej. Nie znaczy to, że mamy do czynienia z socrealistycznym produkcyjniakiem. Mimo iż sama tematyka musiała być miła komunistycznej władzy, to dotyczyła przecież prawdziwego dramatu polskich chłopów w czasach schyłkowej sanacji. Tłem dla *Dzwonnika…* jest bowiem strajk chłopski, który miał miejsce latem 1937 roku i którego wynikiem były starcia z policją i ponad czterdziestu zabitych oraz kilka tysięcy aresztowanych.

Akcja rozgrywa się oczywiście na Kielecczyźnie. W pierwszym opowiadaniu *Strajk, Adach i ja* jej miejsce jest z grubsza między Skarżyskiem a Wąchockiem. To tam policja wkracza do wsi, by pacyfikować strajkujących, ale spotyka się

z oporem, a tłum postanawia odbić zatrzymanych, wznosząc okrzyki: „Puścić aresztowanych! Pu-uścić! Hura na policję! Bić pachołków sanacji! Niech żyje rząd robotniczo-chłopski!”. Humor Niziurskiego jeszcze jest mało wyrafinowany, przynajmniej w warstwie językowej, jak w scenie zamknięcia w piwnicy grubego policjanta, który dobrał się tam do domowej produkcji napojów, zapewne bimbru. Dojrzały Niziurski zrobiłby z tego perłę, tutaj zwycięża umiarkowany humor sytuacji, a nie języka. *Strajk*, *Adach i ja* znalazło się nawet w masywnej antologii *Przez stulecia – opowiadania z historii Polski*, wydanej przez Naszą Księgarnię w ramach wzmacniana patriotyzmu u młodych czytelników. Znaleźli się tam obok autora *Dzwonnika od świętego Floriana* tacy autorzy literatury historycznej jak dziś już zapomniany Karol Bunsch czy wówczas mocno promowany Tadeusz Hołuj oraz oczywiście niezbędny w takim projekcie Janusz Przymanowski, a nawet sławetny ponurą sławą Mieczysław Moczar ze swoimi partyzanckimi wspominkami. Ale też wielcy klasycy: Sienkiewicz, Kraszewski, Jan Chryzostom Pasek, Wacław Gąsiorowski, Maria Dąbrowska, Marian Brandys, Jarosław Iwaszkiewicz.

Złodziej, kolejne opowiadanie z *Dzwonnika*… jest tekstem modelowo naturalistycznym, wywodzącym się w prostej linii z polskiej nowelistyki pozytywistycznej i w zasadzie mogliby je napisać Prus, Orzeszkowa, może Maria Konopnicka bądź Adolf Dygasiński. Na wsi panuje głód, chłopi strajkują, protestując przeciw zbyt małym stawkom za pracę „u dworskich”. Mały Wacek wysyłany jest przez ojca, aby podkradał ziemniaki, i pewnego dnia przyłapany zostaje, gdy kradnie na plebanii. Jednak proboszcz Bondus okazuje się dobrym człowiekiem, miast ukarać chłopca, karmi go chlebem ze smalcem i znajduje pracę dla jego ojca – będzie on kosił dworską łąkę. Jednak gdy

ojciec pracuje za nędzne pieniądze, aby uchronić rodzinę przed głodem, zostaje przegoniony jako łamistrajk przez innych chłopów, którzy nie pojmują, że rodzinie grozi śmierć głodowa. To przejmujące opowiadanie, mimo iż powstało w latach pięćdziesiątych, nosi piętno prozy z końca XIX wieku, pozbawione jest moralizatorstwa, postaci są nieoczywiste, ludzki i dobry okazuje się gruby proboszcz, zaś nieludzcy chłopi, owszem, walczący o prawo do godziwego zarobku, ale niebiorący pod uwagę nieszczęścia i nędzy gorszych niż ich własne.

W *Zeszycie Weronki* ta nuta naturalistyczna też brzmi głośno, a przy tym czysto. Weronka Migasiowa wychowuje się na Podkarpaciu w tak biednej rodzinie, że nie dość, iż chodzi w jednej sukience, którą dostała od nauczycielki, ale chodzi boso, bo nie ma na buty. Nawet nie stać jej na zeszyt do szkoły, bo kosztuje to dziesięć groszy, których rodzina Weronki nie może wydać; inne koleżanki mają lepiej, bo mogą sprzedać w sklepie trzy jajka i dostać za to zeszyt. Weronka zatem pożycza od koleżanek po dwie kartki i wszywa je w swój stary zeszyt. Nędza jest coraz większa, bo nigdzie między Rzeszowem a Dębicą nie ma roboty. Po kaszy do jedzenia pozostaje tylko wspomnienie, ziemniaki stają się luksusem, głównym pożywieniem są lebioda i szczaw zbierane na łące. Wtedy wiecznie zrzędzący i ciężko schorowany dziadek postanawia ruszyć na żebry. Wraca z wędrówki po czterech dniach, przynosząc kawałki chleba, nawet dwie bułki i złoty osiemdziesiąt dwa grosze w drobniakach, ale nade wszystko dwa nowiutkie zeszyty dla Weroniki – niestety dziadek swoją żebraczą wędrówkę opłaca śmiercią z wycieńczenia.

Edmund Niziurski znowu w krawacie

W *Sierpniowej przygodzie* chłopska rodzina jest tak zadłużona, że musi oddać wierzycielowi całe zboże, co grozi głodem rodzicom i aż siedmiorgu dzieciom. W chwili desperacji ojciec decyduje, że będą wyplatać koszyki z wikliny i po pięćdziesiąt groszy sprzedawać na bazarze w Kielcach. Daje tu Niziurski niemal schulzowski, pięknie zmitologizowany obraz kieleckiego placu zwanego Bazarami. W internetowym głosowaniu przeprowadzonym wśród kielczan w 2017 roku słowo „Bazary” zdobyło aż 94 procent głosów w wyborach na najbardziej kieleckie słowo – można było głosować na kilka słów. Następne miejsca zajęły m.in. „Sienkiewka”, „strugaczka”,

„zalewajka”. Tak wedle Niziurskiego kieleckie Bazary wyglądały w 1937 roku: „Kobiety w kolorowych zapaskach i białych chusteczkach, siedzące długimi rzędami na bruku, nieruchome, jakby wyciosane z drewna, trzymające przed sobą koszyki i tobołki, panie i paniusie próbujące masła długim, czerwonym paznokciem u małego palca, skrzywione i rozgrymaszone – to wszystko nie zajmowało mnie wcale. O cóż bowiem tam chodziło? O masło, o śmietanę, o jaja, o sery, o grzyby i jagody. Lekceważyłem takie prozaiczne sprawy. […] Dla mnie Bazary rozpoczynały się od tego miejsca, gdzie przechadzał się zapijaczony jegomość z wielką butlą pod pachą i pociągając czerwonym nosem, skrzeczał niemiłosiernie: – Piiijawy… Piiijawy!”.

Trudno w tych zdaniach pisanych przez niespełna trzydziestoletniego Niziurskiego znaleźć zapowiedź przyszłych prześmiesznych powieści młodzieżowych. Gdyby dziś tę mało znaną książkę wznowić, należałoby się spodziewać, że wielu spośród jego wielbicieli wychowanych na *Sposobie na Alcybiadesa* czy *Marku Piegusie* nie uwierzyłoby, że *Sierpniową przygodę* napisał ich ukochany autor.

Z powodu strajku chłopskiego handel się jednak nie odbywa, Bazary są zamknięte. Chłopi po wsiach polują na łamistrajków, niejakiemu Krościejowi furmankę wciągają na dach stodoły. Zbudowani tym przykładem narrator Zygmunt z przyjacielem Wiktorem postanawiają napadać na łamistrajków – w istocie napadają na sąsiadkę Franaszkową, która dźwiga przemycane do skupu bańki mleka. Wiktor i Zygmunt chcą jej zabrać bańki i wylać mleko, ale okazuje się, że to mleko sprzedane przez matkę Zygmunta, w ten sposób po kryjomu, powodowana troską o głodującą rodzinę, usiłującą zarobić parę groszy.

W *Sekwestratorach* dał Niziurski opowieść o nieludzkiej zajadłości sekwestratora egzekwującego zaległe podatki, wrednego urzędnika potrafiącego wykryć ukryte głęboko ziarno bądź świnię, a nawet konfiskującego pierzyny, nazywanego we wsi „Tatusiem". Kiedy „Tatuś" odchodzi na emeryturę, pojawia się wielki, tępy, wredny „Majster", niemający talentu „Tatusia", ale jeszcze bardziej zajadły, co wreszcie – gdy „Majster" przekracza wszelkie granice brutalności, zajadłości i głupoty – powoduje bunt wsi, nie tylko Krzyków Wielkich, gdzie rozgrywa się akcja, ale i okolicznych wiosek, które zaczynają stawiać zbrojny opór sekwestratorom.

Tytułowe opowiadanie zbioru zaś traktuje o chłopcu ze wsi Senna obok mieścinki Boża Męka pasącym krowy, który dodatkowo zatrudniony jest jako dzwonnik w kościele św. Floriana. Józek Bielak oczywiście jest dzieckiem biednym, obdartym, które musiało zrezygnować po piątej klasie ze szkoły; prześladowany przez bandę wiejskich łobuzów marzy o ucieczce do wielkiego miasta – na wschód do Lwowa, albo na zachód do Krakowa. To właśnie gwizd pociągu pospiesznego z Krakowa, mijającego w pędzie stacyjkę w Bożej Męce rozbudza w nim tęsknotę za wielkim światem. Po drodze jednak zostaje zgarnięty przez policję, jadącą pacyfikować okoliczne wsi. Udaje mu się uciec z policyjnej „budy" i uprzedzić mieszkańców, którzy zbierają się do obrony i odbicia aresztowanych, zaś do okolicznych wsi z ostrzeżeniem ruszają „Wiciowcy", a zatem członkowie Związku Młodzieży Wiejskiej RP „Wici", młodzieżówki Stronnictwa Ludowego. W całym tym zbiorze opowiadań przynależność partyjna chłopów jest zaledwie lekko zaznaczona, książka ma bowiem nade wszystko wydźwięk antysanacyjny, sam Niziurski nie wgłębiał się już w relacje między ruchami chłopskimi a komunistami, nie dawał żadnych szerszych informacji

o afiliacjach politycznych bohaterów, co najwyżej gdzieniegdzie mimochodem określał kogoś jako „komunistę” bądź „endeka”, co większości młodych czytelników mogło i tak umknąć. Nie malował też tła politycznego kraju, opowiadał po prostu o buntach chłopskich, chłopskiej nędzy oraz opresji państwa i nie można mu zarzucić propagandy, nawet należy uznać, że jak na czas powstania książki (połowa lat pięćdziesiątych) oraz rzeczywistego stanu demokracji w Polsce przedwrześniowej był w swym piętnowaniu sanacji nad wyraz powściągliwy.

— Jestem Cykucki

— Co? Kucki?

— Cykucki

— Aha... Trzy kucki. Ale czemu kolega sepleni?

Źródło: „Jutro klasówka”

Na nic jednak „wiciowcy” jako gońcy mający ostrzec okoliczne wsie, bo policja ich wyłapuje, wieś buduje barykadę, ale nie ma nadziei na odsiecz sąsiadów, bo nikt nie będzie wiedział, że policja już pacyfikuje Senną. Wtedy Józek w środku nocy wdrapuje się, ryzykując życie, po drzewie na dach kościoła, dostaje się do dzwonnicy i zaczyna opętańczo bić na trwogę: „Słuchajcie wy wszyscy, nazywaliście mnie dzwonnikiem. Tak, jestem dzwonnikiem. Patrzcie, słuchajcie – ja dzwonię. Słyszycie mnie, ludzie w Orzechowej, Łośnej, Głogu, Śnieżnej i Pstrągowie! Ja dzwonię! Na alarm biję. Przybywajcie! Spieszcie się. Na pomoc! Na pomoc! A wy, ludzie w Sennej, nie bójcie się. Nie wypuszczę z rąk sznura. Nie wypuszczę. Będę dzwonił do końca. Nie zabolą mnie ręce. Nie zabraknie tchu. Nie zmęczę się”. Na dźwięk dzwonu ruszają na pomoc sąsiednie wsie, Józek zostaje ściągnięty ze sznura przez policjanta, ale dzwonu nie da się już uciszyć; kiedy policjant wrzeszczy na kościelnego, by ten zatrzymał dzwon, starzec mówi: „Jego zatrzymać nie można. To jest wielki dzwon. Nikt go nie zatrzyma, kiedy się rozkołysze”.

Dalekie są te opowiadania od socrealistycznej jednoznaczności, naturalna sympatia z głodującymi i buntującymi się chłopami nierzadko przechodzi w złość na ich bezduszność i tępotę. Podobnie czytelnik wścieka się na urzędników państwowych, komorników, policjantów. Jeśli już są tu postaci czyste i naiwne w swej dobroci, to najczęściej dzieci, choć też przecież nie wszystkie. Bolesław Prus byłby prozą Niziurskiego chyba bardzo ukontentowany.

Marcin Niziurski: „Było parę książek ojca, które się nie ukazały, między innymi kryminał wiejski. Niestety, gdy po śmierci taty robiłem porządki w pokoju na górze, znalazłem tylko kilka pojedynczych stron maszynopisu z dopiskami. Ojciec

pisał ów kryminał jeszcze w czasach bierutowskich, czyli za panowania socrealizmu, i któryś z wysoko postawionych pisarzy partyjnych, specjalizujących się w tematyce wiejskiej, gdy przeczytał tę książkę czy jej fragmenty, powiedział, że to hańba, aby polski pisarz tak opisywał rzeczywistość polskiej wsi, i to nie może przejść. Ta książka została utrącona. A to był wspaniały kryminał, dotyczący przemian na wsi. Ojciec był zawsze zwolennikiem wielkich gospodarstw, a jedyną szansą wtedy na dobrze działające wielkie gospodarstwa były prawdziwe spółdzielnie, nie kołchozy czy PGR-y.

W *Dzwonniku od świętego Floriana* jest sama prawda. Myślę, że dobrze byłoby teraz wydać te opowiadania, bo gdy książka się ukazała, wiele osób uważało ją za dzieło propagandowe. Przecież ojciec czerpał inspirację z prasy przedwojennej, z artykułów o tym, jak sekwestratorzy niszczyli biedne rodziny. Byliśmy wówczas ubogim wieloetnicznym społeczeństwem, które nie dość, że wciąż wychodziło z klęski zaborów, z pożogi Wielkiej Wojny, to w dodatku padło ofiarą światowego kryzysu ekonomicznego i było gnębione przez wielu bezdusznych urzędników niepodległego państwa polskiego. Nie inaczej dzieje się zresztą dzisiaj.”

NIE TAKI WCALE LIZUS

O ile powieści młodzieżowe Niziurskiego, nawet zawierając potężny ładunek melancholii, zazwyczaj były przy tym niebywale śmieszne, to w opowiadaniach ukazywał pisarz swoją smutniejszą twarz. Szczególnie wczesne opowiadania niosły ze sobą realistyczne i mroczne przesłanie, pokazywały prawdziwe okrucieństwo dorastających chłopców, ich

bezrefleksyjną zajadłość, niemal koszarowo-więzienny kodeks postępowania.

Dzwonnik od świętego Floriana jest ewenementem w twórczości Niziurskiego. Później pisał on już opowiadania dziejące się „tu i teraz", w realiach Polski komunistycznej, głównie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, bo to na ten czas przypadła jego szczytowa forma nowelistyczna. Później opowiadania pisał mniej chętnie, wyjątkowo epizodycznie, skupiając się na przynoszących ogromną popularność powieściach.

Te opowiadania o szkolnej rzeczywistości peerelowskiej z grubsza podzielić można na okresy „bielański" i „niekłajski".

Tytułowe z tomu *Lizus*, wydanego w 1956 roku, to w pewnym sensie przymiarka do *Sposobu na Alcybiadesa,* ale z zaskakująco ponurym wydźwiękiem, na dodatek jeden z rzadkich przypadków, gdy Niziurski decyduje się na moralizatorski ton. Może także z tej przyczyny *Lizus* nie wszedł do późniejszych wyborów opowiadań (prócz jednej niszowej edycji). Czytelnicy wielbiący humor i chłopacką przygodowość tego autora mogliby nie odnaleźć się w historii, której bliżej było do prozy Domagalika czy filmów Nasfetera.

No, może słowo „moralizatorski" jest tu zbyt brutalne – chodzi raczej o historię z mocnym morałem. I to historię wiarygodną. Mamy warszawską szkołę, gdzie nauczają znani nam z *Alcybiadesa* pedagodzy, w tym wspomniany jednym zdaniem sam Alcybiades, ale jest wychowawca Żwaczek, jest matematyk Dziadzia Ejdziatowicz, oczywiście zwracający się do uczniów per „chłopassju", jest wreszcie czwórka uczniów tworzących grono „muszkieterów" *à rebours* – kombinatorów, klasowych cwaniaków, niedostatki naukowe próbujących przykryć „sposobami" i „metodami". Zadziwiające, ile energii wkładali uczniowie w omijanie edukacji, w tworzenie

systemów podpowiadania, metod migania się, choć ten sam czas wystarczyłby na nauczenie się podstaw matematyki bądź geografii. Tych czterech to: Kurta, Pędzelkiewicz, Babiński, Chrustowicz – postaci przewijające się przez inne teksty pisarza, bo każdy czytelnik od razu nadstawi ucha, słysząc nazwiska Pędzelkiewicza i Babińskiego. I jest tytułowy *Lizus*, czyli nowy uczeń w klasie, osobny, niepasujący, pojawiający się w drugiej połowie roku szkolnego, a nie na początku, gdy zazwyczaj przychodzą „nowi". Nazywa się Rudolf Cejna, jest rudy, zwalisty, pachnie od niego wędzarnią (!), jako że wychowywał się nad morzem i zajmował wędzeniem ryb. Co więcej, okazuje się świetnym uczniem, pojętnym, sumiennym, lecz jednocześnie niewchodzącym w grupowe zobowiązania i solidaryzmy, czyli nie podpowiada na lekcjach i nie daje ściągać. Co z kolei ściąga na niego zemstę klasy i dręczenie. Wreszcie, gdy wspominana czwórka, by uniknąć klasówki, prokuruje fałszywy telegram do Dziadzi Ejdziatowicza, by ten jechał do Terespola odwiedzić ciężko chorą matkę, Cejna po zdemaskowaniu intrygi bierze winę na siebie, wykazując się zadziwiającym poświęceniem mimo podłego zachowania reszty klasy wobec niego. Zostaje wydalony ze szkoły i wraca tam, skąd przybył, czyli… do poprawczaka. Informacja o tym staje się wstrząsem dla klasy, która pojmuje swe niegodne zachowanie i prawdziwi sprawcy przyznają się do winy, postulując powrót Cejny z poprawczaka do szkoły.

SZKOLNA „FALA"

„W czasie pisania *Sprawy Klarneta* mieszkałem na Bielanach – wyjaśniał we wstępie do wyboru opowiadań Niziurski. – Mieszkałem tam z górą sześć lat, od roku 1953 do

1959. Ta odległa dzielnica Warszawy otoczona była wówczas z jednej strony pustymi wydmami piaszczystymi, sięgającymi niemal cmentarzy na Powązkach, a z drugiej strony sławnym Laskiem Bielańskim, dochodzącym do wysokiego brzegu Wisły. Oczywiście do wielu moich utworów z tamtego okresu przenikały realia z Bielan i pobliskiego Żoliborza, realia nie tylko topograficzne. Wtedy bowiem moje starsze dzieci zaczęły chodzić do szkoły i moje związki ze środowiskiem szkolnym na nowo się wzmocniły i zaktualizowały przy okazji".

W internacie szkoły w prowincjonalnym, zapyziałym, ale posiadającym XV-wieczną kolegiatę Maćkowie pojawia się nowy uczeń – Eugeniusz Klarnet. Czas umiejscowienia historii jest precyzyjnie podany, narrator do tej szkoły chodził w latach 1949–1953. Sala zamieszkiwana przez bohaterów historii przoduje w nauce i zachowaniu dzięki dyscyplinie i koszarowym zasadom, gdzie trzymająca władzę grupka starszych uczniów wysługuje się młodszymi. Robi to, zapędzając ich do porządkowania sali i fundując klasyczne inicjacyjne zabiegi w rodzaju „roweru", czyli wsuwania śpiącemu między palce stóp papieru i podpalania go, co skutkuje tym, że ofiara najpierw jeszcze przez sen, a potem obudzona i przerażona wywija nogami na podobieństwo cyklisty. Mówiąc wprost, w internacie panuje klasyczna „fala", przemoc szkolna, niemal ostentacyjne palenie papierosów, ale trzymanie się wojskowo-więziennych zasad skutkuje tym, że wszystko działa i opiekun internatu ani nauczyciele nie mają się do czego przyczepić. Dopiero pojawienie się Klarneta wszystko zmienia, bo ten, mimo iż nowy, jest otrzaskany z chuligańskimi zasadami. „Rower" nie robi na nim wrażenia, a sam na początku funduje młodszym uczniom „cygaro", czyli wsadzanie zwitków papieru do ust śpiących i podpalanie ich. Klarnet wprowadza terror w internacie, kreuje się na bywalca

świata, szpanuje znajomością z tak słynnymi sportowcami tamtych czasów jak kolarz Stanisław Królak czy bokser Zygmunt Chychła – wówczas idolami socjalistycznej Polski. Terror Klarneta jednak przekracza granice i dręczeni uczniowie urządzają mu „kocówę". Po tym upokorzeniu Klarnet gaśnie, traci fason, uspokaja się, lecz dokonuje zuchwałej kradzieży bezcennej kiełbasy i bierze udział w pijaństwie grupy miasteczkowych chuliganów. Uczniowie domagają się relegacji Klarneta i wysłania go do poprawczaka. Okazuje się, że Klarnet jest sierotą wojenną, rodzice zostali rozstrzelani przez Niemców w czasie masakry w Bydgoszczy we wrześniu 1939, my zaś pojmujemy, że to chłopiec doświadczony straszną traumą, niepewny siebie, wewnętrznie przerażony. W tym okresie bohaterowie Niziurskiego nie byli niewinnymi zgrywusami, ale prawdziwymi chuliganami palącymi papierosy i do prześladowań młodszych uczniów używającymi brutalnych metod, bo byli dziećmi niedawno zakończonej wojny.

Wstępna wersja „Naprzód, Wspaniali!". Ostateczna wersja ma bardzo niewiele wspólnego z tą wstępną

x~~Czytaliśmy~~

Na naszej gazecie miał ~~bezczelność~~ xxx przykleić ~~coś~~ takiego. Od azu zebrał się tłum gapiów. [illegible] chocząc głupio ~~q~~ nikt nie sta ął w [illegible] nie Patrzyli [illegible] my [illegible] ojma na h nowze p[illegible]my, że zjeżdżamy w dół po równi pochyłej. ~~Nasza~~ wkrótce nasza z takim trudnem zdobyta stanęła pod dużym znakiem zapytania i pozycja wspaniałych nie będzie warta funta kłaków

~~Teraz~~ Pustka się w okół nas zrobiła i tylko po kątach bractwo zbierało sią po kątacj i szeptało a gdy zbliżaliśmy się milkli natyctmiast. Wiedzieliśmy, że to o nas mówią i nic przyjemnego

To też zdziwiliśmy się bardzo, gdy w poniedziałek ostat poniedziałek września wpadł do ~~nas gdy~~ Kleksik niespodziewanie zastrzelił nas niespodziewaną nowiną.

-Wiedzielimy właśnie struci w azylu i w podłym nastroj

~~xxzaraxxixomawiali~~ radziliśmy jak wyjść z dołka, kiedy utrzasn na prpgu stanął zadyszany i wysapał pociągając nosem nas

- Nie jest tak źle, panowie... jeszcze są tacy co aż
- Będzie nas więcej. taki jeden chce przystąpić do nas.
- Kto? co chcą ~~zaraz~~ być z nami w naszej p cenią... i ażaż się palą, żeby razem do zabawy z nami
- Taki jeden nowy, z siódmej B. Nie znaciego.
- Bzdura... - splunął Gnat -
- To jakiś ~~głupi~~ żart w złym stylu
- ~~x~~ Wolne żarty! czy z konia spadłeś, synu
- Po..poważnie mówię. ~~Mamy~~ Jest kandydat do klubu.
- To jakiś wariat.
- ~~Kto?~~ Nie wygląda... To ~~zdaje~~
- Taki jeden z siódmej B. Nie znacie go. On jest nowy.
- Kto? - Nie znacie go. przyprowadziłem ~~x Dwaraz~~ łebka. Jeśli chciałbyś go zonaczyć, zyziu... On jest Jest za drzwiami.
- To może być ciekawe. Dwaj go. Z

Otworzył drzwi i wpuścił kandydata.

Szczeniak na To faktycznie

Tylko nieprzestrasz się. On ma nędzną powłoj cielesną

Grubas z 1954 roku należy do klasycznych opowiadań „bielańskich”. Trzej uczniowie – Majtkiewicz, Zdrożny i Cielęcki – tworzą „mafię”, jak ich nazywa nauczyciel Cedro. Cedro to typowo kieleckie nazwisko, jakie na dodatek nosił jeden z głównych bohaterów *Popiołów* Żeromskiego, co nie bez znaczenia – i jeśli chodzi o Kielce, i jeśli idzie o Żeromskiego, choć samo opowiadanie dzieje się na Bielanach. Jarosław Strzębski: „Lokalne w Kielcach są dwa nazwiska. Cedro i Mazur. Nie ma w Kielcach chyba nikogo, kto by jakiegoś Cedry nie znał”.

Owi szkolni mafiozi prześladują innych uczniów, robią niesmaczne dowcipy, gnębią harcerzy, szczególnie grubego i nieporadnego Kastora, syna znanego cyrkowca, ale chorego na cukrzycę fajtłapę. Kiedy Cedro demaskuje spiski Majtkiewicza, Zdrożnego i Cielęckiego, bezlitośnie obnaża ich zagrywki, ujawnia, że zna każdy ich krok oraz doskonale wie, że to oni stoją za takimi popisami jak zamknięcie woźnego w pakamerze, kradzież dzwonka (to czasy, gdy woźny za pomocą ręcznego dzwonka ogłasza początek i koniec lekcji) oraz podmienienie słodyczy na zgniłe buraki w worku Dziadka Mroza (to także czasy, gdy zamiast świętego Mikołaja mamy radzieckiego Dziadka Mroza). Chłopcy dochodzą do logicznego wniosku, że ktoś kabluje. Podejrzenie pada na „Balona” Kastora. Ten, mimo iż gorąco zaprzecza, zostaje zmuszony do trudnej próby: ma w czasie lekcji wyjść przez okno i stanąć na parapecie, na co nie odważyłby się nikt inny z Majtkiewiczem, Zdrożnym i Cielęckim na czele. Grubas się zgadza i oczywiście spada na ziemię, a do naszych bohaterów dociera wreszcie, jak podle się zachowali. Ostatnie zdania nie wyjaśniają, czy Kastor przeżył, ale jedynie, że nieprzytomny leży w szpitalu; bierzemy jednak pod uwagę, że umrze.

Szkielet jest wreszcie opowiadaniem zabawnym, a przy tym antyalkoholowym i wychowawczym, napisanym w roku 1955, w płodnym „okresie bielańskim" pisarza. „Antyalkoholowość" tekstów Niziurskiego zawsze była prześmiewcza i może dzięki temu *Szkielet* należy do najlepszych nowel pisarza. To tutaj pojawia się słynny warszawski skwer Worcella, jak głosi legenda, w czasach przedinternetowych szukany osobiście i pieszo, a nie za pomocą Google przez niektórych wielbicieli Niziurskiego. Wciąż nieodnaleziony z tej przyczyny, że w istocie nieistniejący i będący jedynie wytworem fantazji pisarza. W 1955 roku nie istniała także ulica Worcella, dziś na wolskich Odolanach. Natomiast tramwaj linii 17, pojawiający się w okolicy skweru Worcella, wówczas kursował między Bielanami a placem Trzech Krzyży, zatem „Bar pod Gołąbkiem", gdzie upodlają się okoliczni pijacy, musiał być gdzieś w najbliższych okolicach ulicy Marymonckiej. Na rzeczonym skwerze grasuje kostucha strasząca wracających pod gazem z „Baru pod Gołąbkiem" obywateli. Milicja spodziewa się, że to może być efekt delirium, ale halucynacja powtarza się zadziwiająco często, a po kolejnym incydencie, gdy pijani grabarz i pracownik wodociągów zgłaszają się na komisariat, prosząc o aresztowanie i opiekę przed grasującą w krzakach śmiercią, sprawa staje się poważna. Milicjanci znajdują na skwerze szkielet obleczony w prześcieradło, jak wskazuje tabliczka wyniesiony z męskiej szkoły numer 113 im. Lindego. Co nam to przypomina? Oczywiście, to szkoła, gdzie rozgrywa się akcja *Sposobu na Alcybiadesa*, a i sam historyk Misiak tu się pojawia epizodycznie, podobnie jak woźna Więckowska. To niejako szkic do *Sposobu na Alcybiadesa*. Okazuje się, że stary, uszkodzony szkielet z magazynu ukradli dobrze nam już znani uczniowie Kurta i Pędzelkiewicz, osobnicy o wyjątkowo

zszarganej opinii i bogatej kartotece wybryków szkolnych i teraz grozi im relegowanie. Tyle że po raz pierwszy zrobili coś ze szlachetnych pobudek, jako że Pędzelkiewicz, będąc sierotą, mieszka u wuja Szostaka, taksówkarza alkoholika przepijającego wszystkie pieniądze i terroryzującego rodzinę: żonę i trójkę dziatwy, które nie mają nawet co do garnka włożyć. Pędzelkiewicz i Kurta postanawiają nastraszyć Szostaka, jako że pijak jest zabobonny. Zasadzają się na niego z kościotrupem trzymającym w ręku butelkę po wódce i straszą go, wołając: „Chodź, napij się". Jako że ich czyn był naganny, ale jednak skuteczny i wychowawczo słuszny, nie zostają wyrzuceni ze szkoły, gdyż grono pedagogiczne uznaje ich motywy za uzasadnione.

Niziurski, mieszkając na Bielanach w latach pięćdziesiątych, żywo interesował się perypetiami młodzieży z tej dzielnicy, co w połączeniu z obserwacją jego własnych dzieci wyzwoliło w nim prawdziwe pisarskie iskry. „Utrzymywałem kontakt z młodzieżą starszą z liceum bielańskiego [zapewne chodzi o XXII Liceum im. José Marti, założone w 1945 roku]. Akurat w tym czasie, a był to rok 1958, tygodnik harcerski „Na przełaj" zaproponował mi napisanie opowiadania. I tak powstał *Lalu Koncewicz, broda i miłość*, w którym wykorzystałem różne moje doświadczenia i obserwacje bielańskie" – wspominał pisarz.

Lalu Koncewicz, broda i miłość to opis udręki uczęszczania do szkoły koedukacyjnej, gdzie piękne dziewczęta są niedostępne, a wszystkie pozostałe są nieciekawe bądź głupie. Jeśli chodzi o opis stosunku chłopców do dziewcząt, to wyraźnie widoczny jest typowy mizoginizm bohaterów Niziurskiego, z drugiej zaś strony to opowiadanie należy do najbardziej zaangażowanych w jego twórczości, jeśli idzie o sferę uczuć chłopięco-dziewczęcych. Bazuje na silnym

stereotypie o dziewczynach wywyższających się, pogardzających rówieśnikami płci męskiej, a mięknących, gdy w szkole pojawia się prawdziwy „samczyk alfa”. Nowy uczeń Aleksander Koncewicz, nie dość, że jest wysoki i elegancki, to jeszcze szarmancki, obkuty ze wszystkich przedmiotów, wysportowany i znający dżu-dżitsu, a zatem nie można mu dać wycisku w ramach zemsty za jego powodzenie wśród płci pięknej. Dziewczęta za nim szaleją i tworzą mu gwardię osobistą. Pozycja innych chłopców staje się doprawdy żałosna, a Lalu wyniesiony na idola. Afera zaczyna się, gdy Lalu zapuszcza brodę, co wywołuje specjalne narady grona nauczycielskiego, jest też tematem pism „Dookoła świata”, „Sztandar Młodych” i „Na przełaj”! Pojawiają się dylematy, czy Lalu jest egzystencjalistą (zgroza!), czy też zwykłym prowokatorem. Finalnie okazuje się, że Lalu jako sierota mieszka w nędznej norze na Próżnej i nie ma już pieniędzy nawet na maszynkę do golenia, choć przed nauczycielami nie chce się przyznać, używając argumentów, że brody nosili nie tylko wielcy Grecy, ale i klasycy marksizmu-leninizmu. Ostateczna rozgrywka, czyli bijatyka Lalu z bandą uczniów podle naigrywających się z uczucia, jakie łączy go z piękną Elą Peremską, ujawnia, że Lalu specjalnie sprowadził się do tej szkoły, aby być blisko Eli, zaś stracone w bójce skrzypce spowodują, że nie będzie już mógł zarabiać i pogrąży się w nędzy. Ela i Lalu zostają rozdzieleni i przeniesieni do dwóch różnych szkół.

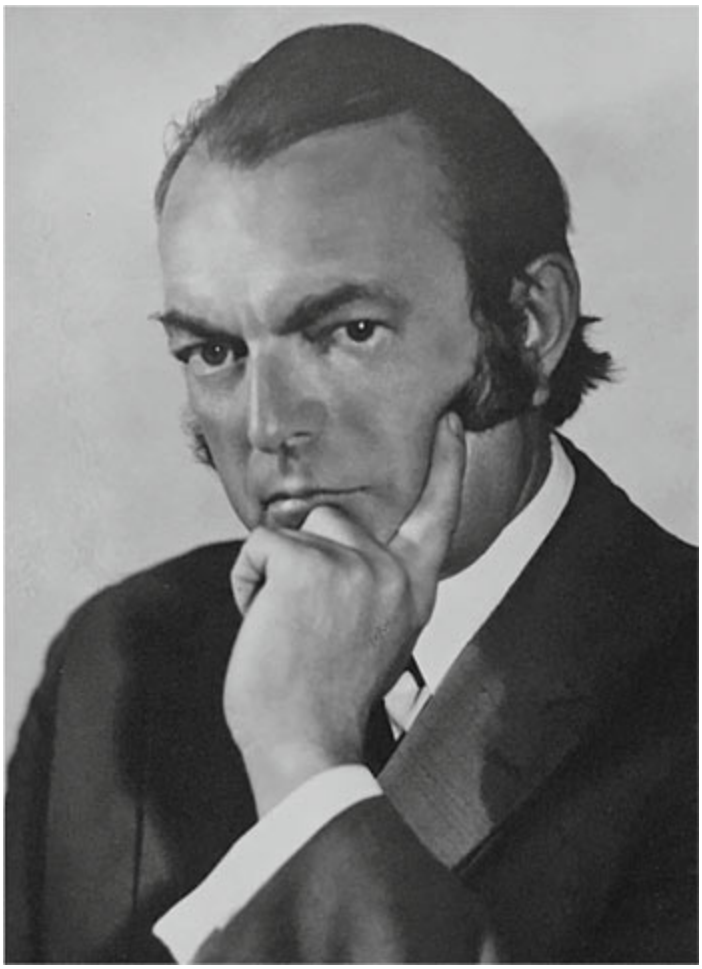

Edmund Niziurski lata 60-te

W powieściach, gdzie dominowała sfera przygodowo-humorystyczna, Niziurski nader rzadko pozwalał sobie na taką krytykę społeczności uczniowskiej, jego bohaterowie mimo swych wad zawsze budzili sympatię. Pozwalał sobie na to w opowiadaniach takich jak *Boisko*, znajdujące się w zbiorze *Lizus*, ale nigdy później niepublikowane, co zrozumiałe, bowiem należy ono do najbardziej zaangażowanych w „słuszność" polityczną tekstów Niziurskiego. *Boisko* siedzi głęboko w stylistyce *Księgi urwisów*, ale pozbawione jest wątku sensacyjnego, posiada jedynie pozytywistyczny wątek społeczny. Oto grupa wiejskich chłopców gra w piłkę na

„resztówce dworskiej”, która ostała się jako niczyja po parcelacji gruntów, ale ma być przekazana w użytkowanie chłopu Cichemu. Cichy wygania stamtąd brutalnie chłopców, ci zaś wysyłają do rady gminnej Stefka Pałasza, chłopca źle traktowanego przez kolegów, bitego przez starszych. Stefek ma dowiedzieć się, czy jest szansa nadal grać na boisku. Miejscowi chłopi są przeciw boisku i w ogóle przeciw grze w piłkę – siedzi w nich pamięć czasów przedwojennych, gdy dorabiali grosze, podając panom ze dworu piłki do tenisa. Uważają, że gra w piłkę to rodzaj łobuzerki, a dzieci mają pracować w polu, a nie zajmować się sportem, który kojarzy im się z „pańską” fanaberią. Stefek według chłopców nawala i nie załatwia sprawy u radnego Kozubala, w rezultacie zostaje przez nich poturbowany i uwięziony w ziemiance, ale jak się okazuje, na zebraniu rady gminnej Kozubal staje po stronie dzieci, odpiera ataki chłopów i doprowadza do tego, że powstanie legalna drużyna piłkarska, a rada ufunduje prawdziwą piłkę.

Rys. John Burraco / Noun Project

Ten obrazek niczego nie ilustruje
i nie ma **żadnego** związku z treścią
książki, którą czytacie. Został tu
umieszczony jako element tzw.
„tła epoki”

Opowiadanie *Równy chłopak i Rezus* powstałe jesienią 1959 roku; jak utrzymywał sam Niziurski, bardzo wiele ma wspólnego z jego osobistymi przeżyciami: „Postać profesora jest portretem prawie dokładnym jednego z moich własnych pedagogów. Ja też kiedyś odwiedziłem starego, chorego nauczyciela…”. Jeśli tak było w istocie, to trzeba uznać, że ósmoklasista Męczyk zwany Puzonem to alter ego Niziurskiego. Puzon musi wykazać w klasie, że jest równy, czyli swój. Gnębiony przez uczniów, zaczyna ćwiczyć boks, dżudo i udawać, że pali papierosy, ale to wciąż za mało. Musi zdobyć zadania na zbliżającą się klasówkę z matematyki, a tej matematyki oraz fizyki uczy stary, srogi nauczyciel Rezus, od czterdziestu lat będący postrachem kolejnych roczników uczniów. Sprawa zdaje się beznadziejna: Puzon ma włamać się do mieszkania Rezusa i przepisać z jego słynnego zeszytu zadania. Niestety, Rezus nie poszedł na tradycyjny czwartkowy koncert do filharmonii i Puzon nieoczekiwanie staje z nim twarzą w twarz w jego skromnym mieszkanku. Sytuacja mieszkaniowa ma tu znaczenie, bo Rezus żyje w jednym pokoju rozparcelowanego dużego mieszkania, jego rozliczni sąsiedzi zajmują pozostałe, zaś dawny przedpokój mieszkania jest korytarzem, z którego wchodzi się do osobnych mieszkań. Puzon zostaje doprowadzony do klitki Rezusa przez sąsiadów, przekonanych, że uczeń przyszedł odwiedzić starego nauczyciela. Puzon w trakcie rozmowy z Rezusem pojmuje, że ten nie jest ostry, a wręcz sympatyczny, przyjazny, ale samotny i schorowany. Mimo iż ma okazję, nie przepisuje z brulionu zadania na klasówkę, rezygnując z bycia „równym”.

Pośród opowiadań „bielańskich” i „niekłajskich” jest też miejsce dla osobnego katalogu, który można nazwać „opowiadaniami kolonijnymi”. Jak utrzymywał ich autor:

„Kolonie szkolne to zawsze kopalnia materiału dla pisarza. Przez pewien okres czasu muszą tu żyć ze sobą pod jednym dachem, jeść przy jednym stole i spać koło siebie typy często zupełnie sobie obce, wyrwane z różnych pieleszy i gniazd domowych, ciepłych i zimnych, a niekiedy po prostu bez gniazd i pieleszy. A czasu jest wystarczająco dużo, żeby i zżyć się, i poprztykać". Niziurski utrzymywał, że „opowiadania kolonijne" są efektem jego osobistych obserwacji, poczynionych na przykład na koloniach w Stegnie nad Zatoką Gdańską, i to owe stegieńskie refleksje wpłynęły na historie opisane w *Białej nodze i chłopaku z Targówka* oraz w *Trzynastym występku*.

Napisana na zamówienie tygodnika „Płomyk" *Biała noga i chłopak z Targówka* rozgrywa się w Makolągwi na Kaszubach. Do kolonistów dołączają nerwowy Eugeniusz Wąsik oraz tajemniczy Puchacki ze złamaną nogą, który odcina się od reszty chłopców, oświadczając, by mu nie przeszkadzać, bo przez cały czas będzie czytał książkę *Morderstwo na poddaszu*. Mieszkańcy Makolągwi nie lubią kolonistów, bo ci hałasują i przez ich wrzaski gniją kwiaty i warzywa. Jakby tego mało, dochodzi do serii kradzieży w sadach i pasiekach, o co podejrzewany jest między innymi Wąsik, jak się okazuje niesprawiedliwie, bo złoczyńcami są uciekinierzy z domu z Kościerzyny.

Głównym motywem są kwestie pochodzenia i konfliktów klasowych. Pierwszy konflikt: lokalni mieszkańcy kaszubskiej wsi kontra przybysze z dużego miasta. Drugi: dobre dzielnice versus złe dzielnice Warszawy. Wąsik nie dość, że jest sierotą, to pochodzi z Targówka, uznawanego przez resztę chłopców za wylęgarnię złodziei, stąd wszystkie podejrzenia co do kradzieży jabłek i miodu spadają na Wąsika. Ujmuje się za nim Puchacz ze złamaną nogą, mówiąc, że on też jest z Targówka i nie pozwoli obrażać swojej dzielnicy. Jako że prawdziwym złoczyńcą

okazuje się dziesięcioletni uciekinier z wakacji u ciotki, który boi się do niej wrócić (jest przekonany, że zbił strzałem z procy telewizor), koloniści proszą o pomoc Puchacza, oszukując go, że zbieg pochodzi z Targówka. Puchacz rozwiązuje problem, a gdy dowiaduje się, że chłopiec nie jest z Targówka, ale z łódzkich Bałut, wpada we wściekłość. Kiedy już się uspokaja, przyznaje, że sam nie jest z Targówka, tylko z Pyr, a zatem z dalekich warszawskich przedmieść, dziś przy ruchliwej Puławskiej prowadzącej do Piaseczna, wówczas dopiero co (w 1951 roku) wsi włączonej w granice Warszawy.

W *Trzynastym występku* młodzież z kolei spędza czas na koloniach w Ligęzie, gdzie linia podziału przebiega w zależności od tego, kto jest opiekunem grupy: czy tolerancyjny, sympatyczny pan Majeran, czy surowy Struć, dawny wychowawca z poprawczaka. Majeran stracił opiekę nad salą, której mieszkańcy wyczyniali karygodne brewerie i teraz zdyscyplinować ma ich Struć, zwolennik totalitarnych metod wychowywania młodzieży. Największym problemem są uczniowie Rzepka i Łebkowski, mający za sobą symboliczne dwanaście przewinień względem regulaminu kolonii. W rozmowach Strucia, Majerana i dyrektora Waligóry pada mało „socjalistyczny" argument, że uczniowie pochodzą z warszawskiej Woli, stąd ich krnąbrność i łobuzerstwo, to podobna sytuacja jak z Targówkiem w poprzednim opowiadaniu. Waligóra zgadza się na błagania Majerana, żeby Rzepka i Łebkowski mogli pójść na wycieczkę ze Struciem, choć powinni być ukarani za wybryki. Wybucha jednak w czasie wycieczki w lesie burza i obaj chłopcy znikają. Wygląda na to, że uciekli, a potem zginęli we wzbierającej od ulewy rzece. Majeran ponosi całkowitą klęskę pedagogiczną. Na koniec jednak okazuje się, że Rzepka i Łebkowski zauważyli, iż wał przeciwpowodziowy ma wyrwę, i rzucili się do wypełniania jej,

ratując w ten sposób mieszkańców przed zalaniem. I to był ich „trzynasty występek”: złamali po raz kolejny regulamin kolonii, ale uratowali dobytek, a może i życie ludzi.

Do całkiem sporego zestawu „opowiadań niekłajskich”, napisanych niemal hurtem w roku 1962, należą: *Alarm na poddaszu*, *Diabli Zjazd*, *Nikodem, czyli tajemnica gabinetu*, *Spisek słabych* i *Siódme żebro*. Bodaj nie było w całym życiu Niziurskiego bardziej urodzajnego w opowiadania roku niż ów 1962, a teksty te powstały jakby z rozpędu, równocześnie z pisaniem *Awantury w Niekłaju* i są z tą powieścią komplementarne, a w każdym razie stanowią ciekawy do niej dodatek. Do historii niekłajskich należy też najdłuższe opowiadanie napisane przez Niziurskiego, mianowicie *Jutro klasówka*, ale o niej chwilę później.

Diabli zjazd to nie tylko „opowiadanie niekłajskie”, ale też kolarskie: w maju co roku odbywa się wyścig kolarski o nagrodę Komitetu Rodzicielskiego. Najtrudniejszym odcinkiem trasy jest tytułowy „Diabli zjazd”, prowadzący stromo i kręto z zarośniętych hałd pofabrycznych do doliny rzeczki i jej rozlewisk. Faworytem jest „Beksa” Beksiński z piątej B, a więc Beklasista. Wpada pierwszy na tytułowy zjazd, ale droga jest zatarasowana przez dziadka Borzyma, tamtejsze dziwadło, który akurat postanowił się przejść trasą kolarską. Beksa stara się wyminąć Borzyma i ma kraksę, rower idzie w rozsypkę i mija go Bączek z klasy A – Aklasiści wiwatują, widząc na mecie, jak zbliża się Bączek, ale zza jego pleców wyskakuje, pedałując zawzięcie „Beksa”. Jarek Strzębski (czyli literacko przetworzony siostrzeniec Niziurskiego) z piątej A dał mu swój rower, zachowując się fair: kraksa „Beksy” nie była z jego winy, ale dziadka Borzyma. „Beksa” wygrywa, ale nie przyjmuje nagrody, ujawniając, że owszem, przyjechał pierwszy, ale zwycięstwo należy się piątej A, jako że od nich

dostał rower. Na koniec nagroda, zestaw do gry w siatkówkę, zostaje podzielona między klasę A i B. Zwyciężają fair play i współpraca – od tej pory niechętne sobie klasy będą wspólnie grały w siatkówkę.

W opowiadaniu *Nikodem, czyli tajemnica gabinetu* znów mamy Niekłaj. Z gabinetu przyrodniczego nagminnie giną żaby. Nie ma żadnych śladów włamania, poza tym ktoś kradnie tylko żaby, inne wartościowe eksponaty zostawia. Jednocześnie po szkole krąży legenda o grasującym duchu Nikodema, niedawno zmarłego woźnego, on ma być odpowiedzialny za dziwne zdarzenia oraz budzące grozę odgłosy. Po kilku nieudanych zasadzkach na złodziei i śledztwie prowadzonym przez Emeryka Rekszę, okazuje się, że to uczniowie Krapulski i Bączek kradną żaby, aby dokarmiać rannego bociana, ukrywanego przez nich przed całą szkołą.

Spisek słabych i *Siódme żebro* to znów odkrywanie wątków niekłajskich i dyskontowanie sukcesu *Awantury w Niekłaju* za pomocą scenek rodzajowych raczej niż fabuły, tyle że wykorzystujących tych samych bohaterów – opowiadania te są dodatkowymi atrakcjami do świata Niekłaja, tak jak do gry karcianej kupuje się dodatki, jak do budowanej wielkiej makiety zbiera się kolejne elementy, a Niekłaj jest, obok Gnypowic czy Odrzywołów, trzecią z wielkich stolic pisarskiej wyobraźni Niziurskiego.

U ZNACHORA KAROLUSA

Jutro klasówka to klasyczny zbiór opowiadań, pierwotnie wydany w roku 1966 jako zestaw ledwo trzech, ale za to długich (tytułowe ma sto stron) opowieści. W następnych wydaniach tych opowiadań było pięć, bo do tytułowego oraz *Afery*

w Złotym Plastrze i *Wyspy Strachowica* doszły *Wielka heca* i *Fałszywy trop*, wcześniej, w 1962 roku, wydane osobno jako dwa pięknie ilustrowane przez Bohdana Wróblewskiego zeszyty formatu B5 w kartonowej oprawie.

Akcja tytułowego opowiadania ma miejsce w styczniu i lutym w niekłajskiej szkole im. Stanisława Konarskiego, w trakcie zimowej olimpiady w Innsbrucku, a zatem w 1964 roku, cztery lata po akcji *Awantury w Niekłaju*. Olimpiada w Innsbrucku zasłynęła nie tylko z tego, że po raz pierwszy odbyły się zawody w saneczkarstwie oraz powróciły do dyscyplin olimpijskich bobsleje, ale nade wszystko z fatalnych warunków atmosferycznych i deficytu śniegu, który trzeba było zwozić z wyższych partii Alp. Bohaterowie *Jutro klasówka* grają podekscytowani olimpiadą w hokeja (polska reprezentacja hokejowa zajęła w Innsbrucku dziewiąte miejsce). Niestety zbliża się klasówka z matematyki u nauczyciela Sebastiana Kwasa, co oznacza z reguły pogrom, bo Kwas znajduje szczególne upodobanie w dręczeniu uczniów ułamkami.

Szóstoklasiści muszą poprosić o pomoc siódmoklasistów, zwracają się więc do Kłapucha, którego jednak trudno wśród ciżby uczniowskiej namierzyć. Jest jeden sposób: po głosie. „Jeśli wśród zwykłego zgiełku, wrzawy i brzęczenia korytarzowego usłyszy się coś pośredniego między śmiechem hieny, pianiem zachrypłego koguta a rżeniem ranionego muła, jest to z pewnością głos Kłapucha”. Na drugim, trzecim planie przewijają się zresztą bohaterowie *Awantury w Niekłaju*, będący wciąż w tym samym wieku, co w czasie trwania akcji powieści: Reksza, Zenon, Światek Dauer, bracia Odejmkowie, Susuł.

Edmund Niziurski pisze książkę

Edmund Niziurski podpisuje książkę

Oczywiście występuje tu cała galeria barwnych postaci o skomplikowanej psychice. Bulwieć, zwany Indorem ze względu na czerwoną twarz oraz skłonność do indyczenia się, a przy indyczeniu się z gardzieli Bulwiecia wydobywał się charakterystyczny bulgot. Uczeń Rosolnik, znakomity hokeista, po zakończeniu olimpiady oraz podwórkowych gier popadł w ciężką melancholię, która oczywiście skutkowała tym, że Rosolnik zaczął pisać wiersze. Fenomenalny Józio Rączka, niedostępny i wiecznie zamyślony uczeń, fenomenalny jest nie z powodu swych osiągnięć naukowych, ale dlatego że potrafi wywołać różne choroby zwalniające z lekcji, na przykład wysypkę do wyboru: żółtaczka, odra, tyfus, różyczka, płonica. Fachowo podchodzi do pracy, obłożony podręcznikami medycznymi, bo wysypkę trzeba dobrze zrobić, by zmylić podejrzliwą lekarkę szkolną Frędzlową. Wysypkę (na topie jest szkarlatyna) robi się za pomocą szczotki ryżowej maczanej w gęstej (żeby nie ściekała po twarzy) czerwonej farbie. Oczywiście wszystko się komplikuje, bo nasz bohater Strzębski dowiaduje się od ucznia Majty, że pomalowany w szkarlatynę Cykucki został odprowadzony przez swoją babcię i babcię Majty do znachora Karolusa na znaną nam niekłajską ulicę Zapłotkową. I tu następuje słuszny wykład Jędrka o szkodliwości popularnych wśród ludu znachorów. Jeśli Karolus zlikwiduje Cykusiowi fałszywą wysypkę, ludzie uwierzą, że znachor umie leczyć choroby zakaźne lepiej niż lekarze.

Jest też doliniarz Dariusz Jasnobrzeski, bardzo rozczarowany tym, że jego ofiary w Niekłaju nie dbają o higienę i w czasie wyciągania komuś z kieszeni portfela zranił się brudną żyletką, co nigdy nie zdarzyło mu się w czasie złodziejskiej pracy w Warszawie. Jasnobrzeski, będąc

w twórczości Niziurskiego postacią w przeciwieństwie do Nieszczególnego i Kadrylla epizodyczną, ma jednak zdolność pojawiania się ni z tego, ni z owego w różnych miejscach i różnym czasie. Jak się okazuje, grasował również w Odrzywołach, co zostało wspomniane w *Awanturach kosmicznych*.

Niziurski, opowiadania traktując bardziej doraźnie od powieści, chętnie zapożyczał bohaterów i miejsca akcji z wcześniejszych książek. Spełniały one też rolę czegoś na kształt poligonu przed zabraniem się do wielkiej ofensywy powieściowej. Opowieści Niziurskiego o nauczycielach i uczniach zawsze wyglądały jak pojedynek szulerów. Nauczyciele wiedzieli, że uczniowie blagują, a uczniowie widzieli, że nauczyciele wiedzą o ich blagach. Ich rozmowy to specyficzny pastisz rozmów szpiegów bądź agentów, którzy wiedzą o sobie nawzajem prawie wszystko, a jednocześnie udają kogoś zupełnie innego, mając świadomość, że przeciwnik i tak zna naszą tożsamość.

Oto osnowa fabularna *Afery w Złotym plastrze*: w położonej pod Niekłajem osadzie Zgórze uczniowie założyli spółdzielnię pszczelarską, co było konsekwencją wzmożenia spółdzielczego, jakie zapanowało w szkole na skutek idealizmu nauczyciela Łani. I tak powstały już uczniowskie spółdzielnie elektryczna i hydrauliczna, a dziewczynki założyły spółdzielnię handlową i prowadzą szkolny sklepik spożywczy. Oczywiście wszystkie te inicjatywy skutkowały prawdziwymi katastrofami – nic nie działało, prądu nie było na skutek działalności młodych elektryków, szkole groziło zalanie z powodu energicznych działań domorosłych hydraulików itd. Nic dziwnego, że część uczniów postanowiła założyć spółdzielnię pszczelarską nazwaną „Złotym plastrem”, ale tutaj poziom

katastrofy przerósł wszystkie inne, bo okazało się, że pszczoły dostają ataków furii i żądlą wszystkich jak popadnie.

Podobna jest tu nieco tematyka jak w *Księdze urwisów*, gdzie miejscowa ludność stawiała opór idei spółdzielni rolniczej. Tutaj mamy już rozpędzoną gomułkowszczyznę – przynależność do spółdzielni jest tak ważna, że nawet dyrektor szkoły nie może się jej przeciwstawić i jest zmuszony tolerować wybryki Łani, mimo iż to dezorganizuje działalność edukacyjną i prowadzi do chaosu w szkole. Na polu walki zostaje tylko spółdzielnia pszczelarska, lecz okazuje się, że składa się ona tylko z czteroosobowego zarządu i jednego członka. Śledztwo dowodzi, że to szefowie spółdzielni podbierali miód i stąd wściekłość pszczół. Czy to subtelna krytyka przerostu socjalistycznej biurokracji?

Bardzo nietypowym dla Niziurskiego opowiadaniem jest *Wyspa Strachowica*, bo jego pierwszoplanowymi bohaterkami są dziewczynki, nie chłopcy. Wakacje na Mazurach, siostry Dorota i Klara strasznie się nudzą w deszczowe lato, a ich wyobraźnię rozpalają opowieści o Wyspie Strachowica, od nazwiska pruskiego junkra, który uciekając przed Rosjanami, ukrył walizkę ze skarbem na tej niedostępnej, dzikiej wyspie. Wyruszają na nią wraz z despotyczną, zarozumiałą Grochulską i chłopczycą-siłaczką Chudzielcem, jako służba właściwie, upokarzane przez silniejsze dziewczynki. Jednocześnie Dorota i Klara żyją w przekonaniu, że muszą podporządkować się Grochulskiej, bo inaczej wyspa wpadnie w ręce strasznych Manioch. Maniochy to wielodzietna rodzina, najpewniej składająca się z ośmiorga chłopców i dziewcząt, skoro przypływają na wyspę czterema dwuosobowymi kajakami. Okazuje się, że Maniochy są nie tylko dobrze zorganizowane, ale też sympatyczne i uczynne, a „czarny pijar” był wyłącznie wymysłem Grochulskiej, która kończy pojona przez Maniochy

olejem rycynowym, jako że wyjadła wszystkie zapasy żywności i rozbolał ją brzuch.

Wbrew tytułowi opowiadanie *Wielka heca* ma ponurą wymowę, a jego zakończenie z kolei jest mocno melancholijne. Trwają kolonie w Lulkach nad jeziorem Pogodne, niestety nieudane ze względu na rozliczne obostrzenia i zakazy, które narzucają uczniom nie tylko wychowawcy, ale też milicja i zarządzający jeziorem weteran wojenny Cyryl, straszący kolonistów polami minowymi, niewypałami, wężami w jeziorze i opowiadający o zniknięciu dwóch chłopców z poprzedniego turnusu. Wszystkich uczniów w obroty bierze wychowawca-służbista Łopatka. Znudzeni dwaj chłopcy, zwani Kowbojami, uciekają z kolonii, ale wszystko wskazuje na to, że utonęli. Do tego jeden z uczniów widzi tajemnicze światła na wyspie. Okazuje się, że zarówno dwaj „topielcy pierwszego rzutu" – Rotpelc i Michalski, jak i dwaj „drugiego rzutu" – Mańka i Krahelski, znajdują się na wyspie, od kilku dni odcięci od świata (ponton im odpłynął w czasie burzy), są głodni i wyczerpani. Tymczasem następnego dnia mają do Lulek przybyć rodzice chłopców oraz wizytator. Udaje się ich uratować i uratować też honor wychowawcy Łopatki, ale kolonie w Lulkach zostają zlikwidowane i nikt już tam nie jeździ, a narrator wspomina tamtą „wielką hecę" po pięciu latach od wydarzeń.

— Kolega
ostatnio
cierpi
na przykre
zaburzenia
psychiczne.
Właśnie
dostał
urlop
zdrowotny,
bo podłączył
wodociągi
do kanalizacji
i na odwrót.

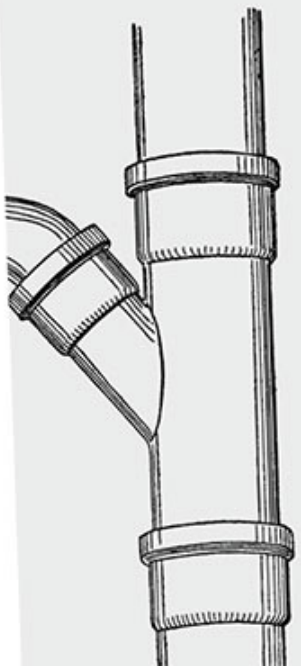

Źródło: „Klub włóczykijów”

Najciekawsze w tej opowieści jest zarysowanie warunków bytowych i sanitarnych kolonistów – wciąż zarówno w pamięci mieszkańców, w opowieściach Cyryla o zatopionych niemieckich kutrach oraz o polach minowych, jak i w wyobraźni chłopców, a także w topografii (poniemieckie umocnienia) wyraźnie obecna jest wojna. Nic dziwnego, minęło od niej ledwie nieco ponad piętnaście lat. Bardziej dające do myślenia są jednak opisy warunków, w jakich chłopcy spędzają wakacje: dawne pruskie koszary, dziś zrujnowane, w których części znajduje się PTTK, oraz „pałac generała”, gdzie zakwaterowano młodzież, też w dość podłych warunkach. Na stu dwudziestu chłopców jest tylko jedna (!) wanna, zatem pozostaje mycie się w jeziorze bądź walka o dostęp do tej jednej wanny.

Fałszywy trop z kolei jest opowiadaniem harcersko-szpiegowskim, pozbawionym humoru, za to naładowanym wstawkami wychowawczymi. Jęczyk i Babas na koloniach harcerskich gubią trop podczas gry w podchody i przypadkiem wpadają na ślad działalności szpiegowskiej dwóch osobników, nazwanych ze względu na wygląd Łysym i Czarnym. Ci jako szpiedzy i zdrajcy na usługach obcego wywiadu (rzecz dzieje się na zachodnim wybrzeżu Polski) wykradli i usiłują wywieźć za granicę model unikatowego silnika, skonstruowanego w zakładach w… Niekłaju. Chłopcy dzięki swej przemyślności i odwadze – pochwyceni i więzieni przez szpiegów uwalniają się, a nawet atakują przestępców zerwanymi ostami – naprowadzają na ślad złoczyńców dzielnych wopistów. Cała historia kojarzy się z cyklem opowiadań Niziurskiego o wopistach, zebranych w tomie *Śmierć Lawrence’a* (o nim w rozdziale poświęconym twórczości Niziurskiego dla

dorosłych), ale przypomina też propagandowe historyjki z *Kapitana Żbika* bądź kryminałów milicyjnych, gdzie szpiedzy imperialistyczni zawsze chcieli wykraść genialne polskie wynalazki techniczne, co miało dowodzić, że kraj socjalistyczny cywilizacyjnie przewyższa zacofany Zachód.

Dziś te wydane osobno (zanim trafiły do rozszerzonej edycji *Jutro klasówka*) opowiadania są prawdziwymi antykwarycznymi rarytasami, a ich forma graficzna, pełna znakomitych ilustracji, przerasta formę literacką. Zdarzało się często, że rysunki Bohdana Butenki czy Jerzego Flisaka doskonale dopełniały opowieści Niziurskiego, będąc wartością dodaną do historii Marka Piegusa czy Cymeona Maksymalnego, tworząc z nimi zgraną całość. Ale te dwa zeszyty opublikowane nakładem „Ruchu" mają to do siebie, że wartość edytorska, ilustracyjna przewyższa fabularną.

RARYTASY I NUDZIARSTWA

Do całkiem niemałej grupy mało znanych, nawet żarliwym wielbicielom tego pisarza opowiadań należy *Pożegnanie z Grynderem* – opublikowane w antologii wydanej przez Wydawnictwo Harcerskie w 1965 roku, obok tekstów między innymi Janusza Domagalika czy Hanny Ożogowskiej. Bohaterem jest Zenon Ciemięga, chłopak ze wsi bądź miasteczka Panwia leżącej obok miejscowości Kikuty Wielkie. Należy do harcerstwa, jest w zastępie Czajduszy, aktywisty planującego zagospodarować zarośnięty, bagnisty staw, gdzie miejscowe łobuziaki – do nich należy i Ciemięga, prowadzący podwójne życie trapera i harcerza – dokazują, strasząc spacerowiczów, zakochanych i wędkarzy. Projekt rewitalizacji stawu, zarybienia go i oddania w używanie ludności stoi

w sprzeczności z traperskimi zasadami życia, gdzie ludzi się przegania za pomocą sztucznego topielca, fałszywych tabliczek o jadowitych żmijach itp.

Ciemięga ma mnóstwo problemów ze swym podwójnym życiem, wymyśla zatem fikcyjnego krewnego Gryndera, iluzjonistę i hipnotyzera, który podporządkował sobie za pomocą magicznych sztuczek rodzinę Ciemięgów. W finale Ciemięga staje przed dylematem: czy być prawdziwym, uczciwym harcerzem, czy też nadal płatającym nieprzyjemne figle traperem. W ostatecznej rozgrywce – kiedy planuje tortury na innym chłopcu, Trombitonie zwanym Szpinakiem – zostaje pokonany i skrępowany przez dwóch kolegów traperów, którzy również okazali się ukrytymi harcerzami. Ciemięga będzie musiał zrezygnować z awanturniczego życia, wyrzec się nieistniejącego Gryndera i zostać uczciwym harcerzem.

Pisanie na zamówienie, szczególnie wydawców harcerskich, usztywniało Niziurskiego, pozbawiało go poczucia humoru oraz ekwilibrystyki słownej i brawury fabularnej. Doskonałymi przykładami pańszczyzny pisarskiej, jaką musiał odpracowywać, są dwa bardzo mało znane opowiadania: *Trzech pancernych i pół* oraz *Ta zdradziecka Julita Wynos*; oba wydane jako osobne zeszyciki w serii „Ważne sprawy dziewcząt i chłopców” prowadzonej przez kilka wydawnictw.

Trzech pancernych i pół ukazało się w 1970 roku nakładem Wydawnictwa Harcerskiego. Trzech chłopców – Zakus, Bysio i narrator opowiadania – ze szkoły imienia Juliusza Słowackiego nazwało się „pancernymi” na cześć znanego serialu. Ten czwarty jest tylko „półpancem”, a więc niepełnym „pancernym” – Tadeusz Pitulski alias Pitułka to biedny chłopak ze wsi, sierota żyjący dzięki stypendium szkolnemu oraz darmowym obiadom w stołówce. Wciąż jest sekowany przez „pancernego” Zakusa, samozwańczego wodza

i nadętego hipokrytę. Kiedy Zakus z pozostałymi „pancernymi” uruchamiają koparkę na budowie i przypadkiem niszczą deski oraz stos pustaków, a potem uciekają w panice, Pitułka wszystko sprząta, wymienia deski i układa pięćset pustaków, przez co nie dociera na obowiązkowy dla uczniów spektakl teatralny, *Balladynę* Słowackiego. Nauczycielka daje wiarę cwaniakowi o nazwisku Dryś, że Pitułka nie dotarł na *Balladynę*, bo pił wódkę. „Trzej pancerni” nie stają w obronie Pitułki, choć ten lojalnie nie ujawnił, jaka była prawdziwa przyczyna jego nieobecności w teatrze. Pitułka straci stypendium i darmowe obiady, a na pewno straci zaufanie do ludzi i zrozumie, że nie może na nikogo liczyć. Gorzkie opowiadanie, w którym na dodatek nie pojawiają się absolutnie żadne elementy humorystyczne, a sam styl jest zadziwiająco oszczędny i pozbawiony ornamentyki. Niziurski musiał zdawać sobie sprawę ze słabości tej pracy zleconej, bo nie włączył *Trzech pancernych* do żadnego ze zbiorów opowiadań. Prócz wydania zeszytowego ukazało się ono jeszcze tylko w antologii *Wiele dróg*, obok opowiadań między innymi Krystyny Siesickiej, Janusza Domagalika czy Janusza Nasfetera bardziej znanego jako reżyser filmów o młodzieży.

Ta zdradziecka Julita Wynos wydana została przez Młodzieżową Agencje Wydawniczą w 1978 roku w serii „Ważne sprawy…”, gdzie ukazało się kilkadziesiąt tomików. Opowiadanie Niziurskiego było sześćdziesiątą dziewiątą pozycją w serii, książeczka ukazała się w nakładzie osiemdziesięciu tysięcy egzemplarzy, co znaczy, że władza przykładała dużą wagę do tych moralizatorskich, wychowawczych historyjek. Tekst od wydawcy na ostatniej stronie okładki uderzał w poważne tony: „Świat jest dla mnie, myślisz. Należy do mnie, mogę w nim żyć, mogę z niego czerpać, ponieważ jest mój. To prawda. Świat jest dla Ciebie, ale

i Ty jesteś dla świata, a więc nie tylko bierzesz, musisz także dawać z siebie. Czy myślisz czasami o tym?”. Te słowa nie zwiastują dowcipnej, łobuzerskiej opowiastki. W istocie *Ta zdradziecka Julita Wynos* napisana jest bardzo poważnie, bez fajerwerków. Co ciekawe, występują tutaj bohaterowie niewydanej jeszcze powieści *Szkolny lud*, *Okulla i ja* (ukaże się za cztery lata), a na dodatek bardziej są harcerzami niż szkolnymi łobuziakami. Żaba, Wyrzek, Złośliwy Miecio, którzy będą dokazywać w powieści, tutaj to zaangażowani w harcerską działalność uczniowie, a dyrektor szkoły Okulczycka nie jest jeszcze groźną Okullą. Na proporcu zastępu harcerskiego lśni hasło „Patrz jasno w przyszłość”. Przyszłość jak przyszłość – jest koniec lat siedemdziesiątych i przyszłość całego kraju na pewno jasna nie jest, a wręcz wygląda czarno.

Punktem wyjścia jest alert harcerski i początek akcji „Z sercem do seniorów”, ale tym razem serce nie sługa i dochodzi do gorszącego starcia dwóch przyjaciółek, harcerek Ity i Uty, obu zakochanych w tym samym druhu Darku Boleniu. Sytuacja w prozie Niziurskiego nadzwyczajna, bo Ita, czyli Julita Wynos, policzkuje Utę. Problem postanawiają rozwiązać druh Żaba z druhną Beatą – naturalnie po to, aby była jedność harcerska. Ale tak w swych misternych grach się zaplątują, że finalnie Julita łączy się w parę z Boleniem, Uta przechodzi załamanie nerwowe i niemal ginie, spadając z okna, a cała szkoła dzieli się na wrogie sobie obozy zwolenników Ity bądź Uty. Morał płynie z tego taki, że nie należy na siłę godzić zwaśnionych ani też próbować interweniować w sprawach miłosnych.

Popiersie Nefretete

Ostatnim regularnym, choć niezupełnie premierowym zbiorem opowiadań Niziurskiego był wydany w 1998 roku *Sekret panny Kimberley*, mieszający teksty stare, redakcyjnie odświeżone, z premierowymi. Widać już tutaj wyraźnie schyłek formy, porównanie *Sekretu panny Kimberley* z *Trzynastym występkiem* alias *Opowiadaniami* wypada dla tej pierwszej książki nader blado.

Do nowych tekstów należał *Duch zamku i prawo Archimedesa*, tekst próbujący nadążyć za szybkimi zmianami kulturowymi i cywilizacyjnymi w Polsce po przełomie systemowym. Zenon Bum przypadkowo został detektywem, bo

na wakacjach w Ustce złapał pijanego złodzieja zwanego Kostiumologiem z racji tego, że kradł kostiumy kąpielowe. Zenon ma brata Emeryka zwanego Emuś albo Ęsio, który miał kiedyś wypadek drogowy i od tej pory na skutek urazu czaszki zajął się badaniami nad fizyką ciał stałych. Do tego stał się niebywale przemądrzały. Rodzina Bumów wybiera się do zamku w Melsztynie, gdzie wujek Markowski został kustoszem. W trakcie wizyty ukradzione zostają cenne patera i puchary. Bum musi znów wystąpić jako detektyw, szczególnie że kuzynka Sonia bardzo mu się podoba, ale z niejasnych powodów ciągnie ją do Emusia. No i zagadkę ukradzionych sreber rozwikłuje Emuś: skarby ukradł magister Leluch w zmowie z Januszkiem złotą rączką i schował je w beczce na deszczówkę. Emuś jednak informuje wszystkich, że to Zenon rozwikłał tajemnicę. Sonia jest zachwycona, ale Zenon przyznaje, że to młodszy brat jest geniuszem, a nie on.

W *Alarmie na poddaszu* bohaterami znów są bracia Bum, ale co ciekawe, mieszkają w… Niekłaju. Niedawno przeprowadzili się na nowe osiedle zwane… Dłubkowem. Największą wsią w okolicy są… Kikuty Wielkie. Opowiadanie publikowane już było w *Opowiadaniach* oraz ich wznowieniu *Trzynasty występek*, tutaj jednak zostało mocno przeredagowane. Wszak w pierwowzorze i w całym uniwersum niekłajskim z dawnych lat nie było żadnych braci Bum, ale za to był Emeryk Reksza, jedna z czołowych figur świata Piratów i Kolonistów. W starej wersji opowiadania to bracia o nazwisku Reksza są centralnymi postaciami tej historii strażackiej, bo opowiadającej o pożarach oraz ich gaszeniu. Podobnie z imionami: o ile w *Alarmie na poddaszu* wydanym w *Trzynastym występku* był pamiętny Zenon, przywódca Piratów – to w nowej wersji jest… Benon, przywódca Koczowników. Zarazem przecież w *Duchu zamku i prawie*

Archimedesa imię Zenon nosił brat Emeryka Buma… Jeśli ktoś szukałby w tym żonglowaniu i bezceremonialnym wymienianiu imion bohaterom jakiejś zasady, prawidłowości, to niech da sobie spokój. Niziurski pisał, nie przejmując się takimi rzeczami, zatem Rekszowie mogli zostać Bumami, Zenon – Benonem itd. W realia lat sześćdziesiątych wtargnęły nagle artefakty lat dziewięćdziesiątych – pasta do zębów „Colgate" i łyżworolki, o jakich marzą bohaterowie, ale zarazem używają oni na swym ulubionym strychu lampy naftowej, ponieważ wszystkie świece zostały wykupione przed Świętem Zmarłych. Z tego pomieszania światów rodziły się dziwadła i dziwaczna rzeczywistość alternatywna.

Niziurski zachowywał się trochę jak zespoły rockowe, które wydają kolejne składanki hitów, tyle że w różnej kolejności ustawiając piosenki i czasami w tych antologiach zamieszczając numery zremasterowane bądź ich wersje alternatywne, a także tzw. strony B singli oraz odrzuty z sesji. Zawsze to atrakcyjne dla zagorzałych fanów i maniakalnych kolekcjonerów, lecz nie dla masowego słuchacza, nawet danemu zespołowi bardzo przychylnego.

Z czasem w prozie Niziurskiego fragmenty opisowe i refleksyjne zaczęły coraz bardziej ustępować akcji przyspieszającej jak wyścigowy motocykl, zaś strona poetycka, wcześniej naznaczona uroczą melancholią, redukowała się niemal do zera. Przybywało natomiast postaci, zwrotów akcji, prawdziwe tłumy bohaterów przewalały się przez stronnice nawet niedługich opowiadań. Wyglądało to tak, jakby Niziurski coraz bardziej się spieszył, a jego narracje zaczęły przypominać tempem film akcji. Język stawał się coraz mniej wyszukany, ubożał, bogaciła się za to akcja. Charakterologicznie postaci stawały się coraz bardziej płaskie, ich emocje prostsze. Tak też dzieje się w przypadku *Sekretu panny Kimberley*, zamykającego

zbiór opowiadań pod tym samym tytułem. Znów bohaterami są bracia Bum – narrator Zenon i jego przemądrzały, irytujący, ale przerastający brata inteligencją i umiejętnościami Emeryk, czyli tym razem Ęsio albo Emuś – jak kto woli. Zważmy, że Edmund Niziurski, zwany w rodzinie Edusiem, poniekąd mógł samego siebie sportretować, dość złośliwie, ale i nieco narcystycznie jako Emusia. Emuś przewiduje bardzo logicznie, że w miejscowości Szpitar-Zdrój, w muzeum Wężerowiczów, bogatego i barwnego rodu, nastąpią wielkie włamanie i kradzież. Wśród cennych eksponatów znajduje się bowiem mumia egipskiej księżniczki Nefrete (sic!), posiadająca cudowną moc uzdrawiania – kto jej dotknie, z tego opada wszelka choroba.

Zenon wolałby wraz z kumplem Irkiem Liszeńcem zagrać jako statysta w filmie *Dzieci kosmosu* reżysera Olafa Klapsera, gdzie mają wystąpić w przebraniach kosmitów z planety Uur, a więc tej, którą poznamy w powieści *Gwiazdy Barnarda* – znamy już ten zabieg pisarza polegający na odwoływaniu się w opowiadaniach do własnych książek. Zenon i Irek ruszają mercedesem ojca Liszeńca, „pożyczonym" pod nieobecność właściciela i naturalnie wpadają w piętrowe tarapaty, ścigani przez rzezimieszków, bandytów, a nawet zawodowych morderców. Galeria postaci jest bogata jak talia kart, co rusz pojawiają się a to gangsterzy Wald i Programator, a to piękna i rezolutna przestępczyni Lidka, udająca naiwną motocyklistkę Alę, a to rzezimieszka Pserdonia, a to spotykamy mającego umiejętność przebierania się bandytę zwanego Tancerzem, a to złodzieja ofermę Pupejkę. Tytułowa „panna Kimberley" okazuje się jednak nie postacią ludzką, którą chcą obrabować gangsterzy, ale kolekcją kimberlitów, rzadkich skał alkalicznych, których nazwa wzięła się od miasta Kimberley w RPA. Tam też znajdowały się bogate złoża kimberlitowe,

zawierające diamenty. Owa „panna Kimberley” ukryta jest w terrarium z jadowitymi wężami, aby gady te chroniły skarbu. Wskazówką oczywiście jest herb rodziny Wężerowiczów, nie mówiąc już o ich nazwisku.

W 1998 roku ukazał się też inny zbiór opowiadań Niziurskiego, a tytuł jego znamy ze starego opowiadania*: Spisek słabych*. Jednak nowość tego zbioru była wielce problematyczna. Składał się z siedmiu opowiadań, a prócz tytułowego oraz *Trzynastego występku* znanych już ze zbioru *Nikodem, czyli tajemnica gabinetu* znalazły się *Lizus*, *Wielka heca*, *Lalu Koncewicz, broda i miłość*, nie wiedzieć czemu słaba *Ta zdradziecka Julita Wynos* i jedno jedyne opowiadanie premierowe o niepokojącym tytule: *Czy będziesz moim tatą? Niezwykły powrót zaginionego ojca*. Ten zbiór, wydany przez niszowy, efemeryczny Zakład Poligraficzno-Wydawniczy „U Poety” w Kielcach, przypomina jakąś półpiracką płytę rockową, ale na pewno nie składnik oficjalnej dyskografii czy w tym przypadku – bibliografii. Mimo iż książka jak najbardziej autoryzowana została przez samego pisarza, który na czwartej stronie okładki pod swoim bardzo nieaktualnym zdjęciem pisał: „Zamieszczone w tym zbiorku opowiadania powstały w ciągu czterdziestu lat, od roku 1954 (*Lizus*) do roku 1994 (*Czy jesteś moim tatą*), stanowią więc dość reprezentatywny przegląd mojej twórczości nowelistycznej dla młodzieży. Jest mi szczególnie miło, że wybór ten ukazuje się w Kielcach, moim rodzinnym mieście”. Pomijając drętwotę tego blurba, a także zjawiskową brzydotę okładki oraz zamieszczonych w środku przerażających amatorszczyzną ilustracji Leszka Woźnickiego dowiadujemy się rzeczy ciekawych. Mianowicie tego, że nie wiemy, czy opowiadanie nosi tytuł *Czy będziesz moim tatą?* (jak w tekście książki), czy też *Czy jesteś moim tatą* (jak tytułuje je na okładce sam pisarz), co potwierdza dezynwolturę, z jaką sam

Niziurski podchodził do tytułów swych książek, lekceważąc sprawy, zdawałoby się, zasadnicze. Dowiadujemy się też, że owo nieznane szerzej opowiadanie powstało w roku 1994, widzimy też, że ma zaledwie siedem stron. To ostatnie oficjalnie opublikowane opowiadanie Niziurskiego.

W warszawskiej szkole wszyscy chłopcy chwalą się ojcami – artystami, chirurgami, ale i rzeźnikami czy mechanikami. Jedynie Wowo Nowak nie ma się kim pochwalić, bo mieszka sam z matką. Wymyśla więc opowieść o ojcu w Kanadzie, wielkim biznesmenie robiącym gigantyczne interesy. Na ulicy akurat stoi ford taunus na kanadyjskich rejestracjach, a na jego siedzeniu leży koperta z nazwiskiem „R. Nowak", wszak ojciec Wowy miał na imię Ryszard. Wowo mówi kolegom, że to właśnie jego ojciec przyjechał do Polski. Naturalnie ten Nowak nie jest Ryszardem, ale Robertem, kompromitacja wisi w powietrzu, bo koledzy żądają, by rzekomy ojciec im opowiedział, jak walczył z niedźwiedziem grizzly. Szczęśliwie są też przyjaciele, którzy przeganiają złodzieja, próbującego ukraść taunusa i nie chcą pieniężnej nagrody od Roberta Nowaka, ale proszą go, by ten przywiózł do szkoły następnego dnia Wowę, udając jego ojca. Tak też się dzieje i honor porzuconego przez prawdziwego ojca wiele lat wcześniej chłopca zostaje uratowany – Robert Nowak z Kanady udaje Ryszarda Nowaka i wszystko kończy się dobrze. Co ciekawe, produkcję fordów taunusów zakończono w roku 1982, zatem wielki kanadyjski biznesmen musiałby jeździć ponaddziesięcioletnim samochodem i to raczej klasy średniej.

„Nie umieć to pestka, ale udawać, że się nie umie, to dopiero sztuka”

Źródło:
„Sposób na Alcybiadesa”

Gangi uczniowskie,
które przyprawiają
o dreszcz zgrozy

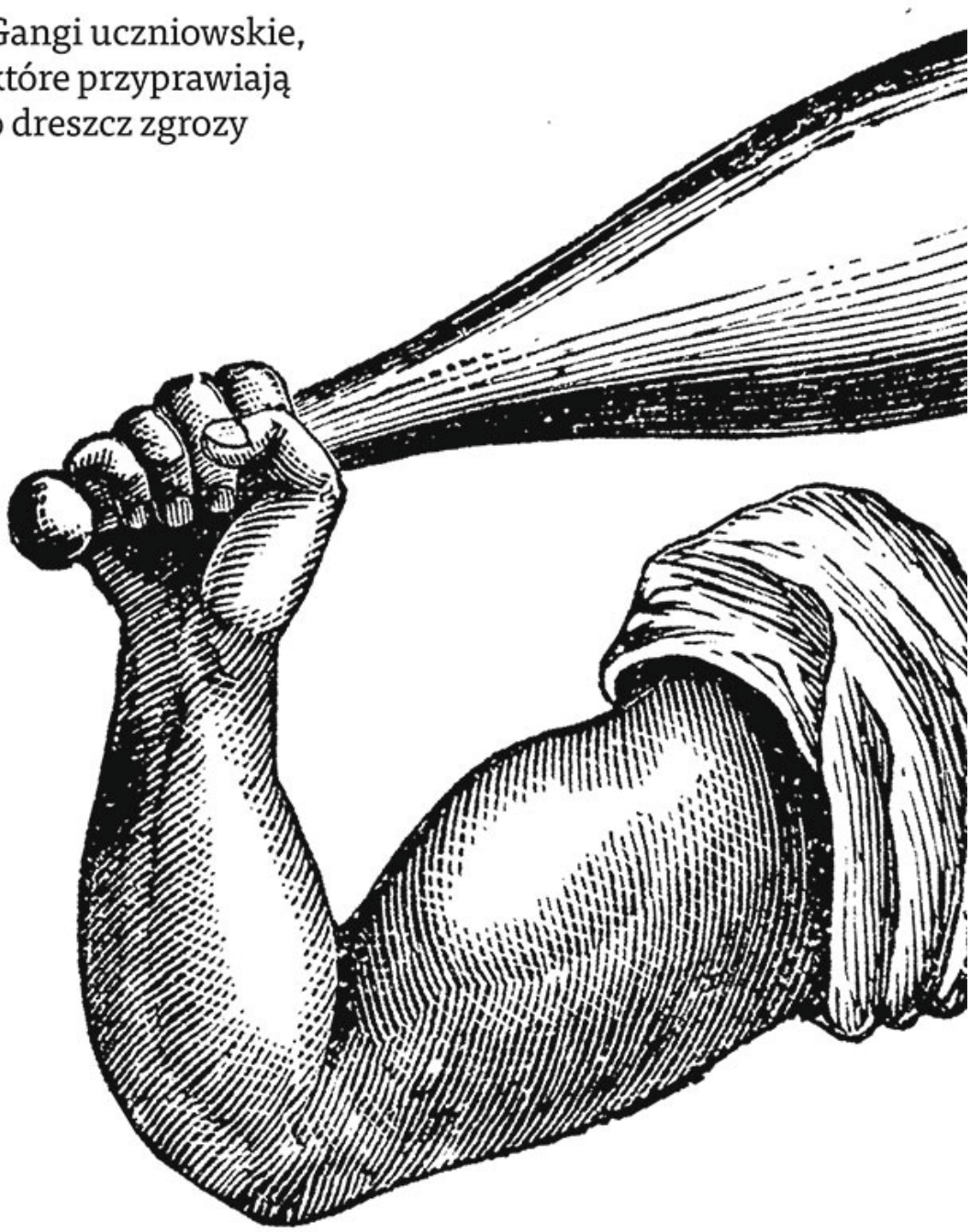

Koloniści Młodzież napływowa z różnych części Polski, choć też z okolicznych wsi, postępowa i nowoczesna, zamieszkująca nowe bloki, zrzeszona w „Federacji Astronautów". Jedna z dwóch chłopackich grup w powieści *Awantura w Niekłaju*. Ich wodzem jest Andrzej Kszyk – cherlak, okularnik o ptasiej głowie i pająkowatych kończynach, ale za to mózgowiec. Koloniści nie szukają skarbów, ale chcą uporządkować ogród i przystosować go do uprawiania sportu. Ich zawołaniem bojowym jest „Pszenica, pszczoła, kształt, Kszyk!". Ich mundur to białe czapki z daszkiem, koszulki gimnastyczne, zielone szorty i trampki.

Piraci Inaczej „Tubylcy", oficjalnie „Związek Piratów". Tajne sprzysiężenie chłopców w powieści *Awantura w Niekłaju.* Piraci pragną odnaleźć „skrzynie Szwajsa", w których ukryte są skarby zakopane przez uciekających pod koniec wojny Niemców. Opiekują się schorowanym Henrykiem Reją, zwanym „Bosmanem". Dokarmiają go oraz poją alkoholem w nadziei, że ten wreszcie wyjawi im, gdzie owe skrzynie się znajdują. Piraci toczą wojnę z Kolonistami. Ich hasłem jest „Śmierć kolonizmowi i imperializmowi". Noszą czarne chusty z trupią czaszką i piszczelami oraz napisem „Precz z kolonizmem!" [nie zaś „kolonializmem" – KV]. Są sprzymierzeni z dziewczęcym „Związkiem Zielonych Jaszczurek", którego szefową jest Anka Aniewiczówna. Na czele Piratzów stoi niejaki Zenon, będący w konflikcie z zastępcą Michałem. Pierwszy szef Piratów Stefan siedzi w poprawczaku.

Matusy Gnypowiccy autochtoni w Siódmym wtajemniczeniu – odpowiednik „Piratów" z Niekłaja. Na czele Matusów stoi wódz Ernest – figurant, nieświadom, o co naprawdę chodzi w wojnie z Blokerami. Prominentne postaci Matusów to Kulawy Lolo,

Pietrek Peroń, zwany Czarnym Pitrem, wiecznie zakatarzony Lompa, mały Zeflik – adiutant Ernesta, gruby Kwiczoł, czyli Doktryner, Maks – Wielki Eksperymentator. Flaga Matusów to biała głowa kozy na ciemnym tle.

Blokerzy Młodzież z rodzin przybyłych niedawno do Gnypowic i zamieszkałych w nowych blokach, stąd ich nazwa. Odpowiednik „Kolonistów" z Niekłaja. Ich wodzem jest Radek Niedoradzki, czyli Nieradek. Czołowi Blokerzy to Bezczelny Pacholec, Szprot-Rymarski, Szczeżuja-Spec, Duży Mańkut, Żarłoczny Stef. Godło Blokerów to czarny klucz na czerwonym tle.

Defonsiacy Uczniowie szkoły im. Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego w Odrzywołach. Na ich czele stoi Gruby Cypek. Ich prawdziwą przywódczynią jest jednak tak naprawdę boska Adela Wigor. Prowadzą gazetkę szkolną, w której nabijają się z Rejtaniaków.

Rejtaniacy Uczniowie szkoły im. Tadeusza Rejtana w Odrzywołach. Nie posiadają jednego przywódcy, ich największym, choć samozwańczym, autorytetem jest Gnat. Prowadzą gazetkę szkolną, w której nabijają się z Defonsiaków.

Tomek Żabny ratuje mistrza przed zbliżającą się klęską. Ostatnie dobre powieści oraz powolny, acz straszliwy spadek formy. Galimatias nieziemski i kosmiczne jaszczury. Bubel, Bąbel i Syfon, czyli bohaterowie czasów schyłkowych.

Wydany w 1982 roku *Szkolny lud, Okulla i ja* jest ostatnią naprawdę wybitną powieścią Niziurskiego, zamykającą zarazem jego szczytowy pod względem artyzmu i głębi psychologicznej okres twórczości, rozpoczęty *Siódmym wtajemniczeniem*. Nic, co po *Okulli* Niziurski napisał, nie dorównywało już opowieściom o Gnypowicach i Odrzywołach, a było ostatnim wzlotem geniusza, zakończonym bolesnym lądowaniem pod postacią słabej literacko i mało zabawnej trylogii o Bąblu i Syfonie.

Szkolny lud, Okulla i ja to pierwsza część dyptyku o Tomku Żabnym, choć sam Niziurski, jak się wydaje, nie planował ciągu dalszego, a część druga, wydana dopiero dziesięć lat później, nie stanowi tak oczywistej i logicznej kontynuacji, jak było to w przypadku genialnej „trylogii odrzywolskiej". To opowieść według znanego patentu: do szkoły przybywa nowy uczeń i na samym początku grzebie wszystkie swe szanse i wpada w nieprawdopodobne tarapaty. Tomek Żabny pojawia się w liceum Narcyzy Żmichowskiej i natychmiast zostaje nazwany „Żabą", „Dzikusem" i „Flanelą", musi zmagać się z groźnymi braćmi Męckimi, z Kociem Kocembą i Ciesiem Ciesielskim, wyjątkowo udręczającymi figurami, a także z wrednymi żartami Złośliwego Miecia i donosicielem Wyrzkiem. Na dodatek natychmiast podpada wicedyrektor szkoły Renacie Okulczyckiej, czyli tytułowej Okulli, a także innym nauczycielom – Gepardowi od wychowania fizycznego, Szufli od przyrody, Trąbie od chemii. Całe szczęście pojawia się Obara, harcerz, dżudoka i znawca zawiłości szkolnych układów, który Żabnego bierze pod opiekę.

Jest to zatem powtórzenie w zmodyfikowanej wersji perypetii Cymeona, a protagoniści tej opowieści są w wielkiej mierze kalkami tamtych herosów.

Jarosław Strzębski: „Mój ojciec w powieści *Szkolny lud, Okulla i ja* występuje jako Złośliwy Miecio, który miał ukryty w dłoni kolec i podawał rękę, aby zranić rozmówcę, co z kolei jest już tylko złośliwością autora książki. Mama z kolei występuje jako siostra Antka Batury z *Księgi urwisów*, która wybrała sobie nudny wydział włókienniczy w szkole wyższej. Moja mama właśnie wtedy zaczynała studiować na Politechnice Częstochowskiej włókiennictwo. Chciała studiować chemię, ale nie miała właściwego pochodzenia i zostało jej włókiennictwo".

Książka ukazała się w ponurą noc stanu wojennego i sytuacja ekonomiczna kraju odbiła się na fabule: grono pedagogiczne ma na głowie nie tylko rozbrykanych uczniów, ale też problemy z zaopatrzeniem stołówki i zdobyciem mięsa, tworząc złożony z nauczycieli komitet kolejkowy. W istocie w tamtych czasach niedoboru w zasadzie wszystkiego działały nieformalne komitety kolejkowe, pilnujące porządku w ogonkach po produkty zarówno pierwszej, jak i drugiej, a nawet trzeciej potrzeby. Tutaj zebranie w pokoju nauczycielskim poświęcone jest nie zagadnieniom edukacyjnym, ale temu, że nauczyciel Trąbaczewski zawalił dyżur w komitecie kolejkowym. Nad Trąbą odbywa się sąd koleżeński za to, że już o godzinie czternastej opuścił kolejkę i udał się zupełnie gdzie indziej, mimo iż „tego dnia był schab", a „pani Halinka odłożyła dla nas nawet kawałek szynki". Osobie niezorientowanej w realiach przełomu lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych ten wątek może wydać się jakby żywcem wzięty z teatru absurdu, a przecież jest bodaj najbardziej

realistycznym elementem całej powieści, bo dokładnie tak wówczas wyglądało życie w Polsce, co starsi czytelnicy Niziurskiego doskonale pamiętają.

W *Szkolnym ludzie* ujawnia się bez reszty uniwersum Niziurskiego, gdzie cały świat zamknięty jest w zasadzie w murach szkoły. Szkoła u Niziurskiego jest jak międzygalaktyczny statek mknący przez nieskończoność kosmosu, jest wszystkim i wszystko, co ważne, dzieje się na jego pokładzie, a podróżnicy, w tym przypadku uczniowie, tworzą patchworkową mozaikę typów skazanych na siebie mimo różnic charakterów.

Powieść fenomenalnie naśladuje i wykpiwa język partyjny, będąc poniekąd odwzorowaniem w skali szkoły relacji na najwyższych szczeblach władzy, gdzie ciało pedagogiczne odgrywa rolę władz państwowych, a starsi i ważniejsi uczniowie politruków niższej kategorii. Uczniowie oczywiście chętnie, jak to u tego pisarza, używają mowy wysokiej, ale naznaczonej językowymi nowotworami, a także dobrze znanymi z prasowych czy kinowych relacji ze świata peerelowskiej polityki. I tak uczeń Kleszcz w czasie debaty o planie ucieczki całej klasy VII B z lekcji używa takich zwrotów jak: „Czuję się w obowiązku zwrócić kolegom uwagę…”, czego nie powiedziałby przecież żaden uczeń podstawówki do swych rówieśników, ale jako parodia języka zetesempowskiego – jest to genialne. Cała narada związana z planem ucieczki z lekcji jako żywo przypomina nasiadówkę aktywu komitetu wojewódzkiego bądź powiatowego PZPR. Szczególnie że w takiej sytuacji jak zbiorowa ucieczka z zapowiedzianej klasówki z chemii wymagana jest jednomyślność, gdy tymczasem obstrukcję czyni jeden z uczniów – Kuglewicz, który za nic nie chce uciekać, a wręcz pragnie pisać klasówkę. To działanie przeciw klasie, a więc przeciw jedności, to działanie

w interesie wrogów klasowych. Wrogami klasowymi, czyli wrogami klasy, są nauczyciele. Jednocześnie sama techniczna otoczka ucieczki przypomina akcje komandosów: z organizowaniem liny ubezpieczającej dla schodzących po drabinie przeciwpożarowej, przeprowadzeniem rozpoznania wokół pokoju nauczycielskiego, wyrzucaniem obuwia osobno, by nie zostawić śladów. Jak często u Niziurskiego działanie trzynasto-, czternastolatków nosi znamiona organizowania się przez dorosłych, bardzo dojrzałego zarządzania, podobnie jak ich język pod względem zasobu słów, składni, elokwencji jest zdecydowanie powyżej ich wieku. Nauczyciele też nie pozostają w tyle w swych parodystycznych działaniach językowych. Matematyk Podlecki wypowiada takie zdanie w trakcie sporu grona pedagogicznego: „Zawsze protestowałem i będę protestował przeciw arbitralnym sądom woluntarystycznym oraz przeciw osobom płaszczącym się pod nędznym płaszczykiem humanizmu".

Być może czas zadać pytanie: czy aby Niziurski naprawdę pisał swoje powieści akurat dla młodzieży? Czy też także dla rodziców? Dla swoich rówieśników? Czy książki Niziurskiego nie były sprytnie zakamuflowanymi w dziecięcym maskowaniu historiami, z których więcej wynosili rodzice małych czytelników? Czy też mamy do czynienia z czymś, co z pewną dozą interpretacyjnej swobody moglibyśmy nazwać palimpsestem? Literaturą, która została nadpisana nad starą opowieścią? Jeśli wziąć ów stary podkład, można uznać, że historie Niziurskiego były logicznym ciągiem rozwojowym młodzieńczej, chłopięcej prozy spod znaku *Wspomnień niebieskiego mundurka* Wiktora Gomulickiego (bo przecież nie spod znaku *Niepokojów wychowanka Törlessa* Musila), ale jeśli uznać swoistą palimpsestowość tej prozy, można pokusić się o teorię, że Niziurski w równej mierze pisał te książki dla

dorosłych, a mógł w nich sobie pozwolić na więcej niż w tych nominalnie „dorosłych” powieściach, jak *Eminencje i bałłabancje* czy *Salon wytrzeźwień*.

Ciągiem dalszym książki *Szkolny lud, Okulla i ja* była powieść *Żaba, pozbieraj się!*, wydana w roku 1992 i nosząca wszelkie znamiona kryzysu twórczego, w jaki wpadł Niziurski. W pierwszym wydaniu książka ukazała się z podtytułem *...czyli siedem obłędnych dni Tomka Ż.*, później już bez podtytułu. To powieść w formie dziennika, i tę formę traktować już należy nie tyle jako dobrze znany z historii literatury zabieg stylistyczny, ile wyraz bezsilności pisarskiej.

Edmund Niziurski z czytelniczkami

i czytelnikami

Ta bezsilność objawiła się w pewnym momencie odkryciem przez Niziurskiego… science fiction. Żabny zostaje porwany przez Mmemlussów z planety Ksesses w gwiazdozbiorze Epsilon Eridani. To cywilizacja wyżej od ziemskiej rozwinięta, ale jednocześnie w fazie dekadenckiego upadku, w przeciwieństwie do głupich, ograniczonych, lecz żywotnych ludzi. Wizyta na Ziemi – a dokładniej w okolicach Radomia i Biłgoraju – wysłanników z Epsilon Eridani kończy się dla nich tragicznie. Zatruwają się ziemskim powietrzem, a następnie zostają rozebrani na złom przez pijanych tubylców, którzy wyrywają im kończyny, aby sprzedać je w komisie i mieć na alkohol albo przerobić na klucze francuskie, kombinerki, narzędzia hydrauliczne. Przy okazji oblewają alkoholem nieszczęsnych kosmitów nieprzywykłych do tak zabójczej trucizny.

Całe szczęście wątek kosmiczny nie jest już tak dominujący jak w nieco wcześniejszych *Nieziemskich przypadkach Bubla i spółki* oraz *Gwieździe Barnarda* i pisarz zostawił coś smakowitego dla tych, którzy preferują ziemskie przygody. Choć jest to już dalekie echo genialnych opisów uniwersum szkolnego, jakie serwował nam w *Sposobnie na Alcybiadesa* czy *Osobliwych przypadkach Cymeona Maksymalnego*.

Outsiderzy Niziurskiego, nieszczęśliwie zakochani i gnębieni przez niebezpieczne szkolne szajki jednocześnie zawsze mieli wielką łatwość w uciekaniu z lekcji, i co ciekawsze – bez większych konsekwencji. Urwanie się z zajęć i to nie od rana, ale w środku dnia, nie sprawiało im kłopotu: wychodzili, gdy chcieli, i wracali, kiedy im było wygodne, co zadziwiające dla tych, którzy pamiętają peerelowską szkołę z obowiązkowym sprawdzaniem obecności. Co charakterystyczne, wszyscy ci

bohaterowie, czy Cymeon, czy „Żaba”, czy cała redakcja rejtaniackiej gazetki ściennej, na przerwach ukrywali się przed nauczycielami i płonącymi żądzą odwetu klasowymi zbójami w bibliotece szkolnej lub w specjalnym „pokoju cichej pracy i skupienia”, gdzie studiowali poważne zagadnienia związane z historią, lotnictwem czy kosmosem, zaczytując się w encyklopediach i leksykonach. U Niziurskiego główny bohater fizycznie nie dorównuje szkolnym rozrabiakom, nie ma powodzenia u dziewcząt, jest nieuleczalnym pechowcem, ale posiada niemal encyklopedyczną wiedzę, jest błyskotliwym, elokwentnym erudytą.

W *Żaba, pozbieraj się!* natłok intryg kryminalnych, kosmicznych, obyczajowych jest tak wielki, że trudno za nimi nadążyć i nie ma sensu ich tu relacjonować, bo skończyłoby się to długą i nużącą wyliczanką. Pisarz nie miał już pełnego kontaktu z realiami świata młodzieży, nie orientował się w subkulturach (banda skinów opanowuje zakład fryzjerski i każe sobie zrobić fryzury na irokeza!). Zestawienie dwóch książek o perypetiach Tomka Żabnego pokazuje w całej okazałości postępujący pisarski regres Niziurskiego – o ile *Szkolny lud, Okulla i ja* trzyma fason, to jej druga część ukazuje narracyjną degrengoladę, gdzie natłok niełączących się ze sobą wątków, nagromadzenie absurdalnych zdarzeń, nieniosących ze sobą konsekwencji fabularnych, jest już tylko łataniem dziur w opowieści, a barwny, barokowy niemal język Niziurskiego zaczyna wulgaryzować się i upraszczać. U późnego Niziurskiego świat staje się coraz bardziej brutalny, prostacki, język pisarza traci wykwintność, uczniowie gubią swój legendarny wdzięk i zaczynają przypominać tych, kim w istocie są – głupawych gówniarzy.

Podobnie, a wręcz gorzej było w *Nieziemskich przypadkach Bubla i spółki* (później wydawanej jako *Tajemniczy*

nieznajomy z zoo) oraz w *Gwieździe Barnarda* (później jako *Tajemnica Dzikiego Uroczyska*). Pisarz najwyraźniej przywiązał się do tematyki UFO i kosmitów, niestrudzenie wysyłał swoich bohaterów na obce planety, rzeczywistość szkolna stała się zupełnie marginalna, czasami ratował się jeszcze, sięgając po stare, sprawdzone patenty, a nawet powtarzał imiona bohaterek (Bubel związuje się z klasową seksbombą… Gigą!), ale już na próżno. Podobnie jak w przypadku drugiej części przygód Żabnego nawałnica wątków jest tak wielka, że streszczanie *Nieziemskich przypadków Bubla i spółki* oraz *Gwiazdy Barnard*a zajęłoby niemal tyle stron, ile miały same te powieści. Niziurski już nie pamiętał, że wystarczy jedna mocna intryga (jak w *Alcybiadesie*), żeby unieść całą powieść.

Ostatnią próbą wielkiego zrywu jest *Pięć melonów na rękę*, wydana w 1996 roku, ale pisana już na początku lat dziewięćdziesiątych powieść, pozytywnie wybijająca się na tle schyłkowego okresu twórczości Niziurskiego. Z całą pewnością lepsza i ciekawsza niż późniejsza próba dyskontowania dawnego sukcesu *Marka Piegusa* poprzez napisanie jego nowych przygód. I zarazem zaskakująco dobry opis nowej Polski, rodzącego się dzikiego kapitalizmu, pamiętnej hiperinflacji, gdy sklepowe ceny podstawowych produktów liczyło się w dziesiątkach tysięcy złotych. „Było to w czasach, gdy jajko kosztowało tysiąc, a kilogram szynki sto tysięcy, portfele pęczniały od banknotów i wszyscy byli milionerami…”.

To także zwariowany obraz polskiej prowincji po przełomie, gdzie Niziurski ze swoimi diagnozami zawsze lepiej się czuł niż w Warszawie, którą potrafił bardzo dowcipnie sportretować, ale z pewnością mniej ją rozumiał i ogarniał całościowo niż swoje rodzime Kielce i Polskę powiatową.

Rzecz dzieje się w leżącym nad Pilicą zapyziałym miasteczku Dłubków Mazowiecki, jak wynika z kontekstu

położonym blisko Tomaszowa Mazowieckiego. Dla mieszkańców Dłubkowa punktami odniesienia są Radom i Kielce, nie zaś bliższa, jak się zdaje, geograficznie Łódź. Cała opowieść traktuje o pieniądzach, ponieważ mamy sam początek lat dziewięćdziesiątych i owszem, demokracja i wolność to są sprawy niezwykle ważne i wzniosłe, ale przecież nie wolność, ale pieniądze stanowią dla Polaków w tamtym czasie sprawę kluczową. Po długiej epoce socjalistycznego niedoboru, biedy, szarości nagle świat staje się kolorowy, bogaty, dobra wszelkie niemal dostępne, ale do tego wszystkiego potrzeba pieniędzy. Wszyscy odkrywają w sobie serce kapitalisty, wierząc w to, że mogą robić wielkie interesy i zarabiać grube melony.

ARKUSZ EGZAMINACYJNY NR 5
NIZIURSKOLOGIA. POZIOM MISTRZOWSKI

Uważnie przeczytaj pytania i zaznacz właściwą odpowiedź.

PYTANIE 1
Wampir grasujący we Wrzoskach, gdzie Cymeon Maksymalny chce kręcić film nazywa się

A) Kubuś.
B) Maciuś.
C) Piotruś.

PYTANIE 2
W Jutro klasówka najpopularniejszą „chorobą” wśród uczniów jest

A) Żółtaczka.
B) Różyczka.
C) Szkarlatyna.

PYTANIE 3
Wrak czołgu w Ogrodzie w Niekłaju to

A) Pantera.
B) Tygrys.
C) T-34.

Pięć melonów na rękę to nie tylko najlepszy obraz wczesnego polskiego kapitalizmu, wolnego rynku rozumianego jako drobne przekręty, ale i swoista powieść drogi. Oryginalna poprzez to, że bohaterowie w czasie szaleńczej podróży handlowej nie opuszczają wcale Mazowsza, a jedynie przemieszczają się w obłędnym tempie między poszczególnymi powiatami. A biorąc pod uwagę, że odległości między odwiedzanymi przez nich mazowieckimi miejscowościami wynoszą kilkanaście, najwyżej kilkadziesiąt kilometrów, to nic dziwnego, że co kilka stron są już w innym miasteczku. Białobrzegi, Grójec, Tarczyn, Urle, Góra Kalwaria, Węgrów, Karczew, Sokołów Podlaski. To też jest znamienne dla późnej twórczości Niziurskiego: nieumiejętność poprowadzenia akcji w jednym miejscu, w jednej szkole, w jednym miasteczku, w jednej grupie rówieśniczej.

Powieść pierwotnie publikowana była w „Płomyku" w 1991 roku, ale druk przerwano z powodu upadku pisma, co też jest dobrym komentarzem do tamtych czasów. Ostatecznie wydana została w 1996, a jej akcja w wersji książkowej toczy się w czerwcu 1992. Dokładnie 18 czerwca 1992 roku zaczął działać w Polsce Centertel – pionierska sieć telefonii komórkowej. Pierwsze telefony były wielkie, ciężkie i przypominały wojskową krótkofalówkę, zaś ani uczniów, ani nawet drobnych handlarzy czy powiatowych biznesmenów nie było na to początkowo stać. W połowie lat dziewięćdziesiątych było ledwo pięćdziesiąt tysięcy użytkowników komórek, a wielu czytelników z pewnością pamięta, jakim wówczas szpanem było w ogóle posiadanie takiego urządzenia. Dopiero jesienią 1996 roku – akurat gdy wyszła powieść – na rynek weszli Era i Plus, rewolucjonizując telefonię komórkową i upowszechniając ją.

Hiperinflacja wybuchła w latach 1989–1990 i sięgnęła sześciuset procent. W czasie, gdy Niziurski zabierał się za pisanie *Pięciu melonów*…, największym nominałem było 500 tysięcy złotych z Henrykiem Sienkiewiczem na awersie, gdy już pisał – milion złotych z Władysławem Reymontem, zaś po ukończeniu powieści pisarz mógł honorarium pobrać w banknotach dwumilionowych z Ignacym Paderewskim, które były w obiegu aż do końca roku, w którym książka się ukazała. Denominacja złotego nastąpiła w 1995 roku – jeden nowy złoty od teraz był wart 10 tysięcy starych złotych, zatem tytułowe pięć melonów na rękę to dzisiejsze 500 złotych. Suma z pewnością warta grzechu, gdy się jest ubogim uczniem z rozbitej rodziny, ale wyobraźmy sobie tytuł powieści *Pięć stów na rękę*…

„Ernest nie jest wodzem.
On odbiera rozkazy od gołębia"
Źródło: „Siódme wtajemniczenie"

Jak bardzo szybko ulatniała się finezja pisarska Niziurskiego, dowodzi lektura trylogii o Bąblu i Syfonie. Pierwsza część tryptyku, *Przygody Bąbla i Syfona*, ukazała się w roku 1993. Archibald Ciuruś zwany Bąblem jest oczywiście typowym pechowcem, czegokolwiek się tknie – katastrofa. Na dodatek przynosi pecha wszystkim, którzy się z nim zadadzą, zatem każdy stara się trzymać od niego z daleka. Dezyderiusz Pokiełbas z kolei jest nowym uczniem w szkole, pasjonuje go tematyka kryminalna, detektywistyczna, jest mistrzem dedukcji niczym Sherlock Holmes. Nazwany zostaje „Syfonem". Tutaj Niziurski już przesadził z łączeniem imion z nazwiskami, co kiedyś było jego bardzo mocną stroną. Teraz jednak Archibald i Dezyderiusz noszący nazwiska ostentacyjnie proletariacko-chłopskie nieprzyjemnie zgrzytają.

Bąbel i Syfon rozwiązują zagadki kryminalne, takie jak działalność znanego złodzieja sklepowego Palemona. To imię opryszka zostało wzięte oczywiście z *Baśni o korsarzu Palemonie* Jana Brzechwy, historii o strasznym piracie, który w istocie nie istniał, bo tak naprawdę był dobrym królem, a na dodatek wybrał sobie za żonę księżniczkę nie najpiękniejszą, ale najmądrzejszą. Jeśli będziemy trzymać się tego tropu, to uznamy opowieści o perypetiach Bąbla i Syfona za rodzaj bajki i moralitetu, w którym każdy okazuje się kimś innym, niż nam się zdawało, a osoby złe i groźne mogą okazać się dobrymi bądź nieszczęśliwymi, których samotność i rozpacz pchają ku czynieniu zła. Bąbel i Syfon mimo najlepszych chęci kładą jednak wzorowo każdą akcję, lecz z najgorszej opresji wyciąga ich szkolny kolega Dudek, mimo kalectwa dzięki swojej inteligencji rozwiązujący każdą tajemnicę. Dudek zwraca uwagę na przeoczone przez Bąbla i Syfona poszlaki, stoi po stronie rozumu, a nie emocji, jak w gorącej wodzie kąpani

Archibald i Dezyderiusz. Nie ma tu jednej zagadki, intrygi, ale zbiór luźnych historyjek detektywistycznych, które rozwiązują Babel i Syfon, nieudaczni detektywi amatorzy.

Cykl o Bąblu i Syfonie, trzy niewielkie książki, pisane mało kwiecistym językiem to najbardziej schyłkowy Niziurski. W dodatku widać tu odgrywanie starych patentów, odgrzewanie soczystych niegdyś kotletów, które jednak przez lata straciły świeżość i smak. Cały pomysł na Bąbla i Syfona jest próbą powtórzenia schematu, który tak genialnie sprawdził się w *Marku Piegusie*. Swoją drogą na ostatnich stronach pierwszego wydania *Przygód Bąbla i Syfona* w edycji Wydawnictwa Literatura z 2001 roku znajduje się lista książek Niziurskiego wydanych przez tę oficynę, czyli niemal cały kanon tego pisarza, natomiast pod hasłem „W przygotowaniu" występuje książka… *Największa przygoda Marka Piegusa*. Co sugeruje, iż historia pechowego ucznia z Żoliborza zamknie się w trylogii po *Niewiarygodnych przygodach Marka Piegusa* z 1959 roku i wydanych w 1997 roku *Nowych przygodach Marka Piegusa*. Ten błąd mógł podnieść ciśnienie nawet zdrowemu jak ryba nastolatkowi, a tym bardziej dawnemu nastolatkowi, a obecnie panu w średnim wieku, który spodziewałby się kolejnej odsłony wybryków Chryzostoma Cherlawego i Alberta Flasza, nie mówiąc o Wieńczysławie Nieszczególnym i Bogumile Kadryllu. Tymczasem zapowiedź dotyczyła trzeciej części przygód Archibalda i Dezyderiusza, czyli *Największej przygody Bąbla i Syfona*…

Największa przygoda Bąbla i Syfona wydana w 1999 roku była ostatnią w pełni premierową książką pisarza. Akcja rozgrywa się ponownie w Warszawie, w Szkole Podstawowej nr 813 imienia Lucyny Krzemienieckiej przy ulicy Archiwistów 5, i znów powraca nieuchwytny Palemon, największy aktor wśród złodziei oraz największy złodziej wśród aktorów. Człowiek,

którego powierzchowności nawet nie możemy poznać, bo raz występuje jako starszy, elegancki mężczyzna, innym razem gruby ochroniarz o nazwisku Dawid Surdul, kiedy indziej wysportowany rowerzysta i właściciel firmy cukierniczej Zygmunt Fidrygał, częstujący Bąbla i Syfona cukierkami „arlekin" z witaminą, dzięki której będą mieli jasność umysłu, łatwiej będzie im się uczyć. Witamina w „arlekinach" okazuje się amfetaminą. Koniec lat dziewięćdziesiątych to już upowszechnienie się narkotyków, które docierają do szkół, a wielu uczniów stara się za ich pomocą poprawić wyniki w nauce. A skoro pojawiają się narkotyki, to narasta poważny problem obecności dilerów w szkołach. Tutaj narkotyk zostaje nazwany slangowo „pingiem" jako skrót od „doping" – z taką nazwą chyba nikt się nie spotkał i był to autorski pomysł pisarza. Jakby tego mało, użytkownicy „pingu" nazywali się „pingwinami"! Niewątpliwie inspiracji musiał Niziurski szukać raczej w dawnej literaturze, bo „ping" kojarzy się bardziej z pigułkami Murti-Binga z *Nienasycenia* Witkacego, dzięki którym człowiek staje się wolny i szczęśliwy, ale tak naprawdę to zniewolony. Natomiast celnie ukazane są psychozy amfetaminowe, urojenia, koszmary, bezsenność Bąbla i Syfona po zjedzeniu „arlekinów", zmęczenie oraz stany lękowe. Niziurski starał się dotrzymać kroku zmieniającemu się światu i realiom, w jakich żyła młodzież, nie bojąc się dotykać najpoważniejszych problemów, choć z typową dla siebie subtelnością. Tutaj w finale zabrakło mu jednak inwencji, nie wiemy do końca, kim naprawdę był Palemon, jak się nazywał, jaka była jego kariera, czy w istocie był upadłym aktorem. Można za to określić dokładnie czas akcji. Chłopcy chcą urwać się ze szkoły i zdążyć do kina na *Historie miłosne* Jerzego Stuhra. Film Stuhra miał premierę 8 września 1997 roku, zatem

akcja powieści musi rozgrywać się na początku roku szkolnego, we wrześniu 1997.

Szpiedzy, mordercy i polski Szwejk. Kapitan Trepka na tropie. Rozterki dorosłych bohaterów, którzy kiedyś byli Piratami, Kolonistami, Blokerami i Matusami.

Edmund Niziurski zostawił po sobie tak wiele powieści, że skrupulatne relacjonowanie wszystkich zamieniłoby tę książkę w prawdziwą uniwersytecką monografię, nie zaś w opowieść o pisarzu, który wychował pokolenia Polaków. Tak, właśnie wychował, bo Niziurski, będąc pisarzem rozrywkowym, był zarazem jak żaden inny autor nauczycielem, takim, jakiego każdy z nas chciałby spotkać na swojej szkolnej drodze. Dawał czytelnikom radość, rozbudzając ich wyobraźnię, rozkochując w literaturze, pokazując, że szkolna nauka i wiedza mogą być nie mniejszą przygodą niż wyprawy po skarby piratów. Obdarzał wiarą, że tak naprawdę to, czy nasze życie będzie spełnione, zależy wyłącznie od nas, a nie od okoliczności. Zarazem był pisarzem zawodowym i z trudu swych rąk w sensie dosłownym utrzymywał rodzinę. Jego dorobek z tej właśnie przyczyny zawiera całkiem sporo książek napisanych dla dorosłych, powieści bardzo poważnych i realistycznych, a nawet dwa kryminały. I nierzadko, ale nie zawsze były to książki lepsze niż jego ostatnie powieści dla młodzieży. Wynika to z tego, że Niziurski z lat pięćdziesiątych jest lepszy niż ten z dziewięćdziesiątych, a ten z lat osiemdziesiątych słabszy niż ten z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Stąd należy się nam parę słów o książkach dla dorosłych, które nierzadko były zabawniejsze niż te dla młodzieży z końca kariery. Niziurski nie odpuszczał – zawsze pisał najlepiej, jak umiał, a jego późne porażki wynikały już po prostu z naturalnego spadku fizycznych zdolności pisarskich, a nie z lekceważenia czytelnika.

Debiutancka powieść dwudziestosześcioletniego pisarza – *Gorące dni* – pochodzi z roku 1951, o czym świadczy choćby informacja w stopce redakcyjnej: „Manuskrypt otrzymano dnia 8.10.1951”. To powieść o powstawaniu we wsi Ochota, w dawnym folwarku dziedzica Ochockiego, Spółdzielni Produkcyjnej im. Marchlewskiego. Oraz o twardym oporze chłopstwa wobec idei spółdzielczości. Nie idzie nawet o to, że nienawidzą oni komunizmu, oni po prostu są antymodernizacyjni, wszelkie zmiany budzą ich nieufność, wręcz wrogość, postęp ich przeraża, są zacofani, choć w sumie to nie ich wina. Głównie kobiety stawiają opór, a to dlatego, że są pod wpływem księdza Magnusa. Powieść w pewnym sensie pokrewna *Księdze urwisów*, ale o wiele słabsza, dziś będąca wyłącznie ciekawostką i rarytasem dla maniakalnych, jak archiwariusz Kiwajłło, zbieraczy zabytków piśmiennictwa.

Nieznośna jest ta powieść, a jej lektura wlecze się niemiłosiernie, mimo że to jedynie nieco ponad dwieście pięćdziesiąt stron. Jest znakomitym przykładem na to, że wielki pisarz nie musi narodzić się wraz ze swoją pierwszą książką, że talent u młodego adepta literatury może znajdować się w uśpieniu i powoli się przebudzać, zaś rozwinąć się dopiero z kolejnymi książkami. *Gorące dni* miały marną prasę, a co więcej, dostało się tej książce też, co zaskakujące, od strony politycznej.

– Niech pan się wreszcie rozpłacze!

– Niemożliwe. Jest to smutek ontologiczny, eschatologiczny i diaboliczny, który nie przeradza się w płacz, ale kąsa mnie na sucho. Nie wyszedł mi wynalazek.

Źródło: „Klub włóczykijów"

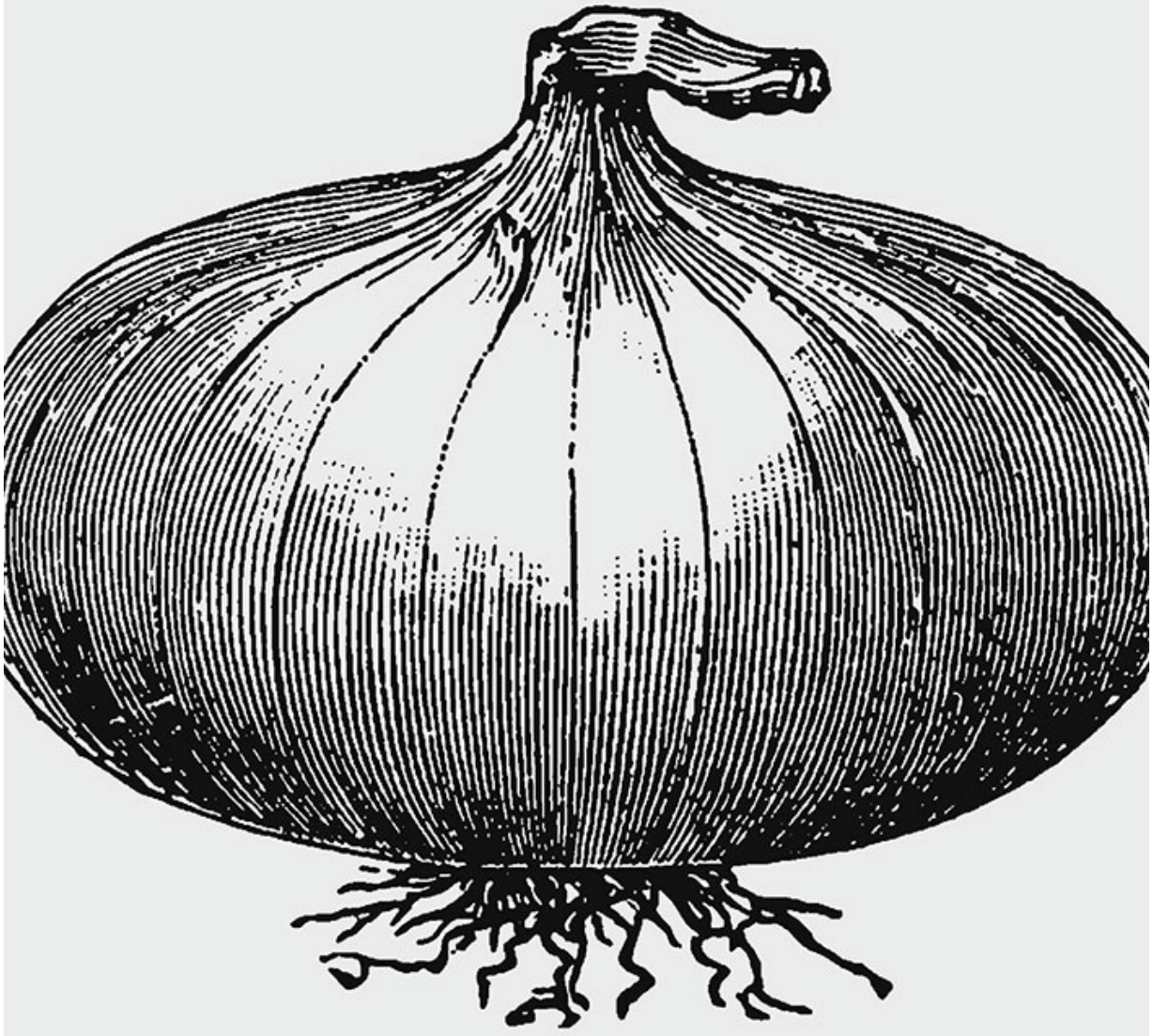

Wspomina **Barbara Niziurska**: „Mój mąż miał straszne przeżycia z Putramentem w 1952 roku [Jerzy Putrament był wpływowym pisarzem peerelowskim, przedwojennym narodowcem, a później komunistą, powojennym wysoko postawionym członkiem PZPR, jako „Gamma" występuje w *Zniewolonym umyśle* Miłosza, w 1952 roku był sekretarzem generalnym Związku Literatów Polskich – red.]. Putrament postanowił rozprawić się z socrealizmem i na warsztat wziął Niziurskiego. To był młody pisarz, który napisał jakieś tam *Gorące dni* i byłam przerażona, że mąż zostanie zniszczony i przestanie w ogóle pisać. Pamiętam ten wieczór, to było posiedzenie w Związku Literatów, tam się rozprawiali z socrealizmem, a ja spacerowałam po ulicy, czekałam na męża, padał deszcz. Czekałam, żeby go ratować, że jak wyjdzie, będzie zgnębiony, chciałam go podnieść na duchu. I modliłam się cały czas, żeby mu dali spokój. Mąż wyszedł, ucieszył się bardzo, gdy mnie zobaczył, i wróciliśmy do domu. To było najgorsze nasze przeżycie. Ale całe szczęście w *Gorących dniach* było kilka zdań o dzieciach i te zdania utkwiły w głowie redaktorce z Naszej Księgarni, która zadzwoniła do męża i zapytała, czy nie napisałby książki dla młodzieży, bo według niej te strony o dzieciach są szalenie udane. I mąż napisał na zamówienie Naszej Księgarni *Księgę urwisów*".

Zatem być może dzięki temu, że *Gorące dni* okazały się klęską na każdym polu, zyskaliśmy największego polskiego twórcę literatury dla młodzieży?

NA TROPACH SZPIEGÓW

Kolejną z dziś zupełnie zapomnianych książek Niziurskiego jest *Śmierć Lawrence'a*, opublikowana przez Wydawnictwo MON w 1956 roku i nigdy więcej niewznawiana. To zbiór opowiadań poświęconych Wojskom Ochrony Pogranicza. Jedną z głównych postaci jest kapral Ksiuta, prawdziwy wojak Szwejk. Pajacuje on bezkarnie, zagaduje przełożonych na śmierć bezsensownymi tyradami, opowiada niedorzeczne historyjki, żadnej dyscyplinie się nie poddaje, wręcz odmawia wykonywania rozkazów! Czyżby w WOP nie było karcerów, degradacji, a najgorsza kara to zesłanie do kuchni, by obierać ziemniaki? Książeczka, którą uatrakcyjnił charakterystycznymi rysunkami Szymon Kobyliński, miała być próbą uczłowieczenia trudnej, surowej służby granicznej, pokazania wopistów jako równych chłopów, z ich dziwactwami i słabościami, chłopaków z ludu, którzy posiedli również umiejętność opowiadania niemal ludowych podań. Ci prości, pozornie nierozgarnięci chłopi potrafili jednak wyłapać szpiegów i sabotażystów. Chociaż oddajmy sprawiedliwość wyszkolonym oficerom – oni też umieli za pomocą dedukcji, wytężonej pracy umysłowej złapać przemyślnych dywersantów, przerzuconych do Polski przez imperialistyczne wywiady zachodnie.

Zarazem pozwalał sobie Niziurski, a i cenzura mu też pozwalała, na niewybredne wręcz i ostentacyjne żarty z politycznej propagandy. I tak oto kapitan Turzyca z opowiadania *Kmita w porcie*, mając dosyć zachowania Ksiuty, pozwala sobie na taką nieprawomyślną refleksję: „To idiota. Oto skutki przeładowania zajęciami politycznymi". Zaś kapitan Sulibor, prezentując swą hipotezę o szpiegu Chreptowiczu, ukrywającym się w kinie na seansie, typuje, że musiał to być kasowy film, skoro szpieg dostał bilet w drugim rzędzie z boku – co znaczy, że lepsze miejsca były już zajęte. Zatem nie mógł to

być film *Jasne łany* ani *Dzielni szlifierze*, ale *Rzym, miasto otwarte*. Pozwala sobie nawet na uwagę: „»Dzielnych szlifierzy« widziałem na własne oczy i mam głębokie współczucie dla widzów i producentów”.

Niziurski zawsze pozwalał sobie na docinki wobec władzy ludowej i systemu politycznego, nawet w ponurym stalinizmie.

O MILICJI NA WESOŁO

Śmierć Lawrence’a nie jest jedyną pozycją „mundurową” w katalogu Niziurskiego. W jego przebogatej spuściźnie znajdują się też dwie książki na pierwszy rzut oka nietypowe, na drugi rzut oka zaś niezwykle reprezentatywne dla pisarstwa autora *Marka Piegusa* i *Klubu włóczykijów*, mianowicie… kryminały dla dorosłych.

Pierwszą z nich jest *Przystań Eskulapa* z roku 1958, wydana podobnie jak *Śmierć Lawrence’a* przez Wydawnictwo MON w pamiętnej serii kryminalnej „Labirynt”, drugą zaś wydane rok później *Pięć manekinów*. W obu powieściach „milicyjnych” Niziurski wprowadził wielowątkową, skomplikowaną intrygę, godną prawdziwych mistrzów kryminalnych zagadek. Czytelnik zmuszony jest do wnikliwego śledzenia toku wydarzeń, nieustannej czujności, własnego udziału w dedukcji, jak w przypadku rasowych historii z tego gatunku – czytając, zmieniamy swoje podejrzenia i raz zdaje nam się, że wiemy, kto zabił, by potem poczuć się zupełnie zaskoczonymi.

Obie te powieści zaludniała galeria niezwykłych typów, zarówno zdziwaczałych milicjantów jak funkcjonariusze Trepka, Iwaniłło czy Dziarmaga, jak i nie mniej oryginalnych

podejrzanych (fantastyczne figury o nazwiskach Dopust, Parytet, Mohylny czy Melassa), wśród których krył się morderca. Pod koniec lat pięćdziesiątych Niziurski miał już znakomicie opanowany sposób konstruowania postaci, który w pełni rozkwitnie w *Niewiarygodnych przygodach Marka Piegusa* i *Sposobie na Alcybiadesa*. Jeśli ktoś ma słabość do kryminałów, a zarazem wielbi wczesne powieści Niziurskiego, niechaj sięgnie po te książki.

Zaniechawszy literatury kryminalnej, równolegle z pisaniem powieści młodzieżowych uprawiał Niziurski prozę dla dorosłych. Były to książki o rozterkach młodej „inteligencji pracującej" – inżynierów i lekarzy w realiach wielkich budów socjalizmu. Ich akcja rozgrywała się na prowincji uderzająco kojarzącej się z Kielcami. To *Salon wytrzeźwień* (1964), *Eminencje i bałłabancje* (1975) oraz króciutkie *A potem niech biją dzwony* (1976). To, co łączyło te powieści, to postać głównego bohatera – ambitnego, upartego do przesady, pryncypialnego i przeciwstawiającego się lokalnym układom młodego człowieka. Uzdolnionego fachowca, który nie godząc się na żadne ustępstwa, zamiast wygodnie umościć się i korzystać ze znajomości, podejmuje walkę w imię zasad i przegrywa. Czy to doktor Janyst z *Salonu wytrzeźwień* (nazwisko będące aluzją do doktora Judyma z powieści ulubionego pisarza Niziurskiego – Stefana Żeromskiego), czy inżynier Bałłaban, czy w mniejszym stopniu bohater *A potem niech biją dzwony* to stawiający opór gomułkowskiej „małej stabilizacji" i gierkowskiej „propagandzie sukcesu" outsiderzy, ofiary środowiskowego oportunizmu, który był przecież jedną z głównych cech Peerelu. Podobnie outsiderem był bohater krótkiej powieści wojennej *Wyraj* (1964), lekarz, który mając za sobą traumatyczne doświadczenia z ruchu oporu, nie chciał się

już angażować w działalność przeciw okupantowi, a jedynie doczekać końca wojny.

Bohaterowie „poważnych” powieści Niziurskiego to poniekąd dorośli chłopcy z jego książek młodzieżowych. Tak właśnie przecież mogły potoczyć się losy „Piratów” i „Kolonistów” oraz „Blokerów” i „Matusów” po tym, jak skończyli szkoły a następnie politechniki, uniwersytety, akademie medyczne i zderzyli się z życiem, w którym nie ma już chłopackich przygód, a prawdziwe problemy mają bardzo przyziemny, a przez to nadzwyczaj bolesny wymiar. Powieści o doktorze Janyście oraz inżynierze Bałłabanie niosły ze sobą gorzką prawdę o peerelowskiej rzeczywistości. A na pewno o peerelowskiej prowincji, uosabianej przez ukochaną Kielecczyznę. Ukochaną przez Niziurskiego, ale jednak poddaną przecież w „dorosłych” powieściach tego pisarza miażdżącej krytyce.

Jako multiinstrumentalista Niziurski pisał też słuchowiska radiowe i sztuki telewizyjne (na przykład *Ucieczka z Betlejemu* o perypetiach sfrustrowanych robotników uwięzionych na nieważnej budowie gdzieś w odmętach polskiej prowincji), ale przecież zostanie na zawsze autorem powieści dla młodzieży. Jego nawet najlepsze książki dla dorosłych (osobiście jestem zagorzałym wielbicielem *Salonu wytrzeźwień* oraz *Eminencji i bałłabancji*) nie miały aż takiego znaczenia, takich nakładów, takiej popularności, a przede wszystkim nie zmieniały świata tak jak *Sposób na Alcybiadesa*, *Siódme wtajemniczenie*, *Klub włóczykijów* czy trylogia o mieście Odrzywoły. Tak, właśnie chodzi o zmienianie świata, bo przecież wszyscy, którzy czytaliśmy te powieści, dojrzewaliśmy w ten sposób i mądrzeliśmy dzięki tym książkom. Z nierozgarniętych młodocianych kretynów, doprowadzających do rozpaczy swym nieuctwem i odpornością na wiedzę rodzinę

i znakomitych gogów, powoli zamienialiśmy się w dojrzałych ludzi. Jeśli nie zmieniliśmy świata, to jednak dzięki tym książkom zmieniliśmy siebie. A to już bardzo dużo. Edmund Niziurski przygotował nas do życia jak nikt inny.

Pożegnanie z książką, ale nie z powieściami Niziurskiego, bo z nimi nie sposób się pożegnać na zawsze.

Autor *Sposobu na Alcybiadesa* od milenijnego przełomu już nic nie pisał. Ostatnie trzynaście lat życia przeszło mu na pisarskiej emeryturze w realiach wciąż pogarszającego się stanu zdrowia. Przez ostatnie lata znajdował się pod stałą opieką lekarską oraz rodziny w domu na Miłobędzkiej i nie miał siły pisać.

Zmarł 9 października 2013 roku właśnie w domu na Miłobędzkiej, w którym wciąż unosi się jego duch, a nawet wąskimi korytarzami i po stromych schodach przemykają postaci z jego książek. Został pochowany na Cmentarzu Powązkowskim. Autor niniejszej książki nigdy nie poznał osobiście Edmunda Niziurskiego, czego żałuje nawet bardziej niż tego, że nie mieszkał w Odrzywołach. Dane mu było jedynie wygłosić na prośbę jego syna Marcina w imieniu czytelników mowę nad grobem pisarza. Pisarza, któremu zawdzięcza więcej, niż jest w stanie powiedzieć i dzięki któremu sam zaczął pisać książki.

Rozwiązania quizów

Arkusz egzaminacyjny nr 1

Pytanie 1 / odpowiedź B
Pytanie 2 / odpowiedź A
Pytanie 3 / odpowiedź B

Arkusz egzaminacyjny nr 2

Pytanie 1 / odpowiedź C
Pytanie 2 / odpowiedź B
Pytanie 3 / odpowiedź C

Arkusz egzaminacyjny nr 3

Pytanie 1 / odpowiedź A
Pytanie 2 / odpowiedź B
Pytanie 3 / odpowiedź B

Arkusz egzaminacyjny nr 4

Pytanie 1 / odpowiedź B
Pytanie 2 / odpowiedź C
Pytanie 3 / odpowiedź B

Arkusz egzaminacyjny nr 5

Pytanie 1 / odpowiedź A
Pytanie 2 / odpowiedź C
Pytanie 3 / odpowiedź B

Rozwiązanie zadania matematycznego

Uczniowi, który usłyszał to zadanie, zrobiło się słabo, mdło i niemal stracił przytomność. Postanowiliśmy jednak nie poddawać się tak łatwo i poprosiliśmy o rozwiązanie tęgie głowy matematyczne. Jedna z nich stwierdziła, że to przecież proste i podała nam następujące rozwiązanie:

ZACZNIJMY OD OCENY WYDAJNOŚCI GRABARZA W STANIE NORMALNYM

Siedmiu grabarzy w cztery godziny kopie grób na 5,5 osoby, czyli siedmiu grabarzy w jedną godzinę kopie grób mogący pomieścić 1,375 osoby, czyli jeden grabarz przez godzinę kopie 7 razy mniej, czyli grób na 0,196 osoby.

TERAZ HISTORIA ROBÓT

Etap pierwszy
Kopią. Po wykonaniu 1/3 pracy, czyli po wykopaniu grobu na 1,833 osób, zostało im jeszcze poszerzenie go, aby zmieścił 3,666 osób.

Etap drugi
Doszła informacja o śmierci dwóch członków rodziny, więc w tym momencie mają do wykopania grób na 5,666 osoby.
Dołączają kolejni grabarze i wykonują 1/3 pozostałej roboty, czyli zostaje im jeszcze 2/3. Czyli wykopali grób na 1,887 ciał, a pozostaje im poszerzenie go, aby zmieścił 3,778 ciał. Ale w tym momencie następuje samobójstwo i do wykopania pozostaje razem grób na 4,778 osób.

Etap trzeci
Tu kontekst jest trochę niejasny. „Po wykonaniu połowy grobu" należy chyba rozumieć jako pozostałej połowy. Czyli kopią z zapałem grób na 2,389 osoby.

Etap czwarty
Opilstwo sprawia, że pozostały grób na dalsze 2,389 osoby grabarze kopią z wydajnością zaledwie 1/8 swoich normalnych sił.

TERAZ MUSIMY POLICZYĆ, ILE TRWAŁ KAŻDY ETAP

Na początku wszyscy mają pełną wydajność. Pracuje ich siedmiu. Czyli w jedną godzinę kopią grób na 1,375 ofiar wypadku samochodowego.
Wykopali grób na 1,833 osoby. Jeśli podzielimy to przez ich wydajność, dowiemy się, że kopali to przez godzinę i dwadzieścia minut.
Etap pierwszy trwał zatem 1 godzinę i 20 minut.

W etapie drugim pracuje dziesięciu grabarzy z wydajnością 9 i 1/4 grabarza w stanie normalnym. Ponieważ jeden grabarz ma wydajność 0,1964, razem mają 1,817. Czyli kopią grób na prawie dwa ciała w ciągu godziny.
Wykopali grób na 1,889 osoby. Dzielimy to przez ich wydajność i okazuje się, że zajęło im to 1, 04 godziny.
Etap drugi trwał 1 godzinę i około 2,5 minuty.

W etapie trzecim kopią grób na 2,389 osób. Nadal pracuje dziesięciu grabarzy z wydajnością 9 i 1/4 grabarza. Dzielimy 2,389 ciał do pochowania przez ich wydajność 1,817, co daje 1,315 godziny.
Etap trzeci trwa 1 godzinę i 19 minut.

W etapie czwartym zostało im poszerzenie grobu na 2,389 osoby. Ich wydajność radykalnie maleje do 1/8. Należy rozumieć, że do tego samego poziomu spadła też wydajność pijącego od początku grabarza.
Jaka jest wydajność ekipy? Trzeźwy grabarz kopie w ciągu godziny grób na 0,1964 osoby. Nietrzeźwy zaledwie 1/8 tego, czyli 0,025. W dziesięciu jest to 0,25. Czyli potrzebują aż 4 godzin, aby poszerzyć grób o jedno miejsce. Etap czwarty trwać więc będzie 9,56 godziny.
Etap czwarty zajmie 9 godzin i około 33,5 minuty.

KOLEJNE ETAPY ZAJMUJĄ ZATEM

1 godzina 20 minut;
1 godzina i 2,5 minuty;
1 godzina i 19 minut;

9 godzin i 33,5 minuty.

RAZEM: 13 GODZIN I 15 MINUT

Jeśli nasi Szanowni Czytelnicy dostrzegą błąd lub zechcą zaproponować inną metodę rozwiązania zadania, prosimy przysyłać listy pod adres redakcji:
03-936 Warszawa, ul. Walecznych 39/5
lub mailem: *czerwone.czarne@czerwoneiczarne.pl*

Krzysztof Varga

Pisarz, autor między innymi takich powieści jak *Tequila, Trociny, Masakra, Sonnenberg*. Edmunda Niziurskiego zaczął czytać jako dwunastolatek i nigdy nie przestał. Na użytek tej książki na nowo przeczytał wszystko, co Niziurski napisał. Nie tylko kanoniczne powieści i opowiadania dla młodzieży, również książki dla dorosłych, bo i takie Niziurski pisał, chociaż mało kto o tym wie. Dzięki uprzejmości rodziny deszyfrował postaci literackie i ich prawdziwe pierwowzory, w domu Mistrza na Miłobędzkiej w Warszawie przeglądał rękopisy, notatki i fotografie, wertował teczki z tajemniczymi naklejkami jak „Stół i sanie frezarki poziomej", z których wypadały niedokończone utwory Niziurskiego, dotykał siedmiu maszyn do pisania, na których powstawały jego dzieła, pieczołowicie porównywał trasy spacerów pana Edmunda z dzisiejszą topografią Warszawy. Zawsze był niziurskologiem, ale po napisaniu tej książki stał się niziurskologiem doskonałym.

WSZYSCYŚMY Z NIEGO, NIZIURSKIEGO

Co takiego było w pisarstwie autora *Sposobu na Alcybiadesa*, że jego historie, rozgrywające się w zgrzebnej Polsce, tak bardzo przemówiły nam do serca, ale i do rozumu? Jak to się stało, że pragnęliśmy zamieszkać w fikcyjnych Odrzywołach? Dlaczego bardziej ekscytowała nas historia broni ukrytej w starym browarze, tajemnica Twierdzy Persil, czy skrzynie Szwajsa w Niekłaju niż skarby piratów zakopane na Karaibach? Dlaczego świat szkoły w Gnypowicach Wielkich był bogatszy i bardziej podniecający niż podróż w osiemdziesiąt dni dookoła świata?
Dlaczego i Zygmunt Miłoszewski, i Jerzy Pilch, i Juliusz Machulski, i Mariusz Czubaj, i Grzegorz Kasdepke oraz wielu innych na stronach tej książki przyznają: Niziurski naszym Mistrzem był i potrafią na wyrywki z pamięci zacytować fragmenty jego powieści?
Bo jeśli istnieje w Polsce prawdziwa, niezniszczalna wspólnota, to tworzą ją dorośli dziś obywatele, którzy wychowali się na powieściach Niziurskiego. Ta książka o jego życiu i pisarstwie jest dla nich i o nich.

wydawnictwo czerwone i czarne
www.czerwoneiczarne.pl